

# Wielki zmierzch





CEZARY JELLENTA

## Wielki zmierzch

Pamiętnik ten — wrażeń warszawskich — prowadzony był do pierwszych dni stycznia roku 1915, to jest do czasu, kiedy rosnący w postępie geometrycznym ogrom wypadków zaczął nadto już umniejszać znaczenie wydarzeń zapisanych wczoraj i przedwczoraj.

Lecz właśnie dlatego że pierwsze przeżycia widza wielkomięjskiego poszły wobec olbrzymiejącej z dniem każdym wojny i przemiany w układzie świata w zapomnienie, warto je przypomnieć. Nie będą tedy może zapiski te pozbawione pewnej psychologicznej wartości.

Autor poda je tutaj uczciwie — jeśli tak wolno Czytelnika zapewnić — to znaczy bez ważniejszych odnowień i w ogóle według brzmienia pierwotnego rękopisu.

I

Pierwsza połowa sierpnia 1914 roku

Gorzko w ustach. Głowa niepowstrzymanie chyli się na dół. Muszę raz w raz przypominać sobie, że należy ją przecie mieć wyprostowaną. Prostuję też co chwilę ramiona, podaję szyję wstecz, wyprężam piersi.

Nadaremnie! Urwany na chwilę łańcuch poślepnych myśli znowu brzęczy we mnie jak kajdany i głowę moją ciągnie w dół.

Dziwnie bezsilnym stał się błękit nieba. Taki przezysty, taki promienny, powietrze tak rzeźwe, może nawet zbyt rzeźwe jak na pierwszą połowę sierpnia.

Nad stawem łażenińskim podmucha chvilami ostry wiatr. Nawiewa myśli jesienne. Być może, iż gdyby był upał, człowiek czułby się raźniejszym, bliższym przemiennej, nie tak dawno przecie, wiosny. „Jeszcze i ta wczesna jesień!” — szemrze gdzieś wczółgająca się do duszy melancholia.

Łazienki to pieśń z *Elegii rzymskiej*<sup>1</sup>. Nie tylko dlatego, że tak niesłychanie piękne są, lecz że tyle się w nich przeżyło. I tyle *dobrego* się ongi<sup>2</sup>, ongi przeżyło. Tu nie było dla mnie żaloby, tylko triumf i upojenie. Noce — na śpiewaniu spędzane i uściskach, jeszcze wtedy, gdy parku na noc nie zamykano; trawy rosły dziko i wysoko jak na stepie, a pod wieczór wschodziły opary mleczne, w których skryć się można było jak w burzanach lub jak w obłokach. Tu się uczyłem i kochałem, tu czytałem najmilsze mi książki, tu zjawiały mi się pierwsze wizje literackich grzechów...

Nigdy<sup>3</sup> tu nie był sam, zawsze w orszaku odświeżonych myśli lub swawolnych konceptów, zawsze z kimś drogim lub sympatycznym.

A teraz jestem sam, straszliwie sam. Wszystkie późniejsze szkoły samotności, których nie szczydziło życie, na nic się nie zdały. Osaczony jestem przez złe upiory smętku<sup>4</sup>, tak gwałtownie, tak bezlitośnie, że walczyć z nimi nie umiem.

Warszawa, Wspomnienia,  
Melancholia

<sup>1</sup>*Elegie rzymskie* — cykl 24 wierszy autorstwa Johanna Wolfganga von Goethego opublikowany po jego śmierci, dopiero w 1914 r., powstały pod wpływem podróży do Włoch w l. 1786–88, charakteryzujący się licznymi odniesieniami do starożytności oraz erotyczną tematyką. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*ongi* (daw.) — kiedyś, dawniej. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Nigdy tu nie był sam* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: Nigdy nie byłem tu sam. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*smętek* (daw.) — melancholia, zaduma, smutek. [przypis edytorski]

Wspomnienia, owe Mickiewiczowskie hydry pamiątek<sup>5</sup>, tak nagle mnie obskoczyły, żem się ugiął pod nimi i zламаł. Zdało mi się, że to owe śnieżnobiałe łabędzie, na które patrzę teraz tępo, bezmyślnie, bez uradowania i bez żywszego zajęcia, rozmnożyły się w jakieś potworne, ciężkie stado i zwały się na mnie brzemieniem wszystkich wspomnień szczęścia.

Zaiste — nie chciałem, ale musiałem powtarzać sobie wielkie, pomimo że tak nazbyt często powtarzane, słowa: *Nessun maggior dolore, che ricordarsi il tempo felice*<sup>6</sup> itd.

Uciekłem z Łazienek pośpiesznie — bo o przejściu do dalszych ich gajów i alej, tych najpiękniejszych i najromantyczniejszych, w tych warunkach i myśleć nie mogłem.

Wiem na pewno, że aż do końca wojny w Łazienkach nie będę.

Prawie bezwiednie skierowałem kroki ku domowi, w stronę Saskiego Ogrodu. Na Placu Saskim<sup>7</sup> ogromny kopulasty *spleen*<sup>8</sup> prawosławnej cerkwi na razie zdruzgotał mnie. Zawsze na jej widok odczuwałem tę samą duchową mdłość, o której że się zbudziła na widok bań<sup>9</sup> moskiewskich, opowiada w *Zawiszy Czarnym*<sup>10</sup> Słowacki.

W Ogrodzie Saskim było lepiej. Nie dzięki pięknym kwietnikom i sztampowym<sup>11</sup> różom białym, i nie dzięki wspaniałe szerokiemu oskrzydleniu okólnika<sup>12</sup> z wodotryskiem przez sędziwe i rozrosłe kasztany, lecz dzięki gwarowi bawiących się dzieci. W majestacie alej — tłumy, jak zwykle tutaj, brzydkie, trywialne, ordynaryjne<sup>13</sup>, wrzask uczniaków w pobliżu cukierni — głupi i zgrzytliwy, bez lubości i uroku chłopięcych zabaw.

Ale tu przynajmniej wre życie; nastrój powszechnego zgnębienia rozbił się o popospolitość i natręctwo. Błogosławiona brzydota, w której pobliżu zamiera czerw smutku!

Lecz długo wśród tego szwargotu<sup>14</sup> i podejrzanego elegancji panien z sąsiednich dzielnic wytrzymać nie mogłem. Poszedłem do dwóch anielskich siostr.

Cisza tam była i błogość. Łagodne utworzyliśmy smętne trio, jak gdybyśmy mieli razem odchodzić do grobu. Ale i w ciszy takiej długo trwać nie można. Zaczęliśmy sztucznie podniecać się rozmową i udaną wesołością. Jedna z siostr podeszła do telefonu, żeby kogoś z przyjaciół wciągnąć na chwilę do naszej rozmowy.

Telefon nie daje znaku życia. Siostra ponawia zabiegi podnoszenia słuchawki — ten sam skutek.

Wtedy dopiero miarkują<sup>15</sup> obie, że z powodu nieopłacenia — telefon zamknięto.

A więc i w twarz im rzucono ich ubóstwo, i z światem rozłączono. W takiej chwili, kiedy pragnęłyby się rozmawiać z wszystkimi — zagasło światło łączności z ludźmi, do której każdy przyzwyczał się tak mocno, jak do swego własnego słuchu lub do swojej mowy. Było to podobne do nagłej ciemności, ciemności dręczącej albo paraliżu.

Mieliśmy wrażenie, że wszystkie w mieście telefony zamilkły. Wtedy przypomniał mi się popłoch sprzed kilku dni na wieść, że Prusacy wodę w Wiśle zatruli (i rzekę cofnęli do źródeł), że wkrótce gazu zabraknie, że w elektrowni nie starczy węgla itd., itd.

Z nastaniem nocy wszystkie śmieszne groźby utraciły swą niedorzeczność i stały się szeregiem prawdopodobieństw, uwieńczonym straszliwą wiadomością, że od jutra kawiarnie, restauracje i wszelkie w ogóle jadłodajnie będą zamykane o godzinie jedenastej.

Wszystko można by znieść — nawet bombardowanie Warszawy — ale tego ciosu — nie. Człowiecze, co ty uczynisz sam, wieczorem, w oschłym pokoju, z mrowiem<sup>16</sup> swych tęsknot i szarów, którym jak kamieniami krwawo strzaskano skrzydła?

Smutek, Piękno

Wojna, Plotka

Wojna, Miasto, Kawiarnia,  
Koniec świata

<sup>5</sup>hydry pamiątek — nawiązanie do sonetu *Cisza morską z Sonetów Krymskich* Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Nessun maggior dolore, che ricordarsi il tempo felice* (wł.) — „Ach, nic tak nie boli, / Jak chwile szczęścia wspominać w niedoli”, cytat z *Boskiej Komedii* Dantego, tu w przekładzie Juliana Korsaka. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Plac Saski — dziś: Plac marsz. Józefa Piłsudskiego. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>spleen (ang.) — zniechęcenie, przygnębienie, apatia. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>bania — tu: kopuła cerkwi o charakterystycznym kształcie. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Zawisza Czarny* — nieukończony dramat Juliusza Słowackiego, pisany najprawdopodobniej w latach 1844–1845. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>sztampowy — pienny, mający pień. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>okólnik (daw.) — tu: podwórze. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>ordynaryjny (daw.) — ordynarny. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>szwargot — niezrozumiała, nieprzyjemnie brzmiąca mowa. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>miarkować (daw.) — pojmować, rozumieć. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>mrowie (daw.) — skupisko, chmara. [przypis edytorski]

W tej chwili już „wojna europejska” nie przedstawia mi się jak trzęsienie ziemi, które potrwa kilka wściekłych konwulsji, a potem się skończy. W jej koniec nie wierzę i wierzyć nie myślę. Trwać będzie wiecznie lub się skończy ogólnym zgonem świata, ziemi i słońca. Skąd więc wziąć siły, ażeby wyjść na drogę wiekuiestej, bezkresnej agonii? Ratunku nie ma i nikt go nie da. Manfredowe<sup>17</sup> czechło<sup>18</sup> śmierci owija głowę i mnie całego — jak mistyczną kłutwą.

Samobójstwo, Trucizna,  
Marzenie

Jedynie, co uczynić można, to na wypadek, gdy cierpienie stanie się ponad siły — przeciąć dobrowolnie dni.

Pocziwy, zacy mój rywal, który całe życie był o mnie zazdrosny, nie odmówił mi trucizny. Ze łzami w oczach dał mi ją. Zapomniał wszystkich uraz i na pożegnanie ścisnął mi rękę z uczuciem braterstwa najtkliwszego.

Mam więc w kieszeni ratunek. Gdy zacznę nade mną bujać topór świadomości, że przez własną nierozwagę znalazłem się w matni i, jak owo żelazo z noweli Poe<sup>19</sup>, zbliżać się nieuchronnie do mojej szyi, by mi głowę odciąć — uprzędę je.

Niby to fanfaronada<sup>20</sup>, ta myśl, że jestem panem swego życia, a jednak ona mi pewną ulgę przynosi.

Jestem spokojniejszy. Obraz moich ukochanych, przedzielonych ode mnie tysiącami armat i milionami żołnierzy, chwilowo mniej wyraziście wynurza się w mojej wyobraźni. Nawet zdolnym<sup>21</sup> do szarpnięcia się rzutem energii i — idę do teatru na farsę.

Ludzi sporo. Bawią się ochoczo. Poddaję się ogólnemu usposobieniu i tak umiejętnie lechtam się w głębi swej duszy, tak całą bezwolą i bezmyśłą zwracam się ku scenie, że często wybucham dziecinnyim prawie śmiechem. Jakże się nie śmiać, nie głupiec serdecznie, gdy grają jednocześnie Fertner<sup>22</sup> i Gasiński<sup>23</sup>?

Wojna, Teatr, Śmiech

Słowem, pozwoliłem na to, żeby dwóch komików z pomocą paruset komiczniejszych jeszcze widzów przeważało tragedię świata. Zresztą czyż w ogóle śmiech i dowcip nie jest mocniejszy od losu, od przeznaczenia, od woli człowieka i całej ludzkości?

Co więcej: kochałem w tej chwili, to jest przez całe trzy akty, tę drużynę wesołków i miałem dla nich po prostu zainteresowanie i uwagę.

Gdy ostatnia zasłona spadła i wraz z tłumem wyszedłem na ulicę — od razu, z szybkością przerwanej obuchem w głowę snu, roztworzyła się przede mną krwawoczarna jama wojennej nocy. Wszystkie nieprawdopodobne zamęty tej chwili w życiu świata wysłały ku mnie swoje widma. Hurmem uderzyły we mnie refleksje i oprzytomnienia.

Jak to, więc naprawdę Europę pocięto rzekami krwi? Więc naprawdę walczą z sobą milionowe armie? Możliweż<sup>24</sup> to, ażeby człowiek nawykły do obcowania z wolnością był od niej nagle oddzielony nieprzejrzanymi lasami bagnietów? Prawdaż to<sup>25</sup>, że nie ma już poczt, telegrafów, kolei żelaznych? Że jednym ciosem strącono nas w chaos? Otom<sup>26</sup> osobiście wolny, cały i zdrów, swobodnie chodzę po pokoju i po całym mieście, ale nie wolno ani mnie, ani braciom moim wyruszyć w świat, widzieć jego niedawne piękno, bogactwa i życie. Runęła cywilizacja, pod ziemię zapadła się.

Rozpacz, Wojna, Koniec  
świata

Powietrze, na pozór czyste, świeże i przezrocze, jest pełne grozy i nadbiegających straszdeł. Po raz pierwszy w życiu własnym i bodaj w życiu świata całego wstąpiliśmy w żywioł, który nie jest ani ziemią, ani morzem, którego nieznane nam są drogi i niespodzianki. Straszny on nieobjętym swym ogromem i bezwzględnością, absolutną obcością. Nie

<sup>17</sup>*Manfred* — tytułowa postać dramatu filozoficznego Byrona; w Alpach, na skale Jungfrau Manfred pragnie popełnić samobójstwo, co zostaje w ostatniej chwili udaremnione. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*czechło*, właśc. *czechel* (daw.) — tkanina służąca do okrywania ciał zmarłych, całun. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Poe, Edgar Allan* (1809–1849) — amerykański pisarz, krytyk literacki, przedstawiciel tzw. czarnego romantyzmu. Jellenta, pisząc o żelazie, nawiązuje do noweli *Studnia i wahadło*, w której to bohater zostaje uwięziony w celi, a nad jego głowę kołysze się ciężkie, żelazne wahadło. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*fanfaronada* — przechwalanie lub popisywanie się swoją odwagą. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*zdolnym* — tu: zdolny jestem. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*Fertner, Antoni* (1874–1959) — polski aktor komediowy. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*Gasiński, Edmund* (1860–1924) — polski aktor, śpiewak, tancerz. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*możliweż* (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą i pytającą, tu w znaczeniu: „czy możliwe?”. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*prawdaż to* (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą i pytającą, tu w znaczeniu: „czy to prawda?”. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*otom (...) wolny* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: oto jestem wolny. [przypis edytorski]

wiemy, co będzie i czy jutro nie grozi nam powszechnym obłąkaniem, poprzedzonym niewysłowionymi katuszami widzenia i słyszenia.

Prawdaż to wszystko?

Czy nie lepszą jest dola wojownika, żołnierza, co idzie na pole bitwy, obarczony swymi dwoma pudami<sup>27</sup> ryszunka, ogłuszony zmęczeniem, stępiony na wszystko dookoła, a potem rzucony w piekło ognia działowego, które budzi w jego duszy nieznaną mocę i instynkta<sup>28</sup>, nieprawdopodobną wytrwałość i wytrzymałość? Jakże wielki i godny zazdrości jest ten prosty żołnierz, w którym bitwa rodzi nieznaną ludziom energię, że może nie jeść, nie pić, dziennie przechodzić w marszu kilkadziesiąt wiorst<sup>29</sup>, pałać jak ogień, wyzbywać się wszelkich ograniczoności i wymierności normalnej natury! W nim odbywa się proces jakiś kolosalnego wytrysku instynktów i sił; z chamskiego poczciwego łba strzela nieskończoność; a we mnie cała nieskończoność myśli i porywów zwinęła się nagle jakoby w głowę kapusty. On cały staje się pod gradem kul jakimś stworzeniem irracjonalnym, przez które przemawia prawieczna tajemnica Walki, ja zaś — niepotrzebną komorą, pełną rupieci i złomków myślowych konstrukcji, które się nikomu nawet na opał nie zdadzą.

A przy tym to pragnienie życia! Ta małoduszność żalu, że zostało ono zatamowane i skurczone. O ileż wyższy jest ten prosty, ciężko stąpający wojak!

Prosiłem znajomego oficera, ażeby mi opowiedział wrażenie swoje z jednego z niezliczonych straszliwych bojów w Lubelskiem. Nie chciał opowiadać. Usprawiedliwiał się:

„Jeszcze nie dziś, jeszcze za świeżo. Krótko panu powiem. Wszystko jest niczym wobec tego straszego huku pękających szrapneli<sup>30</sup>, tego piekielnego grania świateł i ogni. Tak są częste i ślepiące, że oddychać nie można. Marzysz wtedy o sekundzie wytchnienia lub pauzy. Ale na niebie, w powietrzu nie ma zlitowania. Potwory w ilości niesłychanej, nieobjętej, małe i wielkie, ryczą przez przestwór i sieją zniszczenie, znieruchomijają wzrok, denerwują, dech zapierają, kładą ludzi pokosami. Wszystkie uczucia zbiegają się wtedy w jednym pragnieniu: *zostać zabitym*. Wielu wówczas przyzywa śmierć, sami nie wiedząc, dlaczego. Pewnie dlatego, że jest tak blisko i że tak boleśnie jest nie umierać, gdy dookoła umierają towarzysze. *Ach! Być zabitym!*”

Budzi się jakaś obłądna solidarność śmierci, stokroć silniejsza od solidarności życia...”

Dajcież<sup>31</sup> i mnie trochę tej solidarności śmierci! Niech życie we mnie nie rozpościera tysiąca swych gałęzi pragnienia, żeby stało się to, co się stać nie może. Po skrytkach mojej wzmożonej cerebracji błąka się francuskie *irréparable*<sup>32</sup>. Popęd do istnienia i szczęścia rozrasta się tak bujnie we mnie: to polip, który wypełnia całą moją istotę. To już nie polip, to hydra stugłowa! Rzeczywistość strąca łby jeden po drugim, a one odrastają i nawet mnożą się. Zdaje mi się, że pod naporem tej woli *życia europejskiego*, gdy zawisła nad ludźmi *europejska śmierć*, zdolny byłbym do wszelkiej podłości.

Z tego stanu leczy mnie upokarzająca własna myśl, że cała ta olbrzymia spotworniała praca moich żądz jest bezowocna, daremna, bezcelowa. Jeden z najtrwalszych dogmatów, dogmat celu, szepce mi, że szkoda tylu myśli i prężeń, tylu mózgowych procesów i przewalań się jaźni, z których nikomu nic nie przyjdzie i których nawet wypowiedzieć nikomu nie umiałbym i nie mógłbym.

Niewątpliwie jedną z najgłupszych na świecie rzeczy jest duch, gdy woła w chwili głuszy powszechnej, rozum, gdy przeżuwać chce światy, wtedy gdy te światy zamarły lub skamieniały. Świadomość tego upokarza albo i poprawia człowieka, uspakaja go. Układa go do większej drętwoty, tępi w nim najskuteczniej wszystkie paszcze smoczey żywotności.

Całą mocą uczucia pragnę więc wyszlachetnieć.

Żołnierz

Wojna, Śmierć

<sup>27</sup>*pud* — dawna rosyjska jednostka wagowa. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*instynkta* (daw.) — dawna forma M. l.mn.; dziś: instynkty. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*wiorsta* — dawna jednostka długości, ok. 1 km. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*szrapnel* — pocisk artyleryjski wypełniony metalowymi kulkami a. strzałkami, rozpryskującymi się przy wybuchu. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*dajcież* (daw.) — konstrukcja z partykulą wzmacniającą, inaczej: „dajcie że”. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*irréparable* (fr.) — nieodwracalny. [przypis edytorski]

Dalsze dni sierpnia

Droga do pewnej szlachetności i racjonalności stanów wewnętrznych ściele się przede mną. Zawdzięczam ją oprawcom — Prusakom.

Wbijają Belgię na pał, rozdziają, jak ongi Tatarzy — jeńców, nawlekając na wyostrzony, jak dzisiejsza pikielhauba<sup>33</sup>, kół<sup>34</sup>. Widowisko straszliwe, które człowieka zabija albo też uzdrawia. Wszelki egoizm wobec niego zdycha; żądza wolności i szczęścia wstydzi się siebie samej na widok narodu bohatera, narodu który jest cały mózgiem i młotem, narodu nielicznego, który sprawia wrażenie wielkiego państwa przez swą wielkość duchową. Ojczyzna Ruysbroecka<sup>35</sup> i wielkich mistyków, genialna szkoła malarstwa, kolebka Verhaerena<sup>36</sup> i Maeterlincka<sup>37</sup>, czarna kuźnia i kopalnia węgla z mistycznym niebem poezji arcyłudzkiej nad głowami, najprzedniejsze połączenie czarnoty czeluści ziemi z zorzami serafów, nadlatujących zza widnokregu. Wspaniały, promienny socjalizm Vandervelda<sup>38</sup>, na którego łączność z rządem i narodem patrząc, wierzy się w jasne prorocтва *Jutrzni* Verhaerena.

I oto ten naród ćwiartują i łamią kołem.

Zdobyto fort Liège, łaskawej macierzy tyłu naszych inżynierów; padły warownie Namuru, zajęto Leuven — oszczędziwszy, o dziwo, ratusz, bezcenny strzelisty filigran z kamienia. Nie pomogły nadludzkie wysiłki i bohaterstwa obrońców, przerwane przez nich tamy i groble, i zatopione sioła. Płaz niemiecki, nawykły do zimnej wody, i tę kąpiel wytrzymał, i jeszcze wścieklejszy, runął na Brukselę. Uszanował jej wielkość i świętość jej kultury nie z własnego popędu, lecz zniewolony przez posła Stanów Zjednoczonych. Za to kontrybucjami wycisnął tę resztę krwi, której nie wytoczył na szanicach twierdz i na polach bitew.

Belgowie chronią się do Antwerpii — ostatnia obrona; wróg grozi Gandawie, a może i wcielonej legendzie — Brugii.

Najazd Hunów dwudziestego stulecia zniszczył prawie całe szlachetne gniazdo Belgów. Groza i okropność, żaloba i spustoszenie, wobec których zamarłoby może pióro Wiktora Hugo<sup>39</sup> i Flauberta<sup>40</sup>.

Żaloba — ale nie upadek. Jakieś niebiańskie siły zaśpiewały w tym narodzie groźbę odwetu. Coś się tam dzieje takiego, taki upór, zaciętość, taka klasyczna prostota i poświęcenie w królu Albercie<sup>41</sup> — że w sercu naszym grać też zaczyna jakaś cudna muzyka — muzyka nadziei! Ten naród nie zginie. Król Albert będzie może drugim Janem Sobieskim!

Oczy świata patrzą, szeroko rozwarłe, na dziw nad dziwami, mieszkańcy starożytnych grodów flamandzkich, boskich świątyń kapelani, kustosze najukochańszych muzeów świata, meunierowscy<sup>42</sup> pracownicy i spokojni siewcy, robociarze i poeci, zdołali zamienić ojczyznę swą na nowoczesne Termopile<sup>43</sup>, a świetlany wzór Leonidas<sup>44</sup> zrodził Leonidasów tysiące.

Nadzieja

<sup>33</sup>pikielhauba — skórzany niemiecki hełm zakończony charakterystycznym szpikulcem. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>kół (daw.) — zaostrzony na końcu pał. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Ruysbroeck, Jan von (1293–1391) — niderlandzki mistyk i teolog, autor pism mistycznych, błogosławiony Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Verhaeren, Émile (1855–1916) — belgijski poeta. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Maeterlinck, Maurice (1862–1949) — belgijski dramaturg, poeta, eseista, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1911. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Vandervelde, Emile (1866–1938) — belgijski polityk, jeden z przywódców belgijskich socjaldemokracji oraz czołowych działaczy i teoretyków II Międzynarodówki, przedstawiciel reformizmu. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Hugo, Victor (1802–1895) — francuski pisarz, poeta, dramaturg, czołowy przedstawiciel romantyzmu francuskiego. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Flaubert, Gustave (1821–1890) — powieściopisarz francuski, uważany za pierwszego przedstawiciela naturalizmu. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Albert I Koburg (1875–1934) — król Belgii od 1909 r. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Meunier, Constantin Emile (1831–1905) — belgijski malarz i rzeźbiarz słynący z przedstawiania wizerunków klasy robotniczej. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>bitwa pod Termopilami (480 p.n.e.) — trzydniowa bitwa pomiędzy sprzymierzonymi wojskami greckimi pod dowództwem spartańskiego króla Leonidas<sup>44</sup> a przeważającymi siłami perskimi; Grecy, broniący wąskiego przejścia z Grecji północnej do środkowej, zostali pokonani, jednak wojska perskie poniosły wielkie straty w ludziach. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Leonidas — dowódca wojsk greckich w bitwie pod Termopilami, symbol bohaterstwa i męznego poświęcenia, nawet w sytuacji bez wyjścia. [przypis edytorski]

Jakżeś daleko pierzchła od swoich krętych a jałowych labiryntów, myśli moja, na klęczkach modląca się do tych zwalonych ołtarzów, których Bóg zamiast uciec, zwielokrotnił się w panteon cały i przyjął pod swoją opiekę święte gruzy i strzępy obrazów — aż do lepszego jutra!

Sierpień — nazajutrz

Żyjemy wszyscy na ulicy. Warszawa przedstawia widok niesłychany. Pomimo wieści hiobowych<sup>45</sup> z Zachodu — otucha i wiara napętnia wszystkich. Wspaniała odezwa do Polaków, dziejowy akt, jakiego szukać by trzeba było aż w deklaracjach praw i wielkich dokumentach rewolucji francuskiej, zelektryzowała wszystkich zapowiedzią rozświetła. Rozbłysła sama jak świt — taka promienna, z głębin duszy wytchniona, szeroka jak gest<sup>46</sup> miecza, i gorąca jak pocałunek przyjaciela. Ludzie, czytając ją, płaczą i czują to, co pewnie dziadowie czuli, gdy bóg wojny, Bonaparte, przysuwał swoje hufce do bijącego oczekiwaniem serca Polski i Litwy. Chciałoby się zawołać z Mickiewiczem:

O wiosno! kto Cię widział wtenczas w naszym kraju,  
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!<sup>47</sup>

Na ulicy wre życie, przypominające rok 1905<sup>48</sup>, entuzjazm i zaciekawienie. Miasto dostało zawrotu głowy. Wielkość obietnic wszystkich nas odurzyła jak szampan. Nawet już puste gadaniny partii politycznych „macherów”<sup>49</sup> nie drażnią nas. Zresztą — taki bazar należy do pełni obrazu. Niech swój towar zachwalają. Cóż to komu szkodzi?

Charakterystyczne, jaka to potrzeba darzenia kwiatami! Nie tak dawno jeszcze dawano je rezerwistom, a teraz już rannym, wiezionym z pola walki. Warszawa stała się jak *primavera*<sup>50</sup> tokańska. I słusznie — nowa to wiosna, powinny sypać się kwiaty...

Kiedy szli dniami i nocami „pospolitacy”, już naród odprowadzał ich z sympatią i czułym „Do widzenia”. Ale tam było jeszcze trochę żalu, przeczucia sieroctwa; ponuro kroczyły żony i siostry w szeregach lub obok szeregów. Gladiolusy, tuberozy, astry, georginie, róże były jakoby pachnące wieńce, kładzione na mogiłach. Okrzyki „Hurra!” wydawały wyrostki, starsi byli zadumani. Im różniej stąpał taki zapasowiec, oderwany od domowego ogniska, tym rzęsiściej płynęły lzy idącej obok żony.

Wtedy rozumiałeś, że to naprawdę będzie wojna. Szli bezładnie, w rozsypkę, bez formalistyki szyku; bratali się z ludem, a lud z nimi. To nie rewia, nie parada i nie marsz z orkiestrą na czele, lecz pochód na serio, bez ceremonii i blasku.

A teraz już wojna jest w pobliżu. Ranni zbliżają się na furgonach strażackich, w starych wozach tramwajowych, ciągnionych przez konie, wreszcie w samochodach. Całe Krakowskie i Nowy Świat obstawione zbitymi szpalerami ludzi: „Ranni jadą!” — wielkie, poważne święto; jedni ciekawi, drudzy szukający swoich bliskich i drogich i trwogi pełni, czy aby ich znajdą wśród tych okaleczonych ale przecie żywych; inni chcą wzrok napisać tym choć tak dalekim odbłaskiem wojny. Gdyby była bitwa w pobliżu, z pewnością wszyscy, ochłoniwszy z pierwszego strachu, wylegliby na dachy, żeby widzieć walczących — a tak to chociaż w ten sposób chcą zetknąć się z wielkimi wydarzeniami, otrzeć się o nie rękawem. Nie widzieć rannych — to prawdziwe nieszczęście. „Jakiś ty szczęśliwy, jakże ci zazdrościsz, żeś widział tyłu rannych!”

A no, widziałem i jeszcze widzę. Przeważnie nie ciężko ranni; na łózkach polowych, zapelniających platformy, leżą z twarzami dość pogodnymi, palą sobie papierosy i uśmiechają się do kwiatów, które im rzucono z balkonów. Czasem przesunie się samochód o wiele, wiele smutniejszy. Tylko jeden ranny, prawie czarny na twarzy i nieruchomy. Po obu stronach siostry miłosierdzia, jedna pokrapia go i cuci.

<sup>45</sup>hiobowe wieści (fraz.) — zła, przerażająca wiadomość. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>gest — tu: ruch ręki zakreślający duży łuk. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>O wiosno! kto Cię widział wtenczas w naszym kraju, / Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju! — cytat z Księgi IX Pana Tadeusza Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>rewolucja 1905 roku — zryw o podłożu społecznym i narodowym na ziemiach Królestwa Polskiego skierowany przeciwko absolutyzmowi carskiemu. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>macher — oszust, kombinator. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>primavera (wł.) — wiosna. [przypis edytorski]

Po kilku chwilach, w innym samochodzie, oficer leży bezwładnie z wyciętą na piersiach odzieżą i widnymi w odslonionym miejscu bandażami. Na nogach płaszcz, a na nim cały stos złocieni — kto wie, może ostatnich, jakie biedak ogląda — jeżeli je widzi jeszcze, jeżeli je zgaduje.

Dziwne, nieznane powietrze. Zanalizować je trudno. Wonieją w nim przede wszystkim kwiaty; a potem duma, że wracają w glorii chwały, że oto pośród nas — bohaterowie, ludzie od nas lepsi; a potem pachnie spokój, że oto przygotowania się skończyły, a z nimi i „trema” przedwojenna, że wojna się zaczęła i przestała być wojsku obcą. Straszne słowo: granat, kartaczownica, bagnet — stało się ciałem. Krew się już leje; czerwone krzyże na ramionach sanitariuszów nie są już częścią tylko ozdobą i symbolem pustym.

A potem — w tym powietrzu — dreszcz przenika. Na widok ciężko rannych, z szczerze obandażowanymi głowami, w których widać tylko przygasłe źrenice, niepowstrzymana łza ciśnie się do oczów. Płacz i triumf, zgroza i litość wiążą się w sercu w bukiety o woni cierpkiej i mocnej.

A zwłaszcza gdy wzrok, ogarniając rannego, z przerażeniem spostrzeżga, że doliczyć się nie może ręki lub nogi, gdzieś podejrzenie ginących w zwojach płócien...

Do późna w noc trwa korowód rannych. Ludziska niechętnie rozchodzą się do domów. Szczególnie wytrwale stoją na swych miejscach przekupnie papierosów. Sprzedają ich dużo — publiczności, a zwłaszcza młodzieży, która wskakuje na wehikuly i całe nęcza paliwa rozdaje rannym żołnierzom.

Warszawo, co się z tobą stało? Znowu gorejesz<sup>51</sup> szlachetnie! Znikł z twych ulic nożowiec, bandyta i alfons. Nie rachujesz się z groszem, i sama biedna i może nawet głodna, częstujesz i karmisz innych?

Błogosławiona wojno, co wskrzeszasz ze zmarłych entuzjazmy i uniesienia, co oczyszczasz dusze z błota egoizmu i nienawiści! Grodzie syreni, tragiczna twa i męczeńska dusza wydobyła się spod atlasowego brzemienia błazeństwa i prostuje się, ażeby na nowo czuć i myśleć — jak ongi, gdy synowie twoi walczyli o wolność, równość i braterstwo, jak ongi, przed laty ośmioma!

Dalsze dni sierpnia

Przemarsze wojsk dniami i nocami. Jakże tu usiedzieć w domu i w ogóle w jakimkolwiek miejscu, kiedy puls wojny bije wszędzie i wszędzie chciałoby się go wyczuwać? Czymże są wszystkie najwymyślniejsze warszawskie kinematografy wobec tej bezustannie zmiennej scenerii?

Przemarsze wojsk — to niby takie jednakowe i nawet monotonne, a przecież takie wiecznie nowe i ciekawe!

Oto wspaniałe pułki gwardzystów. Chłopy jak sosny, proste i strzeliste, twarze piękne, poważne i nawet szlachetne. Wysocy, smukli i prości siłą znakomitej budowy, a nie tresury. Pomimo woli porównuje się ich z piechotą niemiecką, w której każdy jest wycięty z blachy według figury schematycznej. Oczywiście, gwardia ta to dobór najlepszych okazów rasy, ale w Niemczech i dobór najtroskliwszy nie pomoże na wrodzoną śmieszność, sztywność i ciężkość. Narody bliższe natury nie zatraciły giętkości i proporcji pięknego mężczyzny — żołnierz niemiecki, nierozstający się z słodkim jak krem sucharem, zapasem kakao i piwa, ma w sobie coś z blaszanej puszki konserw, a landszturmista<sup>52</sup> brzuchaty — i coś z pierzyny.

Oto znów pułk ułanów, a potem dywizjon dragonów. Znowu chłopcy dobrane, z koniem doskonale zrosnięte. Snadź<sup>53</sup>, że to kawaleria od urodzenia i że lance w ich rękach mogą być orężem strasznym. Wierzę opowiadaniom, iż uciekających na drzewa Prusaków umieją oni tymi pikami „zdejmować”.

A za nimi całe obozy i karawany: wózki z prowiantem, beczki z wodą, z sianem, podwody<sup>54</sup> z worami mąki, snadź naprędce zarekwirowane, gdyż woźnicą jest zwyczajny sobie cywilny Lejbuś, zapasy siana, kuchnie polowe, toboły; potem kilka zgoła<sup>55</sup> niemilitarnie

<sup>51</sup>goreć — palić się, jaśnieć. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>landszturmista — żołnierz Landsturmu, tj. pospolitego ruszenia w Niemczech i Austro-Węgrzech. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>snadź (daw.) — widać to, to zapewne. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>podwoda — usługa komunikacyjna organizowana przez chłopów. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>zgoła — całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]



usposobionych krów człapie pokornie, poganianych przez paru starszych, brodatych żołnierzy. Jakies wózki zielone, niewidzianego w Warszawie kształtu i koloru; nawet konie na zielono pomalowane, ponoć dla tym lepszego ukrycia się przed wzrokiem nieprzyjaciela i zlania się z otoczeniem lasów i pól; wolanty<sup>56</sup> małeńkie z głębi Rosji, może nawet azjatyckiej.

Dal niesłychana przyszła do Warszawy z obliczami surowymi i zapyłonymi od dróg, co biegły może od brzegów Oceanu Spokojnego, a co najmniej spod stóp Uralu.

Niewielkie, podobne do krótkich wózków mitraliezy<sup>57</sup> budzą szczególne zaciekawienie; krótkie, wystające z tyłu paszcze są jak obcięte ogony jakiegoś przyswojonego zwierza. Ale wiemy, że ogony te są straszne i że się umieją obracać w prawo i w lewo i chlustem rozpalonego ołowiu kosić. Szczególnego rodzaju kosiarki tną od siebie półkręgiem. Gdy zaczną pracować, szeregi padają, jak kłosa, setkami, tysiącami. Niejedno już pole i swoje, i obce pokryło się takimi krwawymi pokosami. Skierowane na las, dziurawią wszystkie pnie na jednakowej wysokości. Skierowane na ukrytego w rowach lub za okopami nieprzyjaciela, kropią w ręce, trzymające karabin, lub miazdzą szczęki, przywarte do kolb. Wymierzone w piechotę nieosłoniętą, podcinają nogi i kładą od jednego obrotu całe bataliony. Stąd w szpitalach tyle tysięcy rannych jednakowo.

Pod wieczór jednego z tych dni, kiedy całe miasto zdawało się drepającym w takt powolnego marsza, kiedy nawet domy i ulice poruszać się zdawały — runęła w Aleje Jerozolimskie artyleria polowa.

Deszcz padał i ślota się robiła. Nie pierwszy to raz dudniły po bruku działa, ale nigdy jeszcze w takiej liczbie, jak wówczas. We mgłę wyglądały groźnie i fantastycznie. Szły od Mokotowa i wtaczały się w stronę „mostu Poniatowskiego”. Jednocześnie inne baterie waliły od strony rogatki Jerozolimskiej.

Widoczne było, że śpieszą. Jeszcze nigdy nie dążyły tak ręczo<sup>58</sup>. Wspaniałym łukiem skręcały na szeroką ulicę wiodącą ku wiaduktowi, a potem pędziły, jak gdyby na odsiecz. W ciemnościach dżdżystego wieczoru ginęły i mogłeś myśleć, że już w pobliżu, ot zaraz za mostem, zawrze śmiertelna walka i rykną spiżowe gardziele. Cała gawiedź ulicy chętnie poddawała się temu wrażeniu. Zaczęło się gorączkowe rzucanie pudełek z papierosami żołnierzom siedzącym na jaszczkach<sup>59</sup>, na lawetach, na koniach; kobiety i mężczyźni, nie bacząc na błoto i rozpędzone koła, biegli za nimi. Było to piękne.

Kilka razy wskutek zbyt wielkiego rozpędu na zniżającym się nieco terenie, zdarzały się karambole. Wtedy najczęściej, ażeby konie nie wpadały na jadące przodem furgony i lawety, szybkim targnięciem lejc, skręcano i stawano na ukos, na co szerokość ulicy pozwalała. Czasem bywało gorzej, rumaki wpadały na siebie, jeździec, ten i ów, spadł, tworzył się zamęt, zamieszanie, widzom się zdało, że oto nieszczęśliwy wypadek, katastrofa. Nic podobnego — bez jednego krzyku, bez alarmu, ze skłębionej masy wozów, koni i ludzi wysnuwał się łatwo żelazny łańcuch uporządkowanych już baterii i znowu oto szedł szparko<sup>60</sup> naprzód i dzwonił swą groźną, zgrzytliwą muzykę kopyt i kół.

Czułeś tutaj prawdziwych wojowników, gruntowne życie się z ruchem gwałtownym i niebezpiecznym, z pędem skomplikowanym; zazdrościłeś tego opanowania rzeczy potwornie trudnych, lekkości i wprawy w kierowaniu żywiołem ciężkich koni i jeszcze cięższego żelastwa. Szło to wszystko hartownie<sup>61</sup> i spokojnie, w potoki dżdżu, na całonocną pewnie jazdę, pod wtór ogłuszającego szczękę i chrzęstu.

A nam wszystkim piecuchom<sup>62</sup>, którym nie sprzykrzyło<sup>63</sup> się stać półtorej godziny w szarudze, jakoś rzewniej<sup>64</sup> się zrobiło, że za artylerią śród<sup>65</sup> wózków ciągnęło i kilka kuchen polowych z wesoło gorejącym paleniskiem, że żołnierze gdzieś tam na postoju trochę ciepłej stawy dostaną...

<sup>56</sup>wolant (daw.) — lekki, okryty powóz. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>mitralieza — dawne szybkostrzelne działo o wielu lufach. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>ręczo (daw.) — szybko, żwawo. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>jaszczyk — wóz z okutą skrzynią, służący dawniej do przewożenia amunicji artyleryjskiej. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>szparko (daw.) — szybko, żwawo. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>hartownie — silnie, mocno, opanowanie. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>piecuch (daw.) — leniuch, próżniak, wygodniś. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>przykrzyć (daw.) — nudzić się, odczuwać zniechęcenie. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>rzewnie (daw.) — czule, pełne żalu. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>śród (daw.) — dziś: wśród. [przypis edytorski]

Pod koniec sierpnia

A tymczasem z „zachodniego frontu” krucze nadchodzą wieści. Niemcy z trzech stron, od północy, wschodu i południa żelaznym pierścieniem ściskają serce Francji, Paryż. Zbliży się z września, rocznica fatalna — Sedanu<sup>66</sup>, i dookoła Sedanu rozgrywają się groźne walki. Ale nad armią francuską czuwa spokojny, rozważny i nieugięty wódz żuraw — generał Joffre<sup>67</sup>. A nad sprzymierzonym wojskiem angielskim — jeszcze przezorniejszy i potężny French<sup>68</sup>. W myślach moich imiona te, dostojne i już sławne mistrzowskim odwetem, który tai w sobie niebezpieczne dla Niemców niespodzianki, zlewają się w jedno skrócone, jak telegram, imię „Joffrench”. — Nie dzielę powszechnej trwogi o Francję. Sama ona może jeszcze nie zdążyła strząsnąć z siebie skutków konkubinatu z Rosją, zmaterializowania i sobkostwa<sup>69</sup> — ale skoro mocarz brytyjski<sup>70</sup> wyjął miecz z pochwy — niebezpieczeństwa nie ma. Wierzę objaśnieniom, że odwrót ten wyszczerbi armię Rzeszy Niemieckiej i wyłamałszy jej kły, ocugli<sup>71</sup>.

Nie boję się i tego, że rząd Rzeczypospolitej przeniósł się do Bordeaux, a za nim wiele instytucji państwowego znaczenia. Wierzę głęboko okrzykowi Norwida: „Jeszcze Francja nie zginęła!”<sup>72</sup>

Natomiast trwoży mnie brawura generałów rosyjskich. Zajęli Gąbin, Ełk, Wystruc<sup>73</sup>, Ostródę, Olsztyn — posuwają się na północ aż w pobliże Królewca, na zachód aż w pobliże Torunia. Czyż znają dostatecznie szatańskie podstępny Krzyżaka, który na swoim gruncie nie cofnie się przed żadnym sposobem obrony? Nie ma dla niego prawa wojny, konwencji genewskiej ani haskiej. Każdy drapieżnik czy morderca, o ile nie jest zatruty alkoholem lub zwyrodnieniem dziedzicznym, jest do niektórych sposobów zabijania niezdolny. Wymyślność oprawcza zwierzęcia ludzkiego ma swoje granice, wzdryga się przed niektórymi obrazami dręczenia. Rakarz<sup>74</sup> nie do wszystkiego jest zdolny. I to nie tylko w sferze bólu fizycznego, lecz i moralnego. Jest nawet w barbarzyńcy pewien instynkt solidarności dla ciała ludzkiego, który mu nie pozwala tak się z człowiekiem obchodzić, jak np. hiena lub szakal z trupem lub padliną.

Zdaje się jednak, że Niemcy, budując swoje pułapki i zasadzki, tak samo nie mają wstrętu do pewnych rodzajów śmierci ludzkiej, jak głodne drapieżne zwierzę, lub jak martwy odłam granatu, rozrywający wnętrze. Ich wyobraźnia i nerwy są wyobraźnią i nerwami kartaczownicy.

W tym jest tajemnica ich złej potęgi i w tym jest klucz ich zguby. Ludzkość bowiem takiego spotwornienia znieść nie chce.

Prusy Wschodnie i Zachodnie uśmiechają się nam. Królewiec i Gdańsk — mogłoby<sup>75</sup> to być polskie? Jeszcze żywo stoją mi w pamięci wspaniałe mury Elbląga, Malborka<sup>76</sup>, Frauenburga<sup>77</sup>, cały ów warowny czerwony gotyk nadbałtycki, tak masywny, krzepki, tak czysto swojski i charakterystyczny dla kraju z cegły, a nie z marmuru. Rozsiadła by się znowu Polska nad morzem, wiozłaby znów złotą pszenicę sandomierską do złocistego Gdańska, do własnego śpichrza<sup>78</sup>, jak ongi za czasów Klonowicza<sup>79</sup>. Rozszerzyłby się dech Polski na świat cały.

Niemiec

Marzenie

<sup>66</sup>*bitwa pod Sedanem (1870)* — starcie zbrojne podczas wojny francusko-pruskiej. Konsekwencją bitwy była kapitulacja cesarza Napoleona III wraz z jego armią i zwycięstwo Prus i ich sprzymierzeńców w wojnie. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*Joffre, Joseph (1852–1931)* — francuski dowódca wojskowy, naczelny wódz armii francuskiej (1914–1916) w czasie I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*French, John (1852–1925)* — brytyjski marszałek polny, pierwszy naczelny dowódca Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego w I wojnie światowej. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*sobkostwo* (daw.) — egoizm. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*brytyjski* (daw.) — dziś: brytyjski. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*ocuglić* (daw.) — poskromić. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Jeszcze Francja nie zginęła!* — wiersz autorstwa Cypriana Kamila Norwida. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Wystruc* — dziś: Czerniachowski; miasto w obwodzie kaliningradzkim. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Rakarz* (przen.) — łajdak, łotr. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*mogłoby* — konstrukcja z partykulą wzmacniającą i pytającą, tu w znaczeniu: „czy mogłoby?”. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*Malborg* — dziś: Malbork. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*Frauenburg* — dziś: Frombork. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*śpichrz* (daw.) — spichlerz. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Klonowicz, Sebastian Fabian* (ok. 1545–1602) — polski poeta, kompozytor, wykładowca w Akademii Zamkowej. [przypis edytorski]

Zawrót ogarnia głowy, serca silniej biją. Do drzwi kołacze zmartwychwstanie nad brzegami Bałtyku; królewskie widma Jagiellonów, biorących pod swą tarczę Gdańsk półniemiecki na własną jego prośbę — niechaj się radują! Koronna, promienista przeszłość wraca!

Ale marzenie krótko trwało. Przebudzenie było okropne. — Brawura była przedwczesna; jeszcze nie zbadano dostatecznie diabelskich sztuk Teutona<sup>80</sup>. Armia Samsonowa<sup>81</sup> srodze odpokutowała wspaniały swój zapęd. Biuletyn naczelnego wodza<sup>82</sup> w słowach szczerych i smutnych obwieszcza światu klęskę dwu korpusów junaków. Ziemia mazurska wypila ich wszystką krew.

Snadź jeszcze nie czas; w cierpliwość trzeba się uzbroić. Do złośliwych gzymsów<sup>83</sup>, wolut<sup>84</sup> i wieżyc Gdańska — jeszcze daleko.

Jeszcze stoją na drodze oryginalne twory geniuszu heglowców<sup>85</sup> — podminowane pola, zatrute studnie, ukryte w trawach brony, żelazami do góry, od których konie, poszarpany kopyta, łamią nogi i walą się oszalałe; jeszcze zeppelinów<sup>86</sup> zrzucają bomby w tłumy idące do kościoła, a feldfeble<sup>87</sup> rozstrzelują dzieci.

Nim to wszystko ogarnie, przemoże i obezwładni nacierająca armia rosyjska, nim należycie odrętwieje i okamieni się dusza wojownika, niejednego zucha słowiańskiego ciało poniosą fale Wisły do Gdańska.

A tymczasem czym płacić może Europa za tę pedantycznie dokładną organizację okrucieństwa i srogości? Tym, że przypomina sobie coraz lepiej poprzedzającą organizację tępienia wolności, dręczenia sumień. Zawisły na wprost siebie dwa straszliwe pierścienie: jeden — żelazny, ogniem ziejący, niemiecki, drugi — pierścień nienawiści. Gdy ten pierwszy się spali na popiół niemocy — drugi, obejmujący ludy szlachetne i ludy nieznieważone jeszcze — stanie się wyroczną obręczą zemsty i kary, która zdusi hydrę przedzej czy później. Ten pierścień nienawiści nie jest jak tamten, pijany krwią i zaślepiony butą, lecz mądry, przemądry ostatecznym nareszcie zrozumieniem, czym są Prusy — więcej jeszcze, czym jest pleniący się mikrob prusactwa i poza granicami Niemiec.

Obręcz nienawiści rozszerza się i zaczyna obejmować Azję, Afrykę, Amerykę. Dźwięk metaliczny tej obręczy wywołał oddźwięk w Kanadzie, Transwalu, wszędzie, gdzie jeszcze nienawidzić przemoc i złocone barbarzyństwo umieją.

Jakieś groźne pomruki dochodzą z całego globu. Wojna staje się wszechświatową. Wreszcie — o cudo Nemezydy<sup>88</sup>! — wojnę Niemcom wypowiedziała Japonia. To już fakt pewny i jarzący. Czytam i odczytuję manifest mikada<sup>89</sup>. Czyście coś podobnego widzieli w jakimś narodzie Europy? Nawet taki apel i w takiej chwili czaruje w tym kraju, jak wiśniowe drzewo: prostota śmierci, tchnienie dawno zamarłej patriarchalności, co nad ludem jakby kazimierzowe<sup>90</sup> skrzydła roztacza. Gra jakby rapsod z *Króla-Ducha*<sup>91</sup> o Bolesławie, co „nakrywa chatę, skąd miód ludzie biorą”. A ów kończący manifest pokłon serdeczny pietyzmu<sup>92</sup> dla niedawno zmarłej matki mikada? Gdzie kto takie rzeczy czytał

<sup>80</sup>*Teutoni* — lud germański lub celtycki zamieszkujący pierwotnie tereny nad Łabą, potocznie: typowy Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*Samsonow, Aleksander* (1859–1914) — generał rosyjski, dowódca wojskowy w czasie I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Naczelnny Wódz* — najwyższa funkcja wojskowa w Wojsku Polskim. W czasie powstawania tego pamiętnika, tj. w 1914 r. funkcję tę pełnił Hans Hartwig von Beseler. W dalszej części tekstu wspomniany jest jako „naczelnny wódz”. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*gzyms* — wysunięty przed lico ściany, zwykle profilowany element architektoniczny. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*woluta* — element architektoniczny i motyw ornamentacyjny w formie spirali lub zwoju. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*heglowcy* — uczniowie i kontynuatorzy systemu filozoficznego stworzonego przez Georga Wilhelma Friedricha Hegla, tu ironicznie: Niemcy. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*zeppelin* — niemieckie bombowce strategiczne w czasie I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*feldfebel* (niem.) — niemiecki podoficerski stopień wojskowy, odpowiednik polskiego sierżanta. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*Nemezyda* (mit. gr.) — in. Nemezis, bogini zemsty, sprawiedliwości i przeznaczenia. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*mikado* — rozpowszechniona w Europie nazwa cesarza japońskiego. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*Kazimierz Wielki* (1310–1370) — król polski, w historiografii uważany za jednego z najwybitniejszych władców Polski. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*Król-Duch* — nieukończony poemat historyzoficzny napisany przez Juliusza Słowackiego w latach 1845–1849. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*pietyzm* — wielka dbałość o coś lub o kogoś wynikająca z głębokiego szacunku dla tej rzeczy lub osoby. [przypis edytorski]

w tej części świata, co niby także zanurza się większą swą połową w morzu, ale przede wszystkim w morzu piwa bawarskiego lub okowity?

Rozigrała się fanfara agencji telegraficznych i co kilka godzin przynosi sensacyjne nowiny: sposobią się do wypowiedzenia wojny Chin, zbroi się, nieolbrzymia ale doświadczona królowna wód, Portugalia. Oboje stanąć mają po stronie koalicji a przeciw Niemcom. Zawrót głowy rośnie, marzenie buja i roi się jakiś całkiem niebywały i nieprawdopodobny spisek całego świata przeciw ohydzie. Kto spróbuje poddać się fatamorganie tak czarodziejsko — krwawej, może za swą łatwowierność srodze odpokutować. Bo jakże tu przeżyć dzień następny, w którym wieści owe się nie potwierdzą?

Jakoż co do Chin i co do Portugalii nie potwierdziły się. Natomiast coraz bliższą wydaje się — wojna koalicji z Turcją. Na wierzbie muzułmańskiej Niemcy szczepią swoje protestanckie gruszki.

Biedna Turcja. Jak spita wódką kokosz prowadzić będzie kaczęta na wodę, aż ją zarzną. Może to i dobrze; będzie czym obdzielić strony walczone, gdy chwila spokoju nadejdzie.

Bo, że ją zarzną i że pierwsze przyłożą nóż: do gardziółki opiekuńcze Niemcy, o tym chyba nikt nie wątpi.

Nabraliśmy wszyscy łatwości w kombinowaniu wszystkich ziem świata. Do niedawna jeszcze w głowie pomieścić się nie chciało pięć państw walczących, a teraz mamy w swej mózgowicy wygodne miejsce na szóste, siódme, ósme itd.. Geograficzna karta wojny powiększa się przed naszymi oczyma, a więcej jeszcze w naszych wyobrażeniach i pragnieniach, i jakoś temu dajemy radę.. Jak farys<sup>93</sup>, wyciągamy do światła ramiona uprzejme i obejmujemy go ze wschodu na zachód, ale — gdy farysa światem była pustynia Arabistanu, dla mnie — i dla nas — glob cały.

Potomni będą nam zazdrościć tego widoku. A my sami wspominać będziemy o nim, jak o jakiej kosmicznej podróży. I całkiem słusznie! Gdy nawet skromni w swym polocie spijacze wód karlsbadzkich, marienbadzkich, Vichy, kissingeńskich i tym podobnych, nauczyli się jeździć okrętem i wracać do „ojczyzny” przez Brindisi, Grecję, Konstantynopol, i okazywać dumną waleczność wobec choroby morskiej — to cóż dopiero my, konstruktorzy świata i budowniczy jutra? Nie długo powiemy pysznie, żeśmy właśnie urodzeni dla tego widoku rozpiętanego wszechzycia, że okres statyczny cywilizacji należy do zamierzchłej przeszłości...

Cywilizacja? Sztuka? Nauka? Uniwersytety? Handel i przemysł? Czyjeż to wymysły i fantazje?

Ironia

Kiedy, gdzie to było?

Niedawno to, co się właśnie dzieje dookoła, wydawało mi się koszmarem, złą halucynacją, czymś, co się zrodzić może tylko w jaźni chorej. A teraz? A dziś? Przecież nigdy żadnych kultur nie było! Kolejami nie jeźdzono, narody nie obcowały z sobą przyjaźnie. Przecież babka moja jeździła do Frauensbadu<sup>94</sup> końmi, a Dumasowski doktor Balsamo<sup>95</sup> — tak samo! Telegrafów nigdy nie było, w piecach nie palono, obiadów nie jadano. Czart to kiedyś wykoncypował na użytek owdowiałego króla. Twardowski to wymyślił, a my glupcy — dworzanie uwierzyliśmy. Alchemia. Szukanie kamienia filozoficznego.

Ciesz się, duchu prerafaelityczny Johna Ruskina<sup>96</sup> — jesteśmy znowu w *quattrocento*<sup>97</sup>. Nie szpecą nam przyrody lokomotywy, nie kopcą niebios dymy z kominów fabrycznych.

Powoli mgła fantastyczna zaczyna spowijać rzeczywistość i rodzą się legendy i mity. O nadzwyczajnych czynach żołnierzy i o geniuszu dowódców. Zalatuje nas czasami coś jak gdyby echo z epeji napoleońskiej. Wstają gwardziści „Małego Kaprała”<sup>98</sup> z martwych

<sup>93</sup>farys — muzułmański jeździec, profesjonalny wojownik, odpowiednik europejskiego rycerza. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Frauensbad (niem.) — Franciszkowe Łaźnie; miasto w Czechach. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>Józef Balsamo — powieść historyczna Aleksandra Dumasa (ojca), stanowiącą pierwszą z pięciu części cyklu *Pamiętniki lekarza*. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>Ruskin, John (1819–1900) — angielski pisarz, poeta i artysta, najbardziej znany jako krytyk artystyczny. Jego książka *Współcześni malarze (Modern Painters)* przyczyniła się do popularności malarza Williama Turnera i ruchu prerafaelitów. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>quattrocento (wł.) — dosł. czterysta, pojęcie odnoszące się do XV wieku, czyli początków renesansu w kulturze włoskiej. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>Mały Kaprał — przydomek nadany Napoleonowi Bonaparte po zwycięskiej bitwie pod Lodi (1796). [przypis edytorski]



pobojowisk. Na piersiach generałów ktoś przypina legie honorowe; generałowie: Pau<sup>99</sup>, Castelnau<sup>100</sup> salutują wielkiego cesarza. Złączone na ziemi francuskiej armie współzawodniczą w męstwie i wspaniałej zaciętości. Ney, Bernadette, Dąbrowski, Koziętulski<sup>101</sup>, różni marszałkowie odrzucają Prusaków od St. Quentin, od Maubeuge, od Reims. Co u Boga! Sen to znów czy jawa?

I dziwy opowiadają o wielkich czynach lotników, o mężnie ginących księżętach krwi, o potomkach dynastii francuskich, walczących w szeregach Belgijczyków, gdy prawo nie pozwala przyjmować ich do ojczystych, o ochotnikach spośród poetów i artystów, sławnych na świat cały. Jaśniej dusze rozchylone jak wspaniałe lotosy, co kwitną raz na sto lat, dojrzewają czyny, wielkie jak archanieli, krwawią się poświęcenia niezliczone, jak gdyby pas graniczny Francji i Belgii zamienił się na jedną wielką Golgotę.

Ale bóg wojny dzisiejszej to Krupp<sup>102</sup>, nie Napoleon, słynne dwadzieścia narodów w armii Bonapartego czymże dziś byłyby?

Powoli, powoli boje hellenistyczne lub nawet sam Grunwald stają się pięknymi fryzami, rzeźbionymi lub malowanymi, w których odnaleźć można — na dobrą sprawę — postacie wszystkich, co w nich udział brali. *Anabasis*<sup>103</sup> Ksenofonta, odwrót jego dziesięciu tysięcy Greków, wielkiej naonczas siły, nie dostąpiłby dziś nawet zaszczytu figurowania w telegramach: to byłby tylko podjazd, przednia straż, dobra do zajęcia Włocławka lub Częstochowy.

Niedługo i cała napoleoniada stanie się takim zamierzczłym eposem o pewnej bohaterskiej armii, którą dziś nazwać wielką jakże byłoby naiwnym! Można by jedynie — dla wielkości ducha, dla tytaniczności wodza.

Ostatni to był Cezar. Dzisiejszą Korsyką imperatora są zakłady w Essen, naukowa wyprawa do Egiptu pod opieką konsula Rzeczypospolitej to zburzenie arcydzieł Leuven, Malines, obrócenie w perzynę<sup>104</sup> Liège. Dzisiejszy kodeks Napoleona — to 40 centymetrowe działa pruskie, których pocisk jeden waży 60 pudów, a wystrzał sprowadza nie kanonier<sup>105</sup>, lecz inżynier, z odległości kilometra od zapału.

I gdy się o tym myśleć zaczyna, o tym, jak zastąpiła wspaniałe i genialne indywidualności inżynieria wojenna i technika dynamitu, prochu, szymoży<sup>106</sup>, ekrazytu<sup>107</sup>, samolotów itd., mgła fantastyczna prędko opada. Legenda i romantyczność rozdrabnia się na niezliczone mnóstwo poziomych precyzyjnych wynalazków. Może to i dobrze i pewnie tak być powinno.

Jedna tylko rzecz duchowa wzrosła o tyleż, co i cyfry wojny, to *męczeństwo* tych, co giną, i tych, co na to patrzają....

Słowem, wyolbrzymiała do rozmiarów wszechświatowych Śmierć. Czy z niej narodzi się nowe Życie, nowa Ludzkość?

Pierwsze dni września

Wszyscyśmy uczniami Moltkego<sup>108</sup>, „wielkiego milczka”.

Choćby nawet miała się narodzić nowa ludzkość, będzie ona wychowana w szkole niemieckiej — oto myśl uporczywa, która odbiera możliwość lepszych widoków na przyszłość.

Europa, raz nawiedzona panowaniem militarystyki i groźnej milczkowej strategii, już

Wojna, Niemiec

<sup>99</sup>*Pau, Paul* (1848–1932) — generał francuski, podczas I wojny światowej w 1914 r. mianowany dowódcą Armii Alzackiej. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*Castelnau, Noël de* (1851–1944) — generał francuski podczas I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*Ney, Bernadette, Dąbrowski, Koziętulski* — uczestnicy wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*Krupp* — niemiecki koncern stalowy założony w 1903 r., produkujący w trakcie I wojny światowej uzbrojenie. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Anabasis* — utwór znany również jako *Wyprawa Cyrusa*, jeden z pierwszych pamiętników wojennych. Ksenofont opisuje w nim brawurowy powrót greckiego wojska najemnego spod Kunaksy w Babilonii do Grecji. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*perzyna* (daw.) — zgliszcza, pogorzeliwo. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*kanonier* — najniższy stopień wojskowy w artylerii. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*szymoza* — rodzaj masy wybuchowej. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*ekrazyt* — materiał wybuchowy, mieszanina kwasu pikrynowego, pikrynianu amonu, trinitrokrezoli i soli amonowych tychże. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*Moltke, Helmuth Karl Bernhard von* (1800–1891) — pruski generał i feldmarszałek, reformator armii pruskiej, a potem Armii Cesarstwa Niemieckiego. [przypis edytorski]

się z nich nie wydobędzie. Prusy nadały kolor i ton stosunkom międzynarodowym — ton wiecznej obawy i mus bezustannej czujności. Zdołały one podporządkować wszelkie wielkie zagadnienia etyki, nauki, sztuki, filozofii — żelaznej, niezblaganej organizacji wojskowej. Dokonały niesłychanego dzieła: umieją wbrew maksymie Talleyranda<sup>109</sup> siedzieć na bagnetach. A ponieważ żaden inny naród tego szczególnego *sitzfleischu*<sup>110</sup> nie posiada, więc Niemcy mają tymczasem zapewnioną hegemonię. Zgrubienie skóry na pośladku, jako najczystszy ideał garbarsko-patriotyczny — oto gwiazda betlejemska Hohenzollernów<sup>111</sup>. Przy takim siedzeniu wszystko, co jest, wydaje się rozumnym. Przymerze najbardziej fundamentalnej części ciała z bagnetami jest podwaliną niemieckiego optymizmu, niemieckiej dumy, u której szczytu mogą sobie pozwolić na hasło: „my, Niemcy nie boimy się nikogo «prócz Boga»”. Zaiste!

Prusy więc — pierwsze skrzypce w tej orkiestrze bagnetowej — mogą się słusznie uważać za naród najbardziej nowoczesny. To już nawet nie amerykańizm, to futuryzm. Na dyscyplinie siedemdziesięciu milionów oparty system zbrojny. Na dokładności przewodników elektrycznych, telegrafów i telefonów — oparta sprawność armii. Na tradycyjnym, Spielhagenowskim<sup>112</sup> *In Reih und Glied* zbudowane — wzorowe ambulanse i współdział wszystkich Małgós w wyprawie na ludy wolne i twórcze. Naród ten nie chce legendy, on pierwszy potargał brutalnie przedziwo własnych novalisów<sup>113</sup>. Uczucie bohaterskiej i humanitarnej posągowości podeptał, zaś ubóstwił musztrę z podnoszeniem ciężkich jak stępor<sup>114</sup> nóg do wysokości pępka.

Prusy potrafiły w ten sposób uregulować swój stosunek do kultury, żeby można było każdej chwili nic tę zerwać i natchnąć siedemdziesiąt milionów kłapiącą żądzą rabunku, chciwością, nienawiścią i pogardą dla całej reszty świata. Ich związek z ludzkością okazał się związkiem gigantycznego polipa z otoczeniem, ku któremu wyciąga swoje niezmordowane i niepoliczone macki.

Niewątpliwie społeczeństwo takie jest tak, *niestety, przyszłościowe*, i tak straszne — jak jego główne gniazdo — Berlin.

Filozof dzisiejszej wojny mógłby na ten temat wiele rozdziałów napisać — gdyby miał odwagę zadawałać się słuchaczami głuchymi. Ja — tej odwagi nie posiadam. Nie będę mówił wszystkiego, co wiem i co myślę o Niemcach, ludziom naszym; myślą oni, że zuchwała, jawna zdobyczość Niemiec, podpatrująca wszystkie, wynalazki cudze, przy zgodnej pomocy koszar, uniwersytetów i całego narodu — jest czymś jednoznacznym z słabością i głupotą, dającym się zbagatelizować.

Prusy *zakademizowały* wojnę, zachłanność i łupiestwo. A to wiele... to strasznie wiele...

Jeden z dalszych dni września

Dziwy nad dziwami...

Wtedy gdy obawa o Francję tłoczyła nam wszystkim piersi jak Alp<sup>115</sup>, gdy zaczęliśmy tracić wiarę w celowość i umyślność odwetu Joffrencha — korpusy najezdnicze zatrzymały się. Telegramy, skromne i powściągliwe w tonie, wyraźnie opiewają, że wojska sprzymierzone zaczęły wypierać Niemców. Skończyła się dręcząca i niepokojąca defensywa i przyszła obliczona zawczasu kolej na kontrofensywę.

<sup>109</sup>Talleyrand, Charles-Maurice de (1754–1838) — francuski mąż stanu, polityk, dyplomata, minister spraw zagranicznych Francji, zwolennik rewolucji francuskiej i sekularyzacji dóbr kościelnych, w 1791 ekskomunikowany; znany m.in. z ostrego języka; przypisywane jest mu zdanie „Bagnetami można załatwić wszystko, sire. Mają jednak wadę: nie można na nich usiąść”, które miał wypowiedzieć w rozmowie z Napoleonem. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*Sitzfleisch* (niem.) — siedzenie, cztery litery. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>Hohenzollernowie — niemiecka dynastia, z której wywodził się ówczesnie panujący Wilhelm II Hohenzollern. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>Spielhagen, Friedrich (1829–1911) — niemiecki pisarz, teoretyk literatury, tłumacz. Jedną z jego najbardziej znanych powieści jest *In Reih und Glied*. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>Novalis, właśc. Hardenberg, Georg Philipp Friedrich Freiherr von (1772–1801) — niemiecki poeta i prozaik, jeden z najważniejszych przedstawicieli okresu wczesnego romantyzmu, uważany czasem za jednego z twórców tego kierunku. Jego nazwiskiem określa się też często innych twórców wczesnego romantyzmu niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>stępor — drewniany tłuczek do rozdrabniania i obłuskiwania ziarna w stępie. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>Alp — wywodzący się z mitologii germańskiej potwór, rodzaj wampira atakujący w pełni śpiących ludzi. [przypis edytorski]

Nie chce się wierzyć, a jednak źródła urzędowe z Francji i Anglii potwierdzają tę błogą wiadomość. Odwrót zaczął się naprawdę! Co dzień przychodzą biuletyny pocieszające. Nieśmiało Francja patrzy w odchmurzone słońce, jak gdyby nie ufała — a jednak ono wyłania się naprawdę i płoszy długi, zabójczy mrok. To jak gdyby ozdrowienie po długiej, niszczącej chorobie, chwila, kiedy najbliżsi, stojący dookoła łoża, boją się, że to może tylko złuda, „chwilowe polepszenie”...

Nie ulega wątpliwości, że Niemcy rejterują<sup>116</sup>. Prawe skrzydło zwija się i całą swą mściwą siłą wyładowuje w nieszczęsnej Belgii. W centrum trzyma się mocno, na lewym skrzydle odwrót jest widoczny. Paryż ocalony — może już ostatecznie. Zwycięskie walki toczą się nad Marną. Niedaleki jest czas, kiedy się przeniosą jeszcze więcej na wschód, nad Mozę.

Oczywiście rakiety brukowe i dodatki nadzwyczajne, ten głos ludu i ulicy, wyparły Niemców już pod sam Metz i ponownie odebrały im Mülhousę. Niestety jednak, wiele jest odcinków niepewnych w tej długiej połamanej linii frontu. Pewnym jest, że Francuzi przeszli już Peronne. Niepewnym — czy odebrali St. Quentin, choć bardzo prawdopodobnym.

A żądne bajek gazety-kumoszki<sup>117</sup> wymyślają cudowne zdarzenia. „Armia generała Klucka<sup>118</sup> odcięta i oskrzydłona” — powtarza się co dzień, a Kluck najswobodniej się wymyka. „Armia niemieckiego Kronprinza<sup>119</sup> w niebezpieczeństwie”, „Kronprinz ciężko ranny”, „Kronprinz umarł w szpitalu w Brukseli”, po czym następują daty biograficzne w odręcznym nekrologu. „Kronprinz dostał od Wilusia baserunek<sup>120</sup> — a więc żyje?!

Kronprinz nie myśli ginąć, chociaż mu wszyscy szczerze tego życzymy. Zawsze to pięknie zakończyć swoje junkierskie<sup>121</sup> w klubach odyseje realną śmiercią na polu chwały.

A jednocześnie z ziem bliższych jeszcze naszemu sercu nadchodzą wieści o zwycięstwach Rosji. Po straszliwych, pokrytych głuszą sztabowej tajemnicy bitwach w Lubelskiem, na linii Opole-Chełm, pod Kraśnikiem, Trawnnikami, Krasnymstawem, Tomaszowem i tak dalej, i tak dalej generałowie Iwanow<sup>122</sup>, Ruzski<sup>123</sup> i Brusilow<sup>124</sup> przeszli granicę i są panami Galicji Wschodniej. Jak od uderzenia gromów padają Sokal, Tarnopol, Brody, Stryj i lada chwila zwycięskie armie ogarną Lwów.

Z uczuciem trwożnym i mieszanym czekamy. Piorun uderzył silniejszy od wszystkich poprzednich — Lwów, stolica Galicji — wzięty.

I znowu z szybkością metamorfoz sennych — odwróciła się wielka karta w historii — i w historii naszego narodu...

Okolo 20 września

*Lwów wzięty.*

Pod miażdżącymi ciosami armii rosyjskiej pada cała Galicja Wschodnia. Zwycięzcy czynią co dnia krok olbrzymi. Oto przeszli już San i Dniestr; obstawili Przemysł z jego niezdobytymi fortami, suną dalej — zajmują Przeworsk, Jarosław, Dębicę. Jednocześnie sadowią się na stokach północnych Karpat i podobno niebawem sforsują przesmyki górskie, ażeby wypłynąć po stronie węgierskiej.

Jaki obszar obejmą armie generałów rosyjskich, kto to wie? Przebakują o marszu na Budapeszt, to znów o wyprawie na Wiedeń. Zarysowują się we mgle perspektywy nieogarnione, zuchwałe. Teraz już wierzyć można, iż armia austriacka, tak długo i troskliwie powstrzymywana w swym zapale bojowym, tak karmiona nadzieją triumfu w Rosji —

<sup>116</sup>rejterować — wycofywać się, uciekać. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>kumoszka (pot.) — kobieta zajmująca się plotkami. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>Kluck, Alexander von (1846–1934) — pruski i niemiecki generał pułkownik, dowódca wojsk niemieckich podczas I wojny światowej. Zdobywca Brukseli w 1914. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>Kronprinz (niem.) — książę koronny, tytuł nadawany następcom tronu monarszego, w trakcie I wojny nosił go Wilhelm Hohenzollern. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>baserunek (daw.) — chłosta. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>junkierskie (daw.) — tu: młodzieńcze. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>Iwanow, Nikołaj Iudowicz (1851–1919) — rosyjski generał artylerii, generał adiutant. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>Ruzski, Nikołaj Władimirowicz (1854–1918) — rosyjski wojskowy generał piechoty, generał adiutant, od 3 września 1914 do 17 marca 1915 głównodowodzący Armią Północną. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>Brusilow, Aleksiej Aleksiejewicz (1853–1926) — rosyjski generał kawalerii i generał-adiutant. [przypis edytorski]

została rozbita, a skolatana nawa monarchii Austro-Węgierskiej trzeszczy i lada dzień się rozpadnie. Co za straszliwy zmierzch! Jaki upadek z wysokości!

Porwany impetem wypadków i szybkością uderzeń, świat nie spostrzegł się nawet, że stanął na progu wiekopomnych faktów. Cały jeden wielki zrab Europy wali się. Historia świata wykonała jakby „na poczekaniu” parę wielkich obrotów, a historia Polski już zaczęła się toczyć innymi niż dotąd tory.

Czy lepszymi, czy gorszymi?

Syrena warszawska, tak zdolna do heroizmu i rezygnacji, i tak płocha zarazem i bezmyślna, przyjęła radośnie zdobycie Lwowa. Wszystkim niemal — wydaje się, że to już rozgorzał świt zjednoczonej Polski pod jednym berłem; dla wszystkich dotychczasowe panowanie austriackie jest ściśle jednoznaczne z panowaniem Prus. A więc formuła: „Lwów wyswobodzony” — raduje wszystkie umysły i serca.

Gdy jednak nieproszony fagas, rosyjscy eulogiusze, marudery wszystkich bitew, burzyciele jej odrodzeń, ogłosili wszem wobec i każdemu z osobna, że Lwów nie został wzięty, lecz tylko *odebrany* i po prostułączony na nowo z „rosyjską macierzą”, której był zbłąkanym synem — Warszawa zaczęła myśleć. Po raz pierwszy od początku wojny — na rozradowanej duszy wielkiego miasta ukazała się chmura obawy i wątpliwości, w chórze radosnym dały się słyszeć nuty dysharmonii.

Zwyciężyła jednak pierwotna apoteoza i — naiwność. Miastu naszemu daleko wygodniej z formułką, że Lwów to „dziura”, a cała Galicja to „nędza” — wtedy bowiem nie potrzeba się martwić ani obawiać. Błogosławione nieuctwo i nieznajomość własnej ziemi wprędce przygłuszyły szemrania, obawy. Tych zaś, co chcieliby wytłumaczyć ludziom, że Lwów był największą ostoją wolności polskiej i kultury polskiej — w najlepszym razie wyśmiano by.

Stosunkowo więcej zatroskano się o Kraków i o Wawel. Tutaj głównym obrońcą stał się Hawelka<sup>125</sup>. Jego handelek ze sławnymi kanapkami i zakąskami okazał się daleko lepszym orędownikiem niż np. Ossolineum lub Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Przy tym przez Kraków wiedzie droga do Płonki i Dzikiewicza<sup>126</sup> w Zakopanem.

Słowem, nie bierzemy już tak radośnie perspektywy zdobycia Krakowa. Obawiamy się, żeby się nie stała krzywda Wawelowi i Wawelce.

Zrodziły się nawet dość fantastyczne projekty na łamach pism codziennych. Żeby granaty rosyjskie, które będą bombardowały Kraków, były owinięte... w watę i żeby jednocześnie zwrócić się z prośbą do Wiednia o dobrowolne oddanie Krakowa. Zaś jedna z gazet w obszernym referacie jakiegoś sztabowca, Polaka, widocznie spod zaboru austriackiego, wskazuje sztabowi rosyjskiemu drogi i sposoby, jakimi najprędzej osaczyć można Kraków, aby uniknąć rozlewu krwi i zburzenia Kościoła Mariackiego.

Na ogół trwoga nasza co do Lwowa była przeważnie płonna. Na straży jego całości i bezpieczeństwa stoi bądź co bądź dobry geniusz armii. Dopóki ten panuje i stanowi prawa, możemy spać spokojnie. Wojownik w tej wielkiej, straszliwej wojnie dostał legię honorową idei; wskrzesło w nim zamarłe uczucie plemiennego braterstwa; to element szlachetny i litosny. Jest nadzieja, że tłuste brzuchy kleru prawosławnego po pierwszych debiutach natrętnych i zachłannych, ustąpić będą musiały wobec chudych oficerów, steranych nieprzerwanymi walkami, ale wyszlachetnionych w płomieniach bitew i twardym obowiązku.

Więc wieści ze Lwowa brzmią dość pomyślnie. Żyjemy otuchą, że dobroduszny, rozlewny i ambitny gród po krótkim bolesnym wstrząśnieniu wróci do zwykłego trybu: „Taż proszę pana dobrodzieja!...”

Po 20 września

Myśl moja coraz trwoźniej owija się dookoła Krakowa. Zdaje mi się, że los jego przypieczętowany. Serce się ściska boleśnie.

Jeżeli kiedykolwiek wypadki czyniły wrażenie młota, to właśnie w tej chwili — spadają ciężko, druzgocąco i niespodzianie. Topnieją i pękają nity, spajające skorupę świata.

<sup>125</sup>Hawelka, Antoni (1840–1894) — polski przedsiębiorca, kupiec i restaurator, założyciel restauracji „U Hawelki” słynącej z wielowarstwowych kanapek. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Dzikiewicz, Władysław (1867–1929) — hotelarz, założyciel hotelu „Morskie Oko”. [przypis edytorski]



Kraków był zawsze za nawiasem. Każdy to czuł, że jest on absolutnie schowany i bezwarunkowo bezpieczny. Jest dla nas jak owa najdroższa córka ojca zadżumionych<sup>127</sup>, do której sam los, zdawałoby się, nie miał przystępu. „Córka? Ja myśleć nie śmiałem o córce”!

Przekonuję się, że z tą miłością dla Krakowa chodzę sam jeden po mieście, może ostatni z Mohikanów<sup>128</sup>. Śnię o nim na jawie. Słyszę jak ongi, gdy mieszkał na ulicy św. Marka, zaś okna mojej pracowni wychodziły na wieżę Mariackiego kościoła — ów jedyny na świecie hejnał o północy, nad miastem uciszonym, w powietrzu pełnym zapachu bzów i akacji, kiedy wszystko, domy i ludzie, wstrzymywało dech, by słyszeć lepiej cud zwiastującą trąbkę, kiedy natchniony *plein air*<sup>129</sup> czerwcowej nocy rzeźwił jednocześnie i upajał.

Nie bój się, czytelniku, nie będę poetyzował na temat Krakowa. Jest to już niepotrzebne. Wszystkie jego głązy, jego *Stones of Venice*<sup>130</sup> i jego wielkie wspomnienia, wyśpiewał i wciąż śpiewa Wyspiański, ten wiekuisty dzwon Zygmunowski, ten wiekuisty złoty róg Sarmacji. Dziś go przygłuszyły drobne dzwoneczki błaznów narodowych, ale przyjdzie czas, kiedy zagrmi na nowo w duszy Polaka całym swoim harmonijnym majestatem, a w nimbie<sup>131</sup> niebiańskich obłoków ukaże się znowu czcigodna pustelnia, w której z Bogiem obcował św. Antoni i św. Pafnucy.

Dlaczego myśli ludzkie nie są jak bomby? Posłałbym wtedy te swoje najgorętsze, najczulsze do pocziwych owych redut w krakowskich kawiarniach, w których załoga, wiecznie spokojna, wesoło gwarzy o sztuce, nauce, polityce. Zostawiłem tam braci i przyjaciół, zacne cygany<sup>132</sup> lub oryginały, z którymi rozprawiać tak miło! Jeśli ci się udało wyprodukować jakąś idejkę lub koncepcję, jeśli mózg twój nie zwapniał jeszcze, bądź pewnym, że tam cię wnet odczują, zrozumieją; w każdym razie myśli twych nie zasypią swarliwym usypiskiem słów, chęć twą uszanują, nie zadławią jej próżnością, zazdrością, nie zamienią zwierzeń w kole towarzyszków na targ, na kłótnie, nie ośmielą się tumanić sofizmatami<sup>133</sup>. Tam jeszcze przechował się zwyczaj ojczysty, a więc paryski mówienia starszym „mistrzu”. Tam cynizm w życiu, w zwyczajach, wobec kobiet, w rzeczach pieniężnych — kończy się nagle w kole, w którym obiega *myśl*. Tam zuchwalstwo karierowicza milknie wobec rozmowy o Cézannie<sup>134</sup> lub Hodlerze<sup>135</sup>. A Jackowi Malczewskiemu bezkarnie uchodzi być śmiesznym w swych staroświeckich czapkach, kamizelkach i futrach, wolno mu mówić szeptem i zmuszać cały stolik do pochylania się i nadstawiania uszów — albowiem wiedzą wszyscy, że to wielki Polak i wielki artysta.

Te zawsze święte groby królów i wielkich twórców użyźniły grunt pod niespożyty pietyzm dla wielkich spraw kultury. Śród pozornej senności — żywię entuzjazm dla spraw wielkich. Wielcy i mali, bogaci i nędzni zespolili się w bogobojności przed głorią ołtarza Jagiellonów.

Jest w tym Krakowie coś niewymownego. Może iść na służbę Habsburgów, może szukać pełniejszego żłobu, może rozpolitykować się aż do ostatniego matactwa<sup>136</sup> — ale żadna siła nie oderwie go od wielkiej przeszłości. Tkwi ona w grodzie jak kościel, jak kręgosłup, i nie dopuszcza, żeby fajta<sup>137</sup> na coraz to innym wietrze, jak sztuka bielizny przyczepiona do sznura w ogrodzie lub jak — Warszawa.

<sup>127</sup> *Ojciec zadżumionych* — poemat Juliusza Słowackiego z 1838 roku. Bohaterem utworu jest Arab (wzorowany na postaci biblijnego Hioba), któremu dzuma zabrała żonę i siedmioro dzieci. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *Ostatni z Mohikanów* — przygodowo-historyczna powieść Jamesa Fenimore’a Coopera z 1826. Fabuła książki dotyczy wojny francusko-brytyjskiej z II poł. XVIII w., toczony na terenie brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *plein air* (fr.) — świeże powietrze. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *Stones of Venice* — trzypomowy traktat o sztuce i architekturze weneckiej autorstwa angielskiego historyka sztuki Johna Ruskina, opublikowany po raz pierwszy w latach 1851–1853. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *nimb* — świetlisty otok wokół głów przedstawianych na obrazie postaci boskich lub świętych. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *cygan* — tu: członek cyganerii literackiej. [przypis edytorski]

<sup>133</sup> *sofizmat* — rozumowanie pozornie poprawne, ale w istocie zawierające rozmyślnie utajone błędy logiczne. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> *Cézanne, Paul* (1839–1906) — francuski malarz postimpresjonistyczny, którego twórczość stanowi pomost pomiędzy impresjonizmem i kubizmem. [przypis edytorski]

<sup>135</sup> *Hodler, Ferdinand* (1853–1918) — szwajcarski malarz, przedstawiciel symbolizmu i secesji. Uważany za prekursora ekspresjonizmu i odnowiciela malarstwa ściennego [przypis edytorski]

<sup>136</sup> *matactwo* (daw.) — oszustwo, nieuczciwe postępowanie. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *fajtać* (pot.) — latać. [przypis edytorski]

Zda się, że przesławne tradycje królów i piastowska prostota bronowiczian<sup>138</sup> i innych chłopów, razem niby granitowy cokół<sup>139</sup> podtrzymują łączność terażniejszości z przeszłością, podsycają upadającą dumę grodzką, rozżarzają gasnącą radziecką inicjatywę. Sprawiają, że nawet kołtun krakowski, gdy go w gruczoł właściwy naciśniesz, zaśpiewa ci *Boże coś Polskę*, aż ciarki ci przejdą, i nie odmówi ofiary na zbogacenie i upiększenie miasta.

Duch przeszłości prosty i kwitnący okala miasto jak wiankiem. Wcielił się też w Planty, kompozycję prostą a rozłożystą. Tylko naiwny a hardy geniusz miasta mógł się zdobyć na myśl, żeby serce jego, jego czcigodny, starożytny kadłub otoczyć wiankiem — zieleniec, jak bywało, że na godach książęcych przystrajano wiankami ukochane dziewoje.

W wieńcu swoich Plantów, kwitnącego pasa słuckiego dookoła śródmieścia, krasnego tła pomników — Kraków usadowił się nad Wisłą rycernie i godnie, królewsko a naiwnie, grodowo a sielsko, dumnie a prostaczo.

Myśli moja, polec jak motyl na ten wieńiec, jakiemu podobnego świat nie widział, i klękni pod pnem starej lipy, lub choćby kasztana przed kościoła Franciszkanów!...

Pod koniec września

Daleko więcej poruszyła naszą publiczność tragedia Reimsu<sup>140</sup>. Bombardowanie katedry, godnej, aby mównicą Boga była, wstrząsnęło światem. Echa tej kanonady<sup>141</sup> odezwały się w uderzeniach wszystkich serc, mających podziw dla tego, co króluje ponad wiekami.

Z początku wierzyć nie mogłem, żeby bezceństwo<sup>142</sup> Hunów<sup>143</sup> nowoczesnych aż tak daleko zająć mogło. Przepowiadałem odwołania, sprostowania i sprzeczałem się.

Nawet gdy z wszystkich krańców Europy doszły pomruki gniewu i oburzenia — jeszcze nie dawał<sup>144</sup> im wiary. Spiorunowany umysł nie mógł objąć potwornego ogromu tej klęski i bronił się dowodami, iż ona stała się naprawdę. Jakże to, więc ci dorobkiewiczze, co przez górę swego skąpstwa przebijają tunel, ażeby dojść do posiadania jakiegoś arcydzieła z cudzego muzeum, poważiliby się burzyć największy arcytwór gotyku, najcudniejszy monument średniowiecznej architektury? Łamać i kruszyć bezcenne rzeźby, najpiękniejsze, jakie świat widział od czasu Fidiasza<sup>145</sup> i Praksytelesa<sup>146</sup>? Obracać w gruzy pradawny chrám<sup>147</sup> geniuszu francuskiego, najczystszy i najbogatszy wykwit rasy?

Choć nadeszły częściowe zaprzeczenia, fakt najsmutniejszy się sprawdził. Wieże katedry runęły... Z tysiąca bolesnych i lkających opisów, nieraz z sobą sprzecznych, wypływa niechybnie, że brudna dziewczka pruska oblała witriolejem<sup>148</sup> przecudną twarz królowej — z zazdrości i nienawiści.

Tak jest, dobrze ktoś powiedział: „Niemcy nie wiedzą, jak piękno stworzyć, ale wiedzą, jak je zniszczyć”.

System niemiecki składa się — jak teraz widać jaskrawo — z dwóch zasad: rzucić grozę impetem natarcia i olbrzymim kalibrem dział — oraz zubożyć przez stratowanie najszczytniejszej krasy. Na wszelki wypadek ogolocić, oplwać i oszpecić. Nie wiadomo jeszcze, czy w łapie krwawej zostanie najżyźniejsza połać Francji i miasta, skarbnice Belgii. Na wszelki jednak wypadek dobrze jest tak skazać ich oblicza, żeby nie wywierały uroku i nie czarowały świata.

Zgon katedry w Reims to — żałoba powszechna. Tylko po żywej istocie ludzkiej, po

Żałoba

<sup>138</sup>bronowiczanie — mieszkańcy Bronowic, dawnej podkrakowskiej wsi, w której rozgrywała się akcja *Wesela Wyspiańskiego*. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>cokół — podstawa, postument (baza), na którym umieszczane są rzeźby lub inne dzieła sztuki. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>tragedia Reimsu — zniszczenie gotyckiej katedry w Reims we wrześniu 1914 r. przez Niemców, akt zemsty za klęskę nad Marną. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>kanonada — silny, długotrwały ostrzał z dział, nawała artyleryjska. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>bezceństwo (daw.) — haniebne postępowanie, czyn budzący odrazę. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>Hunowie (przen.) — lud koczowniczy, który ok. 370 r. najechał Europę, wywołując wielką wędrówkę ludów, i przyczynił się do upadku Cesarstwa zachodniorzymskiego; tu: Niemcy. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>jeszcze nie dawał (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „jeszcze nie dawałem”. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Fidiasz (ok. 490–430 p.n.e.) — rzeźbiarz grecki, uważany za najwybitniejszego przedstawiciela greckiej rzeźby starożytnej okresu klasycznego. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>Praksyteles (395–330 p.n.e.) — rzeźbiarz grecki, artysta stylu późnoklasycznego. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>chrám — świątynia, najczęściej budowa sakralna u Słowian. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>witrioleja, a. witról (daw.) — dawna nazwa stężonego kwasu siarkowego. [przypis edytorski]

wybranym duchu, po kimś, co był źródłem szczęścia i celem nieskończonej miłości — można tak płakać, jak płaczą po Reims.

Czy przyjdzie Irydion<sup>149</sup>, co by uknuł spisek pomsty na tę czerń zakutych w żelazo Wandalów?

## II

W końcu września

Ale z tym wszystkim, mam już dość tego rozdierania szat. Lubię szczerość, a tej dookoła siebie nie znajduję. Znajomi nasi znają przeważnie Reims z etykiet na butelkach Louis Roederera<sup>150</sup> i o pięknie katedry dowiedzieli się dopiero z telegramów wojennych, o tym zaś, czym ona była dla gotyku, nie dowiedzą się nigdy — więc po co te jeremiady<sup>151</sup>?

Jakkolwiek bądź, Niemcy już przegrali — przegrali moralnie. To zaś, że próbują winę zbrodni zwać na generała Joffra, gdyż on to zmusił jakoby oblegających celować do wież, urządziwszy na nich czaty wojenne — równa się dodaniu do bezceństwa — kłamstwa czelnego z wysokości tronu.

Natomiast wygrywa koalicja. Powiecie na to: ależ ona jeszcze nie wyparła Niemców z granic Francji, a w Belgii Niemcy srożą<sup>152</sup> się coraz okrutniej i podsuwają pod samą Antwerpię.

Pomimo to — powtarzam — zwycięża przymierze ludów napadniętych. Triumfuje zawczasu zasada. Jeśli odrzucić mogły prawie od samych bram Paryża wroga straszego jak szatan, rozlewnego jak lawa, jeśli krok za krokiem wypierają go mistrzowską strategią — to kto jest sprawcą tego? Także system, ale system wręcz odmienny: entuzjazm idei i patriotyzmu. Nad brandenburski dryl okazał się hartowniejszym upór wysokiej kultury.

Jeśli nie zwyciężą ostatecznie, to jednak mężnie i zachwycająco bronią swej egzystencji ludy ducha wykwintnego. Najemnicy i wolontariusze, gwardie municypalne i milicje narodowe okazują się bohaterami; wolny obywatel — zawsze mocniejszy od żołdaka. Lud cywilny depcą naród militarny, tak plenny, tak zwarty i tak nieublagany. O ustroje, oparte na wolnym obowiązku patriotyzmu, rozbija się żelazna pięść i stalowa dyscyplina.

Widowisko zaiste pouczające, nowe, ogromne! Od lat wielu, może w ogóle po raz pierwszy, odkąd zapanował butnie i ordynaryjnie Mars<sup>153</sup> — Goliat<sup>154</sup>, widzimy Dawida<sup>155</sup>, jak rozwała mu wielki łeb kamieniem z swej procy.

Jest się czym radować i nad czym unosić. Z dymu popiołów i kurzu krwi bratniej wstają wielkie radosne prawdy. Do czci swej przywróconą została wielkość oświaty, równości i braterstwa. Oto, gdzie świtają promienie prawdziwej zorzy.

Nie bądźmy idealistami i nie kosztem złudzeń cieszymy swe serca wspaniałym widowiskiem. Tu nie masz nic idealnego — lecz zwyczajny społeczno-polityczny fakt. Związek szczep synów z matką ziemią z jednej strony, a z drugiej stosunek niewolnika do despoty. To tylko dwie różne formy spójni; pierwsza z natury swej dokazuje cudów, druga, zbudowana na materialnych liczbach i niskich instynktach, srogi zawód czyni.

Przed nami dokonuje się jeden z wielkich etapów uświadamiania się ludzkości; nazwać go można uczciwie „postępem”.

Jeśli Niemcy zrzucą z siebie kiedy jarzmo pruskie, to niewątpliwie sami, jako tak dobrzy uczniowie rozumu zachodniego — rozumieją, że bogini jutra staje po stronie narodów liberalnych.

Będzie to wielka lekcja polityki, udzielona przez historię. Do lekcji tej zasiada mistrzyni w krwawej todze, z krwawymi włosami i krwawymi dłońmi. Umyć ich nie ma

Wojna, Krew

<sup>149</sup>*Irydion* — główny i tytułowy bohater dramatu Zygmunta Krasieńskiego wydanego w 1836 r. Akcja utworu przedstawia spisek Irydiona w celu obalenia despotycznej władzy. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*Louis Roederer* — producent szampana z siedzibą w Reims we Francji. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*jeremiada* (daw.) — lament. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*srożyć* (daw.) — gniewać się, złościć. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*Mars* (mit. rzym.) — rzymski bóg wojny, odpowiednik greckiego Aresa. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Goliat* — postać biblijna, filistyński wojownik pokonany przez Dawida. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*Dawid* — postać biblijna, król Izraela, znany m.in. z pokonania Goliata. Biblijna opowieść o zwycięstwie Dawida nad Goliatem bywa odczytywana zarówno jako symbol zwycięstwa Chrystusa w walce z Szatanem, jak i triumf kogoś moralnie lepszego (choć słabszego fizycznie) nad kimś silniejszym (ale słabszym duchowo). [przypis edytorski]

gdzie. W jakiegokolwiek rzece je zanurzy, w Sekwanie, Marnie, Wiśle, Sanie czy Niemnie, wszędzie krew i tylko krew.

Bądźmy dumni i szczęśliwi, że patrzymy własnymi oczyma na najkrwawszą kąpiel, jaką pamięta ludzkość. Inne rodzaje dumy i szczęścia już się przeżyły.

Unikam patosu — choć doprawdy zdaje się, że wojna dzisiejsza zwróciła nam ukradzione przez kramarzów prawo patosu!

Koniec września

Rozgłosiłem formułę taką: Anglia to jest moralnym sprawcą wielkiej, historycznej odezwy naczelnego wodza. Ona to, ażeby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, tj. ażeby osłabić jednocześnie Niemcy i Rosję przez obcięcie im dzielnic polskich, nazwała to dowcipnie „zjednoczeniem — Polski”. Koncepcja niewątpliwie przemądra, przypuściwszy oczywiście, że ziemie te uzyskają samodzielność. W przeciwnym razie bowiem, gdyby miały być połączone pod berłem rosyjskim — byłoby to tylko bezcelowe wzmocnienie Rosji, w dodatku mało korzystne dla Polski. W tym widzieć można rękojmię<sup>156</sup>, że Polska naprawdę odżyje jako organizm państwowy, dość niezależny, i że Anglia czuwać nad tym będzie.

Z powodu tej wiary w geniusz polityczny Anglików i w to, że wszelkie swoje programy na przyszłość opierają w ten sposób poniekąd na Polsce — nazywają mnie angłomanem. Zarzut — śmieszny; zrozumienie czyjogoś wielkiego rozumu i twórczego egoizmu nie równa się bynajmniej idealizowaniu.

Anglia jest krajem najwyższej kultury i sztuki ubierania swego samolubstwa w najpiękniejszą formę. Co może być piękniejszego nad hasło wyzwolenia ludów uciemiężonych lub skrzywdzonych? Jest to szczytna obłudą, która powinna nas zadawałać. Niech każda operacja na żywych ciałach państw ujęta będzie w kształt idei wyswobodzenia kogoś, a na pewno suma wolności i szczęścia wzrośnie.

Anglia ma prawo mówić o szlachetności swoich pobudek i celów. Zniewoliła wprawdzie pół świata, ale żadnemu ze zgwałconych narodów nie odebrała duszy, nie wypaczyła go. Taki imperializm jest złem najmniejszym, w wielkiej tablicy wywiesekcji, które wzajemnie na sobie spełniają ludy.

Anglia jest dziś taką samą hipokrytką, jak wtedy gdy Byron<sup>157</sup> urągał jej demonicznie rozśmianymi oktawami *Don Juana*, i jak wtedy gdy Herbert Spencer<sup>158</sup> nazywał, w końcu swej *Etyki*, jej pobożne modły preludiami do przywłaszczania sobie cudzych ziem. Ale Niemcy za to, wydawszy Fichtego, Kanta i Schilera<sup>159</sup>, wydały przez usta Mommsena<sup>160</sup> hasło: *ausrotten*<sup>161</sup>; w tym już obłudy nie ma.

Tak — jestem do szpiku kości angłomanem — bożyszczami moimi jak dawniej: Szekspir, Byron i Shelley.

Wolę psychę brytańskiego bankiera czy kupca niż duszę filozoficzną współczesnego Niemca, który niebotyczne sumienie Kanta potrafił przetopić na imperatyw mordowania arcydzieł geniuszu ludzkiego.

Jesteśmy narodem głupiutkim i niepolitycznym. Wąs zawieszony i mazur posuwisty przeszkadzają nam zrozumieć tę oceanową harmonię egoizmu z wszechświatowością, która uczyniła Anglików najszcześniejszym z narodów.

1 października, czwartek

Komu wola, może tę datę przekreślić i napisać: 2 albo 5 października. Nie chodzi o ścisłość, tę odtworzy sobie każdy, gdy weźmie do rąk rocznik pisma codziennego, jakikolwiek „kalendarz wojenny” lub plikę dodatków nadzwyczajnych.

<sup>156</sup>*rękojmia* — gwarancja. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>Byron, George Gordon (1788–1824) — jeden z największych angielskich poetów i dramaturgów, autor m.in. poematu dygresyjno-heroikomicznego *Don Juana*. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>Spencer, Herbert (1820–1903) — brytyjski filozof i socjolog, autor 10-tomowego *Program systemu filozofii syntetycznej*, w który skład wchodziły m.in. *Zasady etyki*. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>Fichte, Kant, Schiler — niemieccy filozofowie, przedstawiciele nurtu określanego mianem klasycznego idealizmu. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>Mommsen, Theodor (1817–1903) — niemiecki historyk, poeta oraz prawnik, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1902. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*ausrotten* (niem.) — wykorzenieć, wyniszczyć. [przypis edytorski]



Dość, że to początek października, jesień przedwczesna, zimna, wichry nieustannie dmą przez tęgie, prawie forteczne mury mego hotelu (hotelu pod Dzwoniącym Fallosem), że z trudnością pisać mogę. Na ulicach bruk kostkowy do tego stopnia rozmokły i oślizgły, że żołnierze idąc, padają. Patrzyliśmy na to w kilkoro z balkonu na ulicy Mazowieckiej. Biedacy nawykli do dróg polskich lub może sybirskich, czują się na bruku drewnianym, jak na wyszczotkowanej posadzce pana gubernatora.

A więc wojna trwa już dwa miesiące. Co się dzieje we Francji — ocenić trudno. Czy to naprawdę powolne odpieranie Niemców, czy też bitwa, która przeszła w stan przewlekły i nigdy nie wyjdzie ze stanu „remis”, nierozegraną? To pewna, że walki nad rzeką Aisne ciągną się od trzech tygodni — bez wyraźnego rezultatu.

W Belgii jednak rezultat jest aż nadto uchwytny. Niemcy prą naprzód, do morza, do Antwerpii — z uporem nieznanym w dziejach, zgrozą, która dech zapiera czytającemu o ich postępkach. Jeszcze nie zmiłkła pierwsza żałoba świata nad zburzoną katedrą w Reims, jeszcze się nie roztoczyły przed nami wszystkie straszliwe i potężne opisy lotrostwa nad lotrostwami, jeszcześmy nie pozwolili sercu swemu rozdygotać się, ażeby dzwoniło swój ból, wściekłość i bezradność, jak dzwony w zwalonych wieżach owej świątyni — a już groźna fala wiadomości nowych, nie mniej okropnych, uderza o nasz smutny brzeg warszawski i opiewa niedaleki upadek Antwerpii.

Sposóbmy się do wytrzymania tego nowego ciosu, a czyśmy to prędko, żeby przypadkiem nie oszaleć. Nie dadzą nam bowiem czasu Niemcy na przygotowywanie się powolne. Antwerpia nie będzie się trzymała długo — już poprzez wszystkie uspakajające biuletyny przewija się jak wąż przecucie, coś nawet jeszcze gorszego — z trudem tajony fakt, że wielkie, mądre miasto już, już wydaje ostatnie tchnienie. Nikt nie wierzy zapewnieniom o niezdojności potężnych fortów antwerpskich; wszyscy wierzą tylko w bezgraniczne bohaterstwo Belgów, w Leonidasę-Alberta i w bezowocność jego wspaniałego męczeństwa. Obiecane posiłki angielskie i francuskie nie nadchodzą, bo i skądżeby? Czyżby nagle armie sprzymierzone się rozmnożyły? Czyż można nagle urodzić tylu żołnierzy, ilu wróg posiada złodziejów i grabieżców? Czyż łupieżca nie był po wszystkie czasy plenniejszy i mocniejszy od wojownika?

Jakiś pomruk złości idzie w stronę Anglii, że nie ocala Antwerpii, że nie przysła wojsk. Nie tak to łatwo! Ludzie, czyż wy nie widzicie, że Wielki Albion<sup>162</sup> odwykł od wojny, że rdza niemieckich wpływów i jego nadżarła? Czyż nie rozumiecie, że mowy Asquitha, Grey'a, Churchilla<sup>163</sup> dlatego są tak płomienne, że chcą zapalić naród do wojny i że to im idzie opornie?

Jest to chwila szczególnie zła. Bo i do nas Hunowie się zbliżają.

Kartka bez daty

— I cóż pan na to?

— Na co?

— Jak to, nie słyszałeś pan?

— Nie, nie słyszałem.

— Jak to, nie słyszałeś pan, o godzinie wpół do szóstej rano?

Słowom tym towarzyszył uśmiech niedowierzania i zarazem politowania. Było w nich prawie coś obrażającego, tak że z chęcią uczyniłbym odwrót i powiedziałbym: „A tak, tak, słyszałem” — ale nie wiedziałem co. Czulem, że trzeba się koniecznie ratować kłamstwem, bo i dwaj uczestnicy naszej rozmowy patrzyli już na mnie z pewnym szyderstwem — ale jak skłamać?

Żeby zyskać na czasie, okopałem się w kłamstwie przedwstępnym, pewny, że niebawem uchwycę wątek zagadki, i odparłem:

— Ależ nie, mogła być najwyżej piąta, i nawet tyle nie: było jeszcze całkiem ciemno.

Z gwałtownych zaprzeczeń wywnioskowałem, że to było na pewno nie wcześniej, jak o wpół do szóstej. Oczywiście, jakieś gwałtowne strzały.

— Ale przecież uprzedzano, że będą burzyli niektóre forty... mają nawet podobno wyciąć Młociny ze względów strategicznych — próbowałem.

— Ładne Młociny! Zeppelin, nie Młociny, kochany panie!

<sup>162</sup>Albion — dawna i literacka nazwa Anglii spotykana u autorów starożytnych. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>Asquith, Grey, Churchill — brytyjscy politycy. [przypis edytorski]

Zdaje mi się, żem się z lekka zarumienił.

— Przyznam wam, żem się obudził na chwilę, a potem najspokojniej zasnąłem. (I to było wierutnym<sup>164</sup> łgarstwem.)

— No, no, wiesz panu takiego snu; przecież całe miasto nie spało. Taka była strzelanina, że mury się trzęsły. Do mnie zleciały się wszystkie baby z całego piętra, w negliżach, w koszulach, w majtkach, żebym je ratował, żeby się schronić w piwnicy.

— Tego to panu rzeczywiście zazdroścę.

Okazało się w dalszym ciągu, że prawdziwy, rzetelny zeppelin szybował nad miastem. Jedni jeszcze drżeli ze wzruszenia, inni z zachwytem opisywali, jak się różowił i złocił w promieniach zorzy porannej. A potem zaczęli się spierać o to, jak wysoko mógł być. Według jednych tuż nad dachami drapaczów chmur, tak że można byłoby z nim rozmawiać, gdyby nie potężne warczenie śmigieł; według innych zaś tak wysoko, jak obłoki, i wydawał się tylko jakimś małym płonącym cygarem.

Stosownie do „orientacji”, jedni przyrównywali go do czegoś pięknego, inni natomiast do wielkiego, wypasionego wieprza, do brzuchatej świni itp.

Słowem, ludzie wszyscy bez wyjątku, z którymi rozmawiałem, mieli te dwie sensacje: widzieli zeppelin i słyszeli wściekłą kanonadę kartaczońnic i szrapneli, usiłujących trafić śmiałka.

Ja zaś, znany ze swojego małego talentu do tęgiego spania — wszystkich tych cudów wojny nie słyszałem i nie widziałem! Muszę teraz albo cały dzień kłamać, albo nie wychodzić z domu.

Mój czuj-duch jest na zawsze skompromitowany...

Chociaż bywając w Dreźnie i Lipsku, widziałem niejednego zeppelina, i jego obraz mam zawsze w wyobraźni przytomny, to jednak sterowiec, który szybował nad Warszawą, nie wyrzył mi się głębiej w pamięci. Nawet to, że rzucił bombę, gdzieś podobno w pobliżu gazowni miejskiej, nie dodało mu w oczach moich namacalności. Nawet to, że, jak zapewniały gazety ugodzono go szczęśliwie i że spadł gdzieś w okolicach Warszawy. Dzienniki więcej urzędowe podawały, że spadł pod Ciechanowem — co równałoby się faktowi, że opadł spokojnie lub nawet wylądował już na terenie wojsk niemieckich.

Jeden z dzienników, chcący grać na zwyczajną na giełdzie patriotyzmu, obwieścił, że były nawet dwa zeppeliny, że kilka aeroplanów rosyjskich puściło się za nimi w pogoń, co zresztą częściowo potwierdzili i poranni widzowie z Warszawy, i że jeden z nich przedziurawiony „klapnął” tuż za Pragą i będzie przywieziony do Warszawy.

Nie powiem, żem jego przybycia oczekiwał<sup>165</sup> — choć dałbym wiele, żeby tego wieprza tak rozplatanego zobaczyć — bom nie wierzył zgoła zapowiedzi; jakoż istotnie — nie przywieziono go. Wkrótce wszyscyśmy o nim zapomnieli.

Kartka bez daty

Znowu jakieś szeptanie po ulicach; stoliki po kawiarniach gęściej obsadzone.

Warszawę ogarnia naprawdę niepokój: wszystkie jego charakterystyczne symptomy wystąpiły naraz. Produkty w sklepach gwałtownie podrożały; panie dostały znowu febry zakupów gospodarskich. W stronę mostu Kierbedzia<sup>166</sup> suną karawany dorożek z tłomokami, pościelą itd. Coś się dzieje: wiatr niegwałtowny, ale wymowny, muska jak przed burzą drzewa i kwiaty.

Tym razem wiatr idzie od strony stanowczo złej, od Suwalszczyzny. W tamtych dzielnicach Niemcom się dotąd szczególnie powodziło. Brawurowe posuwania się generałów rosyjskich do suwalskiej podstawy operacyjnej ku Gombinowi, Elkowi, Białej, jeziorom mazurskim, kończyły się stale katastrofą niebywałą w dziejach bitew okropności. Prusy Wschodnie i wszystko, co z nimi ma jakąkolwiek styczność, jest w złej sławie. Stamtąd nic dobrego nie przychodzi.

<sup>164</sup>wierutny (daw.) — tu: prawdziwy, istotny. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>żem (...) oczekiwał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: „że (...) oczekiwałem”. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>most Kierbedzia — pierwszy warszawski stalowy most na Wiśle, wysadzony w sierpniu 1915 przez wojska rosyjskie oraz we wrześniu 1944 przez wojska niemieckie. Współcześnie w jego miejscu znajduje się most Śląsko-Dąbrowski. [przypis edytorski]

Pantoflowa poczta nigdy tak czynną nie była jak teraz. Przynosi uparte wieści o zajęciu Suwałk, o marszu na Grodno i Białystok, o planie przecięcia komunikacji z Petersburgiem.

Niektóre nowiny dziennikarskie, podawane skromnie i niewinnie *petitem*<sup>167</sup>, dają karm<sup>168</sup> tym obawom. Władze skarbowe ze Suwałk rzeczywiście przeniosły się do Olity, bardziej na wschód; to jest pewne, a więc...?

Zrozumiano, że Niemcy gotują generalny pochód ku linii twierdz po prawej stronie Wisły, a że „czego chcą, tego zawsze dokonają”, więc czyż może być jakakolwiek wątpliwość, że dopną swego? Kilka ich piekielnych dział 42-centymetrowych wystarczy, żeby fortyfikacje Ossowca, podobno bardzo tęgie i nowoczesne, rozwalić jak kupę piasku.

Strach dzisiejszy ma swoją własną, odrębną fizjonomię. Katastrofa stanie się nie jutro i nie pojutrze — za dni dziesięć lub piętnaście, ale wyrok niecofniony<sup>169</sup>. Tym razem Niemcy ukazują się w perspektywie, nie jako zwierzęta mordujące niewinnych kaliszan, i nie jako butne, ale względnie spokojne junkry<sup>170</sup>, zajmujące Częstochowę, Sosnowiec, Włocławek, ale jako ów hufiec potworny, z stadem nowoczesnych słoni Hannibala<sup>171</sup> — zrodzonych w Kruppiarni. Widzimy zawczasu owe „kufry” żelazne, które przebiegłszy jak aerolity<sup>172</sup> dwie mile w powietrzu, wałą w gruzy mury betonowe, pięć metrów grube.

W takim rynsztunku zbliża się teraz niemiecki Attyla<sup>173</sup>; gdzie koń jego postawi nogę, tam trawa nie wyrośnie. Wszystko, co nam groziło do tej chwili, to były wywiady lub demonstracje dla odciążenia sił i uwagi, to były niewinne przygrywki; teraz idzie owo coś niewymierne i nieubłagane, co zburzyło Liege i Namur, a czemu żadna siła ludzka oprzeć się nie zdoła.

A jednak!... Przychodzi komunikat urzędowy i zwiastuje, że na linii Druskienniki-Sopoćkinie nieprzyjaciel został odparty. A więc naprawdę szedł tak, jak głosiła fama — ale może już dalej nie pójdzie!

Otacza nas obłok niepewności, telegramy mówią tylko półgębkiem, jasne jest, że tam się ważą losy Rosji i nasze, walki mordercze trwają dni i noce, głównie w miejscu gdzie schodzą się trzy ziemie: suwalska, kowieńska i grodzieńska.

Ale oto znowu światło nadziei: wojska rosyjskie wypierają wroga przez lasy augustowskie, zadając im wielkie straty, i nawet docierają do samej granicy. Więc nawet — ponownie zajmują Elk i Białą. Ostrzeliwanie Ossowca — tego klucza do Białegostoku i najważniejszych połączeń kolejowych — nie powiodło się. Obronił się dumny Niemen ze swymi wyniosłymi brzegami. Wprawdzie spalono Druskienniki, ich wspaniały park i domy, ale w nurtach Niemna znalazło śmierć osiem tysięcy Niemców.

Dalej idą wielkie liczby jeńców, ogromne łupy taborów, armat i amunicji.

Pod Ossowcem załamała się legenda o niezwyciężoności Niemców. Czy była to wprawa ich sił głównych, czy, jak przypuszczają wojskowe pisma rosyjskie, dywersja na wielką skalę — nie ulega wątpliwości, że mogła zaciążyć fatalnie, że wróg nie żałował energii ani materiału ludzkiego i że ostatecznie został rozbity, a może rozgromiony.

Nadchodzą straszne szczegóły tych walk nad Niemnem. Rozpisały się, a nawet rozpały pióra korespondentów z pola bitwy. Mityczne heroizmy i sukcesy mnożą się z pełnością kaczek dziennikarskich. Po drutach telegraficznych idą gratulacje i serdeczności.

Są tacy, ce wierzą nawet, że klęska Niemcom zadana jest całkiem godnym odwetem za klęskę generałów Samsonowa i Martosa<sup>174</sup>.

I znowu odetchnął kraj swobodniej, a Warszawa wróciła do teatrów, kawiarni, brydża i pokera. Rozpogodziły się czoła; tylko Hestie nasze, boginie ogniska domowego — za-

<sup>167</sup>*petit* — stopień czcionki drukarskiej wynoszący 8 punktów. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*dawać karm* (daw.) — tu: karmić, upewniać. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*niecofniony* (daw.) — nieodwracalny, nieunikniony. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*junkier* — pruski szlachcic, właściciel majątku ziemskiego służący jako oficer w armii pruskiej. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>*Hannibal Barkas* (246–183 p.n.e.) — wybitny kartagiński wódz; przez wiele lat prowadził walki z Rzymianami; wsławił się umiejętnościami taktycznymi oraz przeprowadzeniem 60-tysięcznej armii, łącznie ze słoniami bojowymi, z Hiszpanii przez Pireneje i Alpy do Italii, czym zaskoczył Rzymian. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*aerolit* — meteoryt kamienny. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*Attyla* (zm. 453) — wódz Hunów od 434 r., najpotężniejszy z władców barbarzyńskich atakujących cesarstwo rzymskie. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*bitwa pod Tannenbergiem* (1914) — bitwa w ramach operacji wschodniopruskiej w 1914 r. między siłami Imperium Rosyjskiego a Cesarstwem Niemieckim, zakończona zwycięstwem Niemiec. [przypis edytorski]

sępione. Co zrobić z tymi zapasami kaszy, mąki, cukru, soli, świec stearynowych, drzewa itd. itd.?

Daremnie byś im tłumaczył: „O brzegi Niemna rozbiła się sława niezwalczoności Niemców! Słyszycie? Tu się odwróciła wielka karta historyczna!”

Hestie są niepocieszone...

11 października, niedziela

Chwilami ma się wrażenie, że Prusacy są nieodwołalni jak fatum. Trzeba im przyznać, że umieją działać na dusze nie tylko potęgą swego żelaznego systemu, nie tylko liczebnością swojej Kruppiarni lecz i świadomą sugestią.

Gdy mają zgładzić miasto, przysyłają mu wprzód wyrok w postaci samolotu lub zepelina. Czy krążą, rekognoskując<sup>175</sup> tylko, czy przy sposobności rzucają bomby na gazownię, elektrownię lub ważny jaki most — zawsze zjawienie się ich jest złowrózbnę, jakby naigrawające się: „Idę na was”, zdają się mówić aeroplany<sup>176</sup>. „Odsłaniam swój zamiar, a jednak się nie boję, że mi przeszkodzicie, los wasz rozstrzygnięty”.

Warszawa ma dość intuicji na to, żeby wizyty wczorajszych samolotów tak, a nie inaczej sobie tłumaczyć. Więc znowu popłoch, tłok w sklepach spożywczych, gromadzenie zapasów, ożywione rozmowy, zwiększony do niemożliwości ruch na ulicach.

Warszawa jest jednak pod tym względem sympatyczna. Niby drży ze strachu, a jednak ma pyszną brawurę lekkomyślności. Co drugi osobnik serdecznie truchleje i z pierwszego spotkanego głupca chce wydobyć słówko pocieszenia, optymizmu, ale w domu nie usiedzi i waleśa się po ulicach i kawiarniach, jak gdyby wszelkie owe samoloty, granaty, szrapnele były tylko do straszenia, a nie do zabijania. Jestem pewien, że gdy Niemcy zaczną np. ostrzeliwać miasto, wprzód wszystko się pochowa w mysie jamy — a w pięć minut potem wylezie na płace i nawet na dachy, żeby się fajerwerkom śmiertelnym przyglądać.

Warszawo, Warszawo, gap z ciebie wierutny, łobuz niepoprawny, ulicznik stylowy, plotkarz jakich mało! Posiadasz wszystkie wady prócz jednej — nie jesteś prawdziwym tchórzem; gdy się dzieją rzeczy wielkie a niebezpieczne, nie włączysz pod pierzynę. Groza, pożary tobie nie pierwszyna. Oswojonaś<sup>177</sup> szablą i z nahajką<sup>178</sup>; wiesz, co to tratujący na chodniku koń kozacki. Umiesz — jakkolwiek bałamut — „urągać mocy”<sup>179</sup> niebylejakiej i nawet „ściągać koronę”. Tkwi w twej duszy tradycja *Reduty Ordona* i *Warszawianki* z roku 1830, tradycja nawet heroizmu.

Ludzie przybywający teraz z zagranicy podziwiają fizjonomię Warszawy, rażną<sup>180</sup>, prawie wesołą; gdy gdzie indziej trwożny<sup>181</sup> samolub martwi się i przedwcześnie oplakuje swoją przyszłą ruinę — czyste przywidzenie — Warszawa nawet wobec rzeczywistej ruiny i nędzy swojej i swych nieszczęsnych braci z Kalisza, Radomia, Suwałk, Mławy, Kielc, Zamościa — nie płacze, nie jęczy, lecz szuka wielkich pożarów i wielkich przełomów.

Otoczona żywopłotem z ognia, okowami płonących miast i sió!<sup>182</sup>, nie staje się ani na chwilę małoduszną. Dusza jej zbiorowa jest ze szlachetnego kruszcu. Obyź przyszłość — złotnik nieznan — wyrzeźbiła z niej wielki klejnot nowego Odrodzenia!

Dzisiaj było smutno i ponuro. Deszcz zimny, jesienny, uporczywy i woda na ulicach nie bardzo sprzyjały pogodzie ducha. Mnożą się oznaki zbliżania się Prusaków. Całe tabory przybywają z prowincji i przedmieść, pełne zbiegów, biedne wózki i bryczki z całym dobytkiem, z pościelą, kuframi i nieraz z kilkoma sztukami krów lub cieląt. Ryczą cielęta i kwilą drobne dzieci. Widok, zaprawdę, bolesny, rozdzierający. Wszystko najgorsze, cośmy podkładali zwykle pod pojęcie ucieczki, sieroctwa, bezdomności — tutaj stało się rzeczywistością.

Warszawa

<sup>175</sup>rekognoskować (daw.) — badać, rozpoznawać okolicę dla celów wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>aeroplan (daw.) — samolot. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>oswojonaś (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „oswojona jesteś”. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>nahajka — bicz. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>urągać mocy — nawiązanie do cytatu „Warszawa jedna twojej mocy się urąga, / Podnosi na cię rękę i koronę ściąga” z *Reduty Ordona* Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>rażny (daw.) — żywy, ruchliwy, ochoczy. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>trwożny (daw.) — odczuwający trwogę, złękniiony. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>siolo — wieś. [przypis edytorski]

Wezwany byłem na ważne posiedzenie polityczno-prawne. Chodziło o przygotowanie się na wypadek, gdy miasto zostanie bez rządu lub nastaną rządy obce. Gdy przewodniczący zagaił posiedzenie i wyłożył jego cel, jeden z uczestników najstarszych, trzęsąc się ze wzruszenia, wyraził podziw, że w tak strasznej chwili i przededniu katastrofy ludzie śmia i mogą obradować w kwestiach dalszych. I oburzony opuścił zebranie.

Udało się mnie i kilku innym rozwiać chmurę przygnębienia, która zawisła nad całym sejmikiem; odbił się on i do pewnych wyników doszliśmy, ale został w nas wszystkich pewien ciężar i jakby zwątpienie... Przy tym niektórzy z przybyszów opóźnionych zapewniali, że słyhać wyraźnie kanonadę i widać na krańcach miasta coś w rodzaju łuny w stronie Piaseczna i Góry Kalwarii.

Gdyśmy wyszli w kilka godzin później, wieczorem, na słotę i zimno, obraz był podobny do poprzedniego, tylko złowróbniejszy. Prócz wózków z chudobą<sup>183</sup>, szły także tabory wojskowe. Szły leniwo, jakby w odwrocie. W przeciwnym znowu kierunku, w stronę Mokotowa, sunęły w rozsypce oddziały świeżego wojska. Na placach i rogach olbrzymie tłumy. Pytano, czekano, niepokojono się. W ciemnościach przebrzydłej nocy mijały się z sobą piechota, jazda, artyleria, obozy, kuchnie, jaszczyki z nabojami, w różnych ciągnące kierunkach: na Pragę, z Pragi, ku rogatce Jerozolimskiej, na Wolę. Rosło wrażenie, że bój wre dookoła i że we wszystkie strony wysyłane są posiłki. Niepodobna było zrozumieć celu i planu tych przemarszów. Jednym dodawały one otuchy, innym odbierały nadzieję.

Szczególnie podejrzany się wydały gromadki ludzi, otaczające poszczególnych żołnierzy, rozmawiano nawet z oficerami, siedzącymi na koniach; wojsko tym razem chętnie opowiadało. Słyszałem skargi na dowódców, nawet złorzeczenia, biadania. Niektórzy żołnierze dreptali bez czapek i bez obuwia. Nie było wątpliwości, że jakiś większy oddział musiał się ratować ucieczką.

Powoli, wszystkie urwane słówka, pogłoski, z ust do ust podawane, żale żołnierzy — zrosły się w wielką fatalną wersję, że dwie dywizje jazdy pruskiej z mitraliezami przedarły się spod Sękocina lasami aż w pobliże Piaseczna i biwakujące spokojnie trzy pułki syberyjskie zaczęły prażyć morderczo z gęstwiny leśnej. Mówiono: dwa pułki wycięte, trzeci rozbity! Odpoczywały, niczego nie podejrzewając, bez oficerów, ci zaś odpoczywali... w mieście, w renesansach i kawiarniach.

Stale jednak powtarzał się i drugi refren: że ostatecznie nieprzyjaciela odparto, nadążyło bowiem dość wojska, by sytuację uratować.

Zapewnienie to utrzymało się na ulicach i w redakcjach. Znalazło ono potwierdzenie w tym, że zaczęto zwozić rannych do szpitali — znak, że panami pola zostali Rosjanie, i że lazarety<sup>184</sup> nie mają być ewakuowane.

Warszawa, nałykawszy się przedsmaku nieszczęścia i napiwszy deszczu i goryczy, poszła spać nieco uspokojona.

13 października, wtorek

Wczoraj panował nastrój stanowczo optymistyczny. Choć deszcz ohydny, przekorny i zawzięty, jak pruskie robactwo, mroził i obezwładniał ciało, dusze były prawie radosne. Ze wszystkich stron nadchodziły do prywatnych sztabów, tj. do Lourse'a, Semadeniego i Udziałowej<sup>185</sup> zgodne wieści o odparciu Niemców spod Piaseczna.

W tempie przyspieszonym, które głaskało wprost po sercach, nadlatywały zapewnienia, że wzięto do niewoli 25 tysięcy Niemców. Z taką właśnie imponującą cyfrą, którą mi przesłano do mojego pokoju jakoby od sąsiadów — oficerów, wyszedłem na miasto. Postanowiłem dla uniknięcia śmieszności, zmniejszyć ją we własnych moich relacjach i na własną odpowiedzialność, do dwóch tysięcy pięciuset, ale okazało się, że mogłem śmiało zaryzykować pełną liczbę pierwotną, rozpoczęła się bowiem gra na zwyżkę i byli tacy, co podawali 28 do 30 tysięcy.

Kogoś, co mówił tylko o 11 tysiącach, wyśmiano i nazwano „pesymistą” w myśl ustalonej klasyfikacji wszelkich sztabowców na „optymistów” i „pesymistów”.

<sup>183</sup>chudoba (daw.) — bieda, niedostatek. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>lazaret (daw.) — szpital wojskowy, zwłaszcza polowy, przeznaczony do opatrywania rannych na polu walki oraz izolacji i leczenia chorych żołnierzy. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>Lourse, Semadeni, Udziałowa — warszawskie kawiarnie. [przypis edytorski]

Wielu zapewniało, że wiedzą z najlepszego źródła, od generałów, od wyższej magistratury. Rekord pobił pewien muzyk, człowiek nie bez stosunków, który zapewniał spokojnie i przekonywająco, że zarząd wojskowy otrzymał rozkaz przygotowania koszar w pałacu Mostowskich dla jeńców, których jest 29 tysięcy.

Wobec tego wszelkie wątpliwości umilkły. Nikt już nie śmiał narażać się opinii takim np. pytaniem: „w jaki sposób koszary jednego pułku pomieszczą cały korpus”?

Słowem, wszystkie działa sceptycyzmu zostały zagwożdżone. Warszawa gotowała się do pięknego i ciekawego widowiska: obiecywano, że jeńców prowadzić będą wieczorem o godzinie dziewiątej.

Bardzo wielu padło ofiarą tego spektaklu, zresztą niedoszłego. Nieprzeliczone tłumy publiczności na Marszałkowskiej, na Nowym Świecie, w alei Jerozolimskiej, a zwłaszcza w pobliżu Dworca Wiedeńskiego, stały do północy w niewymownym błocie, tym samym, które sławił już Napoleon, i kaszląc i kichając, niczego się nie doczekały. Kilku osobnikom podziobano parasolkami oczy, płacz był i przeklinanie, ale jeńców ani widu.

Tak to kpiarz jakiś potrafił „wziąć na fundusz” milionowe miasto. Oczywiście był to koncept ściśle amatorski i władze nie ponoszą zań odpowiedzialności. Komunikat dzisiejszy wodza naczelnego skromnie i ogólnikowo mówi o „wyrąbaniu” oddziałów czołowych nieprzyjaciela i wzięciu jeńców, ale w cyfry żadne, a tym bardziej apokaliptyczne się nie bawi.

Ja nie mam potrzeby bić się w piersi — nie wierzyłem ani na chwilę, szedłem na gapia, bo trudno było nie być w zgodzie z ulicą. Teraz zaś stałem się zupełnym niedowiarkiem i przyjaciela mego, naczelnego strategika kawiarni *au grand U*, podejrzewam, że kłamie setnie, gdy zapewnia, że dzisiaj właśnie widział około stu Niemców obdartych, obłoconych (wierzę), wynędzniałych, prowadzonych przez konwój rosyjski.

Znalazłem, ku niemałemu zdziwieniu, i kilku jawnych złośliwców, którzy twierdzą, że wieść o 25 tysiącach wziętych do niewoli, puściły na miasto w formie poczty pantoflowej właśnie władze, ażeby zatrzeć wrażenie „Kłęski pod biwakami” — że ją tak nazwę. — Możliwe.

Nerwy nasze są wyczulone. Zajęci jesteśmy niepokojem o własną skórę; na naszym samopoczuciu, jak na wdzięcznej kliszy, utrwala się wszystko, co przynosi wiatr miasta. Natomiast zobojętnieliśmy na wzięcie Antwerpii, na losy załogi belgijskiej, która po opuszczeniu warowni ma trudne zadanie połączenia się z lewym skrzydłem armii sprzymierzonych. Nawet nagła i, zdawało się, piorunująca wiadomość o śmierci króla rumuńskiego, Karola<sup>186</sup>, tej ostoi sympatii niemieckich — zgasała jak świeca chińska, pękająca nad głowami gawiedzi.

I czyż to dziwne? Po północy słyhać było naprawdę, acz jeszcze z rzadka, wystrzały armatnie, potężne, poważne, każdy zmieniony przez swe echo w huk podwójny. Skąd? Od strony Woli. Każdy to czuł, że rozpoczęła się bitwa całkiem w pobliżu, o kilkanaście kilometrów od Warszawy.

Ale ludziska już zasypiali — miasto spokojne. Tylko Cyganie wiedzieli, że pod samą Warszawą grają haubice i że toczy się gra o serce Polski...

Zrozumieli oni dobrze powagę chwili. Były już wczoraj wieczorem posłuchy, że zajęto Grodzisk, Brwinów, Pruszków; ostatni pociąg z Grodziska przyszedł podziurawiony kulami pruskimi; byli ranni i zabici — zgroza! Do niewinnych pasażerów bestie krwiożercze strzelały. I byłoby ofiar bez liku, gdyby nie jeden bohater. W takich chwilach urodzaju na drapieźców — prawem niezniszczalności dobra wykwita prosto i naturalnie, wielki i szlachetny człowiek. Był nim maszynista także ranny, prowadzący pociąg; choć kulę miał w brzuchu, został na stanowisku; i dopiero gdy do Warszawy dojechał, pozwolił sobie zemdleć. I podobno tak samo ranny był i wytrwał palacz.

Więc świat cały już jasno zdaje sobie sprawę, że przeżywamy chwilę może epokową. Ważą się losy stolicy. Nie potrzeba tego widzieć — wystarcza słyszeć. Haubice grają bezustannie, tak wyraźnie, jak by tuż, na najbliższym przedmieściu. Huk złowrogi, a przecie jak magnes przyciągający wywabił krocie ludzi na ulice. Zresztą słyhać go i w mieszkaniach, na wyższych piętrach nawet szyby brzęczą.

<sup>186</sup>Karol I Hohenzollern-Sigmaringen (1839–1914) — król Rumunii w latach 1881–1914. [przypis edytorski]

Oto czujemy już bitwę, nie tylko wojnę. Pojawił się urzędowy zwiastun niebezpieczeństwa. Gubernator wojenny zaleca ludności „nie tracić spokoju wobec nadciągających wydarzeń”, gdyż „obrona miasta Warszawy doprowadzona będzie do najwyższego napięcia”.

A więc już wolno mówić o możliwości wejścia Prusaków — już raczej nie wolno nie mówić. Nie ma już dumnego tonu zapewnień o nedorzeczności obaw i plotek — jest szczerze i mądre, uczciwe uświadomienie.

Jednych ono dopiero naprawdę straszy, innym daje wielkie poczucie nieogarnionej powagi momentu. Tamci tak przyzwyczaili się znać Niemców tylko z daleka, tylko na dalekim widnokreśgu, tylko w doniesieniach gazet, że nie mogą bez truchlenia pomyśleć, iż wróg naprawdę stanął pod murami miasta. Przez półtrzecia miesiąca kołysani do spokoju i równowagi, nagle mają się przygotować do rzeczy, których wyobraźnia objąć nie może, nie śmie, nie próbuje. A może zbombardują miasto, krwią zaleją ulice, mordować będą mieszkańców? Krwawe widmo nieszczęsnego Kalisza zakrywa całe niebiosa.

Ci zaś, bardziej skłonni do patrzenia pod kątem idei lub więcej rycerscy, lub więcej poeci, dumni są w imieniu Warszawy, że znowu przypadło jej w udziale tak wielką odegrać rolę. Oni wiedzą, że bitwy, acz pewnie niewielkie, pod Piasecznem i pod Pruszkowem, to przecież krańcowe ogniwa wielkiego, polyskliwego węża frontu, który przez Dęblin ciągnie się aż do Sandomierza. Zatem walki pod Warszawą to organiczna część ogólnego boju Niemców z Rosjanami — i zapewne część najważniejsza.

I kto wie — myślą — może od wyniku tego, co tam na przedmieściach wygrywają haubice, zależy los całej wojny rusko-niemieckiej? Niemcy tutaj odparci, prawdopodobnie wyparci będą i z dalszych pozycji. Na odwrót, Niemcy zwycięzcy, stając się panami Warszawy, zawładną Wisłą, i najważniejszym węzłem kolejowym i — całym Królestwem.

I kto wie, snują jeszcze dalej — czy na wynik tych bitew nie patrzy Rumunia, a z nią i Włochy? To pewna, że w ręku Rosji, w talencie jej dowódców i męstwie jej żołnierzy spoczywa rozwiązanie ogromnego problemu: czy Niemcy mają zostać panami Europy, czy też odrzuceni ze wschodu, a potem zagrożeni u siebie w domu, nie będą musieli pychy swej ofensywy na zachodzie zamienić na pokorę defensywy po tej stronie Renu?

Słyszę, że tak myślą i niektórzy dowódcy rosyjscy: przegranie Warszawy to przegranie całej wojny. Oni czują, że Niemiec nie robi nic przez pół — gdy wejdzie, to się usadowi na długo, a może na zawsze...

Warszawa stała się urną, w której znalazły się gałki, wyrokujące o przyszłości Polski w każdym razie, a możliwe, że i przyszłości Europy.

Na święcie działa grzmią znowu i nie zdaje się, żeby się zbliżały, a coraz nowe zastępy dążą na pole walki.

Jeśli w duszy miasta nie ma świadomości tej „chwili osobliwej”, to na jego fizjonomii widać krzyżujące się drogi przeznaczeń. Stało się ono jakimś olbrzymim majdanem, po którym splatają się i rozplatają, schodzą i rozchodzą nieprzeliczone pasma wojsk i taborów.

Znowu ciekawy pułk syberyjski zastanowił mnie w chwili, gdy przebywał drogę z Nowego Zjazdu przez Senatorską i plac Teatralny. Piechota w białych futrzanych czapach, płaszcze zakasane, twarze uznojone; głowy duże, wyraziste; rysy wydatne, w których łączy się plemię aryjskie z mongolskim — jak mi się wydaje. Nieco skośne oczy, wielkie brody nadają im piętno jakiejś potężnej rasy, jakiejś wspaniałej żywiołowości. To postacie do obrazów Matejki lub Riepina<sup>187</sup>. To hufce naprawdę „od brzegów Oceanu Spokojnego”. A przecież wejrzenia to nie dzikie, powiedziałbym raczej, łagodne.

A może to sympatia moja dla tych dalekich przybyszów, którzy tu, w sercu obcej im ziemi polskiej, mają za nią przelewać swą krew — sprawia, że widzę w nich dobro i pocziwość, a wydatność ich głów wprawia mnie w malarski zachwyt?

Coś podobnego czuje i lud uliczny, a ze sklepów i sklepików przydrożnych kobiety i dzieci wybiegają, żeby śpieszycym podać wody do picia, trochę niewyszukanych łakoci lub papierosa.

Od wspaniałego zgielku, w którym — słyszę wyraźnie — bije puls świata, uciekam nad Wisłę, ale i tu gwarno i ludno. Niebywałych kształtów samochody — olbrzymy, furgony z pościelą, platformy z łózkami polowymi, podwozy z naftą, fury z mąką, drzewem,

<sup>187</sup>Riepin, *Ilja* (1844–1930) — rosyjski i ukraiński malarz, przedstawiciel realizmu. [przypis edytorski]



bryczki z ubogimi, zbiegami, dorożki z wyjeżdżającymi urzędnikami, pop — kapelan wojskowy, w jasnej sutannie na koniu, chyże sanitariuszki w białych chustkach na głowie, obozy z konserwami mięsnymi, jaszczce z amunicją, Kozacy, dragoni, piechota i znowu wojsko, wojsko, wojsko — wszystko to pod niebem dziś już pięknym i pogodnym, porywa umysł w wielki, szeroki wir i zamęt, rozpiera piersi, napełnia uczuciem szalonej ciekawości i sympatii, tak iż zapominasz zupełnie, że działa wciąż grzmią i grzmią...

Dopiero na samym bulwarze wiodącym do mostu Poniatowskiego względna cisza. Majestatycznie i pogodnie płynie Wisła, równo i szeroko rozpościerają się koła wirów. Patrzę w błękitne dzisiaj fale i miasto zostało poza mną. Nagle wspomnienie mnie ogarnia: prawdaż to, że dookoła świat zamienia się powoli na wulkan, a po mieście toczą się szeregi i obozy, jak ciężkie dunajce lawy?

15 października, czwartek

Wczoraj był chyba punkt kulminacyjny ruchu — dzisiaj rano miasto jak zdechłe. Pomimo niezłej pogody, o godzinie ósmej rano, a nawet jeszcze o dziewiątej, przed oknami mymi cisza. Wyglądam, czy chodzą jeszcze wojskowi, czy pod dzwonicą znajdę kogo. Gdzie się podziały dorożki i samochody? Jakby się pod ziemię zapadły. Natomiast samym środkiem placu Saskiego, między cerkwią a zieleńcami, jedzie sobie furmanka chłopska, z kuframi, pościelą i całym dobytkiem. Gdzie zwykle parady bizantyjskie się odbywają, chłopiek jakiś ryje żwir kołami swego wozu. A może już policji nie ma, a więc koniec świata nadszedł?

Powtarzam — ulice jak zdechłe. Może już Niemcy gospodarują? Chyba jeszcze nie, bo walka snadź toczy się zażarta. Szczególnie między ósmą a dziewiątą huki przeciągłe, pełne, gromowe napełniały powietrze. To co było wczoraj, wydaje mi się teraz we wspomnieniu tylko jakąś próbą, „macaniem” nieprzyjaciela. Dzisiaj w samych łoskotach czuć uporczywość, napięcie, gorący puls boju. Chwilami tworzy się jeden nieprzerwany, jeno że równy natężeniem grzmot. I w dodatku jest bliższy od wczorajszego, więc niepodobna, żeby to była zapowiedziana wczoraj bitwa z 2 korpusami i 150 armatami niemieckimi, okopanymi w Górze Kalwarii. Stamtąd by huk tak mocno nie dochodził.

Nikt na ulicy nie umiał mnie objaśnić. Za to wszyscy byli strwożeni. Każdy czuł że „Prusak jest pod samym miastem”. Jedni twierdzili, że umocnił się w Żbikowie i że tam mu grób szykują działa rosyjskie; inni, że ukryty jest w Lesie Sękocińskim i stamtąd się go haubicami wykurza. Tak czy owak, pewnym jest, że znowu wylazł jak spod ziemi, tuż przed naszymi nosami.

Po kilku godzinach przerwy działa znów zagrały.

Znowu zaroilo się w mieście niepokojem i pośpiechem. Widać, że odbywa się ewakuacja. Szeregi wozów z łózkami szpitalnymi świadczą o opróżnieniu wojskowych lazaretów, pełne omnibusy<sup>188</sup> rannych kierują się tym razem na trzeci most, a więc jakoby poza Warszawę i poza teatr wojny.

Pod wieczór rozeszły się pogłoski, że władze kazały ewakuować i spalić Czerniaków. A więc bitwa toczyć się będzie już prawie w samym mieście! Istotnie, wiele się pokazało na ulicach ciężkich fur żydowskich, „bałagulów”<sup>189</sup> i wozów drabiniastych z takimi czubami, że chyba cała wieś musiała być w nich spakowana.

Zaczyna być niesamowicie. Niebezpieczeństwo zwisa coraz niżej, skoro pędzą na pozycje nowe działa i jaszczyki. A piorunowa mowa haubic daje do zrozumienia, że wróg jest zawzięty, że sprawa z nim ciężka, że w coraz to innym punkcie się wynurza. Podobno rozgościł się w Konstancinie i w kilku willach skolimowskich. Widziano go w Jeziornie.

Czy pomyślałem przed trzema tygodniami, gdy w Lesie Skolimowskim, w powietrzu cudnej świeżości, w ozłoceniu połowy września, patrzył na ugory, ścielące się pod Lasem Chojnowskim, że tam wkrótce granaty będą darły pachnące sosny i urywały ludziom ręce? Że tu, nieopodal kwitnącego ogrodu mego brata — chwycą się zębami paszcze dwóch straszliwych potęg, a ziemia, co słyszy tylko granie świerszcza lub polnego konika, dudnić będzie od ryku spiżowych gareł?

<sup>188</sup>omnibus — pojazd wieloosobowy, przeważnie kryty, utrzymujący regularną komunikację. Od XVII do XIX wieku konny, następnie z napędem. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>bałagula (gw., żyd.) — długi wóz do przewozu ludzi i towarów. [przypis edytorski]

W nocy

Studiujemy mapę i ktoś kreśli nam dyslokację armii obu stron, o ile to możebne<sup>190</sup> wobec tajemnicy, która ją okrywa. Uderza złożoność sytuacji. Armie niemieckie, idące koncentrycznie ku Warszawie od granic Królestwa półkręgiem, od północo-zachodu aż do południa, obejmują bardziej wewnętrzny łuk pozycji rosyjskich; potem idzie znowu długi jeźor armii niemieckiej, sięgający aż południa Warszawy, a przeciw nim najeżyła się obręcz rosyjska, opasująca Warszawę po lewej stronie Wisły. Królestwo jest jak wielki pieńnik przekładaniec, o który się biją dwaj najwięksi mocarze świata.

I biją się jednocześnie o Wisłę. Pod Górą Kalwarią Rosjanie chcieliby przebyć rzekę od prawego brzegu, żeby uderzyć na tyły niemieckie, Niemcy próbują tego samego pod Karczewiem czy Otwockiem. Więcej zaś ku południowi Niemcy bombardują Dęblin, a gdyby tam sforsowali przeprawę, znaleźliby się niebawem po stronie praskiej i stalowymi ślepiami spojrzeliby wprost w oblicze Warszawy. A tam znów czyha na nich armia rosyjska nad Narwią — itd. Wyłania się sto możliwości i planów. Ale Warszawa już nie kombinuje, stała się nerwową i niecierpliwą. Czuje zbliżanie się ciosu głównego i tylko odgadnąć się stara, jakim on będzie? Czy ból, który sprawi, będzie do zniesienia? Czy cofające się — czego Boże broń! — wojska zdążą w czas przejść przez mosty, czy nie będzie walk ulicznych? A potem kołace w sercach niewyraźny strach, czy motłoch nie rzuci się do grabieży, czy milicja zdoła utrzymać porządek itp.

Niepewności i obawy ściskają szyję jak powrozem...

### III

16 października, piątek

Dzień taki, jak gdyby co najmniej odrodziło się słońce. Grzmoty dział, choć wcale nie słabsze, owszem, od wczesnego ranka grające *fortissimo*<sup>191</sup>, wydają się spokojniejsze, rzekłbyś, pomiarkowane przez promienną pogodę dnia i wracające ciepło. Haubice wtórują rozświetowi symfonią.

Rzecz znamienna, że kilka osób, zapewne niemających pojęcia, co to symfonia, użyło tego wyrazu dla oznaczenia armatniej muzyki, którą słyszymy już teraz bezustannie. Prawdopodobnie bez niej byłoby nam już nudno, jak bez tej nieskończonej wędrówki wojsk i taborów byłoby nam — martwo.

Odgłosy bitwy huczącej na przedmieściu stały się naszą potrzebą. Nawet najwięksi neurastenicy i trwożliwcy zniesliby pewnie bez silniejszego wstrząśnienia wielkie cięcie cesarskie, gdyby spaść miało na miasto.

Zresztą tych najtchórzliwszych zostanie już niewiele; niemal wszyscy opuścili „gród syreni”. Ci co najwięcej brząkali szabelką — oczywiście papierową — pierwsi dali nura. Pyskacze dziennikarscy, Tyrteusze<sup>192</sup> wszechsłowańscy po 15 kopiejek od wiersza, koczują na Pradze, aby na dany znak uciec wraz z policją. Niektórzy już się sprzedają w Kijowie, Smoleńsku, Moskwie.

Może dlatego powietrze w Warszawie jest czystsze i zdrowsze.

Dzięki zwianiu tej ochotniczej ochrany<sup>193</sup> przybyło i trochę rozumu i możliwym się stało posłuchać, co np. mówią i myślą Niemcy w tej chwili niesłychanych swoich triumfów brennusowego<sup>194</sup> miecza. Wszyscyśmy tak głęboko zespoleni w sympatii dla walczących Wasiek i Bartków, tak się nam ohydna wydaje perspektywa władztwa teutońskiego, tak nudna i wstrętna — aczkolwiek może nie straszną — że bez wzajemnego pomawiania o „zniemczenie” — czytamy i wyznania berlińskie.

<sup>190</sup>możebne (daw.) — możliwe. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>fortissimo (wł. muz.) — bardzo głośno, bardzo mocno. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>Tyrteusz (VII w. p.n.e.) — grecki poeta, śpiewak, od jego imienia wywodzi się nazwa poezji patriotycznej wzywającej do walki, określanej jako poezja tyrtejska. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>ochrana — tajna policja carska działająca w Imperium Rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>brennusowy miecz (przen.) — symbol nieograniczonej władzy zwycięskiej armii nad pokonanymi. Brennus, wódz plemienia Senonów, zajął i złupił Rzym w lipcu 387 p.n.e. W zamian za wycofanie swoich wojsk z Imperium, żądał on w postaci 1000 rzymskich funtów (ok. 327 kg) złota. Tytus Liwiusz w *Ab Urbe condita* podaje, że Galowie dostarczyli wagę oraz odważniki. Rzymianie kiedy spostrzegli, że odważniki są sfalszowane, poinformowali o tym Brennusa, który wyciągając swój miecz, rzucił go na wagę i wykrzyknął: *Vae victis!* (Biada zwyciężonym!), zmuszając Rzymian aby zapłacili jeszcze więcej. [przypis edytorski]

Odezwa<sup>195</sup> do narodów ucywilizowanych, podpisana przez 93 najznakomitszych uczonych, literatów i artystów Rzeszy, protestuje przeciwko kalumniom<sup>196</sup>, rzucanym na ich ojczyznę. Kłamstwem ma być oskarżenie o wandalizm, o okrucieństwo; kłamstwem nawet opinia, że to Niemcy dali hasło do powszechnej rzezi. Przeciwnie, oni do najwyższej ostateczności bronili pokoju, oni też własnymi piersiami zasłaniali Leuven i jego cudowny ratusz — zwierzami dzikimi są tylko Francuzi i Belgowie — itd.

Odezwa jest długa i — rzecz dziwna — nawet w takiej dobie gruntownie bez talentu! Wiele brutalności tonu, a nic szczerości; gniewnie tupie o podłogę obrażony wachmistrz berliński, lecz nie przekonywa. Ludzie, naprawdę wybitni i zasłużeni, nie zdobyli się na jeden piękny akord, jest to kakofonia<sup>197</sup> na zwiększoną orkiestrę, obrażająca smak i zmysł sądu krytycznego. Bo jakże taka falanga filozofów i poetów mogła się dać stumanić fałszom urzędowym? Jakże mogli nie odczuć synowskiej zgrozy wobec mordowania ich duchowych macierzy, Francji i Belgii, przez ich własnych braci z krwią powalany mi rękoma? Toż om wszyscy ssali mleko z piersi Francji i Belgii, nim wzrosli i nim się utuczylili. Czy pomyśleli zresztą, że jeśli Niemcy owładną światem, to z nimi razem zasiądzie na tronie królowa Nuda-Brzydota, więc będzie to właściwie koniec świata jako Natchnienia i Geniuszu.

Nie do wiary! Gdzie tyle odezwi i artykułów, dumnych jak orły, pięknych jak łabędzie, barwnych jak ptaki rajskie, gdzie literat z rozkoszą pławi się w pięknych marsyliankach artykułów francuskich — z ducha niemieckiego wyrrywają się tylko ostre tony „piwnego głosu”. Kiedy w najblahszym opisie pobojuwiska, w opowiadaniu rannego żołnierza, lub korespondencji reportera z spalonego miasta, tętni krew i ból, a straszliwy koloryt wypadków rzuca mocne tęcze na styl nawet prosty i niewyszukany — odezwa 93 nieśmiertelnych jest kapitalnie brzydka i niesympatyczna.

I w tym jest symbol całej różnicy dwóch ras i kultur. Gdy Niemiec chce uczynić coś pięknego, czyni rzecz brzydką, gdy Francuz lub Belgijczyk chce uczynić coś brzydkiego — wypada rzecz piękna. Od Quasimoda<sup>198</sup> począwszy, geniusz francuski sili się na brzydotę. W pościgu za rozmyślną szpetnością brali udział naśladowcy Wiktora Hugo, potem Zola i naturaliści, potem Baudelaire i Huysmans, dalej egzotycy w malarstwie, w końcu Cézanne, Gauguin i im pokrewni — rezultatem zawsze było jakieś niezniszczalne piękno, jakiś osad prastarej estetycznej esencji, w tonie czy języku, w dumie czy szerokości, sardonicznie<sup>199</sup> wspanialej nonszalancji gestu, dowcipu, lub w czymś podobnym. Gdy natomiast Niemcy sili się na brzydotę, *na pewno się ona udawła*. Są o wiele sumienniejsi i dokładniejsi...

W tym tkwi ich ogromna... wyższość nad Francuzami i objaśnienie dzisiejszych zwycięstw. Krupp i Corinth<sup>200</sup> są braćmi po duchu i rasie. Pierwszy — arcy mistrzem w cechu kannibalów, drugi — synem — jak wiadomo — rzeźnika i rzeźnikiem w malarstwie.

Francuz *chce* zrobić rzecz brzydką, Niemiec *musi* zrobić rzecz brzydką.

Reszta dnia dzisiejszego sprawiła, że co było obmierzłe<sup>201</sup>, stało się obmierzlejszym; refleksje moje o rzeźnikach wrychle<sup>202</sup> znalazły ilustrację.

Siedzieliśmy spokojnie z poetą L. w sympatycznej naszej kuchni, gdzie kolację, śmieszni ludzie! dają braciom skrybom, artystom itd. za 15 kopiejek i rozmawialiśmy o dzisiejszych aeroplanach i o bombach, rzuconych przez nie na Chłodnej, na Młynarskiej i jeszcze gdzieś, bez wielkiego sukcesu. Gawędziliśmy z pięknymi kelnerkami — diwami o owej kapeli dział i o tym, jak nudno nam będzie, gdy umilkną. Nagle — grzechot strzałów karabinowych bardzo blisko, jak gdyby tuż za oknami. Jeszcze sekunda — i ulica zawrzała

<sup>195</sup> *Manifest 93* — ogłoszony 4 X 1914 r. manifest *Do świata kultury!* (niem. *An die Kulturwelt!*) niemieckich naukowców, literatów oraz artystów, wyrażający ich poparcie dla niemieckich działań wojskowych w czasie I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>196</sup> *kalumnia* — krzywdzące oskarżenie. [przypis edytorski]

<sup>197</sup> *kakofonia* (muz.) — zespół dźwięków niezestrojonych, nieharmonicznych. [przypis edytorski]

<sup>198</sup> *Quasimodo* — bohater powieści Victora Hugo *Katedra Marii Panny w Paryżu*, uosobienie brzydoty oraz dobroci serca. [przypis edytorski]

<sup>199</sup> *sardoniczny* — szyderczy, ironiczny. [przypis edytorski]

<sup>200</sup> *Corinth, Lovis* (1858–1925) — niemiecki malarz i grafik, przedstawiciel impresjonizmu, wywarł wpływ na ekspresjonizm niemiecki. [przypis edytorski]

<sup>201</sup> *obmierzły* — wstrętny. [przypis edytorski]

<sup>202</sup> *wrychle* (daw.) — rychło, szybko. [przypis edytorski]

bieganią i okrzykami. Druga sekunda — i huk straszliwy, złowrogi, dobrze nam warszawiakom znany huk bomby. Wybiegamy gromadą, z biciem serca i ciekawością nerwów. Łotr dwupłatowy unosi się nad domami na wysokości dwu tysięcy metrów, nie większy od pająka.

Cała dzielnica poruszyła się, jak boleśnie uderzone mrowisko. „Rzucił bombę na dworzec Kolei Wiedeńskiej” — wołają zewsząd. Idziemy szybko ulicą Chmielną. Znowu na niebie się pokazał. Znowu huknęły strzały karabinowe. Gdzieś z boku zagrały swój szybki pasaż kartaczownicy. Niebawem zagrzmiały z fortów armaty. Spłoszone ptactwo rozpaczliwie biło skrzydłami o mury kamienic. Głosy: „uciekać, chować się do bram!” Uciekam, lecz na chwilę, gdyż miarkuję, że zbój napowietrzny nie nad samymi naszymi głowami przelatuje. A płynie spokojnie, jak gdyby nam urągał. Znowu kanonada z niewidzialnych karabinów i moździerzy, jakoby w górze inne skrzydłaki gonily lotnika. Rozpętała się wściekła, gorączkowa burza łoskotów, niestety, bezowocnych. Takiej orkiestry jeszcze nikt z nas chyba nie słyszał. Takim pragnieniem zemsty jeszcze nikt z nas chyba nie dyszał. Zdawało mi się, że to huczą serca olbrzymiej ciżby. W tej chwili nie było ostrożnych, byli tylko śmiertelni wrogowie zbrodniarza — latawca. A ja w dodatku zachwycam się stałym tłem tej muzyki — dalekim, miarowym basem haubic, dzwoniącym bez przerwy spoza miasta.

A przy dworcu kolei już tylko z trudem przepychać się można. Szakal w mundurze pruskim, jeżdżący na dwupłacie, rzucił pocisk na drogę przed hotelem Polonia. Podobno zabił lub ciężko poranił kilku żołnierzy i rozszarpał kilka koni z baterii jaszczyków, które szły ku szosie radomskiej. W samym hotelu wypadły wszystkie szyby; wzdłuż chodnika, po którym stąpamy, okna wystawowe trysnęły od wielkiego naporu powietrza i oto chodzimy po warstwie tłuczonego szkła.

Nie widziałem już od dawna tłumu tak wielkiego, a tak posępnego i takim wężem wspólnej bezradnej wściekłości złączonego. Z współczuciem patrzył on cały na dalsze baterie spokojnie sunącej artylerii, na niezamącony spokój wojowników. I zapewne lud nie zdawał już sobie sprawy z tego, że działa za Wolą wciąż ryczą i grzmia złowieszczo — tak miotał nim gniew i ból, nie wiadomo za czyje winy zesłany.

A teraz siedzę oto w spokojnej izbie swojej i rozmyślam o strasznym, a tak błękitnym i słonecznym dniu. Wielkie napięcie ducha teraz się we mnie rozkleiło i ledwo się od liryzmu wstrzymać mogę. Boże, świadkiem mi bądź, że potrafię niejedną miesiąc i rok przeżyć w takiej grozie, a ze mną i inni, lecz skąd wziąć miejsca w piersi na tę nienawiść i pogardę, jaka się światu należy — za jego naukę, jego postęp, jego „gabinety”, dyplomację?

Gorycz swą zabijam miłością dla tych moich bliskich i dla tych setek tysięcy dalszych, którym cywilizacja dwudziestego wieku kazała być bezbronnym stadem gołębi dla krwawego dziobu kołującego w górze drapieżnika...

O piękna i nieszczęsna Belgio, jakże my Ciebie teraz rozumiemy głęboko!...

17 października, sobota

Pamiętnik mój siłą rzeczy zamienia się na dziennik. Wypadki światowe tak podeszły pod samo serce nasze, że już nie można na nie patrzeć z perspektywy i zapisywać co grubsze, lecz musi się w każdej godzinie dnia widzieć całą staję przeżytą naszego polskiego życia. Każdy dzień przynosi nowe doświadczenia i uczucia, każdy ranek — nowe potwierdzenie fatalności, zawisłej nad Polską i nad Warszawą.

Oto dzisiaj wyjaśniło się, że zbóje niemieckie rzuciły na miasto nie cztery lecz czternaście bomb. Nie naliczyć zabitych na miejscu żołnierzy i rannych przechodniów, oraz takich, co zmarli już po przewiezieniu do szpitali. Okaleczonych, bądź wskutek wybuchu, bądź odłamami druzgotanych okien i gzymśów, całe litanie w dziennikach, z górą pięćdziesiąt czy nawet sześćdziesiąt. Liczby ofiar rosą w miarę, jak się ujawniają. Dzień więc wczorajszy będzie się mógł nazywać dniem bombardowania Warszawy z samolotów, dniem pierwszym, a zapewne i nie ostatnim, w którym giną dzieci, kobiety i starcy.

Jesteśmy prawdziwie miastem *moderne*<sup>203</sup>.

A ludność Warszawy? Przeklina i śmieje się. Jeśli wróg myślał, że ją zastraszył lub zgnębił, grubo się pomylił. Znowu spłacić muszę hołd wytrzymałości duszy zbiorowej,

<sup>203</sup>*moderne* (fr.) — nowoczesny. [przypis edytorski]

która z doskonałą odwagą przygotowywa się do większych niebezpieczeństw i okropniejszych bezceństw. Chodzą oglądać dom na Chłodnej z obszarpanym dachem, i pogiętą kratę dookoła skweru przed dworcem Kolei Wiedeńskiej, wyrwy w bruku i dziury zamiast wspaniałych szyb. Do Ogrodu Saskiego, gdzie padły także dwie bomby — nikt nie pójdzie, bo zamknięty.

Bilans naszego przyzwyczajania się stopniowego do dobrodziejstw wojny jest już dziś okazały. Nie mamy węgla kamiennego, palimy koksem, drzewem, antracytem, torfem, który jest tak drogi, jak najdroższe czarne diamenty z eks-Zagłębia Dąbrowieckiego. Elektryczność płonie tylko w co drugiej lampie, na schodach domów świeci się tylko co drugie piętro. Nie mamy mleka i masła, bo bitwy pod Warszawą ułatwiają jedynie dowóz koniny, ale żadną miarą mleczywa.

Wczoraj zamknięto nam telefony; teatry rządowe nieczynne, poczta i telegraf tylko kapią, drobne pieniądze ponownie nieobecne, sądów nie ma; tramwaje wyjeżdżają na miasto o godzinę później, a kończą robotę już o jedenastej. Alkoholu i piwa ani na lekarstwo. Wszystkie kokoty<sup>204</sup> zarekwirowane na potrzeby wojska.

I — ostatnie choć nie najdrobniejsze: — *trzy ćwierci Królestwa i tyleż Galicji Wschodniej zamieniono w zwaliska.*

Zniszczonych i zrabowanych miast dziesiątki; spalonych i złupionych gospodarstw, osad, wsi — setki, niemal tysiące.

Bardzo szanuję życie i wierzę w jego potencję i zdolność odradzania się, ale powiedzcie mi, ilu pokoleń trzeba będzie, ażeby te grody i siola zakwitły na nowo. Tymczasem ziemia orna przygnieciona ołowiem i żelazem, a granaty i szrapnele wyrwały na powierzchnię gleby — piach. Chyba że obsiewać będziemy drogi, bo te właśnie zorano parowymi pługami, ażeby nieprzyjacielowi trudniej było wlec tamtędy swe żelazne bydłeta.

Myślę, że więcej rozkosznych rzeczy trudno było dokonać w ciągu dwóch i pół miesięcy. I myślę, że gdy nawet Niemiec podejździe pod samo miasto i w gruz zamieni kilka lub kilkanaście ulic — jego nadzieja wielkiego efektu zrobi kompletne fiasko. Już żyjemy w gruzach i ruinach — i plwamy<sup>205</sup> na dalsze groźby.

Warszawo, nie syreną jesteś z rybim ogonem, ale naprawdę dziewicą ze stali. Patrząc na swe pogruchotane świętości, na zmarnowane życie, na zbiedzony lud i krocie sierot, możesz sobie powtarzać z rapsodem z *Legionu*:

Strzępy, strzępy, strzępy, strzępy,  
Ożarły się syto sępy!<sup>206</sup>

Post scriptum

Winieniem uzupełnienie do dnia wczorajszego. Wieczorem ukazały się dodatki nadzwyczajne pism z komunikatem Głównodowodzącego (Zwierzchniego Wódza Naczelnego), opiewającym, iż pod naporem wojsk rosyjskich wojska niemiecko-austriackie przeszły na całym froncie do obrony. Oznacza to nie tylko, że spokojnie możemy w dalszym ciągu przysłuchiwać się kanonadzie, lecz że armia rosyjska rozpoczęła ofensywę i wypiera nieprzyjaciela.

Toż istotnie symfonia nieskończona trwa już okrągło cały tydzień i jakoś dotąd Warszawa stoi na swoim miejscu.

Pod wpływem owego biuletynu, dzisiejsze „europlany” lud śledzi z czysto platonicznym zainteresowaniem. Zupełnie przestał się bać ich — zresztą płyną tak wysoko — co najmniej 2500 metrów — że nam szkody nie wyrządzą. Prawdopodobnie jeden z wczorajszych przestał szlachetnie funkcjonować. Strącić go miano pod Ożarowem, i ludzie widzieli, jak wieziono dzisiaj między godziną dziesiątą a jedenastą opalony szkielet.

Jeszcze więcej rozchmurzył Warszawę telegram PAT ułożony już oczywiście jakby dla ulicy; o tym, jak na prowincji, a głównie w Zagłębiu ludność, doprowadzona do rozpaczliwej gospodarką Niemców, chwyciła się partyzantki, niszczy tory kolejowe i trzebi wojska.

<sup>204</sup>kokota (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>plwać (daw.) — pluć. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>Strzępy, strzępy, strzępy, strzępy, / Ożarły się syto sępy! — cytat z *Legionu* autorstwa Stanisława Wyspiańskiego. [przypis edytorski]

Oczywiście jest to doniesienie pomyślane mądrze i politycznie. Po pierwsze, znakomicie ono osłabia grozę Niemców i nastrój sianego przez nich terroru, a jednocześnie zadaje kłam pogłoskom, krążącym w kołach wyczekujących, że Niemcy w Piotrkowie, Łodzi itd. udają ludzi całkiem ucywilizowanych.

Na razie wszelkie wiadomości *pro* i *contra*<sup>207</sup> są bezcelowe: chwiejności ustały. Cywilizację swą, a kto wie, może i swą czającą się na dnie pychy nędzę rabusiów Prusacy zdemaskowali dostatecznie.

18 października, niedziela

W mieście cicho, za miastem — *crescendo*<sup>208</sup>.

Nie bardzo wierzyłem ludziom, że szyby w ich mieszkaniach drżą od grzmotu haubic. Dziś przekonałem się, że mogą nie tylko brzęczeć, ale i obudzić. Choć wszelakie łoskoty, o ile są dalekie, zazwyczaj mnie usypiają, dzisiejsze przeszkadzały mi spać. Po prostu dlatego że były jakieś nowe. Huki były tak bliskie, tak odbrzmiewał im cały wielki czworobok placu Saskiego, że czujność, zawsze pozostająca na dnie uspionego intelektu, zgadnąwszy zjawisko jeszcze nieprzeżyte, obudziła mnie. Rozkład głosów wydaje mi się innym. Działa brzmia barytonem, okna zaś odpowiadają chrapliwym basem; już nie szyby, ale ramy okien po prostu wstrząsają się, jak od trzęsienia ziemi.

Zdana na łaskę domysłów, wyobraźnia tworzy sobie fałszywy obraz, który dopiero refleksja prostuje. To zdaje się, że jakiś olbrzymi drwal toporem uderza w pnie drzew, to że cieśla odległy obrabia siekierą kłoc, leżący nie na samej ziemi, lecz oparty na kłodach. Dopiero gdy łoskoty się zlewają w jeden długi, przeciągły, oko duszy widzi dokładniej i czuje, że to nie spokojna robota w lesie, lecz że ryczą wielkie działa i że tam śmierć chodzi po polu z wielką, sturamienną kosą.

Pejzaż miasta odpowiednio do tego przybrał wygląd dość jednostajny; składa się z dwóch motywów, powtarzających się z nieznacznymi wariacjami. Tabory jaszczyków z amunicją lub po amunicję i wozy z rannymi lub po rannych.

Obliczyłem, że bitwa dzisiejsza trwała równe dwanaście godzin, od piątej rano do piątej po południu. Prawdopodobnie zasililo ją wiele nowych dział rosyjskich, gdyż grzmoty były tak potężne, jak gdyby pozycje znajdowały się tuż za samą roгатką Wolską lub Jerozolimską.

Chciałbym powiedzieć lirycznie, że niedziela się nam nie udała, ale to byłoby nieprawdą, ulice są ożywione po świątecznemu, nastrój rażny, i najgorszy hipochondryk nie domacałby się depresji lub smutku.

Za to Niemcom święto się naprawdę nie udało, Cesarz Wilhelm obiecał im oraz swojej dostojnej małżonce Augustcie, że na imieniny, które przypadły 15 bieżącego miesiąca — da jej w upominku Warszawę.

Myśl nasza, mniej trzymana na uwięzi przez wydarzenia najbliższe, biegnie znów na Zachód. Czyż o nim była zapomniana<sup>209</sup>? Nawet nie, po prostu zmęczyliśmy się potopem belgijskich nieszczęść i litanią złowrogich wiadomości. Nie ma się odwagi śledzić systematycznie i pilnie dróg, którymi armia króla Alberta salwuje się ku Francji. Dręczy obawa, czy wściekłość pogoni niemieckiej nie udaremni dumnego heroizmu belgijskiej Anabasis. Podobno jednak ten król — król z Bożej łaski — rzeczywiście zwycięża w okolicach Brugii i Ostendy i nadzieja połączenia się z armią francusko-angielską jest wielka. W ten sposób Belgowie zadadzą Niemcom nie jeden jeszcze cios i przeciwważą dwa — trzy korpusy Niemców, zwolnione przez ostateczne opanowanie Antwerpii.

Jakkolwiek bądź, smutne to, żałobne dzieje! Belgia aż po Ostendę w szponach niemieckich; Niemcy mają niebawem ogłosić aneksję całego kraju; ludność Antwerpii schroniła się do Holandii i do Anglii. Wywłaszczenia podobnego dawno już nie widziała Europa. Nie powinna się do tego widoku przyzwyczajać! Gdyby to uczyniła i gdyby teraz nie złożyła najwyższego ślubu, że zrzuci przemoc, która żelaznymi kleszczami obejmuje coraz więcej ciała ludzkości — hańba byłaby wieczysta, którą przeżyć mógłby tylko helota.

Rząd belgijski przeniósł się do Francji. Odbывают się wymiany wzniosłych słów i uczuć nieznanego światu miłości i braterstwa. Wobec nich milkną polityki, orientacje, kombi-

<sup>207</sup> *pro* i *contra* (łac.) — za i przeciw. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *crescendo* (wł. muz.) — coraz głośniejsze. [przypis edytorski]

<sup>209</sup> *była zapomniana* (daw.) — daw. forma czasu zaprzeczonego, dziś: „zapomniana”. [przypis edytorski]

nacje; wszystko co nie jest bezpośrednim porwysem serca i ukochaniem wielkich spraw. Niezdolny miłować i roztkliwiać się bezinteresownie w czasie pokoju i używania, Zachód zdobył się przynajmniej w czasie wojny na takie zmartwychwstanie szlachetności i współczucia, jakie musi poprzedzać tylko powszechną jutrznię wskrzeszonego ducha.

Dla takich chwil potrzeba ludziom Beethovenów i Chopinów!

Wieczorem

Kanonada ponowiła się na kilka godzin. Powszechnie nie nazywa się jej inaczej, jak bombardowaniem miasta.

Wieczór niedzielny ożywiony, jak mało który. Warszawa tak cichnie i rozpogadza się o zmroku, jak gdyby nie tylko krwawych łaźni nie było pod miastem, lecz jak gdyby wojny nie było wcale. Opowiada się o grasowaniu Prusaków w Pruszkowie, o strasznych epizodach z ucieczki biednych mieszczan, o paleniu się lasów podmiejskich, o równaniu z ziemią majątków wzorowych i osad dla „postrachu”, o przygodach niewczesnych inteligentów, których za spacer w pobliżu pozycji o mało co nie oddano pod sąd wojenny lub nawet polowy — jako o zajściach z zapomnianych już czasów wojny europejskiej, tj. sprzed trzech lub pięciu godzin.

Spory o orientację przerzedziły się mocno. Pytany przez rozmaitych półgłówków, dałem do zrozumienia, że nie mam żadnych orientacji, lecz wyznaję jedynie jakieś zasady, wypływające z pewnych nieocfionych faktów:

1. Nie jestem bombą rzuconą z aeroplanu. Bomba musi i powinna mieć orientację, żeby wiedzieć, gdzie paść. Ja nic wiedzieć nie muszę, gdyż za mnie wiedzieć będą, uczynią wszystko i postąpią, jak się im podobać będzie — wypadki. Mieć orientację może tylko istota czynna, pani swej woli, ruchów i myśli. Ja zaś, tak samo jak i wy panowie, odgrywam poetyczną wprawdzie ale bardzo nikłą rolę, rolę czysto pasywną, listka unoszonego przez huragan.

2. Wszelka zmiana w położeniu społeczeństwa, złożonego z 11 milionów głów (nie najtęższych przeważnie) jest „awanturą”, czyli czymś niepewnym, co może przynieść zyski, ale może i straty. A dla nas najmniejsza strata już jest bankructwem.

3. Na razie, zbratany współczuciem z cierpiącym i głodnym miastem, z tysiącami i krociami idącymi na straszliwy bój, codziennie, w moich oczach, ażeby już nazajutrz powrócić bez rąk, nóg, oka, lub szczęki, z wyszarpanymi przez szrapnele płatami ciała, z urwaną połową twarzy, skąpanymi we krwi swojej i swoich towarzyszków broni — byłbym potworem, gdyby moje sentymenty polityczne zwracały się ku tym, co tych okropności są sprawcami.

Wszystkie filozofie moje klękają pokornie u łoża rannych i błagają o przebaczenie, że były kiedyś filozofiami.

A prawda — jedna filozofia jeszcze we mnie żyje i nawet natrętnie ciśnie się do mózgu. Czy Rosja wie, jak olbrzymie zadanie może teraz spełnić? Czy zdaje sobie sprawę, że zwyciężając Niemców, ocali świat, to znaczy siebie, nas, Francję i Belgię, i wszystko, wszystko, co jest dumą i chwałą ludzkości?

Wobec ogromu tego zadania niczym jest to, które spełniła przed stu laty zadając klęskę Bonapartemu. Tyrania Napoleona byłaby tyranią jednego wielkiego człowieka, łagodzoną przez stojący za nim wysoki naród francuski. Tyrania Kruppa będzie ciemnictwem<sup>210</sup> 70 milionów ludzi, u których wysokim jest przeważnie brzuch.

Jest konieczne dla szczęścia i rehabilitacji świata, po prostu dla jego możliwości życia w wolnym powietrzu, ażeby tym razem Berezyna płynęła znacznie więcej na Zachód i, co najwyżej, wzdłuż lewego brzegu Wisły...

19 października, poniedziałek

Nad moją głową, w chwili gdy był przy rogu Siennej i Marszałkowskiej, przeleciał aeroplan. Nie wiem dlaczego, czułem go w powietrzu już przed chwilą i właśnie miałem się tym przecuciem podzielić z towarzyszem. Monoplan leciał nie zbyt wysoko, ale że obłoczki na błękitnym niebie płynęły jeszcze niżej, więc raz po raz ginął za nimi. Na raz stupiorunowy, łamiący duszę trzask, huk i błysk. Przechodnie rzucili się do bram i sklepów; ja nie uczyniłem tego, bo szybko oświeciła mnie myśl, że skoro żyję i cały jestem,

<sup>210</sup>ciemństwo — ucisk, prześladowanie. [przypis edytorski]



to nie ma się po co chować. Wnet zagrały suche rulady<sup>211</sup> kartaczownicy, podobne do kamieni spadających błyskawicznie po usypiskach żlebu. Przyznaję jednak, że widok płochu, więcej jeszcze niż grom pocisku, przyspieszył mi gwałtownie bicie serca. Zapewne zbladłem porządnie.

Siedliśmy w dorożkę i kazaliśmy ręczo jechać; nie zbyt rażno było mieć w dalszym ciągu nad sobą skrzydlatego czarta. Niebawem rzucił drugą bombę, która spadła w dziedzińcu jednego z domów przy ul. Brackiej. Byliśmy już wtedy pod dachem.

Owa zaś pierwsza ugodziła podobno w bruk na rogu Złotej i Marszałkowskiej — a więc kilkaset kroków zaledwie od nas.

W kwadrans miasto zapomniało o bombach.

Jest ono — zajęte głównie komentowaniem dzisiejszej ciszy za murami. Po ulicach krąży więcej domysłów niż ludzi. Najpopularniejszym jest przypuszczenie, że walkę obie strony przerwały dla pochowania poległych i wywiezienia rannych. Łatwiejszy byłby domysł, że nieprzyjaciela odrzucono daleko i dlatego huk dział już nie dochodzi. Jednak ludzie z czerwonymi krzyżami na ramionach zapewniają, że Niemcy siedzą jeszcze w Pruszkowie, tak wysoko okopani, że bezcelowym stało się walić z armat. Stąd milczenie. Dano podobno rozkaz oskrzydlenia.

Na ogół przeważa nastrój pesymistyczny. Zdawałoby się, że powinno być przeciwnie; ośmiodniowa kanonada mogła przekonać wątpiących, że jesteśmy bronieni potężnie. Ale tak nagle i oszałamiająca bliskość nieprzyjaciela zachwiała na długo wiarę. Z trudem ustala się przekonanie, że siły rosyjskie tak znakomicie przewyższają nieprzyjaciela, zarówno pod samą Warszawą, jak i w górze Wisły, iż możemy spać dość spokojnie.

Spokoju odzyskać nie mogą tylko — Żydzi. Agitacja pogromowa, która już była przycichła, doszła już teraz punktu szczytowego. Propaganda ulicznych burd potrafiła swą zarazę przenieść na wojsko. Żołnierze z dalekiego Sybiru przed miesiącem nie wiedzieli jeszcze, jak wygląda Żyd, a dzisiaj dyszą już żądzą „porachowania się z nimi za szpiegostwo”. Niejednego już chałaciarza<sup>212</sup> poturbowano do krwi, na prowincji niejednego powieszono.

Darujcie mi tę dygresję, wziętą ze strycharskiego fajerantu<sup>213</sup> tragicznej wojny; jest potrzebną i nawet konieczną dla pełni obrazu.

Tegoż dnia wieczorem

... Wierzę, że cokolwiek się stanie, nastąpi taka europeizacja pojęć, że parafianśczyzna<sup>214</sup> już swego łba podnosić nie będzie. Cokolwiek się stanie z Warszawą i Polską całą, zamrze era, w której naród o tysiącletniej kulturze zwracał swoje oblicze — jak słonecznik ku słońcu — ku radzie dziesięciu magotów<sup>215</sup> i matolek.

I na pewno skończy się panowanie tego wszystkiego, co szlachetną i ongi wielką duszę Warszawy do tyła znieprawilo, że stała się godną zasiąść na stolcu<sup>216</sup> politycznej głupoty i społecznego zblażnienia.

Dzień dzisiejszy był dniem refleksji. Sprzyja temu szczególnie ślota i cisza po zażartych walkach pod miastem. Nie słychać już od dwóch dni grzmotów armatnich. I bomb dzisiaj z aeroplanów nie rzucano. Czy pogoda nie sprzyja lotowi? Czy może powietrzni bandyci dowiedzieli się, że warszawiacy po chwilowym zamieszaniu, sprawionym morderczymi wybuchami, idą tłumnie na koncert i słuchają muzyki z dawnym zachwytem i pietyzmem? Tak właśnie było w piątek.

Dość, że ołowianego nieba nie czepiał się żaden płaz skrzydlaty. Niejednemu z nas z tego powodu jest naprawdę niesamowicie. Warszawa męczy się spokojem. Kolosalna energia tego miasta, od pół wieku przeszło, a jeśli kto woli, to nawet od stu lat, trzymana na wodzy, duszona i tłumiona, wprost potrzebuje wrażeń gwałtowniejszych. One jej nie szkodzą. Umiałyby znieść dziesięć — stokroć więcej, byleby nabrać mogła w końcu szerszego tchu, rozprostować swoje ramiona i głowę wzniesić ku niebu, chociażby grożącemu ognistym deszczem śmierci.

<sup>211</sup>rulada (muz.) — element w muzyce wokalne, szybki pasaż. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>chałaciarz (daw.) — ubogi Żyd noszący chałat. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>fajerant (daw.) — przerwa lub koniec dnia w pracy. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>parafianśczyzna (daw.) — zaściankowość, prowincjonalizm. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>magot — rodzaj małpy. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>stolec (daw.) — tron. [przypis edytorski]

Przemiana, Przemijanie

Warszawa

A jednak to tylko cisza pozorna. Coś ważnego się dzieje nieco dalej od stolicy. W stronie Grójca i w stronie Skierniewic. Tak daleko? Atak. Niemcy — odparci o kilkanaście wiorst, to już wątpliwości nie ulega. Wypływa to i ze skromnego, powściągliwego komunikatu naczelnego wodza o „częściowych powodzeniach w okolicy Warszawy”. Nie brak też symptomatów, które mówią wiele takiemu, co umie czytać z twarzy jej ulic. W kawiarniach i cukierniach znowu wielu oficerów; snadź nastąpiło „odprężenie”, aczkolwiek nie pod każdym względem, bo liczne samochody, pełne wesołych kobietek z ogromnymi rajarami<sup>217</sup> u kapeluszy i w pąsowych futrach z wielkimi białymi boa, świadczą iż nadeszła chwila rekreacji dla wojownika. Porywanie branek w jasyr<sup>218</sup> do gabinetów i hoteli jest znowu tak ogólne, jak w pierwszych dniach wojny, gdy nieprzyjaciół był jeszcze za górami, za lasami.

A w dziedzinie międzynarodowej znowu sensacja. W dwa tygodnie po śmierci króla Karola Rumuńskiego, umiera San Giuliano<sup>219</sup>, minister spraw zagranicznych we Włoszech. Symbolika wypadków niemal opatrnościowa i za taką też wzięta przez wiele poważnych pism europejskich. Zdawałoby się, że i w Rzymie i w Bukareszcie znak jest dany i przeszłość się skończyła; że dotychczasowemu wahaniu się i powstrzymywaniu pozwów narodowych — sam los chce położyć kres. Ale Salandra<sup>220</sup>, następca San Giuliana nie jest snadź mistykiem: ogłosił niezachwianie zimny program egoizmu narodowego i niepoddawania się uczuciom.

Dotąd więc dwa wielkie zgony nie zrodziły ani jednego faktu o znaczeniu jakimkolwiek dla sytuacji powszechnej.

„Program trzeźwości” Salandry znaczy: czekać, aż pieczeń będzie całkiem gotowa; wtedy wrzemy w nią swój nóż i widelec.

Na ten temat oba najprzebieglejsze państwa śpiewają *unisono*<sup>221</sup>.

Kto zaś będzie kucharzem, a kto pieczenią — to dla nich absolutnie obojętne.

20 października, wtorek

Wojna i logika. Bawi mnie, gdy ludziska chcą koniecznie znaleźć ścieżkę w tym labiryncie sprzeczności, z których się składa wojna europejska. Najmniej żal mi tych, co się spierają i kłócą. Daleko więcej — tych subtelniejszych, a jednak nierozumnych, którzy w samych sobie chcą domagać się jakiegoś porządku.

Oni wszyscy zapominają — że cała ta wojna jest od początku do końca — oczywiście przewidywanego dopiero końca — negacją wszelkiego sensu i logiki. Już sama jej komparacja<sup>222</sup>, jak by powiedzieli prawnicy, ów nagłówek, opiewający „kto przeciw komu”, lub „kto z kim” — jest szczytem niedorzeczności. Potomkowie będą niegdyś spoglądali na nią, jak na zbiorową okrutną psychozę, jak na zaćmienie zbiorowe umysłu, jak my patrzymy na owe erotyczne psychozy klasztorów średniowiecznych, w których mniszki porywały i zniewalały przechodzących obok młodzieńców.

Rosja przeciw Niemcom? To znaczy: Rosja przeciw części siebie samej, którą żywiła i pieściła jak swego mistrza, swą szkołę. Niemcy przeciw Rosji — to znaczy Niemcy przeciw swemu dobrodziejowi, najlepszemu sąsiadowi, z którym żyjąc zgodnie, można się wypaść i wypchać kieszenie złotem. Pomyśleć, ile już stracił Berlin, a z nim inne stolice Niemiec przez to samo, że tam nie mieszkają szerokie natury rosyjskie, z bogacającymi hotelami, teatry, banki, zdrojowiska itp. i że ustał eksport niemiecki.

Polska przeciw Polsce? Rosyjska przeciw austriackiej i niemieckiej. Komentarzy nie potrzeba. Polacy galicyjscy pod komendą generałów pruskich dla idei niepodległości Polski! Uroczyste i feudalne rządy wiedeński i berliński nie widzą śmieszności, jaką widzimy my, gdy żołnierze niemieccy i austriaccy z całą chytrą dobroduszością ludzi prostych oddają się w niewolę Polakom spod zaboru rosyjskiego i samym Rosjanom. Olbrzymie maszyny do rozwścieczania wzajemnego wojsk w najważniejszych chwilach, jak np. gdy

<sup>217</sup> *rajer* — czaple pióro używane dawniej do ozdoby kapeluszy lub fryzur damskich. [przypis edytorski]

<sup>218</sup> *jasyr* — niewola. [przypis edytorski]

<sup>219</sup> *Castello, Antonino Paternò* (1852–1914) — markiz San Giuliano, włoski polityk, minister spraw zagranicznych w latach 1910–1914. [przypis edytorski]

<sup>220</sup> *Salandra, Antonio* (1853–1931) — polityk, premier Włoch w latach 1914–1916. [przypis edytorski]

<sup>221</sup> *unisono* (wł., muz.) — jednym głosem, w jednej tonacji; przen.: zgodnie. [przypis edytorski]

<sup>222</sup> *komparacja* (daw.) — wstępna część dokumentu sądowego wymieniająca strony procesowe. [przypis edytorski]

chodziło o Lublin lub Kraśnik, okazały się tandetą. Wściekłości nie ma; Polacy korzystają z każdej okazji, by się sobie poddawać.

Nie ma dnia, żeby ktoś nie martwił się tym, że zdobyto Antwerpię i jednocześnie tym, że zdobyto Lwów. A tymczasem to są sprzeczności — absurdy, choć płyną z uczuć naturalnych. Absurdy — albowiem zdobycie Antwerpii to strata dla koalicji, zdobycie Lwowa to przecie jej wygrana. Wojna europejska pogwałciła swą nielogiką naturalność uczuć. Z jej punktu widzenia powinniśmy wdziąć żalobę po Antwerpii i śpiewać *Hosanna* na wieść o upadku Lwowa — a tymczasem upadek Lwowa jest dla Polaka — jedynie i po prostu upadkiem i utratą Lwowa; słuszna więc i po nim wdziąć żalobę.

Gdy się na ten temat zaczyna myśleć, przychodzi zawrót głowy; wikłamy się w sprzecznościach jak w kolczastych drutach.

A już nie mówię o innych sprzecznościach: Japonia przeciwko Niemcom, swojej nauczycielce. Japonia, której wolno tylko oblegać Kiaoczou<sup>223</sup>, albowiem Ameryka nie pozwoli jej przepłynąć przez Kanał Panamski. Japonia skazana na specjalność jednego lokalnego zadania w wszechświatowej wojnie — jakież to śmieszne! Niech inni walą w całą kulę ziemską, ty pukaj dziobem w jedno miejsce, jak dzięcioł. I tutaj znowu uczucie naturalne burzy się przeciw absurdowi i roi tysiące obrazów o przyjeździe Japończyków lądem do armii rosyjskiej. Opowiada się cuda o ich nowych działach pod Ossowcem — a potem... pod Warszawą, o pułkach straszliwych miotaczy bomb ręcznych, o pułkach japońskich, przechodzących w mundurach rosyjskich przez — Warszawę.

Słowem — elementarne zasady skojarzeń zostały potargane.

Przeciwieństwem wojny jest rewolucja. Ta wychodzi cała z logiki, gorzej: z logiki w potęgę *n* czyli z doktryny, z jednej uporczywej, konsekwentnej myśli.

Czyżby tak miało być, że czego nie dokonały logika i racjonalizm rewolucji, to sprawi absurd wojny europejskiej: Kruppa walczącego z dzięciołem? Może.

Ale tymczasem wydaje mi się, że z tego chaosu powszechnego, który jest idealnym przypomnieniem chaosu Demokryta — wypadnie tylko chaos, ale nigdy harmonia. Jehowie w jego zarozumiałości będzie się wydawało, że to „duch Boży unosi się nad wodami”<sup>224</sup>, a to tylko obłoki dymu. Genezis brzmieć powinna inaczej. Z armat powstaje dym, z dymu powstaną nowe wojny i świeże armaty, z armat powstanie nowy dym i tak dalej, ad infinitum<sup>225</sup>.

Taką właściwie postać przybierze, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nietzscheańska teoria „wiecznego powrotu”<sup>226</sup>.

21 października, w nocy

Urzędy zaczynają wracać. Pomimo straszliwej sloty, życie wstępuje w serca i arterie<sup>227</sup> Warszawy. Czymże ta plucha jesienna wobec świadomości, że Warszawa ocalała? Tylko pretekstem do myśli o tym, jak strasznie musi być tam, na polu bitwy. Czyż podobna, ażeby pod tymi potopami zimnego deszczu siedzieli w swoich rowach ludzie, prawdziwi ludzie i strzelali do siebie? Jak utrzymać karabin w rękę, gdy febra trzęsie, jak utrzymać łopatę do kopania tranzei<sup>228</sup>, gdy zimno wilgotne przenika do szpiku kości? Co może te nieszczęsne istoty zagrzewać? Jaka idea, jaki cel? Czy może instynkt zachowawczy? Strach przed śmiercią? Wątpię. Wojska idą przez miasto, znużone, wyczerpane. Takim już wszystko zobojętniało. Chętnie oddałby każdy z nich wszystkie medale, jakie posiada i jakie dostanie, za jedną szklankę gorącej herbaty, za jedną godzinę snu. A właściwie oni sami już nie wiedzą, czy czegokolwiek pragną. Maszerują, bo przed nimi maszerują inni — o i koniec.

Przypuszczam, że zazdroszczą rannym, których wiozą ze wszystkich, zdawałoby się, szos. To pewna, że i od Błonia, i od Pruszkowa, i od Piaseczna. Niektóre wozy posuwają

Żołnierz, Wojna

<sup>223</sup>*Kiaoczou* — dawna koncesja niemiecka na terytorium Chin przyznana II Rzeszy przez cesarstwo chińskie. 7 listopada 1914 zajęta przez Japonię, która dołączyła do I wojny po stronie Ententy. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>*duch Boży unosi się nad wodami* — cytat z *Księgi Rodzaju*. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*ad infinitum* (łac.) — do nieskończoności. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>*teoria „wiecznego powrotu”* — koncepcja filozoficzna zakładająca, że świat powtarzał się i będzie powtarzać się wciąż w tej samej postaci nieskończenie wiele razy. W nowożytności rozwijana była przez Friedricha Nietzschego. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>*arteria* (łac.) — tętnica. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>*tranzeja* — rów łączący okopy, schrony i stanowiska ogniowe na linii frontu. [przypis edytorski]

się bardzo powoli, tak nadzwyczajnie powoli, że wydaje się niemożliwym, ażeby konie mogły tak wolno postępować. Chyba że czują instynktem, iż ciągną ciężko, bardzo ciężko rannych i bardzo nieszczęśliwych swoich przyjaciół.

Wieczorem nadszedł komunikat wodza naczelnego zawierający przegląd wszystkich operacji po lewej stronie Wisły na południe od Warszawy. Jest co do czytania. Wódz wynagrodził sobie lakoniczność poprzednich biuletynów, dał wyraz radości, oświetlił zwycięstwo jako stanowcze. Niebezpieczeństwo jest zupełnie zażegnane. Przy tym pochwalił Warszawę i pogłaskał ją po twarzy.

Rzecz prosta, iż taki komunikat, bogaty i w materiał rzeczowy, a pocieszający, i w piękne dygresje malarsko-literackie, na długo wszystkich uspokoił. Zrozumieliśmy, że tylko patrzeć, jak przywróci komunikację na Kolei Wiedeńskiej. Jakoż istotnie, dowiedzieliśmy się, gawędząc w „Nowej Gazecie”, że jutro rano uruchomią pociąg do Pruszkowa. Ktoś z dziennikarzy wybiera się na pobojuwisko. „To myśl wspaniała!”. „To i ja z panem”. „I ja”. Zebrał się kwartet poszukiwaczy wrażeń.

23 października, piątek

Chcę przeczekać, aż rapsody dziennikarskie wyśpiewają swoje pieśni o pobojuwiskach, ażeby przypadkiem ton moich wrażeń nie stopił się w jedno z ich tonem.

A po wtóre, chcę, ażeby to, com widział — choć przybyłem, jak wszyscy inni, po krwawej uczcie i widziałem niewiele — ułożyło się według pewnego sensu.

Oto dlaczego zapiszę swe dwie-trzy impresje, dopiero gdy ochłonę.

Tymczasem śledzę, co się w duszy Warszawy dzieje.

Nie jest właściwie tak rozradowana, jakby należało. Nie pozwalają jej. Teatry rządowe zamknięte, pieniędzy nie ma. Władze skarbowe zaczynają dopiero odbierać swoje biurka i stoły, pakowane do Moskwy. U góry nie znać stanowczej decyzji powrotu — więc strach jeszcze chwilami pełza i czółga się; nie chcemy wierzyć, żeby wróg tak łatwo dał się odepchnąć.

Przebąkują o nowej armii niemieckiej, która idzie od Mławy i posuwa się w stronę Modlina. Jakoż w rzeczy samej, zarządzenia komendanta twierdzy, wydane dla mieszkańców Jabłonny, Serocka świadczą, że dla tamtej okolicy nastąpiły chwile wielkiego napięcia.

Jednocześnie poczta pantoflowa przynosi wieść pomyślną, że generał Miszczenko zaszedł z swymi Kozakami pod Kalisz. Mówią o jakichś oskrzydleniach, przed którymi Niemcy mają się cofać.

Pewnej orientacji nabrać by można z pism rosyjskich, zwłaszcza „Ruskiego Inwalida” i „Armiejskiego Wiestnika”, gdyby nie ton dziwny, tak niefrenchowski, lecz fanfaroniński<sup>229</sup>. To nie komunikaty, to po pijanemu tańczony trepak<sup>230</sup>. I oto potwierdza się, że jeśli nie chodzi o kobietę, lepiej mieć do czynienia z głową niż nogami, to znaczy: sługusami. Podczas gdy komunikaty naczelnego wodza stały się teraz czysto fachowe i prawdziwie po żołniersku lakoniczne, stratedzy i sprawozdawcy gazetowi puszczają wodze bombastyczności, wcale nielicującej z epoką, w której zakazano sprzedaży alkoholu.

Ale naród właśnie takimi artykułami się upaja — nawet zarówno rosyjski jak i nasz... Albowiem serca nasze biją *unisono*. Powoli zaczynamy myśleć i czuć po rosyjsku. Stajemy się jedną duszą w dwóch ciałach. Bierzemy cudze gesty, ruchy i odzewki. Nosimy czapki jak studenci rosyjscy, oczywiście nie ci ze stolic, gdzie świat wielki jest i nieśmieszny, lecz owi z Kostrom i Kursków, gdzie *grandezze*<sup>231</sup> północną oznacza się noszeniem czapki w ten sposób, żeby była przylepioną do prawego ucha i głowy nie osłaniała, a mundur tak kusy, żeby tylna dwu-plastyka widoczna była w całej okazałości.

A mowa nasza z całą słowiańską gościnnością wpuściła do swego mieszkania całe chmary intruzów: mówimy więc na bagnety „sztyki”, na Niemców — „Germany”, zamiast „wyrządzać szkody” „przyczyniać szkody”, zamiast wojenny — „pochodny”, zamiast nacierać — „następować” itd. itd. Przedtem już nauczyliśmy się pisać: „nadzieja na zwycięstwo” i „wątpić w powodzenie” i w pierwszym lepszym numerze pisma na pewno napotkamy co najmniej kilka takich ananasów. Wkrótce wszyscy będziemy tak mówili,

Rosja, Polska

<sup>229</sup>fanfaroniński — butny, pyszny. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>trepek — taniec ludowy popularny na Ukrainie i w Rosji. Charakteryzuje się bardzo szybkim tempem w metrum 2/4 oraz drobnymi kroczkami i przytupami. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>grandezza (wł.) — wielkość. [przypis edytorski]

jak pan Połusztannikow<sup>232</sup> z „Muchy”. Może to i odpowiednie, boć właściwie mamy już tylko połowę portek.

Są to tylko pierwsze zwiastuny gruntownej asymilacji, która już nadciąga, a wnet po wojnie faktem się stanie ogromnym.

Ziemia nasza jest szlakiem olbrzymiej wędrówki narodów. Dwa i pół lub trzy miliony obcego żołnierza o wybitnej odrębności rasy lub może mieszaniny ras przewala się przez Polskę; niepodobna, żeby po nich nie zostało wielkiego etnograficznego osadu, który utworzy całą zwierzchnią warstwę. Przyłgną do nas obce zwyczaje, czucia i pojęcia, zostanie niemała część tych nieprzeliczonych zastępów, jako inwalidzi, drobni urzędnicy, kupcy, rzemieślnicy, emeryci, obywatele nieokreślonego zajęcia. Przy tym Warszawa przywróconą będzie do godności wielkiej twierdzy, którą budować będą wielkie znowu legiony rosyjskich robotników i inżynierów. Powiększy się i załoga dziesięciokrotnie. Cieszcie się, kupcy, fabrykanci, restauratorzy i kokoty.

Trzebaż<sup>233</sup> pamiętać, że Warszawa spodobała się wędrowcom. Przyglądają się z niesłychanym upodobaniem. Publicyści rosyjscy stawiają ją obok Berlina; zachwycają się jej „europejskością”, podnoszą jej olbrzymie znaczenie geograficzne, ekonomiczne i strategiczne. Słowem, Rosja teraz dopiero przetarła oczy i zrozumiała wysoki gatunek tej stolicy o wspańiałym przepychu martyrologii, krwawo-złotym blasku historyczności, o piękności, która z czasów saskich, stanisławowskich i empiru przedziera się na powierzchnię poprzez formację domów potwornych, ulic jednostajnych i szarych i dzielnic szpetnych.

Rosjanie teraz dopiero pojęli owo coś niepojętego, nieuchwytnego w duszy Warszawy, co jest jako królowa w letargu, zaczarowana w złotej trumnie. Urodzona jest dla korony, trzeba tylko, aby się obudziła...

Pokazaliśmy, czym jesteśmy, jako szafarze miłosierdzia, jako organizatorzy pomocy i samopomocy; zaimponowaliśmy nowoczesnością i dokładnością urządzeń sanitarnych; godnością i wdziękiem naszych kobiet, żarem naszych sympatii, szaloną wrażliwością naszej młodzieży na każdą wielką szlachetną pobudkę. Zrozumiano, że jesteśmy czystym Zachodem, drzewiną, która, gdyby dano jej więcej powietrza, rozrosłaby się w majestatyczny dąb, jakiemu podobnych niewiele zna cywilizacja.

Ten moment ogarnięcia nas okiem bystrym i życzliwym, choć wejrzenie to nieco spóźnionym wydać się musi, stanowi sam w sobie chwilę historyczną wielkiej doniosłości. Każde przecież życzliwe zrozumienie się wzajemne dwu wielkich narodów ma w sobie jaśnienie nowego słońca, jest tym, co karty w historii zapisuje złotem i pięknymi iluminacjami, a sztuce i poezji używa królewskiego polotu i wiary w niebiosa.

Ale — tu zstępuję na ziemię — przyjdzie i taka chwila, że może będziemy żalowali, iż Warszawa tak wiele posiada ponęt i powabu.

To, co prawdopodobnie nastąpi po wojnie, owo zlanie się dwu narodów w jeden, będzie ze stanowiska ideologii panslawistycznej nową jutrznią, żyznym deszczem; na głębie przezeń zroszonej rozpleni się jeszcze bujniej geniusz dwu najgenialniejszych plemion słowiańskich.

Ale z punktu widzenia uczuć Polaka, będzie to wielki etap na pochyłości, wiodącej w przepaść, nie w nicość, lecz w przepaść Polska spłynie rzeką do morza rosyjskiego — wedle ulubionej formułki narodowców rosyjskich. Otchłanie zaś różnic, które dzieliły dwa narody, i nieskończoności złej pamięci, cierpienie z jednej, zaś dręczenie z drugiej strony — okażą się tylko Puszkiniowskim „domowym sporem”, familijną waśnią, do której światu — nic.

Z tych wróżb swoich zwierzyłem się onegdaj koledze memu doktorowi Wł. S.; prosiłem, żeby ją sobie zanotował w myśli i był mi świadkiem.

24 października, sobota

Tak szczęśliwie się złożyło, że był śród nas bliski znajomy zawiadowcy stacji Prusków. Pozwolono nam skorzystać z pociągu, który szedł jeszcze trzy wiorsty dalej w stronę Brwinowa, mianowicie aż do mostu żelaznego. Ten, wysadzony pyroksyliną z posad, dość fantastycznie ku niebu wystawiał żelazne swoje wiązania i poręcze. Był to w ogólności

<sup>232</sup>pan Połusztannikow — bohater żartobliwych artykułów zamieszczanych w satyrycznym czasopiśmie „Mucha” (1868–1939), Moskał mówiący łamaną polszczyzną. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>trzebaż (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą, inaczej: „trzeba że”. [przypis edytorski]

szkielet olbrzymiego żelaznego zwierza, unoszący się nad przepaścią jakby do ogromnego skoku. Porwał uprząż, które go przytrzymały, sterczał ostrymi gnatami w dal, a popręgi z żelaza wisiały pęknięte, jak gdyby były tylko skórzane, lub nawet zwinęły się jak taśmy.

Mieliśmy więc tylko trzy-cztery wiorsty od Brwinowa.

Na poboju byliśmy już właściwie przedtem. I wtedy już znacznie obniżyłem skalę swoich wymagań. Oczekiwana panorama spustoszenia i zgliszcz rozciągnęła się na taką długość i szerokość, że szczegóły na takim obszarze zmalowały i zrzędyły. Uszkodzone dachy i nawet rozwalone domy nie tworzyły fizjonomii krajobrazu. Drzewa jeszcze okryte zielenią i zwykła poza miastem obfitość roślinności zakryły trupy domostw; trzeba je dopiero ciekawym wzrokiem wysledzać.

Prawdopodobnie w czasie bitwy obraz jest znacznie mniej spokojny i zrównoważony niż w tej chwili.

Zresztą wyobraźnia, podsycana opisami, zawsze w podobnych wypadkach spotyka się z zawodem. W opisie lub opowiadaniu zabite krowy lub konie sąsiadują z sobą o jeden wiersz lub o jeden tylko wyraz. W rzeczywistości zaś dzieli je kilkaset lub kilka tysięcy kroków. Tak było właśnie w tym wypadku. Poczciwe krowiny i koniska, dosiężone granatem lub szrapnelem na pastwisku, przez dłuższy czas były jedynym wymownym i żalonym śladem zbożnej pracy artylerii.

Przyznam się, że choć pragnąłem widzieć koniecznie stopy trupów, to jednak niepowszednio cieszyłem się, że widzę nietknięte lasy, sady, gaje i... ogromne pola kapusty. Wszystko pod Warszawą miało być spalone do cna — a tymczasem nie ma ani żadnego dymu ani żadnego popiołu. Tu i ówdzie same pola niewykopanych kartofli i wszelkich jarzyn. Również stogi i sterty w okazałej ilości radują oko. Snadź nie wszystko wojna zagrabiła.

A przecież wszystkie te dary były właściwie o jedną staję od rowów strzeleckich, w których mieszkali okopani Niemcy i nad którymi pękały szrapnele rosyjskie. Toż widzę ostre odłamki pocisków, chodzimy wśród nich i zbieramy. Cały nasyp kolejowy ma boki zażurowane granatami. Wagon, których setki i tysiące spędzono pod Warszawę, służyły snadź za osłonę; mnóstwo wśród nich potrzaskanych, wiele podziurawionych i połupanych przez kule karabinowe, niektóre pokrzywione jakby od wielkiego bólu wnętrzości; po innych poznać nie można, czy służyły do przewozu ludzi czy węgla lub wapna: zostały tylko koła, a z reszty ocalały tylko zwitki żelastwa, wiórowato zwieszane i tarzające się po ziemi.

Lewy bok nasypu również skopany i zryty; w głębokich dołach i rowach siedzieli Prusacy i prażyli ogniem. Gdzie nasypu nie ma i tor biegnie nisko, okopywano się w ścianie sterczącego nad nim pola. W takich miejscach wnęki są głębsze i wygodniejsze; sklepienia umocowane przy pomocy wyrwanych drzwi i ścian wagonów, które w ten sposób stały się pułapami. Gdzie indziej za pułap służy poręcz łóżka drewnianego lub inna jakaś deska. Dna wysłane sianem.

Tutaj więc, w tych tysiącach stanowisk i lepianek strzeleckich szła krwawa robota. Stąd wysyłano w dal liczne transporty śmierci i tutaj też przylatywały niemniej, a pewnie nawet więcej gęste chmury śmierci od pozycji rosyjskich. Co pewien czas jakaś skrawiona płachta lub oddarta część ubrania. Ale nie brak też i mniej okropnych resztek, jak np. ogromnej liczby puszek od *Rindfleisch-Gulasch*<sup>234</sup>.

Na samej stacji Brwinów uderzyła wzrok mój Muza. Smukłe żelazne połowe pulpity leżały kręgiem w deszczu i błocie, a wśród nich wielkie tomy nut dla orkiestry. Żal mi ich było serdecznie i gdyby można było, zabrałbym je. Jedna księga roztworzona była — o ironio! — na sztuce, na której widniał napis: „Marsz z Tangejzera”. To mnie oświeciło o znaczeniu tego dramatu muzycznego: widocznie Niemcy zbliżali się do osady w chwili, kiedy grała kapela wojskowa rosyjska, i biedni grajkowie, nie mogąc realnie strzelać z puzonów, bębnow i fletów, zostawili wszystko na peronie i sami tył podali.

A dalej, na prawo i lewo od stacji, już coraz więcej spustoszeń. Tu pocisk armatni w ścianie szczytowej pięknego domu wyciął otwór okrągławy, wielki jak okno weneckie; ówdzie z chałupy drewnianej zostało nieco drzazg; tuż obok sterczą kominy opalonego

<sup>234</sup>*Rindfleisch-Gulasch* (niem.) — gulasz z wołowiny. [przypis edytorski]

domu z cegły. Jeden z mych towarzyszków, zmierzający do siebie, do swego mieszkania w Brwinowie, wie od przechodniów, że zostało obrabowane. Trwożnie też szuka wieżycy na pięknej willi jednego z sąsiadów — wieżycy nie ma.

Pusto i bezludno; deszcz jesienny chłapie swoje nudne *De profundis*<sup>235</sup>; po grzańskim błocie przez ogrody idziemy do znajomych, stałych mieszkańców Brwinowa, którzy podobno najwięcej ucierpieli.

Istotnie — piękna kompozycja!

Okazała willa piętrowa zaprasza do swego wnętrza nie tylko drzwiami, których już nie ma, ale i szeroko roztwartym węglem<sup>236</sup>. Dwie ściany rozeszły się na ogród jak wrota obory, ukazując w głębi olbrzymi generalny stos gruzów. Wszystko tu właściwie jest rumowiskiem.

Od granatu, który trafił w dach, runęło pierwsze piętro, popękały belkowania, mury i sprzęty utworzyły kupy cegieł i drewna, to co ocalało, drży i trzęsie się złowrogo. O sile ciosu daje pojęcie — fakt, że fotele wyścielane, rzucone piekielnym pędem na ogród, padły na murawę już jako miękkie wiechcie<sup>237</sup> i szmaty. Straszliwy cios nie tylko burzył, ale i gniótł, szarpał, wyrzucał, ale i mełł. Sto różnorodnych zniszczeń wykonał w jednym mgnieniu oka.

Pani domu, blada i splakana, jeszcze nie otrząsnęła się ze zgrozy i lęku. Na jej steranej twarzy widać dni i noce trwogi, które spędzili w piwnicach, uciekając z willi do willi pod ognistym deszczem kul i szrapneli. Nad sąsiadami ich, podobnie schowanymi, runęło sklepienie i omal nie zostali żywcem pogrzebani. Inni sąsiedzi z trudnością wyciągnęli z pierwszego piętra swych rodziców, parę staruszków, ogłuchłych nie tylko już na mowę pieszczotliwą dzieci, ale i na ryk granatów. Na wszystkie prośby i błagania dzieci, ażeby zeszli na dół i uciekli z nimi, odpowiadali z niezamąconym spokojem: „Ależ my nic nie słyszymy!” Trzeba ich było w końcu prawie siłą wydostawać z zaciszego pokoju, w kilka zaś godzin później granat obrócił go w perzynę.

Malarz, w tych okolicach zamieszkały, bawił w Warszawie w chwili, gdy na dom jego runęła oszaląca bitwa. Przedtem jeszcze kazano wszystkim mieszkańcom osady wynosić się, ale nie mogła tego dokonać jego matka, paraliżem do łoża przykuta. Przez cały straszny tydzień nad głową jej bzykały kule i dziurawiły ściany na rzeszoto<sup>238</sup>, a ona leżeć musiała. W pierwszych dniach były jeszcze w pobliżu jakieś miłosierne istoty, które dawały jej jeść i pić, potem ich zabrakło, i sama jedna wśród bezludzia, siezonego tylko ognia bluzganiem, bez pomocnej ręki ni łyżki strawy — przeżyła jednak te katusze. Syn, gdy wróg odstąpił, zastał ją zmartwiałą z przerażenia i głodu, ale żywą. Dobrzy ludzie pomogli mu zanieść ją na rękach do odległego o kilka staj sanitarnego pociągu.

Takich epizodów było wiele. Tak wiele, i tak okropnych i nieprawdopodobnych, że w końcu ludzie przywykli do nich i już dziwić się przestali. Kobietom nie stawały już lzy w oczach; nie załamywano już rąk, słuchając, nie przeklinano i nie wzywano imienia Chrystusa. Zgroza stała się chlebem powszednim, zaprawionym drugą z nie mniej ludzkich rzeczy — ciekawością. Im bliższa orgia krwi i chichotu przelatujących pocisków, tym strach mniejszy.

Głuchy a wspaniały instynkt gromady ludzkiej czuł, że na takie widowisko czekał tysiące lat i odpowiedział na nie, nie tylko łkaniem i ściśnięciem serca, ale i jakimś łakomstwem na nadzwyczajność i niesłychaność tego waru armatniego kotliska i furii ataków na bagnety.

Mój znajomy, właściciel zburzonego domu, miał w przeciwieństwie do swej połowicy, twarz promienną, jaśniejącą. Dumny był, że widział, i słyszał i przeszedł to, o czym inni tylko czytać mogą. A przede wszystkim wołał z kochanym zapalem młodzieńca, choć ma już synów dorosłych i całkiem świadomych powagi chwili:

— To nic, panie, nie żał mi domu i dobytku; nie żał trwogi, którą przeżyliśmy, jeśli to ma być ofiara dla odrodzonej Polski! Przecież Polska musi być odrodzona!

I tak samo czuli i myśleli — a spisuję tu ściśle i dokładnie, co mi wyznano — wszyscy dookoła niego, pomimo że przeszli jeszcze jedną, najokropniejszą może z prób.

<sup>235</sup> *De profundis* (łac.) — z głębokości. Początek *Psalmu 130*. [przypis edytorski]

<sup>236</sup> *węgiel* — miejsce zetknięcia się dwóch ścian zewnętrznych budynku. [przypis edytorski]

<sup>237</sup> *wiechcie* — garść, pęk, słomy, siana, badyli, gałęzi. [przypis edytorski]

<sup>238</sup> *rzeszoto* — sito. [przypis edytorski]



Rzecz tak się miała: wszyscy mężczyźni z tego grona mieli być rozstrzelani przez Niemców.

Było to już po kilkodniowym kwaterowaniu. Kiedy stosunki między gospodarzami a intruzami ułożyły się były znośnie, myszkujące żołdactwo wykryło gdzieś pod kupą siana pół setki karabinów rosyjskich. Podniosły się wściekle pruskie pięści, a wypasione gęby rzygnęły przekleństwem i groźbami. Postanowiono po krótkiej naradzie, że mężczyźni będą rozstrzelani, a najgłośniejszy w tym gardłował Polak z Księstwa, wachmistrz czy feldwebel, nazwiskiem Szymański.

Na razie wstrzymano się z wykonaniem wyroku — zarządzono dalszą rewizję. Młodzież, która wiedziała doskonale o owym zapasie broni i tylko rodzicom z tego się nie zwierzyła, wiedziała też o znacznej partii naboju, schowanych w beczce pod jęczmieniem czy owsem. Należało za wszelką cenę tę zradziecką amunicję uprzątnąć; ale jak, gdy dom obstawiony patrolami? Dzielni młodzieńcy korzystając z ciemnej nocy przeczołgali się między wartownikami, dotarli do beczki, wynieśli i rozrzucili po zaroślach naboje, i szczęśliwie pelzając na czworakach, wrócili.

Byliby godni pochwały Edmonda de Amicis<sup>239</sup>.

Gdy Niemcy dalszych dowodów zdrady nie znaleźli — a badali i owej beczki zawartość — gniew ich udało się poskromić któremuś z oficerów i skazańcom darowano życie.

Przejścia te nie tylko że nie zamąciły pogody ducha i nawet pewnego rozradowania moich przyjaciół, lecz nie spaczyły ich zdrowego rozsądku; oceniali rzeczy bezstronnie; wyrażali się o pobycie Niemców bez nadmiernego oczerniania. Chwalili ich nawet. Nieproszeni goście wprawdzie rychło przestali płacić za rekwirowane produkty i wykpiwać się kartkami na Berdyczów, ale — ogólnym zdaniem — oddawali wszystko bez wyjątku rannym. Bywali nawet nieraz uprzejmi i np. pomagali... gasić pożar, wzniecony przez granat rosyjski.

I to samo opowiadali mi inni moi znajomi. Odbierało się wrażenie, że Niemcy nie budzili wstrętu, owszem — nawet pewien respekt dla ładu i porządku, dla piorunującej szybkości i sprawności we wszelkiej robocie wojennej.

Wyraźnie poznawałem z opisów tę znajomą mi rasę, która jest właśnie pozbawioną wszelkiej rasy. Naszpikowana drobnymi formułkami grzeczności, pełna swych *Guten Morgen*<sup>240</sup> i *Grüß Gott*<sup>241</sup>, nawet w stosunku do napastowanych i wyzyskiwanych — zarazem przy lada sposobności obnażała swą żarłoczność na wszystko, co może lepiej smakować, swą chciwość łupieżczą, a w razie gdy nie może jej zaspokoić, swą bezwzględność okrutników. Małomieszczański ekwipunek reguł towarzyskich, pedanterii i tresur społecznych nie pozwala im być wielkimi i szerokimi w szponach i uchwycie, i na odwrót, ukryta na dnie srogość automatycznych bestii, przeszkadza rozwinąć się i okrzepnąć w drugą naturę — tresunkowi i kulturze.

25 października, niedziela

Zanim wrócę do notat o wycieczce na pobojuwisko, muszę wprzód powitać wspaniały znak życia, który dała Anglia.

Nie pozwala ona Niemcom ustawić dział wielkiego kalibru na wybrzeżu belgijskim, między Blankenberge a Holandią. Atakuje z morza i z nieba. Hydroplany wskazują pozycje niemieckie, a flota celnymi strzałami je niszczy. Zaczął się wielki bój w powietrzu. Wodoloty brytańskie walczą z samolotami Niemców i podobno strąciły jeden z nich do morza.

Oto prawdziwy Albion, oto pan ładu, morza i powietrza.

Mam wrażenie, że z dniem wczorajszym, który tę nowinę przyniósł, otucha wstąpiła w wojska związkowe. Wieje ona z telegramów o zaciętych bitwach pod Arras, La Bassée i Armantières. Niemcy gotują się do zadania stanowczego ciosu: chcą przerwać front francuski. Jest to po dłuższej ofensywie początek nowego furiowego natarcia.

I sprzymierzeńcy wiedzą doskonale, że to dzień sądu ostatecznego i z pewnością do stoją przeciwnikowi pola.

<sup>239</sup> *Amicis, Edmondo de* (1846–1908) — włoski pisarz i dziennikarz, autor powieści dla młodzieży *Serce*, cenionej za bogactwo bodźców moralnych i patriotycznych. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> *Guten Morgen* (niem.) — Dzień dobry! [przypis edytorski]

<sup>241</sup> *Grüß Gott* (niem.) — Szczęść Boże! [przypis edytorski]

Jeśli dotąd brały się za bary dwa męstwa, dwie energie, to teraz chwyciły się za ramiona dwa szaly zgrzytające zębami. Zaczyna się walka na śmierć. Krew popłynie szerszymi strumieniami. Depesze z Zachodu będą jeszcze ciągle brzmiały: „Posunęliśmy się nieco naprzód” — ale nieraz też ustąpią miejsca innym, jak np. wczorajsza: „Sprzymierzeni zmuszeni byli cofnąć się w kilku punktach”. Ale zapowiadają przybycie świeżych wojsk angielskich. Podobno lądują rycerze z Indii Wschodnich. Coś się dzieje potężnego i tak dumnego, że wielki twórca *Salambo*<sup>242</sup>, gdyby żył, mógłby bez odkopywania zamierchłej starożytności Kartaginy malować swoje płomienie piekła i rzeźbić memnonowe<sup>243</sup> kształty...

Wojownicy z krainy sanskrytu, czyż wy wiecie, że waszym sztandarom błogosławi Warszawa, pewne miasto w Europie nad Wisłą, stary romantyk, wiekuiście wzdychający do palm wschodu i farysów pustyni? Czy wam kto powiedział, że z innym zapalem poprowadzą was w bój wodzowie, gdy się dowiedzą o zwycięstwie pod Warszawą?

Czy ty, Warszawo, płocha i odważna, sama zdajesz sobie sprawę, że walka o Ciebie, która Cię ocaliła, odbiła się echem po szeregach francuskich, angielskich i belgijskich? Dwugłowy orzeł królewski Zachodu, *Joffrench*, przeczytał w rozkazie dziennym suchą, żołnierską pieśń o Tobie spracowanym bohaterom, walczącym o honor, cywilizację i wolność...

26 października, poniedziałek

Nie mogę tego inaczej nazwać jak zabawą. Jak w najpiękniejsze dni maja, warszawiacy rzucili się w bliższe i dalsze okolice miasta oglądać pobojuwiska. Próbowałem i ja wczoraj dostać się na letnisko — na stacji kolejki czekali już na mnie bliscy, a z tą okolicą dobrze zżyci, ażeby mi być przewodnikami po mało znanych terenach leśnych, gdzie najzawzięciej walczone. Nie udało się, pomimo, iż przyszedłem o całą godzinę wcześniej. Dawałem całkiem poważne grosze za odstąpienie mi piędzi na stopniu, ażebym mógł ucześcić się poręczy, choćby jedną nogę trzymając w powietrzu. Prózne starania. Nikt wtedy nie był czuły na pieniądze, na ból, na zaduch, lub na świszczący wiatr. Stano na buforach wagonów, na łańcuchach, na każdej wystającej deseczce. Z jednego wagonu towarowego dochodziły piski i krzyki jak z cielętnika, szczelnie zapchanego beczącymi pasażerami.

Za całą pociechę służyło mi to, iż byli tacy, co sypnęliby złotem, żeby móc ten pociąg sfotografować. Zaiste na taki widok trzeba było czekać aż do wojny europejskiej. Wagony czyniły wrażenie, jak gdyby je zanurzono w jakimś gęstym lepkim mrowisku ludzkim, a potem wyciągnięto na wierzch. Była to jakaś wielogłowa masa żyjących stworzeń, oblepiająca z zewnątrz i z wewnątrz wielkie pudła zielone i żółte.

Tuż obok, na linii zapasowej, stał przygotowany drugi pociąg, który miał odejść o pół-trzeciej godziny później. Jadąc nim, byłbym na miejscu dopiero o godzinie pierwszej i niewiele zostawałoby dnia na zamierzone wycieczki, więc dałem zupełnie za wygraną. Przyszło mi to tym łatwiej, że i ten pociąg był już najdokładniej oblepiony masą ludzką, skazującą się dobrowolnie na trzygodzinne czekanie, bądź w spotniałym tłoku, bądź w fantastycznym zawieszaniu u dachów i stopni.

Znajomi moi twierdzili jednak stanowczo, że *pod wagonami* nie było pasażerów. Nie mogąc sprawdzić z powodu frędzli stu nóg, spadającej do samej ziemi, musiałem uwierzyć. Również dowodzone, że w rurze komina nie ma ludzi. I o tym przekonać się nie było podobieństwem. Lokomotywa tak doszczętnie straciła właściwe swe linie, że tylko rzadka smuga dymu pozwalała domyślać się istnienia parowozu, aczkolwiek mogła przecież wychodzić z czyichś ust lub z papierosa.

Podziwiałem dar ekwilibrystyczny ludu warszawskiego, jego przedsiębiorczość i odwagę. Szkoda, że nie mamy swojej marynarki. Ci wszyscy jakimiz znakomitymi byliby majtkami, jakżeby wspinali się na maszty!

<sup>242</sup>*Salambo* — powieść Gustawa Flauberta z 1862 roku, której akcja rozgrywa się podczas wojny Kartagińczyków z najemnikami w III stuleciu p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>*Memnon* (mit. gr.) — syn Eos (Jutrzenki), król Etiopów, uczestnik wojny trojańskiej; zginął z ręki Achilleusza. Jeden z dwóch kolosalnych, wysokich na 15 m posągów faraona Amenhotepa III w Egipcie, w Tebach Zachodnich, nazywano statuą Memnona, ponieważ od czasu, gdy został uszkodzony przez trzęsienie ziemi w 27 r. p.n.e., rankiem wydobywał się z niego dźwięk, interpretowany przez Greków i Rzymian jako wołanie Memnona do matki. Zjawisko to wywołane było ulatwianiem ogrzewającego się powietrza przez szczelinę w posągu i ustalo po jego naprawie. [przypis edytorski]

Nazajutrz pociąg już nie odszedł, czy też odszedłszy — nie wrócił. Okazało się, że to zupełnie słaba idea wieźć kilka tysięcy pasażerów „na gapę”, w dodatku prowokować tuzin katastrof, zdużeń i porażeń. Serce Warszawy bije teraz za jej przedmieściami. Miazga jej rozlała się na wielkiej pości wschodnio-południowej kraju, której jeden bok stanowi linia kolei kaliskiej aż po Błonie, a drugi — Wisła, aż do punktu, leżącego na równi z Konstancinem i nieco bardziej na zachód — Piasecznem. Jest to przedpole teatrów walki, które się toczyły wzdłuż frontu Błonie — Dęblin.

Szczególny widok przedstawiały pola i drogi. Biedni ludziska, wyrzuceni z swych siedzib na bruk Warszawy, wracali teraz pieszo z całym dobytkiem na plecach do swych ograbionych domów, płacząc, i uginali się pod ciężarem. Tu i owdzie skrzypiała mizerna furka, zaprzężona w jeszcze mizerniejszego chabeta, i co kilkaset kroków grzęzła w beznadziejnym błocie jesiennym.

A nierzadko spotykało się rodziny, uciekające dopiero do miasta. Wystraszone porażkami rykami dział, teraz dopiero odważyły się wyrzucić na świat boży; nie wiedząc nic o odparciu najeźdźcy, ruszyły w oplakaną drogę. Oglupiali nieprzytomni, dziwili się tym, co już wracali, za nic wierzyć nie chcieli, że krwawa burza minęła.

Ale najwięcej snuło się po świecie ciekawskich. Młodzież z plecakami, starsi z koszykami prowiantu, cywilni maroderzy<sup>244</sup> z pięćdziesięcioletniego korpusu warszawiaków bez określonego zajęcia, szli najczęściej od samego miasta pieszo. Oglądali każdą norę transzei, każdą dziurę w drzewie, każdą świeżą mogiłę, szukali nabojów, ładowali do koszy łuski szrapneli, wchodzili do blindażu<sup>245</sup>.

Szli tysiącem dróg, jakby na wielki odpust przynosili z sobą pamiątki. Ten czapkę landszturmisty, tamten bagnet, ów tornister. Pod wieczór niejeden miał i pikielhaubę pod pachą, a nawet karabin niemiecki, który mu rychło odbierał nielitościwy żandarm rosyjski.

Od razu, jak gdyby się cały świat z sobą porozumiał, zrodziła się moda pamiątek. Zazdrozczono tym, którzy np. z linii piaseczyńskiej przynosili piękne szrapnele pruskie, całe cylindry, podobne do majolikowych, dźwięczne jak kryształ czeski, niezmiernie ciężkie. Mniej popytu miały rosyjskie, ile że z mniej pięknego metalu; z tych i tamtych będą wazony do kwiatów. Znajdowano i szrapnele niewybuchłe, które potem w Warszawie torowały swym szczęśliwym posiadaczom drogę do nieśmiertelności w „Kurierach” przy pomocy rubryki: „Śmiertelne postrzały”, „Tragiczne pamiątki z pobojuwisk”, itp. Ktoś z mego otoczenia znalazł w Skolimowie bombę ręczną niewystrzeloną i w nieświadomości chodził z nią przez cały dzień. Gdy tak ją trzymał w ręku, oficer przechodzący obok, dostrzegł ją i aż krzyknął ze zgrozy, odebrał szczęśliwie i w bezpiecznym miejscu ulokował.

I ja wzięłem sobie pamiątkę, ale o wiele cichszą i skromniejszą.

Kiedym wracał pieszo z Brwinowa do Pruszkowa, i z trudnością omijał dzikie sploty drutów telegraficznych, pokrywających całe poblizsze planty — podszedłem ku dwóm ciałom poległych Niemców. Gromadka ludzi była niby zajęta ich grzebaniem, ale właściwie więcej niż pochówek interesowały ją mocne i zdrowe buty na nogach nieboszczyków. Oczywiście kieszenie już były wywrócone na wierzch.

Przedtem widziałem z dala inne pole, na którym snem wiecznym spoczywało dziewiciu Niemców, już tylko w samej bieliźnie. Ci zaś dwaj byli jeszcze ubrani. Jednego mi było szczególnie żal, może dla tego, że wyglądał na męża i ojca rodziny. Gdzie otrzymał śmiertelny postrzał, nie mogłem zmiarkować; widziałem tylko na piersi obnażonej czerwień jakichś krwawych podskórnych linii i zygzaków i sine kwiaty mrozu śmierci.

Obok leżały papiery jakieżś, a wśród nich małeńka książeczka, zmięta, oprawna w liche czarne płócienko; wyglądało to jak notes ubogiego bardzo człowieka. Podniosłem, z krwi otarłem; był to śpiewnik polowy, *Feldgesangbuch für die evangelischen Mannschaften des Heeres*<sup>246</sup>. Zbiór pieśni pobożnych różnych poetów niemieckich, począwszy od polowy

<sup>244</sup>maroder (daw.) — dezertor dopuszczający się w czasie wojny rabunków, kradzieży i innych przestępstw. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>blindaż — drewniany lub blaszany daszek nad okopem zabezpieczający żołnierzy przed padającymi z góry kulkami szrapnelowymi i odłamkami granatów. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>*Feldgesangbuch für die evangelischen Mannschaften des Heeres* (niem.) — Ewangelicki śpiewnik polowy dla wojska. [przypis edytorski]

szesnastego wieku; w końcu zaś kilka psalmów z *Psalterza Dawidowego*, i jako ostatni, *Psalm 91*:

„Kto się w opieką odda Panu swemu”.

Niewiele ci, nieboraku, pomogły królewskie modlitwy i oto leżysz jak ostatni nędzarz, na obcej ziemi, a ludzie, więcej głupi niż źli, więcej ubodzy niż złośliwi, ogałają cię z ubrania, abyś stanął przed obliczem Pana tak właśnie, jak cię stworzył. Poznacie się wzajemnie: On, bo ma boską pamięć i musi przypomnieć sobie ów milion dzieci swoich, co poległy w trybie mocno skróconym, w ciągu trzech miesięcy. Ty zaś, boś Go wołał natchnionymi słowy Theodora Körnera<sup>247</sup>: „*Vater, ich rufe Dich!*”, a potem: „*Gott, ich erkenne Dich!*”<sup>248</sup>

To właśnie ta sama pieśń, do której dorobiono muzykę potężną i podniebną, jak pioruny dział, jak *Kierowca bitew*, a którą i ja w śmiertelnych bojach mojego cywilnego życia śpiewałem. Oto w drodze próbuję ją spolszczyć naprędce.

Ojcze, ja wzywam Cię!  
Ryczących armat dym mię osklepia,  
Wokół migocą błyskawic ślepie,  
Kierowco bitew, ja wzywam Cię!  
Ojcze, poprowadź mię.

Ojcze, poprowadź mię!  
Prowadź w zwycięstwo lub na skonanie,  
Panie, poznaję Twe przykazanie,  
Jak wola Twoja — poprowadź mię!  
Boże, poznaję Cię.

Boże, poznaję Cię!  
Czyli w jesiennych liści pogwarze,  
Czyli w bitewnych gromów pożarze,  
Prażródło łaski, poznaję Cię,  
Ojcze, błogosław mię!

Ojcze, błogosław mię!  
W ręce Twe składam mój skarb żywota,  
Twój to dar, zabierz, jeśli-ć ochota.  
Na śmierć, na życie błogosław mię!  
Ojcze, ja wielbię Cię.

Ojcze, ja wielbię Cię,  
Toć to nie walka o ziemskie dobra,  
Świętego świętych broni dłoń chrobra,  
Przeto, zwycięzca czy zwyciężony,  
Szukam Twej schrony.

Boże, jam jeniec Twój!  
Gdy grom mię rzuca na śmierci żniwa,  
A z żył otwartych krew moja spływa,  
Tobie, mój Boże, poddaję się!  
Ojcze, ja wzywam Cię!

Tak śpiewał poeta-żołnierz, równo sto lat temu poległy, a z jego słowami na ustach umierają teraz na Polskiej ziemi jego rodacy.

<sup>247</sup> *Körner, Theodor* (1791–1813) — niemiecki poeta, autor pieśni zachęcających do walki z Napoleonem, nazywany „niemieckim Tyrteuszem”. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> *Vater, ich rufe Dich!; Gott, ich erkenne Dich* — cytaty z *Gebet während der Schlacht* autorstwa Körnera. [przypis edytorski]

Zrosili ją bardzo krwią swoją. Na polach, nieopodal rowów i okopów, którymi są przetrnięte w różnych kierunkach, jakby pasmami kretowisk dla olbrzymów, czerwieni się jeszcze niewielkie bajory krwi. A nigdzie jej tyle nie widział, co w opuszczonym lazarecie w Brwinowie. Smutny szpital! Przed budynkiem w ogrodzie kupy krwawych resztek i śladów; trawa czerwona od zeschniętej krwi, pościel krwawa, stos mundurów i czapek żołnierskich, w których krew zastygła można by krajać jak bulion nożem. Tu jeszcze ucho moje słyszy jęki i westchnienia, a przede wszystkim płacze... A byli to ludzie tęskniący i czujący, że umierają na obczyźnie, posłani na rzeź, nie wiadomo po co i na co. Listy, pocztówki, skąpane w dżdżu i krwi, mówiły głośno, że kto się umie bawić w takie cywilizacyjne zbytki, jak pisanie i odbieranie takiej masy listów, temu umierać trudniej, a być zwyciężonym — łatwiej.

To też gromadka tych niewczesnych zdobywców Warszawy leży w mogiłce, oznaczonej kilkoma krzyżykami, naprędce zestruganymi, ku wielkiemu dziwowisku miejscowego ludu, który nie wiedział, że — Niemcy to chrześcijanie.

Nie mogliśmy się wszakże dowiedzieć, gdzie pochowano owego wielkiego dygnitarza, księcia czy generała, który przyjechał tu w czasie bitwy i niespodzianie prędko również świat ten pożegnał. Przyjęła go wśród grzmotu dział warta honorowa, oficerowie wyprostowani salutowali, potem zastawiono stoły na ucztę w lesie, a gdy biesiadnicy pili zdrowie swojego cesarza — prask! Padł granat, oficerów zmiotł jak kieliszki do wina, a wielkiego księcia czy dostojnika tak przeobraził w okamgnieniu, że żołnierze ponieśli tylko jakąś krwawą masę w obrusie, ażeby ją oddać ziemi.

Nie brałem tych rzeczy do serca. Obfitość wrażeń i budzonych przez nie refleksji nie pozwala zastanawiać się. Zresztą, chwilami bywało mi wesoło. Do Pruszkowa straż ogniowa w złotych kaskach przyprowadziła około 40 jeńców. Zebrało się tylu z różnych miejsc, w których Niemcy, zapóźnieni w odwrocie, ukrywali się, a potem przed pierwszym spotkaniem, a nawet przed wiejskimi babami, rzucali broń i błagali o łaskę i kawałek chleba. Dla wielkiej ciżby zgromadzonej na peronie była to uciecha, gdy ich, głośno licząc, strażacy wciągali po stromych stopniach do wagonu sanitarnego, przerebionego z towarowego. I jeńcom było raźniej, byli to przeważnie Polacy, jak większość tych wynędzniałych, zziębniętych i głodnych, których co kilka godzin prowadzą ulicami Warszawy.

Jest to bowiem ogólna likwidacja wielkiej bitwy. O dwie, trzy mile od miasta i tam, gdzie byłem z swymi towarzyszami, jeszcze padają jakieś zabłąkane kule i pękają szrapnele — a w samej Warszawie rozpoczął się nowy, końcowy akt widowiska: prowadzenie wziętych do niewoli. Ilekroć usłyszysz z dala okrzyk pauprów<sup>249</sup>: „Wiluś! Wiluś!”, bądź pewnym, że zobaczysz zwartą kolumnę gapiów, eskortujących krok w krok z żołnierzami rosyjskimi — partię Niemców w pikielhaubach lub czapkach bez daszków albo ułanów austriackich w niebieskich mundurach, dobrze podszytych futrem, ze złotą frędzlą z tyłu, i czerwonych spodniach. Niektórzy idą smutni z spuszczonej głowami — niektórzy uśmiechają się do gawiedzi, gwarzą lub usiłują gwarzyć po polsku. Dobry ludek warszawski pomimo drwiących okrzyków cieszy się swojakami, daje im papierosy, brata się.

W ten sposób odbywa się już częściowo Zjednoczenie Polski...

W wieczór moje usposobienie, ożywione i podniecone, minęło. Pokój własny to zawsze gniazdo refleksji. Liryzm, wnioski i uogólnienia, zapewne zbyt pośpieszne, obsiadły mój mózg. Powiedziałem sobie, że Niemcy przy całym swoim rozumie, dowiedli odwiecznej głupoty, wybierając się na wojnę do kraju, gdzie pola nie są wyścielane pierzynami. Uwagami tymi i spostrzeżeniami podzieliłem się z kilkoma dziennikarzami — naza jutrz znalazłem je w jednym z „Kurierów” — zostały zarekwirowane. Z tym burżujskim poszanowaniem życia swojego i umiłowaniem wygod mieszkać tydzień cały w zimnych rowach, chorować w lazaretach, które tym się tylko różnią, jak ów brwinowski, od cel obskurnego więzienia, że na jedną zamiast jednego mieszkańca przypada trzech!

Żeby tu mieszkać, trzeba być mniej przywiązany do ładu. Chłop polski lub rosyjski nie ma w domu pianina, elektrycznego światła i wygod angielskich, jak ci włościanie niemieccy, u których nieraz zdarzało mi się nocować.

Przy tym chłopu słowiańskiego można posłać na „wybitkę” — parę korpusów pole-

Polak, Niemiec

<sup>249</sup> *pauper* (daw.) — żebrak, ubogi. [przypis edytorski]

gnie, nawet parę armii, ale w końcu nieprzyjaciela się dosięgnie. Lawina wojska jeśli się toczy bez przerwy bez liczby, może pokryć lawę granatów i szrapneli. Jest to co prawda metoda prosta, ale skuteczna. Potrzeba tylko, ażeby w perspektywie przyszłości było dużo płodnych małżeństw dla wyrównywania szczerb w zaludnieniu, ale w tym kміeć słowiański jest zawsze tegim majstrem. Przyzwyczajony jest do dzieci i do lodu. Stąd pewne przysłowie: „Dzieci jak lodu”.

Z taką metodą akademicką sztuka wojenna niemieckich lejtnantów<sup>250</sup> w monoklach nie da sobie rady — to trudno.

Likwidacja wielkiej bitwy pod Warszawą dokonywa się szybko.

Nic nie warczy złowieszczo nad głowami, nic nie grzmi i nie ryczy za murami miasta. Głęboki spokój wstąpił w serca mieszczuchów — ulice wyglądają jak przed gwiazdką lub święconym.

27 października, wtorek

Skarżą się różni magnaci, którzy po 30 latach pracy nauczycielskiej lub literackiej zdołali sobie kupić dwa arkusze gruntu na przedmieściu i postawić na nim domek z tektury, że im w ogródkach grzebią poległych Prusaków. A w dodatku chowanie odbywa się bez wielkich zachodów; wykopią dołek na łokieć głęboko, potem nieboszczyka przysypią ziemią — i to się nazywa mogiłą. Gdy przyjdzie większa ulewa albo pierwsza odwilż i cienką kołderkę spłucze, biedny Niemiaszek przedstawi się magnatowi w całej swojej nagości.

Takich ogródków lub poletek zamienionych na cmentarze — setki i tysiące.

Albowiem teraz, panie dobrodzieju, jak wojewoda z *Mazepy*<sup>251</sup>, „grzebiemy ryczałtem”; komuś w okolicach Piaseczna zafundowano tuż przy letniaku 21 nieboszczyków. Gdzie indziej znów spoczywa sobie w blindażach, z lekką głową, a właściwie bez głów spora gromadka Niemców, i jakoś nikt nie spieszy z pochowaniem. Podobno szukają głów, a że znaleźć nie mogą, więc czekają, aż kundle i kruki ułatwią robotę. Owdzie, w okolicach Góry Kalwarii, rzucono do wspólnego dołu kilkaset zuchów niemieckich — winszując sąsiadom przyjemnych snów.

Tam znowu... Przepraszam, chciałem zacząć wyliczać — zapomniałem na śmierć, że to Jaśnie Wielmożna Pani „Europejska”, najbardziej ideowa, w obronie ludów walcząca wojna. Zapomniałem, że taka dostojna Jejmość operuje tylko bardzo wielkimi cyframi.

Nie lubiłem nigdy statystyki — na uniwersytecie nudziła mnie, jako lektura usypiała. Przeklinałem ją — teraz klątwy moje się ziściły. Statystyka wzięła w łeb. Kto by chciał teraz obliczać poległych, rannych, osieroconych, spalonych, złupionych, żywcem pochowanych, musi zerwać z pokurczem statystyki. Trzeba wprowadzić takie miary, jak np. tony, zamiast funtów i pudów. Na przykład każdy dzień przynosi 3000 ton nieboszczyków: pod Warszawą, Mławą, Rawą, Gandawą, Bakalarzewem, Serajewem, Sochaczewem, Ossowcem, Krakowcem, Lięgem, Sandomierzem, Modlinem, Dęblinem, Lublinem, Turobinem, Lwowem, Ciechanowem, Tomaszowem, Augustowem itd. itd.

Śmierć przestała robić wrażenie i rannych nie obrzuca się już kwiatami, bo na to nie starczyło by całego Szirazu<sup>252</sup> róż, całej Parmy<sup>253</sup> fiołków i całej Prowancji storczyków. Przy tym żołnierz lub oficer nieranny nie ma żadnego sensu. Dzienniki wszystkie podają co dzień kilkanaście opowiadań o cudownych bohaterstwach — ale tego nikt nie czyta, bo heroizm staniał okropnie. Wyszukane heroizmy, heroizmy istotne, poświęcenia bezgraniczne, szaleńcze męczeństwa, czyny odwagi bajeczne — przestały być epizodami ciekawymi lub niezwykłymi. Z początku każda taka opowieść, każdy czyn wielkiego męstwa wywoływał entuzjazm i okrzyk: „To gotowa pieśń, to rapsod bohaterski!” albo: „To gotowa nowela Guy de Maupassanta<sup>254</sup> z roku 1870!” A dzisiaj? Trzeba by stworzyć nową

Wojna, Śmierć

<sup>250</sup>lejtnant — stopień oficerski w armii rosyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>Mazepa — dramat Juliusza Słowackiego w Paryżu powstały w II poł. 1839 r. Jego głównym bohaterem jest młody Iwan Mazepa, paź i dworzanin królewski, przyszły hetman kozacki. Akcja toczy się w XVII w. na zamku wojewody, którego odwiedza król Jan II Kazimierz Waza wraz ze świtą. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>Sziraz — miasto w południowym Iranie, nazywane również Miastem Róż. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>Parma — miasto we Włoszech znane z uprawy rzadkiej odmiany fiołka nazwanego fiołkiem parmeńskim. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>Maupassant, Guy de (1850–1893) — francuski pisarz zaliczany do nurtu naturalizmu i dekadentyzmu, znany zwłaszcza ze swoich nowel, w których zawarł doświadczenie wojny francusko-pruskiej. [przypis edytorski]

*Mahabharatę*<sup>255</sup> i *Ramajanę*<sup>256</sup>, zasadzić do śpiewania 5000 poetów i pisarzy, przeznaczyć kilka kwadratowych mil papieru i kilka jezior mazurskich atramentu — ażeby spisać te wszystkie napaści i obrony, i wtedy dopiero powstałby monument — którego by nikt nie czytał. Ale byłby to monument wojny europejskiej rzetelny.

Jesteśmy wszyscy okrutnie zblazowani. Z zapałów i zachwyków, z nadziei i trwóg, została tylko drętwa obojętność. Nie jest to apatia *weltschmerzu*<sup>257</sup> — lecz cofnięcie się od widowiska, które przybrało rozmiary tak niedorzecznie olbrzymie, jest tak przy swej straszliwości *monotonne* — właśnie z powodu owych *tonn* wszystkiego — tak bezmyślne i bezcelowe, tak nadludzko głupie, że nawet największy gawron zaczyna się nudzić i uczuć coś w rodzaju obrzydzenia dla wszechhycła ludzkiego. Mars stał się zwyczajnym półgłówkiem — błaznem wszechludzkiem, a cała wojna, owo wzajemne trącenie się milionów ludzi, czymś komicznym. Ludzie zaczynają się wstydzić siebie. A zatkanie świata całego przez trupy i armie tak odebrało życiu wszelki interes, wszelką możliwość rozpędu, że największe szlafmyce dają się brać na wojnę bez wielkiego oporu — tam przynajmniej poruszać się można.

Nikommu nic nie imponuje, nikogo nic nie straszy...

Lubię bardzo pomarańcze, zwłaszcza malinowe, które Niemcy daleko trafniej nazywają krwawymi, *Blutorangen*<sup>258</sup>. Ale kiedy się znalazłem w Sorrento i mógł w każdej tak zwanej willi za dwa soldy dane ogrodnikowi zjadać prosto z drzewa tyle, ile dusza zapagnie — już nazajutrz nie brałem pomarańczę do ust. Nawet boski widok nieprzejrzaných ogrodów, osypanych złotym deszczem, to najbliższe uprzytomnienie raj — przestał mnie czarować. Wolałem patrzeć na jeden dymiący Wezuwiusz — niż na te miliony promiennych owoców.

Tak jest właśnie z wojną europejską. Za dużo rodzi krwawych jabłek. Więc nie dlatego, że braknie nam już łez i bólu, wściekłości i pogardy, że nie jesteśmy w stanie oplakać każdego korpusu poległych (pulkę to śmieszny anachronizm), lecz że nasza uwaga, nasza władza poznawcza już nie chwytają na swoją kliszę tego rozpasania się liczby purpurowych głów.

Nie tylko brzuch nasz, ale i mózg zmieścić nie może takiej masy krwawych pomarańczę...

29 października, czwartek

Układa się przed nami taki oto wielki obraz.

W miarę jak milkną odgłosy bitew pod Warszawą i wojska nieprzyjacielskie zbliżają się do dawniejszych swych pozycji, na południe od Pilicy powietrze zapełnia się inną wrzawą. Idzie ona od prawej strony Wisły, od kresów ziem polskich, a potem i od wielkich miast rosyjskich. Na jej harmonię, zataczającą coraz większe, olbrzymie kręgi, składają się uczucia sympatii dla Polski i litości nad jej nieszczęsną dolą — jako jednego wielkiego pobojuwiska.

Wybuch to spontaniczny. Warszawa nie skarżyła się, a Polska ran swoich nie pokazywała. Rosja sama odczuła wielkość strat i poświęcenia. Serca zabiły żywiej na widok pustyni i zgłiszcz, rozpościerających się w kraju pracowitym, skrzyętym i przytomnym.

Przed wszystkim tedy „Najjaśniejszy Pan” przysłał do Warszawy księcia Leuchtenberskiego, ażeby jej podziękował za wierność, oddanie się poświęcenie w ciężkich dniach walki. Potem monarcha ofiarował dla zrujnowanej Polski 200 tysięcy rubli, dar iście królewski; a wreszcie poruszyły się wszystkie koła stołeczne, dawni i nowi przyjaciele nasi, i nawet dawni nieprzyjaciele, i zorganizowali w Petersburgu trzydniową kwestę. Instytucje, stowarzyszenia, banki, wybitni filantropowie dawali tysiącami rubli. Rozlewność natury ruskiej, szeroki gest zbudzonej rycerskości i odrodzone pobratymstwo szczepowe zaimprovizowały iście złoty most z narodu do narodu. Rzekłbyś, w Petersburgu chciano

<sup>255</sup>*Mahabharata* — hinduistyczny poemat epicki, uznawany za jedno z głównych dzieł literatury indyjskiej, uważany także za najdłuższy epos na świecie. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>*Ramajana* — epos sanskrycki, przedstawiający dzieje Ramy (siódme wcielenie boga Wisznu), jego brata Lakszmanę, żony Ramy Sity (porwana przez demona Rawanę na wyspę Lanke) oraz ich wiernego towarzysza Hanumana. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>*weltschmerz* — smutek, apatia, melancholia wynikające z myśli o niedoskonałości świata, a właściwie ze zderzenia chęci działania i niemożności jego realizacji. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>*Blutorangen* (niem.) — pomarańcza krwista. [przypis edytorski]



pokazać, co znaczy naród niezdolny do drobnomieszczaństwa, naród obarczony mnóstwem błędów i win, ale skory do rozmachu dobroci i uprzejmości bez miary.

Imię Polski stało się znów hasłem dnia, jak na początku wojny, kiedy słynna odezwa naczelnego wodza wprost zapaliła umysły entuzjazmem od Irkucka aż po Londyn, i kiedy o starej kulturze polskiej i niesprawiedliwie ciemionym narodzie zagadały naraz dzienniki całej Europy.

Znowu zaczęły w Rosji śpiewać i grać *Jeszcze Polska nie zginęła! Z dymem pożarów*. Pisma stały się głośnie i wzruszone, jak bywają widzowie na dobrej sztuce. Uczczono nas artykułami niezwykłej piękności — jak na to umie się zdobywać literatura rosyjska z swą przebogata skalą półtonów i muzyki. „Piotrogród — Polsce!” — te słowa widniały na czele dzienników — po prostu pały jak na transparencie, widnym dla całego świata.

Oczywiście takie porywy czynią nastrój, stwarzają modę, są momentem uczuciowym, który nie zastąpi aktu porozumienia na trzeźwo. Są nawet weredycy<sup>259</sup> i hipochondrycy, którzy tego gwałtownego wylewu sentymentów się obawiają.

Kto wie — myślą — czy jest zupełnie szczery, czy nie policzy Rosja tych darów wspaniałych na pokrycie książęcego obliżu? I czy jest bezpiecznie przyjmować jakiegokolwiek dary wtedy, gdy się otrzymywać powinno prawa?

I czy jest politycznie — odgrywać rolę przyjmującego jałmużnę? Polska z dumą dotąd znosiła swe ubóstwo; więc i teraz miałyby dość godności, żeby przetrwać swą niedolę materialną. Zrobiono ją żebraczką...

Gdzieś, na znacznej wysokości, wyczytać by można ledwo pochwytnie słowa widma: „*Quidquid est timeo Danaos et dona ferentes...*”<sup>260</sup>

Czy to nasza wina, czy to niezdolność do zapalu — że nawet wobec takiego przypływu szczerości chowamy w sercu nieufność? A może to raczej zwyczajna wędka chłopskiego rozsądku? Dlaczego rząd nie przychodzi z pomocą oficjalnie — jak to uczynił rząd niemiecki, przeznaczając na odratowanie Prus Wschodnich ogromną sumę 400 milionów marek?

30 października, piątek

Mój dawny towarzysz i rówieśnik, Aureli Kos, uważany jest za głupca. Sam on zaś ma się za idiotę. Popełnił w życiu tyle niedorzeczności, tak zmarnował skarby swej bogatej duszy na bezpłodne marzenia, na ciągle pomimowolne czy umyślne odchylanie się od linii normalnej kariery, że w końcu musiał się stać prawie odludkiem, co jest pewnie rzadkością w nowych czasach.

Tylko przede mną, nieskończenie wyrozumiałym i słabym dla niego, odważa się wypowiadać swoje śmiesznie niepopularne majaczenia.

— Zastanów się — woła, chodząc żywo po moim pokoju — król saski był w drodze do Warszawy! Tak blisko byliśmy wkroczenia Niemców, najciekawszego przewrotu na świecie! Pomyśl no: Polska — Królestwem Saskim, włączonym do Rzeszy Niemieckiej. Królestwa nie można już traktować jak prowincji. To byłoby naprawdę wskrzeszenie Polski. Ten twój wielki zmierzch — to wielki świt!

Asumpt do tych rojeń brał z tego faktu, że wzięto do niewoli wielkiego koniuszego króla saskiego, a „Goniec Urzędowy” stąd wywnioskował, że znamienity jeniec był pewnie nie jedynym tylko dworzaniem króla Fryderyka Augusta<sup>261</sup>, że być musiał i cały dwór, że zatem przygotowany był ingres<sup>262</sup> uroczysty i pewnie wielkiej doniosłości akty.

I nie dawał sobie wyperswadować, że wszystko to razem plotki i czcze kombinacje, wymyślone dla ośmieszenia cofających się Niemców. Jest niepocieszony; o dniach bombardowania Warszawy wspomina jak o muzyce przyszłości; z prawdziwym bólem mówi

<sup>259</sup>weredyk — osoba, która ma zwyczaj mówić innym to, co myśli, prosto w oczy. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>*Quidquid est timeo Danaos et dona ferentes* (łac.) — Czymkolwiek to jest, obawiam się Danaów (Greków), nawet gdy niosą dary (Wergiliusz, *Eneida* II 49); wypowiedź kapłana trojańskiego Laokoona na widok wielkiego drewnianego konia pozostawionego przez wrogów na plaży, rzekomo daru dla bogów; fraza przysłowiowa, używana zwykle bez pierwszych dwóch wyrazów, jako ostrzeżenie, żeby nie ufać wrogom, nawet kiedy działają pozornie dla nas korzystnie. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>Fryderyk August (1865–1932) — ostatni król Saksonii panujący w latach 1904–1918, Generalfeldmarschall armii niemieckiej podczas I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>ingres — uroczyste objęcie władzy. [przypis edytorski]

o tym, jak szedł na spotkanie strzelcom<sup>263</sup>, w stronę Mszczonowa, narażając się na kule niemieckie, lub jak wchodził na dach sześciopiętrowej kamienicy w pobliżu Pola Mokotowskiego i chłonał oczyma fajerwerki pękających w oddali szrapneli i luny pożarów.

Jest to sceptyk niepoprawny, zrośnięty w jedno z nieuleczalnym entuzjastą. Kanonada pod Warszawą stała się dlań nowym mitem, legendą, nowym tematem marzenia o tym, co się już stać nie może. Sam przyznaje, że jest na rok lub może na całe życie złamany i żalobą okryty.

Żal mi go szczerze. Taka głowa — i taka naiwność!

Zapomniałem dodać, iż dlatego jeszcze pozwalam mu się wywnętrzać, że ma niezmiernie przyjemny, jasny głos, który zdaje mi się czasami świadczyć o jakiejś bezgranicznej śpiewności jego uczuć — szkoda że wiedzionych na pasku przez absurdy. Gdyby był kompozytorem, na pewno napisałby piosenkę na swój ulubiony refren: „Ten twój wielki zmierzch to wielki świt”!

...Stało się coś niesłychanego. Sensacja prawie nazbyt mocna, tak że nuda od razu uciekła. „Goeben”, „Breslau” i „Hamidie”<sup>264</sup>, ostrzeliwały wczoraj Teodozję i Charków. Bez wypowiedzenia wojny!

I znowu cześć poczcie pantoflowej; wczoraj wieczór w redakcji jednego z dzienników, stary metrampaż<sup>265</sup>, zawołany polityk, a przy tym dużo a cicho miarkujący, obwieścił: „Turcy bombardują Odesę”.

Dzisiejsze zaś telegramy głoszą o tym oficjalnie. Różnica zachodzi co do miejscowości, ale fakt potwierdza się w całym swym złowieszczym blasku...

Znowu w mieście zawrzało jak w ulu. I znowu pada potężny grad inwektyw za zdradziecki i bezczelny najazd „odwiecznego wroga” Rosji.

Jednostajność *decrescenda*<sup>266</sup> Niemców zakłóciło nagle *fortissimo*. Patrzyliśmy przez dłoń, zwiniętą w trąbkę, jak wojska nieprzyjacielskie cofają się, jak im odbierają Piotrków, Radom, a potem nawet Łódź, Tomaszów itd., aż tu naraz z całkiem innej strony zahuczał grzmot i od innego brzegu zatrzęsł się kontynent Europy.

Właściwie dla nikogo, patrzącego dalej, zuchwałe wyzwanie czarnomorskie nie było niespodzianką. Ja sam ogłosiłem przed trzema tygodniami, napisany jeszcze dawniej artykuł pt. *Los Turcji*, w którym wyraziłem się, że kości są rzucone<sup>267</sup> i los państwa otomańskiego przypieczętowany. Nie wątpiłem bowiem, że Turcja, wzorem dawnych swych sułtanów, skręciła jedwabny sznurek, ale tym razem, dla siebie samej...

Tak więc incipit akt drugi. W końcu aktu pierwszego wojny, którą dziś nazywają już „Wszechświatową”, stopniowo oddalają się Niemcy, wypierani i z frontu zachodniego i z środkowych ziem Królestwa; schodzą ze sceny główni aktorzy. Ale oto w tej chwili pojawia się z innej strony kulis nowa potęga i wróg ten sam, ale w przebraniu tureckim. Efekt piorunujący, brzemienisty w zapowiedzi nowych i olbrzymich kataklizmów. Lepiej i scenicznie ułożyć widowiska niepodobna.

Tak jest, widowiska. Ludzkość bowiem patrzy już na tę wojnę, jak na teatrum. Realnego sensu i celu w niej nie szuka. Dookoła, z ust najpoważniejszych, z ust generałów i wodzów, słyszy się szepcane krytyki całej tej światowej, a tak krwawej awantury: „Niedorzeczność”, „Bezsens”.

Chwila tego uświadomienia, sądu jedynie rozumnego, i zarazem wkroczenia Turcji na scenę, przypada na sam koniec trzeciego miesiąca wojny. Mamy jutro 31 października. Nie przyniesie on pewnie nic innego prócz komentarzy do wczorajszych wydarzeń lub oficjalnego wypowiedzenia kilku nowych wojen.

U progu tedy nowego miesiąca i okresu zapuszczam kurtynę i czynię międzyakt.

Teatr, Wojna

<sup>263</sup> *strzelcy* — członkowie powstałego w 1910 r. we Lwowie Związku Strzeleckiego będącego podstawą budowania struktur wojskowych Legionów Polskich. [przypis edytorski]

<sup>264</sup> „*Goeben*”, „*Breslau*” i „*Hamidie*” — niemieckie krążowniki liniowe. [przypis edytorski]

<sup>265</sup> *metrampaż* (daw.) — składacz czcionek w drukarni. [przypis edytorski]

<sup>266</sup> *decrescendo* (wł., muz.) — stopniowe ściszenie dźwięków. [przypis edytorski]

<sup>267</sup> *kości są rzucone*, łac. *Alea iacta est* — słowa Juliusza Cezara wypowiedziane 49 p.n.e. podczas przekraczania na czele swojej armii granicznej rzeki Rubikon, oddzielającej Galię Przedalpejską od Italii, co było jednoznaczne ze sprzeciwieniem się rozkazom senatu i rozpoczęciem wojny domowej w republice rzymskiej przeciwko Pompeuszowi i optymatom; zwrot oznaczający obecnie podjęcie ryzykownej i nieodwołalnej decyzji. [przypis edytorski]

## IV

3 listopada, środa

Rząd akacji kulistych, który widzę z swego okna, wygląda już tylko jak szereg drzewek sztucznych, z przyczepionymi do gałęzi listkami. Jeszcze przed dwoma tygodniami pełne były i puszyste, soczysto zielone; przed tygodniem przymrozek skręcił liście i na szaro je pomalował — a dzisiaj tylko tyle ich zostało, żeby... usprawiedliwić nazwę listopada, to jest, żeby jeszcze coś spaść mogło.

Klony zaś pod moimi oknami, rozkosz oczu moich, wytrwale dotąd na czubkach zielone, stoją już zupełnie nagie. Nie ma o czym wątpić — zima wczesna i zła, bezustannym wichrem wschodnim wyszła na spotkanie Niemcom.

A owe kaliny na ubogich skwerach, tworzących lewą stronę ulicy Czystej, są tak dziwnie czerwone, jakby je obryzgano krwią. Mówię zupełnie bez obrazowości — jest to ściśle krwawy kolor, niетhumiony przez listowie, którego już prawie nie ma, tak krwawy, że niepodobna go nie łączyć z dzisiejszą krwawą toplielą świata.

Rozpoczął się drugi akt wojny europejskiej, toczącej się w Azji i Afryce nie mniej niż na najbardziej chrześcijańskim kontynencie. Azję podpalają ze Wschodu i z Zachodu. Con-dao niebawem padnie pod ciosami móżdżerzy japońskich; zbliża się kres mozolnej, trwającej półtrzecia miesiąca krwawej roboty, w której obie strony walczą z największym zapewne, jaki zna świat, przygotowaniem technicznym i zaciętością. W Islamie<sup>268</sup> zaś już zaczyna powiewać sztandar świętej wojny; nad brzegami Suezu stanęło, jak podają pisma, 100 tysięcy wielbłądów — wywołują ciebie nawet, cieniu Hamilkara<sup>269</sup> i ciebie duchu Solimana! Europa chce się gwałtownie rozszerzyć i zagarnąć biblijne pałace rodu ludzkiego, Mezopotamię, krainę mlekiem i miodem płynącą! Międzyczecze Tygrysu i Eufratu uśmiecha się swym wielkim bogactwem Anglii, Francji i Rosji; pragnęłyby podzielić się nim i od tego mleka i miodu odsądzić — Niemcy z ich Koleją Bagdadzką. Już nie tylko Carograd wabi z dala, jak karawanseraj<sup>270</sup> marmurów nad szafirowym morzem — ale i najdawniejszy z serajów, Babilon odrodzony. O Babilonie drukuje się dziś artykuły. Cywilizacja wraca do swych kolebek ze złota i jaspisu. Wielcy handlarze XX wieku, pragną nawiązać nic tradycji sprzed trzech tysięcy lat i wskrzesić Palmiry<sup>271</sup>, w których już wówczas, jak niedawno czytałem, znane były i kwitły różne do dzisiejszych podobne obyczaje i formy handlowe.

Afrykę zaś podpalono z północy i południa. Na północy Turcy grożą Egipcjom i rozżarzają w nim iskry buntu, tak że Anglia ogłosiła w nim stan wojenny i niebezpiecznych agitatorów wydalici musiała, a na południu ujarzmieni Burowie próbują powstać pod wodzą pułkownika Montza. Generał Botha<sup>272</sup> ma trudne zadanie: zdławić rokosz, na czele którego stoją tacy bohaterowie, takie wielkie imiona, jak Devetta. Pytam, gdzie jest taki osobnik, którego serce nie zabiło by wspomnieniem chwały i wielkości na myśl o tej nieszczęśliwej wojnie, w której pracowita rzeczpospolita pastuchów już wtedy okazała się chlubą rodu ludzkiego, jak Belgia dzisiaj, a ongi Grecja.

I oto znowu kabotynka<sup>273</sup> historia urządziła spektakl osobliwy. Tych samych Burów, tych nieśmiertelnych jeźdźców w kapeluszach artystów, których niezapomnianego Long-Toma<sup>274</sup> — wielkie działo — cały świat pokocha jakby żywe, wierne stworzenie, jak

<sup>268</sup>*w islamie* — tu: w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>*Hamilkar Barkas* (275–229 r.p.n.e.) — kartagiński dowódca wojskowy, ojciec Hannibala, uczestnik I wojny punickiej. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>*karawanseraj* — zajazd dla podróżnych, z pomieszczeniami do odpoczynku i magazynem do przechowania towarów, budowany w krajach arabskich, Persji i Azji Środkowej. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>*Palmira* a. *Palmyra* — staroż. miasto w środkowej Syrii; położone na drodze handlowej między Mezopotamią a wybrzeżem Morza Śródziemnego, stało się niezwykle zamożne, zyskało potęgę i w III w. n.e. podjęło próbę uniezależnienia się od Cesarstwa Rzymskiego; w odwecie za bunt całkowicie złupione i zniszczone w 273; zachowały się ruiny wielu monumentalnych budowli. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>*Botha, Luis* (1862–1919) — południowoafrykański polityk i wojskowy, pierwszy premier tego kraju, uczestnik II wojny burskiej. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>*kabotynka* — kobieta posługująca się tanimi efektami w celu wzbudzenia zainteresowania. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*Long-Tom* — Długi Tom, popularna nazwa armat prod. fr. firmy Schneider et Cie z Le Creusot, kaliber 155 mm, o dl. 7,5 m. i zasięgu do 9 km, strzelających granatami o masie ok. 40 kg, ulokowanych w fortach Pretorii

oswojonego lwa swego króla — Anglia gromi po raz wtóry, a my musimy cieszyć się. Bo jakżeby inaczej? Przecież to w interesie koalicji leży, przecież to Niemcy wzniecili pożar rewolucji w Kaplandzie<sup>275</sup>.

Doznałem dziwnego wrażenia, gdy przeczytałem nieśmiertelne nazwisko Devetta! Wodzu nieznanemu a drogi, którego homeryckie czyny nie tak dawno jeszcze temu napełniały dumą każdego bojownika wolności — trudno mi posłać Ci stąd pozdrowienie, ale — może Ci je posłać — z Krakowa...

Powoli, powoli, rozstrzyga tę bezpodobną wojnę nie oręż, nie strategia, lecz przepokupstwo i intryga. Państwa targują się o przyjaźń i pomoc ludów, którym wmieszać się w bój niespieszno. Grożą Rumunii, przestrzegają Bułgarię, prowokują i słodko kuszą Italię. Każdego z walczących korci, że nie wszystkie jeszcze połacie świata kąpią się w poźodze. Znikła obluda dyplomatyczna, kuplerstwo wabi i obiecuje jawnie. W tym wszechświatowym domu gry, niejeden naród straci niepodległość, niejedno miasto zakute będzie w kajdany.

Stałem się zupełnym stoikiem. Wszystko jest mi obojętne. Nie wywikłam się ze splotu sprzeczności i wstyd mi dawać tej krwawej farsie w tysiącu aktach — swoją sympatię.

Zależy mi już tylko na tym, żeby tu w Warszawie nastąpił spokój i ażeby wraz z oddalaniem się czerwonych chmur na widnokręgu, zmniejszał się grunt dla ohydy i łotrstwa spodzonych instynktów. I marzę tylko o tym, żeby na chwilę bodaj wróciła swoboda ruchu i żebym mógł uciec stąd, uciec! Uciec ze stolicy, którą wojna, zamiast oczyścić, jeszcze więcej wszami barbarzyństwa pokryła.

Spotykam coraz częściej ludzi smutnych i płaczących. Tak, oni płaczą naprawdę; — tęsknota za światem normalnym, to znaczy, chociażby postokroć pustoszonej przez wojnę i palonym, ale w którym nie wszyscy żywi pragnęliby być szakalami i oprawcami swoich braci — utrzymuje ich w stanie chronicznej żałoby.

I mam wrażenie, że gdy taka chwila jasności, choćby przelotnej, nadejdzie — runą stąd krocie wrażliwych. Oni każde piekło obcego kraju, każdą groźbę wojny na obcej ziemi, każdą chociażby rzeź, byle rycerską i bojową — powitają jak wytchnienie i ulgę.

Tymczasem niespodzianie innego rodzaju jasność przyszła do mnie, zasmuciła mnie niepomierną radością i rozradowała bezmiernym smutkiem. Otrzymałem list od starszego syna mojego. Jest w niewoli u Austriaków, dwa miesiące trzymali go w więzieniu w Białej na Śląsku, a potem go internowano w Drosendorfie. Píše mi, żebym się o niego nie troskał — gdyż ma wikt i mieszkanie darmo, i tylko tęskni za mną, za matką i bratem. Wierzę — o wierzę, i tylko boję się, czy on w swym sercu kochającym i tkliwym, wytrzyma owe nagłe szturmowanie nostalgii, które tak dobrze znam, a które w samotnych zimowych chwilach są nad wszystko straszniejsze.

I jakież to śmieszne! Jaka komediancka formalistyka wojny! Jego, od lat tyłu stałego mieszkańca Krakowa, jego, co tyłu matolek do szkół przygotował — odsuwają od świata łagodni niby to, tak niepodobni do Prusaków — Austriacy!

6 listopada, sobota

Legiony! Legiony! Polacy! Polacy!

Oto nowe nabytki języka urzędowego. Dawniej takich wyrazów na plakatach ulicznych nie widywaliśmy. Dzisiaj hojnie nimi szafuje dłoń kapryśnego losu Polski. To już i wódka niepotrzebna! Same te słowa upić mogą i oszołomić.

Ukazały się właśnie na rogach ulic białe plakaty „Polacy!” itd. A więc mamy oficjalne potwierdzenie pogłosek o wielkim przywileju. Komenda ma być polska, obyczaj wojskowy i obozowy polski itd. Podpisany jako naczelnik, organizator, niejakiś pan Mniejszaoto.

Możemy zatem na własną rękę, we własnych mundurach i pod własnym wodzem, zwalczać Legiony Polskie, sformowane w Galicji; te nazwano dla przyzwoitości wojskami pruskimi. Możemy współdziałać w wyparciu ich z ziemi polskiej.

i wykorzystywanych przez Burów w wojnie z Anglikami (II wojna burska, 1899–1902); Burowie dysponowali 4 takimi działami; kiedy skończyła się amunicja (zakupili łącznie 8800 sztuk), armaty zostały zniszczone, żeby nie zostały przejęte przez przeciwnika. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>Kapland — ang. *Cape Colony*; brytyjska kolonia w południowej Afryce, istniejąca w latach 1795–1910. [przypis edytorski]

Ale co to? Warszawa dostała napadu hysterii? Nie jest oczarowana, zachwycona? Nieobliczalne miasto! Takie ponęty! Polska komenda, własne wyekwipowanie i tysiąc innych wdzięków — a Warszawa szemrać gotowa? Nie do pojęcia, nie do wiary! Na zebraniu w ratuszu, złożonym z osób tylko zaproszonych — a więc rzecz prosta nieupiększonym przez takich jak ja — przewodniczący, jakiś współheros organizatora, niesłuchanie się zdziwił, gdy jeden z obecnych redaktorów zapytał o „mandat od społeczeństwa” do organizowania legionów. Odpowiedziano śmiałkowi: jeśli mu nie wystarcza to prawo, jakie uzyskano, i sam fakt, który się zaczął iść — może sobie wyjść. Oponent wyszedł — ale z nim i trzy czwarte zgromadzenia...

Histeryczka znad Wisły miewa miesiące i lata zupełnego zaniku powonienia, ale miewa i chwile czucia przesubtelnego. Tak było właśnie tym razem. Coś nieprzyjemnego ją zaleciało — nikt nie wytłumaczy, co. Może się jej wydało, że pan Mniejszaoto jako osobistość całkiem nieznaną mógł się wydawać mało zdolnym do naśladowania np. Napoleona i Dąbrowskiego. A może pomyślano sobie, że chociaż wprawdzie modnym jest uważać Mickiewicza za śmieszność Polski — to jednak nie powinien lżyć pamięci jego i jego legionów? A może o Legionie Mickiewiczowskim<sup>276</sup> przypomniał niektórym Piłsudski i pięść ich złowrogo się zacisnęła, a oczy szukać zaczęły szpicruty<sup>277</sup> na widok neopozytywisty, plwającego na ową dostojną i eposową kartę z dziejów Polski?

Jakkolwiek bądź, pan Mniejszaoto zaniechał swej ekspedycji karnej na Legiony Polskie, zwinął od razu chorągiew, przestał werbować zapaleńców, którzy może nawet nie słyszeli nigdy o Legionie Mickiewicza, w pismach ogłosił swą rezygnację na stanowisko zwyczajnego szeregowca, i balon pękł...

Twierdzą, że pana Mniejszaoto nawet poturbowano. O mężu publiczny a niewczesny, jakże mi Ciebie żal!

A przecież ja osobiście zachowam dla niego pamięć przyjazną. Taka nicość, a tak wielką sprowadził zmianę w nastroju Warszawy! Prawda, że w tym mu świetnie dopomógł pan minister Kasso<sup>278</sup> swym okólnikiem<sup>279</sup>, przekreślającym nowe prawo o szkołach prywatnych, i przywracającym język rosyjski w dawnym zakresie. Prawda, że pomogli mu także naczelnicy różnych zarządów kolejowych, którzy korzystając z zamętu, chyłkiem a nagle wprowadzili kilka kawałów rusyfikacyjnych z czasów przedrewolucyjnych — ale bądź co bądź naczelnik „Legionu” ma znaczną zasługę.

W rezultacie zaś ogólnym tych reform i innowacji, Warszawa do reszty zbaraniała. Wczoraj — onegdaj zaczęła nie wierzyć, dzisiaj jęknęła boleśnie, może nawet ryknęła wściekłością...

Mój przyjaciel Aureli Kos, z idiotycznym triumfem zaciera ręce...

7 listopada, niedziela

Zachodni teatr wojny ma swoje periody, przeważnie także miesięczne, których symbolem są pewne imiona. W ubiegłym miesiącu, a i dzisiaj jeszcze, królują nazwy: Ypern, Diksmuide, Nieuport, rzeka Izera. To są punkta wytyczne prawego krańcowego skrzydła Niemców, nad którymi toczą się walki z rzędu najkrwawszych. Armia księcia wirtemberskiego, otrzymawszy jeszcze 250 do 300 tysięcy posiłków, postanowiła za wszelką cenę przerwać żelazny mur koalicji, zawładnąć tym ważkim pasem zachodnio-północnym Belgii, jej ostatnim zboczonym strzępem, i przebić się do Calais i Dunkierki, żeby stamtąd atakować Anglię.

Flandria stała się literalnie jednym wielkim lazaretem. Jakiś poeta rosyjski śpiewa w „Birżewych wiadomościach” zmanierowaną à la Przybyszewski pieśń o umarłej Brugii i jej nieszczęsnych łabędziach.

Podziwiam tupet grafomański, który ośmiela się tę krwawiącą i ziejącą bólem ranę świata brać za temat swych horendalnie-hemoroidalnych mobilizacji pustych słów.

<sup>276</sup>Legion Mickiewiczowski — jednostka wojskowa utworzona przez Adama Mickiewicza w 1848 r. w Rzymie w celu walki o wyzwolenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>szpicruta — rodzaj pręta pokrytego skórą lub rzemieńnej plecionki, stosowanego jako pomoc jeździecka służąca do poganiania konia. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>Kasso, Lev (1865–1914) — rosyjski polityk, minister edukacji w latach 1910–1914. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>okólnik — tu: rodzaj urzędowego pisma obiegowego, które wysyłane jest do wszystkich zainteresowanych stron. Zawiera ogólne wskazówki bądź zalecenia wydawane ogólnie do podległych mu organów państwowych. [przypis edytorski]

Zdawałoby się, że postać króla Alberta i jego żony Elżbiety, nie mniej od niego bohaterskiej, nie mniej męczeńskiej, nie mniej wielkiej, powinna być czczoną tylko w rzeczowych szorstkich słowach żołnierskiego posłuszeństwa tym, co ratują honor ludzkości. Tylko milcząco salutować przed tą arcymonarszą parą wodzów nakazuje elementarna przyzwoitość, a nie posyłać im swoje laurki z amorkami dekadencjami.

I tym razem walka toczy się ze zmiennym szczęściem, ale bardzo często powraca refren Joffre'a: „nieco posunęliśmy się naprzód”. Istotnie, Francuzi, Anglicy i Belgowie rozpoczęli ofensywę i prą wroga na wschód. Również i w okolicach Verdun i w Argonnach orężowi sojuszników dopisuje szczęście.

Przeciwnicy godni są siebie. Niemcy, według depesz onegdajszych, znaleźli się niespodzianie u brzegów wschodnich Anglii i w pobliżu Yarmouth napadli na część floty angielskiej i uszkodziły samo miasto portowe. Dziś znowu jak obuchem uderzyła w nas wieść o bitwie morskiej u brzegów Chili, na wysokości Valparaiso, i o zatopieniu pancernika angielskiego i groźnym uszkodzeniu drugiego.

Anglia może sobie pozwolić na nieukrywanie takiej porażki i straty, więc nie mówi, że jej krążowniki poszły na dno ze względów strategicznych. Ale mimo to, jest w tym fakcie jakieś szyderstwo. Bo formuje się w ludziach obawa, że Niemcy powoli zatopią całą flotę angielską swymi minami i łodziami podwodnymi. Tę dumną, olbrzymią, groźną panią oceanów, przed którą Niemcy drżeli i rzekomo ukryli się w mysiej dziurze Kanału Kilońskiego, zzerają podwodne bakcyle lub podle statki kaperskie. Niemcy i w tym razie okazali się więcej niż inni „narodem jutra”. Zrozumieli bowiem zawczasu, że przyszła wielka wojna będzie wojną rozbójniczą i eskadry rozbójnicze na morzu, pod morzem i nad ziemią przygotowali wzorowo. Czy ci nie wstyd, Albionie?

Słowem każda wojna jest szyderstwem z proroctw i przekorą fortuny. Japonia miała być zarzuconą czapkami przez Rosjan, a zadała im sromotną klęskę. Turcja miała rozgromić od jednego zamachu Serbów i Bułgarów, Greków i Czarnogórców, a rozpedziwszy się w ucieczce, omal nie wpuściła ich do Konstantynopola. Wreszcie Anglicy okazują się silnymi na lądzie, a niezaradnymi na morzu. Nigdy jeszcze paradoks życia realnego tak nie urągał uregulowanej mądrości ludzkiej...

Więc też i król saski przygotowane zawczasu zaproszenia na Zamek Warszawski, na ucztę powitalną, zabrał sobie z powrotem do domu.

Albion zaś jest stanowczo nawet na wojnie za bardzo gentlemanem i lordem, a Francuz za bardzo rycerzem. Niepoprawni konserwatyści!

9 listopada, wtorek

W kuchni na Szpitalnej nie ma co wieczorami robić. Kolacji nie wydają, albowiem mięso tak podrożało, że trzeba byłoby znowu podnosić cenę, a tymczasem świątek literacko-artystyczny coraz mniej dostaje honorarium za swoje artykuły lub poezje, obrazy i rzeźby. Mówię tak dla eufonii<sup>280</sup>, bo w rzeczywistości nie znalazłem jeszcze wśród tej licznej rzeszy ani jednego, który by cośkolwiek sprzedał i skądkolwiek więcej nad 1 rubla dostał.

Dzięki temu coraz więcej widać fantastycznie wykrzywionych butów i zdefasonowanych spodni. Jedynie muzycy wychodzą obronną — nogą i noszą się elegancko. Bowiem Warszawa obejdzie się bez wszystkiego: bez teatru, bez literatury, bez sztuk plastycznych, bez muzyki, ale bez lekcji fortepianu nie wyżyje, więc pianiści, chociaż pozamykali swoje konserwatoria na wszystkie rygle, czasem jednak z jakiej panienki wycisną kilka rubeliansów.

Takich panienek krząta się nawet kilka po kuchni. Przychodzą w swych pięknych szatkach, kołyszą się na pięknych bioderkach, strzelają oczami spod czarnych turbanów i kapturków, ale plec brzydka jakoś nieczuła. Gra — strach pomyśleć — w warcaby! Przewiduję, że niebawem wróci na stół domino i loteryjka.

Śpiewamy cienko; zamknęły się przed nami dobroczynne kieszenie, każdy rentier, będący na posadzie za 50 rubli miesięcznie, jest dostatecznie opodatkowany na rzecz tysięcy rodzajów nędzarzy. A inteligencja żydowska, co tak łatwo zazwyczaj tryska pożyczką, wobec nagabywań „pompiarów”, czyli nabieraczy, teraz musi ratować od śmierci głodowej

<sup>280</sup>eufonia (muz.) — przyjemnie brzmienie, harmonijny dobór dźwięków. [przypis edytorski]

tysiące i dziesiątki Żydów, wydalonych z miast prowincji w imię nowej szkoły strategii. Tam gdzie dawniej siadano we frakach i smokingach na całą noc do pokera i brydża, dzisiaj mówi się o siennikach, o bieliźnie, o obiadach bezpłatnych, w ogóle o sprawach przytułkowych.

Literaci zaś i malarze rozmawiają w kuchni tylko o węglu i drzewie, o maszynkach do gotowania. I z minami błagalnymi proszą zarządzających Towarzystwem Literatów i Dziennikarzy o najmniejszą chociażby ilość tańszego opału.

Piękne wyrazy: „głód węglowy” — „miał doniecki”, „brak cukru” oto motywy przewodnie warszawskiej muzyki przyszłości.

Jedynym jasnym promieniem wśród tych mroków troski i zamarcia wszelkiego życia umysłowego — są wieści ze wschodu o nowych podatkach. Zaczęto opodatkowywać telefony, a skończy się na opodatkowaniu — guzików. Wtedy bractwo sztuki i literatury wychodzić będzie na ulicę bez spodni. Tak powstaną sankiuloci<sup>281</sup> dwudziestego wieku. To przynajmniej będzie zajmujące i oszczędzi nam bezowocnych zabiegów i kombinacji.

Taka bliskość okresu neobezportkowców w pewnym stopniu oczyszcza nawet atmosferę. Ludzie przestają być służalcami i pochlebcami, to znaczy używać mydła do celów, do których się go wobec drożyzny używać nie powinno.

O tym radosnym zwrocie przekonałem się na wielkim zebraniu koleżeńskim, które się odbyło w piątek, czyli przedonegdaj, 6 listopada. Dlatego datę tak dokładnie podaję, że będzie to może jedna z miłszych dat w przeżyciach Warszawy.

Narodu zebrało się bardzo wiele; przeważały stronnictwa postępowe i ugodowo-centrowe; nie brakowało też niewiast pięknych i poetyzujących z kategorii tych zacnych, których przekonania polityczne również chwiała się, jak ich uroda, więcej niż *entre deux âges*<sup>282</sup>. Usunąwszy się już poza program ofensywy jak i defensywy, poświęcały się już tylko miłosierdziu i poszukiwaniu politycznej busoli; uczciwie i skromnie, bez zarozumiałości, przysłuchiwały się dyskusjom panów. A jako zawsze bliższe waleczności naturalnej i trzymające strony szlachetniejszej, rześście oklaskiwały mówców, którzy sprawę skutecznie rozświetlali. Gdy padło donośne hasło baczenia na interes narodowy, gdy przestrzegano przed polityką strzyżenia owiec i łatwowiernością, one promieniały uciechą.

W ogóle bowiem okazało się, że gdy się ludzie zejdą i otwarcie do siebie przemówić mogą, mówią o wiele szczerzej, niż piszą, a myślą o wiele szczerzej i jaśniej, niż drukują. Świetnie powiedział jeden z najlepszych znawców spraw socjalnych: pisma nasze tak z sobą rozmawiają, jak więźniowie w cytadeli, za pomocą pukania w ścianę: nic wyraźnego, nic pewnego, a za to ciągle obawy o donos, o niepotrzebnych świadków itp. Ci sami redaktorzy, którzy pouczają, że obietnica to już gotowy czyn, tutaj zaśpiewali inaczej; — ci, co intonowali co dzień rano i wieczór „Chwała im na wysokościach!” — tutaj mieli pewne zastrzeżenia. Inni znów za to, że wyprowadzali Polskę na targ niewolnic, żeby ją sprzedać za parę groszy, tutaj doczekali się komplementów prawie tak głośnych jak policzek.

Ludzie mówili rozumnie, po europejsku, jak Polacy i jak patrioci. A szczególnie się im podobało, gdy jeden z literatów, zapisany do głosu ostatni, upomniał się słowem gorącym i namiętym o Galicję Wschodnią, gdy rzucił wieniec z róż na mogiłę Lwowa, gdy uprzytomnił, co grozi Krakowowi, i obalając „ordynaryjne warszawskie kłamstwo” o nędzy galicyjskiej, odmalował jej doskonale szkolnictwo, wielką oświatę, przodujące znaczenie sztuki, nauki i literatury. Dowodził, że tam, na całe pięć milionów ludności, nie masz jednego takiego nędzarza i głodomora, jakich setki tysięcy hoduje Warszawa, Łódź, Lublin, Radom i całe w ogóle Królestwo. U nas, mówił, łatwo się dorobić milionowej fortuny — w Galicji niepodobna. Ale tam za to wszyscy mniej więcej korzystają z tych zabezpieczeń i ulg, które są naturalnym i nieodzownym, jakoby fizjologicznym produktem wszelkiej konstytucji.

I wiele innych rzeczy powiedział. Wytłumaczył, że cieszyć się niedaleką już zapewne okupacją Galicji Wschodniej i bagatelizować jej utratę — jest zwyczajną narodową

<sup>281</sup>*sankiuloci* — najradykałniejsza grupa uczestników rewolucji francuskiej 1789–1799; nazwa „sankiuloci” pochodzi od pogardliwego określenia ludzi z gminu nienoszących modnych wśród wyższych sfer obcisłych spodni (fr. *culottes*). [przypis edytorski]

<sup>282</sup>*entre deux âges* (fr.) — dosł. pomiędzy dwoma wiekami; w średnim wieku. [przypis edytorski]

zbrodnią. Żądał od prasy, żeby swe słowa szyderstwa i lekceważenia „odszczełała spod ławy”. Przekonywał, że dla nieszczęsnych, tragicznych strzelców, należy mieć współczucie i wyrozumiałość, nie są to bowiem jakieś „bękarty”, chwasty galicyjskie, lecz kość z kości i krew z krwi Warszawy, jej synowie i do niedawna jej społeczne chluby. Cała zaś ich „orientacja” jest po prostu organicznym ciągiem dalszym wypadków roku 1905 i uczuć w epoce rewolucji zrodzonych. Wtedy to wzmogła się koncepcja niepodległości, która do szczytowego nasilenia doszła w Krakowie i Lwowie — a teraz pokutuje jeno za to, że przeceniła wartość aliansu Austrii z Niemcami i ich siły bojowe.

Końcowy nastrój zebrania był wprost wspaniały. Nie słyszałem jednej fałszywej nuty starego i zużytego repertuaru doktryny lub rewolucji, a jednakże górowała dominanta tężyny, samoobrony i ostrej trzeźwości. Postanowiono jednoznacznie, że wobec tak ważnych wyjaśnień, trzeba koniecznie zebrać się powtórnie i na to wybrano wieczór jutrzejszy.

Nie wątpię, że zebranie będzie jeszcze liczniejsze. Pierwszy to bowiem raz słyszeć można było wolny głos Polaka i nie trzeba było obawiać się gaskonady<sup>283</sup>. Wszyscy zgodzili się na to, że trzeba iść z Rosją i wiele jej dawać krwi i ofiar — ale trzeba też wiele wymagać i przede wszystkim tego, co jest stratą, nie nazywać nabytkiem, a tego, co jest śmiercią, nie nazywać narodzinami.

10 listopada, środa

Ponieważ zawsze jeszcze się mówi stylem legendy napoleońskiej, więc pisma zagraniczne, przychodzące zresztą tylko w telegraficznych urywkach, mówią o zakończonym dziś okresie „Sto dni wojny”.

Ale to jeno nawias.

Główna, że na drugie zebranie świat skrybów i ich sympatyków stawiał się niebywale gromadnie. Nie tylko ściany sali, ale i przedpokoju nie mogły pomieścić słuchaczy.

Upał momentalnie stał się wysokim, a napięcie uwagi jeszcze wyższym. W tej chwili zjawił się wentylator w urzędowym mundurze i z szablą przy boku i w okamgnieniu zrobiło się chłodno. Po chwili — nawet pusto.

Tak szybkiego odwrotu nie zmagistrowaliby nawet Prusacy.

Tedy wolny głos Polaka trwał tylko jeden wieczór, czyli nie wiele więcej nad sto minut.

12 listopada, piątek

Mój Kos jest niepokieszony. Twierdzi, że wentylator zjawił się skutkiem denuncjacji jednego z obrażonych nieobecnych, i wymienia kilka nazwisk... Ten musi zawsze kogoś podejrzewać, jak gdyby zgromadzenie z kilkudziesięciu osób i szereg okien rześcicie oświetlonych mogły pozostać tajemnicą.

Kos miał także przygotowaną mowę. Twierdził, że mówić będzie samymi aforyzmami i zwięzłymi formułami.

Na moją prośbę wyrecytował mi kilka tych mądrości.

„Co to jest uświadczenie polityczne? Jest to nie bać się wroga ponad miarę jego rzeczywistej przewagi. Rosyjscy urzędnicy czynią znaczne postępy w samouświadczeniu. Przedtem ewakuowali się do Moskwy, za drugim razem do Siedlec, a za trzecim już tylko na Pragę. Rozpęd ucieczki znajduje się w stosunku odwrotnym do stopnia świadomości: im lepiej się pojmuje pustkę niemieckiego stracha, tym bliższy jest azyl.

Nam Polakom brak tego uświadczenia, dlatego przed Prusakiem uciekamy do miasta Kretynii nad rzekę Łgarkę.

Kiedym był w Paryżu, przyjechał z Petersburga jakiś car, Rzeczpospolita umeblowała mu apartament sprzętami z Wersalu. Brakowało tylko dostatecznie stylowego i godnego nocnika. Rada w radę i — uchwalono wziąć... cylinder pana prezydenta. Czy ośmielali się w ten sposób szydzić z dostojnego gościa? — Bynajmniej, paryżanie lubią i cenią Rosjan. Oni tylko nie lubią namaszczenia w kwestiach handlu i dlatego w każdy bukiet wplatają trochę drwin.

Jedno z pism paryskich głosiło wówczas: «Panowie, poprzestańmy chociaż na całkowaniu Rosjan w twarz!...»

<sup>283</sup>gaskonada (daw.) — pyszałkowatość, samochwalstwo. [przypis edytorski]



To powinno być naszą orientacją: całujmy Rosjan, naszych panów i obrońców, a wkrótce pewnie i przyjaciół — ale poprzestańmy na «całowaniu w twarz»”.

„Mój Aureliuszu — zakonkludowałem — bądź wdzięczny wentylatorowi, bo gdyby zebranie przyszło do skutku, ciebie z pewnością wyrzucono by za drzwi”.

Dla czułości, która nie umie się powściągać, dni obecne są szczególnym weselem. Wczoraj przybyli delegaci z Petersburga, wiozący dary Piotrogradu dla Warszawy. Przeszło ćwierć miliona rubli w gotowiznie i 40 wagonów ofiar w naturze to nie w kij dmuchał. Trzydniowa kwesta w Petersburgu nie zawiodła oczekiwani. Są wprawdzie i w takiej chwili neurastenicy, którzy twierdzą, że stolica państwa, w którym nigdy nie wschodzi słońce, mogła się zdobyć na milion! Być może — ależ to dopiero pierwszy cios topora w lodową ścianę, dzielącą dwa narody...

A przy tym wierzę głęboko, i wiara ta jest w tej chwili sercu memu szczególnie potrzebna, że te dary są naprawdę odzewem sumienia i braterstwa; to nie urzędnicy, nie żandarmi, głaszczący obłudnymi słowy, lecz naród, publiczność. Urzędnicy będą usiłovali oprzeć się — na memoriale pana Anciferowa<sup>284</sup>, który zwiedziwszy zniszczone części kraju, ocenił straty z sumiennością historiografów à la Roźdiestwienski<sup>285</sup> lub Howajski<sup>286</sup>. Ale oto delegaci Związku Ziemców wtajemniczyli się naprawdę w niedzielę i oni też na pewno obliczenia druhów pana Kasso skasują.

Gości petersburskich — którzy mają przysłać jeszcze 14 wagonów darów — przyjmowano na dworcu i w mieście gorąco. Na ulicach pachnie jakby świętem, ale świętem szczerym, dobrowolnym. Wieczorem w Filharmonii na dobroczyнным koncercie Szalapina<sup>287</sup> i wspaniałego kwartetu słowiańskiego — znowu dar i gość szeroki i męski. Uczucie rosyjskie przelewało się śpiewem i triumfem.

Niechaj triumfują nie jak dotąd, lecz jak w głębokich krytycznych lirykach Lermontowa, jak w Puszkinińskim pożegnaniu pierzchającej burzy letniej, jak w zakrwawionym sarkazmie Tytana — Szczedrina, jak w wszechludzkiem bólu *Patetycznej Czajkowskiego*, jak w beznadziejnym smętku sierocym Czechowa i biciu się w szerokie piersi grzeszników Dostojewskiego<sup>288</sup>.

A niechaj triumfują — na przekór wszystkim oschłym sercom i mózgom, których tak mnogo było do niedawna jeszcze, przed stu dniami — na Piłatowym Zachodzie.

I Piłat w tych dniach osobliwych inaczej przemawia. Na onegdajszym bankiecie w Guildhalu panował ton górny, jak w kościele, a szlachetny jak przy poświęceniu broni. Przemawiali: Kitchener<sup>289</sup>, Churchill, Asquith. Prześcigali się w czystości głosu, w entuzjazmie dla przymierza, w uznaniu dla waleczności wojsk sprzymierzonych. Asquith znowu zapewniał, że Anglia nie włoży miecza do pochwy, dopóki Belgia nie otrzyma więcej, niż ofiarowała, dopóki Francja nie będzie w dostatecznym stopniu zabezpieczona od najazdu, dopóki prawa drobnych narodowości nie będą umocnione na niezachwianej podstawie, dopóki hegemonia wojenna Niemiec nie będzie ostatecznie złamana.

Nie mniej ważkie i historyczne były słowa, którymi zakończył rzecz swą ambasador Cambon<sup>290</sup>:

„W tej śmiertecznej wojnie, najstraszniejszej ze wszystkich, jakie kiedykolwiek świat przeżywał, pozostaniemy wierni ideałom humanitarności i wolności; z nich czerpiemy energię moralną i nie sądzimy, jak inni, że Opatrzność jest do naszego rozporządzenia, lecz pokładamy nadzieję w wiecznej Prawdzie i z niezachwianą wiarą oczekujemy Jej wyroku”.

<sup>284</sup> Anciferow, *Nikołaj Pawłowicz* (1889–1958) — rosyjski historyk, filolog, badacz Petersburga. [przypis edytorski]

<sup>285</sup> Roźdiestwienski, *Siergiej Wasilijewicz* (1868–1934) — rosyjski historyk, archiwista, członek Rosyjskiej Akademii Nauk. [przypis edytorski]

<sup>286</sup> Howajski, *Dmitrij* (1832–1920) — rosyjski historyk, autor szkolnych podręczników obowiązujących w Królestwie Polskim, fałszujących historię Polski i wykorzystywanych jako narzędzie rusyfikacji. [przypis edytorski]

<sup>287</sup> Szalapin, *Fiodor* (1873–1938) — rosyjski śpiewak operowy uważany za jednego z najwybitniejszych śpiewaków z przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>288</sup> Lermontow, *Puszkini, Szczedrin, Czajkowski, Dostojewski* — znani, dziewiętnastowieczni artyści rosyjscy. [przypis edytorski]

<sup>289</sup> Kitchener, *Horatio* (1850–1916) — brytyjski wojskowy i polityk, minister wojny w rządzie Asquita. [przypis edytorski]

<sup>290</sup> Cambon, *Jules* (1845–1935) — francuski dyplomata, ambasador Niemiec w latach 1907–1914. [przypis edytorski]

Pierwszy to raz przepisałem cudze słowa, ale to są słowa — święte i wieszczę.

Ażeby zaś nie poszły one od biesiadnego stołu w świat, jako gromkie-li<sup>291</sup> szmermele<sup>292</sup>, zawtórował im groźny czyn: połączone floty wydały wyrok śmierci na krążownik „Emden”, który pod Valparaiso tak poszczerbił eskadrę angielską — i wyrok wykonały. Pomiedzy wyspami Archipelagu Kokosowego, na Oceanie Indyjskim, „Emdena” doścignął pancernik „Sydney” i zniszczył go ogniem. Jednocześnie rozprawiono się z drugim rabusiem morskim „Königsbergiem”. Nie mogąc osiągnąć strzałami, gdyż zakrywały go nadrzeczne gaje palmowe, zablokowano go przez zatopienie przed jego nosem dwóch statków węglowych.

I Con-Dao wzięte. Wypędzono intruza z brzegów Chin, i Chińczykom twierdza podobno zwróconą zostanie. Stany Zjednoczone przestaną się boczyć na Japonię.

A cesarz japoński, jak przystało na mikada, pokonanym dowódczom niemieckiej warowni pozwolił zatrzymać szpady.

Mała — wąska to niby, partykularna tragedia, ten upadek Kiaoczou, ale nie mniejsza od innych. Runął jeden ze zrębów, może najważniejszy, morskiej ambicji Niemców. „Przyszłość nasza leży na morzu”. Wilhelm roił, że jest Neptunem z złotym trójzębem w dłoni. Były to, jak się okazuje zwyczajne widły, o których szyderczo mawiano w Polsce: „pisane widłami na wodzie”.

14 listopada, niedziela

Muszę się pochwalić. W swoim czasie przypisywałem Niemcom świadomą metodę psychologiczną obezwładniania terrorem, srogością i okrucieństwem. Dzisiaj czytam, że Yves Guyot, głośny ekonomista i były minister, w ten sposób określa system wraży<sup>293</sup>: „Konieczność przerażania ludności cywilnej, rzucania terroru na ludność cywilną, armię i rząd, aby zmusić do zawarcia pokoju”.

O tej srogości i barbarzyństwie teraz szczególnie wiele się mówi w różnych odpowiedziach francuskich i angielskich na „Wezwanie”, podpisane przez 93 mężów nauki i literatury niemieckiej. Jeśli sądzić według oburzenia głęboko szczerzego, z jakim np. Romain Rolland<sup>294</sup>, przyjaciel kultury niemieckiej, autor wielkiego *Jana Christopha* depce nazwisko Gerharda Hauptmana<sup>295</sup>, a inni — nazwiska Schmollera<sup>296</sup>, Harnacka<sup>297</sup>, Ostwalda, Willamowitza-Möllendorfa<sup>298</sup> itd. — to niezatartą po wsze czasy będzie hańba imienia niemieckiego. „Zdobycze wojenne kultury niemieckiej stawiają waszych żołnierzy niżej od Wandalów, którzy przy zdobywaniu Hippony oszczędzili bibliotekę”.

Nie tylko żołnierzom i oficerom, ale i synom Wilhelma zarzuca się zwyczajną grabież, okradanie starożytnych zamków z dzieł sztuki i pamiątek rodzinnych.

Prawie wierzyć nie mogę. I boję się mędrkować na ten temat, co równałoby się zgadywaniu za pomocą trafiań palcem w palec. Gdy pomyślę, że po wojnie kurtyna się nagle podniesie i prawda objawi się naga i czysta, to odechciewa mi się sądzić, potępić, usprawiedliwiać i prorokować. Pewnymi są dla mnie trzy rzeczy: *primo*<sup>299</sup>, że tam na zachodzie ludziom pękają serca i krwią napływają mózgi na widok pustoszenia najdroższych skarbów cywilizacji; *secundo*, że pogwałciwszy neutralność Belgii, Niemcy zapisali się w kronice historycznych zbrodni na stałe, choćby nawet w pojedynczych wypadkach niezbyt się międzynarodowym konwencjom przemieszczali, i *tertio*, że głównym ołtarzem Niemców wojujących są okopy i zasieki. Bez najmniejszego wahania poświęcą na

<sup>291</sup> *gromkieli* (daw.) — konstrukcja z -li jako przysłówkiem sposobu, inaczej: „gromkie jedynie”. [przypis edytorski]

<sup>292</sup> *szmermel* (daw.) — fajerwerk, raca. [przypis edytorski]

<sup>293</sup> *wraży* (daw.) — wrogi, nieprzyjacielski. [przypis edytorski]

<sup>294</sup> *Rolland, Romain* (1866–1944) — francuski pisarz, znany pacyfista i autor szeregu broszur i odczytów antywojennych, autor m.in. 10-tomowej powieści rzeki *Jan Krzysztof* (1904–1912); nagrodzony literacką Nagrodą Nobla (1915). [przypis edytorski]

<sup>295</sup> *Hauptmann, Gerhart* (1862–1946) — niemiecki dramaturg i powieściopisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla w 1912 r. [przypis edytorski]

<sup>296</sup> *Schmoller, Gustav von* (1838–1917) — niemiecki ekonomista, główny przedstawiciel szkoły historycznej w ekonomii. [przypis edytorski]

<sup>297</sup> *Harnack, Adolf* (1851–1930) — niemiecki teolog luterański, jeden z najwybitniejszych teologów i historyków wczesnochrześcijańskiej doktryny. [przypis edytorski]

<sup>298</sup> *Willamowitz-Möllendorf, Ulrich von* (1848–1931) — niemiecki filolog klasyczny, badacz antyku. [przypis edytorski]

<sup>299</sup> *primo, secundo, tertio* (łac.) — po pierwsze, po drugie, po trzecie. [przypis edytorski]

tym ołtarzu wszystkie obrazy Rafaela i nawet własną swoją, kupioną za pieniądze Augusta II *Madonnę Sykstyńską*. Jak u nas, wybite szyby we dworach obywatelskich zastępowali wyciętymi z ram portretami szlachty polskiej, tak w Belgii biorą na materace lub dachy — bezcenne gobeliny kościelne lub arcydzieła mistrzów flamandzkich.

To jest namacalne wcielenie zasady niemieckiej państwowości — podporządkowania wszystkiego celom wojennym.

Spostponowali<sup>300</sup> nawet własne bożyszcze: germanizację Księstwa. Tak, tak. Pisma donoszą, że w szkołach poznańskich zaczęto wykładać *po polsku*.

Jeśli to nie jest kaczka z wojennego łągu — to do twardych łbów pruskich zaczyna się zakradać światło mądre i przebiegłe! Dla Księstwa byłoby erą, jeśli nie będzie li podkopem, mającym podminować autorytet rusyfikacji. Takich podkopów, nazajutrz już zapomnianych, strony walczące wyrwały bardzo dużo, krecio — dużo.

Nie podejrzewałbym jednak nigdy Niemców taki talent rozdawania judaszowych srebrników. Byli na to za skąpi i wyrachowani. Nie ich to przewaga polegała na umiejętności brania, ale i dawania łapówek. A tymczasem teraz sypią złotem na prawo i na lewo. Wzburzyli Boerów, buntują Persów, judzą i myszkują w Egipcie, zapewne też w Indiach Wschodnich, a teraz oto i w Trypolisie.

Egipt zaświadcza o swej lojalności, Persja uroczyście wypiera się konszachtów z Turcją, a jednak dywersja — dywersją. Albion coraz trudniejsze ma zadanie gaszenia ogni, które coraz to gdzie indziej wybuchają. I Rosja zapewne wołałaby korpusy, walczące w Armenii, pod Kaprikoj i w pobliżu Erzerumu, przesłać w nasze okolice, pod Kutno, Włocławek, Radomsk, gdzie ustępujący Niemcy rzekami krwi rosyjskiej znaczą swój odwrót, a podobno próbują ponownie ofensywy,

15 listopada, poniedziałek

Niedziela — sucha, ale zimna i posępna. Człowiekowi tak głupio i tak ciężko, a wieści o zbliżaniu się wojsk rosyjskich do Krakowa, o zajęciu Tarnowa i okolic, tak przytłaczają serce — że lada promyk nadziei wita on jak całe rozbłyśnięte słońce. Oto dodatki nadzwyczajne głoszą, że Asanith, Bonar Law i Curzon<sup>301</sup> wierzą w szybkie zakończenie wojny, albowiem „połowa ludzkości bezpośrednio z jej winy cierpi”. Patrzcież, jakie nowe spostrzeżenie! Innym telegram opiewa, że jeńcy rosyjscy, internowani w Zgorzelicach, są za swą pracę wynagradzani i mają się dobrze. A może ta pierwsza pochwała dla wroga jest wstępem do jakichś układów? Może to nie bez głębszej przyczyny zebrało się naraz kilka symptomatów, podobnych niemal do jaskółek?

Te niby — jaskółki to moje święto. Wczoraj oddawałem się rozmyśleniom na temat represji względem jeńców i obcych poddanych — szykan i udręczeń, w których prześcigają się Rosjanie i Niemcy. Ostatnie resztki honoru wojskowego i współczucia dla biednych tułaczy cywilnych, zaskoczonych przez wojnę na ziemi nieprzyjacielskiej, poleciały z huraganem; złość absolutna i konsekwentna opanowała jak trąd rozjuszonych coraz więcej przeciwników. Dzisiaj zaś popelniam bezsens i zaczynam hudyć się, że złością tą zaczynają wreszcie dławić się i sami ukoronowani sternicy naw państwowych. I nie poczytuję sobie tej iluzji za słabość: tyle goryczy wsączyli we mnie ludzie, że jej wszystkiej strawić nie mogę.

Była bieda — teraz jest nędza; była drożyzna — teraz są ceny ustanowione chyba przez szatanów; bywali bezdomni, teraz są ich dziesiątki i setki tysięcy. Było bezmyślnie — teraz jest osło i wieprzowo. Warszawa stała się gromadą kołowatych owiec. Zadowolona, że może nie uczyć się, nie czytać, nie słuchać, że może karmić się teatrem, dobrym dla zulusów<sup>302</sup> lub patagończyków — woła w moją stronę z zuchwałą pewnością, że już nie da tak prędko nakłonić się do życia szlachetniejszego i więcej umysłowego. Oho, nie złapiecie nas już na książki, na sztukę, na dramat!

Po miesięcznej przerwie rozpoczęły się wczoraj teatry. Więc nowy przedświt i nowa uroczystość? Nie — nowy okres ciemnoty i tandety, *Piękna Helena* w starych lachmanach — świecących jak fosfor na grzędawisku.

<sup>300</sup>spostponować — potraktować z pogardą. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>Asanith, Bonar Law i Curzon — brytyjscy politycy związani z Partią Konserwatywną. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>zulus (daw., pot.) — lalusz, elegancik na uniwersytecie. [przypis edytorski]

Źle jest, ciasno i duszno. Nie tylko Polska odcięta od świata, ale i Warszawa odcięta od Polski. Niemcy z bezprzykładną gruntownością zburzyli drogi, mosty, koleje, dworce, zwrotnice, warsztaty. Wyjechać dokądś dalej, zobaczyć chociażby szmat tej biednej, złupionej i spalonej prowincji, nie sposób. Jechać można tylko końmi albo samochodami — gdy się jest fabrykantem lub bankierem, lub umie noce spędzać w nieopalonych wagonach i w oczekiwaniu, aż przejdą nieskończone transporty wojsk, furażu, artylerii, amunicji.

Zima i więzienie, samotność i towarzystwo durniów, dziurawe hajdawery i wstyd, że się żyje i umrzeć nie ma prawa — to stan barometru na dziś.

Przyszła do mnie na gawędę znana aktorka, bez środków do życia, człowiek z talentem i lepszą, głupio dostojną nienowoczesną naturą — ze łzami w oczach i prośbą, żebym jej wskazał najpewniejszy i najlepszy sposób przeniesienia się na dolinę Józefata<sup>303</sup>. — Dumny byłem, że mnie uważają za takiego szafarza „Śmierci i wyzwolenia”.

Pani droga, wszyscyśmy<sup>304</sup> dziś niepotrzebni, jako nie błazny i nie kabotyny; ale wiem na pewno, z własnych częstych rozmyślań, że samobójstwo to odruch zemsty, to danie w pysk komuś. Ale czy ktokolwiek bierze takie w pysk do serca? Pójdą na pani pogrzeb, może nawet złożą na trumnie wieniec, i odetchną uczuciem ulgi, że ktoś niestworzony do meczu drapieżnych kłów i pazurów, poszedł sobie bez hałasu na tamten świat.

Samobójstwo to żadna satysfakcja — może więc już lepiej położyć się na ziemi, u progu dnia jutrzejszego, i dać płonąć ciekawości wielkiej jak gromnica — co też to jutro przyniesie, gdy zrzędną grube opony krwawych chmur?

Nuda zawisła nad miastem, apatia mży jak deszcz, który ma niebawem przejść w śnieg.

Apatia? Apatia, gdy milionowe armie walczą, a co dzień pada przynajmniej 10 tysięcy ludzi, poszarpanych przez roztopione żelazo, podziurawionych przez kule, spalonych przez tyfus, zduszonych przez zimno? Gdy giną chłopcy szesnastoletni, dzieci zabrane z gimnazjów przez Molocha<sup>305</sup> niemieckiego? Gdy niektórych wsi i miasteczek we Flandrii nie można już zdobywać ani bronić, bo są już tylko wielkimi kurhanami gnijących trupów? Gdy toczą się oszalałe boje bez zwycięstw i w ogóle bez rezultatu? Gdy wylatują w powietrze pułki, bo Niemcy podminowują pola, domy, rzeki, brody, szosy?

Wobec tego wszystkiego mówić o apatii? A tak. Jest to pewnego rodzaju zbiorowy paraliż, tężec mózgu, skuwający władze myślenia, lecz nietamujący ruchu. Wszystko się rusza miliardem śmiertelnych drgawek i konwulsji — ale myśl zamarła. Ludzie ugodzeni kulą w czoło, nim padną martwi, są podrzucani do góry. Tak podskakuje ugodzona w swój mózg Europa i cały świat. Nie są to walki ludzi z ludźmi, lecz krwawych automatów z automatami, lub jak mówi pewne pismo angielskie, „armat z armatami”. — 28 dni trwa bitwa o Diksmuide, a żołnierze omdlewający od zaduchu krwi i trupów, obezwładnieni bezcelowością swego męstwa, bezsensu poświęcenia, niechybnością śmierci — pędzeni są do walki groźbą ustawionych za ich plecami kartaczownic.

Okazuje się, że społeczeństwo, państwo, wszelka ogromna zbiorowość jest najniższą, najpodlejszą formą istnienia i organizacji. Narody, przejęte wstrętem i oburzeniem, nie są zdolne do inicjatywy, do protestu, do przedsięwzięcia czegokolwiek w celu zatarowania własnej i cudzej zbrodni. Automatyzm gromadnego wzajemnego tępienia się uniemożliwił wszelki czyn. Masy stały się jakąś bierną substancją, miększą i powolniejszą od gliny, w rękach tak zwanego rządu, ciskającego na swe kilkadziesiąt milionów poddanych czad oglupienia i rozbestwienia. Gabinetom i dworom jest tak łatwo organizować opinie i sumienia, prasę i nerwy, poglądy i refleksy, wzrok i słuch, logikę i wytrzymałość dla celów wojny, że czucie ludzkie, pierwotne i niechore, niezarażone tą psychozą, nie próbuje nawet odezwać się, jęknąć, zapłakać.

W czasie pokoju, nawet w czasach zwykłych tj. znanych przez historię wojen, bywało, że jakiś tak zwany desperat lub szaleniec usuwał ze świata którego z głównych sprawców niedoli — teraz zaś, kiedy uprzątnięcie jednego ambitnego głupca świat ten ocalić by mogło, nie znajdzie się jedna, jedyna indywidualna rozumna wola.

<sup>303</sup>dolina Józefata (bibl.) — według Księgi Joela miejsce Sądu Ostatecznego. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>wszyscyśmy (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „wszyscy jesteście”. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>Moloch — bóstwo fenickie i kananejskie, któremu miano składać ofiary z ludzi, według średniowiecznej demonologii jeden z demonów. [przypis edytorski]

Samobójstwo, Śmierć

Wojna

Czyn został zabity przez powszechne i bezwzględne panowanie Kruppiarni wszechświatowej.

Wszystkich nas spętał paraliż woli. Nie chcemy i nie cierpimy już — toniemy w odrętwieniu, jak w oceanie krwi.

V

16 listopada, wtorek

Oto znowu chwila, że wszystko, co się na szerokim świecie dzieje, schodzi dla nas na plan drugi: zajęto Tarnów. Nie wiem, czy wszystkie owe zmagania się i zwycięstwa zapaśników z onegdajszego i wczorajszego dnia: wzięcie Diksmuide za cenę 40 tysięcy poległych Niemców, zatopienie kilku niemieckich łodzi podwodnych, wyparcie Rosjan z okolic Erzurumu i Trabzonu, przyznane dziś urzędownie i tak dalej, i tak dalej, są w stanie zrównoważyć ten jeden fakt, że z Krakowa pośpiesznie ewakuują ludność cywilną.

Znowu staje przede mną widmo Wawelu z złoconymi baniami cerkwi rosyjskiej i kilkadziesiąt innych takich świecących brzuchów: w Sukiennicach, na placu Franciszkańskim, na Salwatorze, przy pomniku Grunwaldzkim, przy wszechnicy Jagiellońskiej itd.

Znowu sen mi urozmaicają halucynacje. Dziś już nikt nie wątpi, że Kraków nie oprze się natarciu Brusilowa. Jakaś smutną rezygnacją tchnie wiadomość, że w Wiedniu oficjalnie ogłoszono o zajęciu miast, będących przyczółkami Krakowa. To jakby sprawę uznano za przegraną, to jakies potworne *requiescat*<sup>306</sup>.

Nie wiadomo, jakie plany żywi dobry duch Rosji względem stolicy Jagiellonów — ale co myśli jej zły duch, duch jej przeszłości, wiedzieć powinniśmy na pewno: w świetle jego apetytów marsz na Kraków to nie pochód triumfatorów, lecz ekspedycja karna. To jest właściwa nazwa i właściwy charakter tego wielkiego żywiołowego pożądania, z jakim posuwają się, druzgocząc wszystko po drodze, wojska rosyjskie. W świetle tej tendencji, wszelkie rachuby i pozory polityczne pójdą precz, ażeby dać miejsce jednemu uczuciu: zemsty za irredentę polską, zemsty za to, że Kraków był ostoją polskości, zemsty za każdą niecenzuralną sztukę dawaną w teatrze, za każdego mnicha i księdza, swobodnie odprawiającego mszę w cudownych kościołach, za każdy dzień swobody, za każdą chwilę patriotycznej dumy, za każdy oddech wolności, która tutaj śmiała się rozpierać — tutaj, o kilka mil od granicy caratu!

Zemsta, Strach

Strasziła to będzie zemsta. Powoli, powoli duma Polski, że stanowi zachodnie skrzydło Słowiańszczyzny — będzie złamana. Powoli resztki jej łacińskiego senatorstwa podarte będą na strzępy. Powoli rozpostrze się nad nami wielki zmierzch i ciemność wiekuista zalegnie przestwór Polski.

Zeby to przewidzieć, nie trzeba być jasnovidzącą Kasandrą<sup>307</sup>.

Czyż wobec takiego czekającego nas jutra mogą rozdzierać szaty, że stary marszałek Anglii, lord Roberts<sup>308</sup>, umarł nagle we Francji?

A może szukać pociechy w tym, że w zmierzch się pograżą nie tylko Polska, ale świat cały? Ciemności, która nadciąga, starczy na to, żeby zakryć niebo nad całą Europą.

Anglia zaś — będzie miała zawsze rezerwoar światła, słońca i ciepła, w swych Indiach, Egipcie, Australii. Więc pozwoli nam, Europejczykom, oddychać dziegciem.

Zwątpilem — że o Anglii? A tak. W takiej chwili wierzy się tylko w złe siły historii...

Skończ się czym prędzej, nocy jesienna, nocy listopadowa — może rankiem wróci do mnie jakieś choćby dalekie i ciche, jak sen dziecka, echo wiosny i nadziei...

17 listopada, środa

Co u licha! Znowu panika i rada nieustająca przy stolikach u Lourse'a i Semadeniego? Znowu drożeje masło, sól, cukier i wszystkie tym podobne, a coraz rzadsze smakołyki? Znowu zaczynają znikać mistycznie drobne pieniądze, a w bankach zaczynają kupować marki pruskie?

<sup>306</sup>*requiescat* (łac.) — niech spoczywa. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>*Kassandra* (mit. gr.) — księżniczka trojańska, wieszczka; zakochany w niej Apollo obdarzył ją darem wieszczania, lecz gdy odrzuciła jego zaloty, sprawił, że nikt nie wierzył w jej przepowiednie; bezskutecznie przestrzegła rodaków o zbliżającym się upadku Troi. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>*Roberts, Frederick* (1832–1914) — wielokrotnie nagradzany brytyjski wojskowy, od 1895 r. marszałek polny. [przypis edytorski]

Okazuje się, że strach ludzki nie wstydi się utartych dróg. Z chęcią objawia się tak samo po raz trzeci lub czwarty, z chęcią widzi już ponownie Niemców w Kutnie, Łodzi, a nawet Łowiczu. Windziarz mój, echo rozmów hotelowych i półsłówek, rzucanych przez oficerów, wita mnie kwaśną miną: „Niedobrze, proszę jaśnie (sic) pana” (szedłem właśnie na wyprawę po rubla).

Dla umysłu trwożliwego, a skorego do wysnuwania wniosków fantazje latające po ulicach łączą się rzeczywistość w jakąś groźną fugę. „Sztab generalny cofnął się do Skierniewic”. — „Sztab generalny jest już w Warszawie — dlatego to Łazienki Królewskie są już zamknięte!”. „Jadących do Łodzi zawracają z drogi”. „Ogromna i krwawa bitwa pod Łęczycą, pod Łowiczem”. „Niemcy idą w sile ośmiu korpusów”. „Niemcy idą w sile miliona”.

Powtarzam dokładnie, co sobie podawano z ust do ust. Krążyły nawet takie cyfry, że należałoby przypuszczać, iż jednej z ostatnich nocy urodziło się nagle kilka milionów Niemców.

Aureliusz Kos z głupkowskim uśmiechem ociera się o mnie, ale nic nie mówi. Przyśiągłbym, że wierzy głęboko, iż Niemcy idą znowu na Warszawę, a gdy idą powtórnie, to już nie na żarty. W ogóle w mniemaniu znudzonej już trochę i czekającej na sensację Warszawy — sprawdza się w tej chwili pewnik o niemieckiej metodzie piorunowania impetem.

Jużć trochę prawdy w tym wszystkim jest. Komunikat urzędowy w pismach za wiele mówił o spustoszonych przez wroga taborach i budynkach kolejowych, za szczególnie powtarzał to, o czym wszyscy wiedzieliśmy doskonale, dzięki stałym rubrykom: „Po odejściu barbarzyńców”. I za bardzo też chwalił znakomicie rozwiniętą sieć kolejową u Niemców, co, jak wiemy z doświadczenia, zawsze oznacza, iż Niemcy otrzymali nagle wielkie posiłki i prowadzą atak z furją i powodzeniem. Są tacy, co twierdzą, że w tym komunikacie wyraźnie przebija nuta elegijna.

Przed dwiema godzinami w jednej z redakcji; w mojej obecności otrzymano przez telefon całkiem wiarogodne zaprzeczenie wszystkim tym wieściom, że sfer kolejowych zapewniono, że pociągi już uruchomione, wyprawione będą jutro i żadnych zarządzeń odwołujących nie ma.

W pięć minut zaś potem, inżynier, dobrze mi znajomy i będący w stosunkach z władzami wojskowymi, drżącym głosem opowiadał, jak uciekał wczoraj ze sztabem z Łodzi, że w Skierniewicach słyszeli już wyraźnie kanonadę armatnią, a pod wieczór cała zachodnia strona nieba była w płomieniach...

Uspakajalem wszystkich, że to jedynie dywersja, bardzo naturalna wobec śmiało prowadzonej przez Rosjan ofensywy w Prusach Wschodnich i w kierunku Krakowa. I w rzeczy samej, w tak szybkie ponowne natarcie Niemców nie mogę uwierzyć. Liczyłem, że nastąpi ono, ale dopiero po kilku miesiącach. Teraz — utoną po prostu w błocie!

Nie potrzebuję chyba dodawać, że karawana rannych ponownie trzęsie się po bruku warszawskim. Od wczoraj, a właściwie od onegdaj ciągną omnibusy, tramwaje konne, furgony strażackie i wozy fabryczne, pełne obandażowanych biedaków, zaś przy dworcu Kolei Wiedeńskiej ustawiły się znowu tłumy, te same dobrze nam znajome, jakby wydobyte z rekwizytorni teatralnej — gapiów bezinteresownych, oraz kobiet żalonych, oczyma szukających mężów, braci, synów.

A plucha znowu tak straszna, tylko że zasilona pierwszym śnieżkiem, jak owej niedzieli, gdy Niemcy pod Piasecznem omal nie złamali frontu rosyjskiego.

I jeszcze jedna nowina, przez urząd poczty pantoflowej rozesłana redakcjom: Niemcy bombardują Lubawę z dziesięciu krążowników. Wieść ma wszystkie cechy prawdopodobieństwa, gdyż powtarza się uporczywie.

Oczywiście, celu samoistnego trudno by się w tej imprezie dopatrzeć — zapewne znowu dywersja, chęć rzucenia postrachu, wniesienia zamętu. W tym punkcie Niemcy stale doznają zawodu: życie nasze w Polsce czy w Rosji, jest tak wielkim zamętem i już tak gotowym terrorem, że ten nowy alarm, od morza, zapewne nikogo nie zgnębi, a kosztów kanonady nie opłaci.

Wielostronność sztuki barbarzyńskiej Niemców jest jeszcze jednym dowodem niefortunności ich hałaśliwej, skrzypiącej, jak buty, strategii. Tyle dymu, tyle dynamitu, prochu i pyroksyliny, a tak mało celu i sensu.

Ta pusta gadatliwość wojny jest po prostu dalszym ciągiem wielomówności patetycznej Wilhelma II. Jest to prawdziwa „grzmiąca retoryka”.

19 listopada, czwartek

Ogromna ilość wydarzeń i wieści pada we mnie na tło pewnego moralnego znużenia i nie pozwala prowadzić pamiętnika nieprzerwanie. Opuściłem dzień wczorajszy, zresztą poniekąd i dlatego, żeby tuman wiadomości, całkiem ze sobą sprzecznych, ułożył się w jakieś kształty bardziej przejrzyste.

Nie ulega już wątpliwości, że dzika energia niemiecka zdobyła się na cały szereg nowych planów i ataków. Potwierdza to w zupełności jeden za drugim komunikat zwierzchniego wodza naczelnego, znowu dziwnie szczery i — prawie że za szczery; można by nawet myśleć, że przygotowuje nas na wszelki wypadek. Niemcy tedy wznowili natarcie i zmusili Rosjan do cofnięcia się nad Bzurę. Kutno, Łęczycza, Piątek, nawet Łowicz są zagrożone, a w każdym razie były jeszcze wczoraj w niebezpieczeństwie. Można twierdzić na pewno, że rozegrała się w ciągu dwóch-trzech dni ostatnich niejedna, straszna, krwawa bitwa. Mówią o klęsce, większej od Samsonowskiej, o śmierci dwóch generałów. Istotnie, Rosjanie nie zwykli cofać się przy stratach byle jakich, dopiero kompletny pogrom skłania ich do odwrotu. Opowiadają o znakomitych, a zgubnych dla naiwnych Rosjan działaniach wywiadowczych samolotów, o niesłychanych zdradach i szpiegostwach, to znowu o spiciu się oficerów, jako przyczynie nieszczęścia, o tym jak dowódcy błagali wielkiego księcia, ażeby kazał trąbić do odwrotu wobec niesłychanych strat — a on kazał bronić się coraz zażarciej itd.

Ale miasto — spokojne, panika się nie rozszerza: przychodzą też wiadomości, że ostatecznie udało się Niemców na całej linii powstrzymać, bądź zmusić do odwrotu.

Naturalnie, w takich momentach, jak te, któreśmy dziś jeszcze przed południem przeżywali, znowu buja fantazja płochliwców i — z drugiej strony — austrofilów. Kombinovali, że zwycięstwo Niemców musi doprowadzić do zajęcia Warszawy i jednocześnie do odrzucenia Rosjan z linii Przemyśl — Tarnów i zaniechania całej ofensywy zachodnio-galicyskiej. Ale owo napięcie strachu i nadziei już minęło. Miastu udziela się spokojny i pewny siebie nastrój, panujący wśród oficerów warszawskich; mówią oni o natarciu Niemców, jako o czymś nieopatrzonym i wprost obłąkanym ze względu na liczby ofiar olbrzymie, a co musi rozbić się o przewagę cierpliwą armii rosyjskiej i mocne postanowienie obronienia Warszawy za wszelką cenę.

Jest to, zdaje się w ogóle nowa faza w taktyce niemieckiej — taktyka wariackich paroksyzmów<sup>309</sup> zaczepnych. To co teraz depesze i artykuły pism zagranicznych podają o walkach nad Izerą, Diksmuide i Ypres, przechodzi najzuchwalsze dotychczasowe wzory krwawych łaźni. Niemcy dla złamania frontu wojsk sprzymierzonych, stracili tam podobno 90 tysięcy żołnierza — a mimo to zaraz potem atakiem na bagnety Ypres im odebrano. Jakaś czerwona żaloba unosi się nad tymi górami trupów. Korespondenci siedzą jak babilońskie płaczki nad rzekami krwi i na wpół przytomni błędni od widoku tysięcy oszalałych i równie nieprzytomnych, pytają łkającym głosem o sens i cel tej niewysłowionej mordowni ludzkiej.

Więc można wierzyć, że i u nas, na ziemi polskiej, prowadzą walkę również obłąkaną i bezpardonową. Można wierzyć pogłoskom, że rozpętał ją histeryczny rozkaz kajzera<sup>310</sup>: „Warszawa musi być wzięta!”

Coś jest bowiem z wypełniania despotycznego rozkazu w tym posuwaniu się naprzód.

Fama przerażona groźnym widowiskiem patrzy oczyma rozszerzonymi i przeto dostrzega jeszcze wiele innych rzeczy: że Działdowo znowu przyniosło Rosjanom zgubę i że zostali z jego okręgu wyparci.

Do wieści zaś pewnych należy to, iż bombardowanie Lubawy było szlachetną robotą okazijną: Niemcy przewozili tamtędy wojska pod osłoną pancerników i torpedowców i po drodze poharatali ogniem Lubawę, a wysadziwszy oddziały na ląd — w tej chwili nie wiadomo jeszcze gdzie — w drodze powrotnej powtórzyli egzekucję.

I to zdaje się być pewnym, że na Morzu Czarnym toczy się wielka bitwa między flotą turecką a rosyjską.

<sup>309</sup>paroksyzm (daw.) — gwałtowne nasilenie się objawów choroby. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>kajzer — cesarz niemiecki. [przypis edytorski]

Wreszcie na zakończenie dnia dzisiejszego — nowina równie sensacyjna jak groźna. Z europlanów niemieckich padły bomby na magazyny amunicji w Brześciu Litewskim. Podobno miasto się pali.

Jeżeli to prawda, to znowu podziwiać trzeba tego niemieckiego Marsa, widzącego tysiącem oczów, jak Argus<sup>311</sup>, sięgającego stu ramionami, jak Briareus<sup>312</sup> i zięjącego paszczami stu łbów hydry lerneńskiej<sup>313</sup>, choć wolalbym na miejscu wyrastania tych niewinnych i nikłych łbów wyobrazić sobie paszcze żarłocznych i zwinnych rekinów.

A jednak — to są tylko zwyczajne złe duchy, Rakszasy<sup>314</sup>. Zwycięży je — tak chcę się ludzi i tak muszą wierzyć — słoneczny boski Rama<sup>315</sup>, dobry duch ludzkości, strzałami swego kołczana, co się nigdy nie wyczerpuje i coraz nowymi tysiącami grotów napelnia.

Szkoda tylko, że ten dobry duch człowieczeństwa tak często występuje w masce i pod postacią, która nie ma nic wspólnego ani z słońcem ani z Bogiem. Kto tu jest synem Boga, a kto Szatana?

A przeto daruj mi, czytelniku, ten poetycki finał. To, na co patrzymy, jest właściwie pierwszym, należycie ordynaryjnym i należycie nieprawdopodobnym ziszczeniem się starej, banalnej, przesadnej formułki filozofa: „Wojna wszystkich z wszystkimi”<sup>316</sup>. Legenda wojny europejskiej nie łatwo zmieści się w mitycznym schemacie kontrastu, czyli walki duchów dobrych ze złymi. Odpowie jej lepiej typ legendy o potopie. „Potop zbrodniczej głupoty zalał świat w roku pańskim 1914” — tak będzie stało w przyszłych księgach rodzaju.

Zmierch i zmierzch powszechny. Oby chciał on być wielkim...

20 listopada, piątek

Nie wszystko się sprawdziło. Wybuch w Brześciu Litewskim był podobno dziełem tak zwanego przypadku. Przy napełnianiu właściwymi „pigułkami długiego życia”, jakiś szrapnel wysunął się z rąk żołnierza, upadł, ze skutkiem, równym trzęsieniu ziemi. Cyfrę ofiar podają na 200; pożar dokonał spustoszenia w tempie powolniejszym, ale niemniej srogiego. Jakiś nadjeżdżający pociąg ocalał, podobno tylko dzięki przytomności maszynisty, który zdążył dać kontrparę.

W dziennikach o katastrofie ani słowa, jako, że była uplanowana „na tle rewizyjnym”, że chodziło o zatajenie niedoborów podobno bardzo znacznych.

Inaczej napychają swe kieszenie lekarze i kolejarze. Na tle sztuk magicznych z czerwonymi biletami, sypią się śledztwa, rewizje, aresztowania itp. Drugim rodzajem czarnej magii jest tzw. komitet rozdzielnicy, rozrządzający wagonami towarowymi. Ażeby uzyskać kilka osi na przewóz towarów z Rosji czy do Rosji, a choćby nawet przedmiotów zamówionych dla armii, trzeba składać w odpowiednią prawicę okup kilkusetrublowy, kilkutyśięczny. Dzięki tej kontrybucji nakładanej na kupców i dostawców, dla zdobycia paru paczek zapalek lub kwarty nafty — trzeba mieć protekcję. Ziemianie z Mińszczyzny ofiarują Warszawie pomoc w tanich produktach, ale co z tego, kiedy komitet rozdzielnicy, nienasycony w swym głodzie, udaremnia najszlachetniejsze porywy?

Jedna, jedyna ilustracja liczbowa: według rzeczoznawców, powinno było przyjść do kraju, w miejsce straconego węgla dąbrowieckiego, co najmniej jakie 75 tysięcy wagonów węgla donieckiego — nadeszło zaś, wbrew zamówieniom i kontraktom... 280. Oto dokument „polityki wewnętrznej” dla użytku przyszłości. Niewątpliwie część winy spada na mobilizację i ciągłe transporty i przerzucania wojsk, czyli na potrzebę, rzecz prosta, najważniejszą; ale dla oszczędzenia „drogiej Polsce”, jak czule mówił pan Szalapin, głodu i drożyzny, znalazłoby się dość środków przewozowych, bez najmniejszego uchybienia nakazom wojny.

<sup>311</sup>Argus (mit. gr.) — olbrzym o tysiącu oczu, strażnik na usługach bogini Hery. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>Briareus (mit. gr.) — sturęki olbrzym, syn Uranosa i Gai, strażnik tytanów w Tartarze. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>hydra lerneńska (mit. gr.) — potwór wyobrażony najczęściej jako wielogłowy wąż wodny, córka Tyfona i Echidny. Zamieszkiwała bagna w okolicy Lery w Argolidzie. Pokonanie jej było drugą z 12 prac Heraklesa. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>Rakszasa (mit. ind.) — demon-ludojad, tytan, rodzaj złośliwego, złego ducha, złośliwy potwór-olbrzym grasujący po zapadnięciu zmierzchu i żywiący się surowym mięsem, także ludzkim. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>Rama (mit. ind.) — jedno z wcieleń boga Wisznu, postrzegane jako Bóg Najwyższy w hinduizmie. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>Wojna wszystkich z wszystkimi — motto *Lewiatana*, traktatu filozoficznego autorstwa Thomasa Hobbesa z 1651 r. [przypis edytorski]



W ogóle pomimo pozorów doskonałej organizacji sił i czynników społecznych, pomimo jednolitości idei wytycznej — szamocemy się wśród kontrastów. Z jednej strony miliony walecznych giną — z drugiej waleczni kondotierzy z bączkami na czapkach robią miliony. Po naszej stronie wojna jest stanowczo dualistą.

A co do bitwy na Morzu Czarnym, to jako stoczona bardzo daleko od nas i już całkiem daleko od redakcji pism, mogła zostać należycie spowita w mgłę tajemniczości. Dzisiejsze źródła urzędowe przyznają, że ucierpiał pancernik „Jewstafij”, na którym zginęło kilku oficerów i miczmanów<sup>317</sup> i kilkunastu marynarzy niższych stopni. Na ogół jednak wynik batalii miał być dla floty rosyjskiej pomyślny.

Z każdą chwilą umacnia się we mnie przekonanie, że dywersja turecka jest manewrem wielkiego znaczenia. Depesze WAT, czyli słusznie tak zwanej Waty, specjalnie fabrykującej nieporozumienia, szemrania, bunty, niezgody, między dwu sprzymierzonymi, ich władzami, ministrami, wodzami itp. — ciągle każą oficerom tureckim mordować oficerów niemieckich i *vice versa*<sup>318</sup>.

21 listopada, sobota

Coś się ważnego za kulisami dzieje. Fachowe pisma rosyjskie przyznają, że Niemcy prowadzą poważną ofensywę. Walki okrutnie desperackie toczą się „w okręgu między Wartą a Wisłą”. Strategicy z cesarstwa nie bez ironii mówią o metodzie „ciąglego ponawiania natarć i błyskawicznych odwrótów”, która bezowocną dla Niemców dotąd była i nadal będzie. I sceptycznie też wyrażają się o posuwaniu się ich jednocześnie obydwoma brzegami Wisły, dając do zrozumienia, że jest to wobec szerokości rzeki i braku zabezpieczonych przepraw, zupełny i śmieszny hazard.

Czyli, że wróg nadciąga i od strony Płocka. Ale wytłumaczyć sobie nie umiem, dlaczego się nie pisze i nie mówi o niebezpieczeństwie, grożącym z tej strony. Całą uwagę poświęcono wypadkom, rozgrywającym się na wschód od Warty. Bitwy na tym teatrze, tak niewielkim, gdyż okrąg z nim sąsiadujący w kierunku południa, jest cały zalany wojskami rosyjskimi — komunikaty naczelnego wodza zwą „szczególnie uporczywymi”. Jakóż przybywają całe pociągi rannych i wielkie partie jeńców. Ale co się dzieje bardziej na północ?

Związłość czysto militarna i po wojskowemu sucha wiadomości owych znowu daje pole do domysłów. Jesteśmy wszyscy jak wobec wielkiej zagadki. Z jednej strony jasnym jest, że Niemcy, cofnąwszy się do swych mocnych sztucznych podstaw: Kalisz—Częstochowa, ruszyli znów naprzód z znacznymi siłami, a więc nie na żarty i nie dla zamaskowania się tylko — z drugiej zaś niemniej jest pewnym, że duch wśród oficerów rosyjskich jest rażny i absolutnie od obaw wolny, a w mieście najczulszy słuch nie wysłodzi jakichkolwiek zarządzeń ewakuacyjnych. Czarnowidze utrzymują, że i na nie niebawem kolej przyjdzie i że wódz naczelny sprawę tę pozostawił po prostu samym urzędom i istniejącym w tym przedmiocie przepisom.

Ciż sami czarnowidze, już z znacznie większą logiką, tłumaczą sobie zygzakowate wieści z nad frontu Diksmuide — Ypres, niekorzystnie dla koalicji. Jeśli — dowodzą — Niemcy mogli przerzucić tyle wojska liniowego na front polski z belgijskiego, to znaczy, że czują się w Belgii zwycięzcami.

Nie sądzę. Geniusz Joffrencha zdaje sobie niezgorzej od nich sprawę z wyrocznego znaczenia tych walk o kanał Izery i drogi wiodące do Calais, więc i moje serce posłuszne jest, gdy mu każą być o nie spokojnym.

Po prostu Niemcy mają zasoby materiału wojennego, urągające płytkim rachmistrzom, czerpiącym swą mądrość z almanachów<sup>319</sup>.

Na chwilę posyłam wzrok w stronę Serbii. Zdaje mi się, że ślania się przed ostatnim ciosem. Okazuje się, że chory, zmarły dymisjonowany generał Auffenberg<sup>320</sup>, skompromitowany koleżeństwem z Dankiem i porażkami w Galicji wschodniej, stoi zdrowo,

<sup>317</sup>miczman — najniższy stopień oficerski w marynarce wojennej Rosji carskiej. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>vice versa (łac.) — na odwrót. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>almanach — publikacja zawierająca artykuły z określonej dziedziny nauki lub sztuki. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>Auffenberg, Mortiz (1852–1928) — generał piechoty cesarskiej i królewskiej Armii, jeden z najzdolniejszych oficerów sztabowych Austro-Węgier, minister wojny Austro-Węgier. [przypis edytorski]

aż nadto zdrowo, na czele armii, doduszającej Belgrad i jego rzeczywiście bohaterskich obrońców.

A jeśliby się sprawdziła wiadomość, że Austria mobilizuje nowy milion wojska, i ewakuuje zupełnie pogranicze włoskie — to jutro przedstawiałoby się znowu groźniej dla trójporozumienia, albowiem byłby stąd wniosek prosty, że od strony Włoch Austria zabezpieczyła się traktatami... Ale — nie bardzo temu wszystkiemu wierzę.

Bądź co bądź Włochy siedzą cicho; nie rusza się i Rumunia. Wszystkie ody i płomienne mowy d'Annunzia<sup>321</sup> są bezowocne. Snadź dwuprzymierze dobrze się jeszcze trzyma, skoro Włosi, ci najprzebieglejsi handlarze Europy, wahają się przeciw niemu wystąpić. Ta ich rezerwa jest najlepszym sprawdzianem sytuacji i może zastąpić wszelkie niejasne i niepewne komunikaty.

Może więc — i czarna chmura, nad Krakowem zawisła, się rozwieje, pomimo, że armia rosyjska, zająwszy Nowy Sącz podeszła do Wiśnicza i Wieliczki. Jeśli tam grzmia działa, to biedna rodzina moja i wszyscy drухowie moi — z jakimże strasznym słuchają ich uczuciem!

23 listopada, poniedziałek

Bomba rzucona z aeroplanu ma stanowczo zasługi towarzyskie. Gromadzi ludzi nie tylko na miejscu wybuchu, ale i przez cały pozostały dzień aż do późna w noc.

Tak też było i wczoraj. Niemcy zostawili znowu swoją kartę wizytową. „Chuligan powietrza” jak się wyraża w swym stylu kinematograficznym, jeden z „Kurierów”, przeleciał w południe nad miastem i rzucił bombę, która spadła w Alejach Jerozolimskich przed domem nr 70 i ciężko zraniła pięć osób. Prawdopodobnie, jak i owa z przed miesiąca co poszczerbiła „Polonię” — była przeznaczona dla dworca Kolei Wiedeńskiej.

Dalszy ciąg widowiska znany. Pocisk strzaskał kilka płyt w chodniku betonowym, potłukł na miazgę wielkie okna wystawowe w magazynach, zasypał ulicę warstwą szkła itd. Tłumy, gawędy, komentarze. Obawa jeszcze mniejsza niż za europłanów dawniejszych. Nawet najlogiczniejszy wniosek, najlepiej schlebiający uczuciu trwogi, że zapewne Niemcy są bardzo blisko, nie znalazł drogi do samopoczucia ulicy. Wie ona wybornie, że Prusacy przestali zwyciężać i pełną dłonią pije z fontanny brawury oficerskiej.

Na mnie osobiście bomba ta uczyniła wrażenie przechwiałki człowieka, co jest bardzo daleko, a chce dać do zrozumienia, że usadowił się bardzo blisko. Albo też jest to odruch złości i zemsty, że zdobycz się wymyka.

I dzisiaj krążył pod białymi obłokami, a nad placem teatralnym samolot, podobno niemiecki „Taube”, ale bomby nie rzucił. Różni zapewniali, że to latawiec swojski, rosyjski albo francuski, gdyż inaczej byłby na pewno ostrzeliwany. Odparłem, jak i myślę, że właśnie na odwrót — wiem bowiem z doświadczenia, że dzięki chronicznemu nieporozumieniu, najzawzięciej pracują kartaczownice i karabiny, gdy przelatuje aeroplan swojski, a to zgodnie z hardą odpowiedzią szyldwacha sprzed gmachu sztabu.

„Wszystko jedno, nasz czy nie nasz, a strzelać będziemy!”

Moja znajoma „Pięknoszyja” — tak ją nazywać będę — ma do mnie pretensje. Zapewniałem ją, że gdy nadejdą mrozy, samoloty przestaną nas odwiedzać. Tymczasem dziś jest kilka stopni niżej zera, a one sobie spokojnie fruują. Na ogół jest to kobieta odważna, ale na samo wspomnienie o Etrychu doznaje nerwowego drżenia. Zauważyłem, że nerwowość jej znacznie się w ostatnich czasach wzmogła; — szalona tęsknota za mężem zaczyna się w niej łączyć z gustem do towarzystwa głupiego Aureliusza — oto prawdopodobna przyczyna rozdrażnienia.

Pięknoszyja jest coraz piękniejsza, ale i coraz szczuplejsza. Chód jej stał się już zupełnie dziewczęcym, lekkim i sprężystym jak chód primabaleriny. A jej boskie biodra i cały kalliptygizm<sup>322</sup> jeszcze większą tchną gracją i rytmem. Kobieta, co tak chodzi i tak nogi stawia, co od ramion do kolan tak jest narysowana jednym rozmachem kredki, że osada

Kobieta, Piękno

<sup>321</sup>D'Annunzio, Gabriele (1863–1938) — włoski lotnik wojskowy, poeta, dramaturg, prozaik oraz polityk, uważany za jednego z prekursorów włoskiego faszyzmu. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>kalliptygizm — nawiązanie do rzeźby Wenus Kallipygos (dosł. „z pięknymi pośladkami”). [przypis edytorski]

głowy każe marzyć o biodrach, a biodra każą myśle całować szyję — taka kobieta, od czterech miesięcy rozłączona z mężem, na pewno rozumie mit o Tantal<sup>323</sup>.

Jako znany purytanin, czuwać będę, żeby się nie stała rzecz brzydka. Niech cierpi, gdy cierpi jej mąż, rzucony kędyś między szare zgraje pospolitaków pruskich, w najstraszniejszą z samotności, bo w małomiejską niemiecką ciżbę. Co on tam robi, ten wiecznie spętany sokół? Jak głową wali o stalowe pręty klatki, jak pluje wstrętem do otoczenia, jak noce bezsenne trawi na tęsknocie za ubóstwianą żoną, za swym małym, ale pełnym muzyki i obrazów mieszkankiem! Jak długo jeszcze? Kiedy się to skończy? A może na Boże Narodzenie? A może dopiero na wiosnę? A może nigdy?

Ja go czuję i rozumiem dobrze. W takich chwilach — a czyż bywają inne chwile? — byłby tylko jeden ratunek przed szaleństwem: oszaleć. Jak to osiągnąć? Nie żyć? — ale jak się na to ważyć, gdy życie tego drugiego jest tysiącokrotnie ważniejsze od naszego?

„Kochaj bliźniego jak siebie samego” — to dobre na czas pokoju, ale nie na czas wojny europejskiej. Wtedy się kocha tego bliźniego tylko i jedynie, a dla siebie samego ma się tylko ołowiem zakończoną nahaję wytrwania i obowiązku.

Powiem to jej raz jeszcze i będę dla niej — taką nahajką. Będzie to przy tym w stylu epoki.

24 listopada, wtorek

Zaczyna się stopniowo wyjaśniać, że prawy brzeg Wisły nie zapadł się pod ziemię. Armia niemiecka posuwająca się od Płocka, istnieje i nadciąga. Biuletyny urzędowe i opinie strategików opiewają wprawdzie, że Płock sam przez się nie ma znaczenia ani politycznego ani strategicznego, ale według bardzo zgodnych pogłosek wróg dotarł już do Nasielska. Potwierdzają to i przybyli stamtąd sanitariusze.

Komunikaty oficjalne zajmują się tylko wielkimi bitwami pod Łowiczem i pod Łodzią. Zwłaszcza krwawa jest ta ostatnia. Ma ona poniekąd znaczenie rozstrzygające dla całej ofensywy niemieckiej. Podobno przybiera obrót całkiem dla Rosjan pomyślny. W okręgu: Stryków — Brzeziny — Koluszki — Rogów — kilka korpusów niemieckich rzekomo otoczono i zachodzi wielkie prawdopodobieństwo, że będą musiały się poddać. Wzięto już do niewoli dwa tysiące z górą i mnóstwo taboru i artylerii. Z Kalisza przywiezie jeńców i zdobycz siedemnaście pociągów — tak przynajmniej ogłaszają niektóre pisma poranne, i tak wczoraj już zapewniano z dyrekcji kolei znajomych moich w mojej obecności. Ile to czyni tysięcy, trudno wyliczyć dokładnie wobec tego, że komunikaty raz podają liczby z kilku dni i całego szeregu walk, a zaraz potem tylko rezultat jednej jakiej ostatniej bitwy. W ogólności do liczb jeńców stale się wkrada — fantazja.

Bądź co bądź, miasto — pełne otuchy i fantazji. Zwycięstwo, rosnąc jak na drożdżach, przybrało się pod wieczór w efektowną wiadomość, że wzięto do niewoli króla saskiego.

Jednocześnie nasycono inną, palącą od kilku dni ciekawość. Przepadły bez wieści baron Korf, gubernator warszawski, który wyjechał na pozycję razem z panem Guczkowem, został, jak się okazało, wzięty przez Niemców do niewoli i przewieziony do Kostrzyna.

Poszedłem i ja oczekiwać przybycia jeńców. Szczęśliwie udało mi się widzieć jedną partię. Już nie krzyczano „Wiluś — Wiluś!” Olbrzymie masy otaczały tych kilkudziesięciu biedaków. Część w pikielhaubach, część w czapkach pospolitaków. Mróz siarczysty, zesłany tak nagle i wcześniej przez boga Rosjan, powlókł twarze śmiertelną błądzą. Wszystko, com słyszał o litość budzącym wyglądzie jeńców pruskich, rzeczywistość stokrotnie przewyższyła. Czy głodni, czy źle odziani — jak się baje zazwyczaj — powiedziec bym nie mógł: to pewne, że bezmierny smutek i bezmierna niedola wyzierała z tych głów, owiązanych chustkami, szalami, kryjących się przed mrozem i przed światem. Żal mi ciebie, panie adwokacie lub profesorze w złotych okularach... Nawykłyś do wygod i ciepła, tu zaś trzeba będzie niejedną godzinę i niejeden może dzionek czekać w randze katorżnika, nim ci podadzą do ust łyżkę żołnierskiej zupy. Choć w okopach nie ma centralnego ogrzewania ani berlińskiego Aschingera<sup>324</sup>, aleć zawsze tam lepiej było niż w cytadeli lub jakim dziedzińcu koszarowym, gdzie może i twoje okulary i inne świecące rzeczy łatwo

Bieda, Żołnierz

<sup>323</sup> *Tantal* (mit. gr.) — król lidyjski, syn Zeusa, za popełnione za życia zbrodnie ponosił męczarnie w Tartarze: stał zanurzony w wodzie, z owocami nad głową, nie mógł jednak dosięgnąć jednego ani drugiego, zaspokoić pragnienia ani głodu, zaś nad jego głową chwiały się głąz, grożąc zmiążdżeniem. [przypis edytorski]

<sup>324</sup> *Aschinger* — niemiecka firma cateringowa założona w 1892 r. w Berlinie. [przypis edytorski]

się zapodziać mogą. Powiem ci nawet otwarcie, że lepiej by ci było tak sobie zwyczajnie duszyczkę wyzionąć od porcji gorącego grochu szrapnelowego, niż wypływać tu na niepewne flukta doli niewolniczej. *Fortuna variabilis, deus*<sup>325</sup> — ho, ho, stąd, z Warszawy, daleko do Jego Wysokości, znacznie dalej niż nawet z Poznania.

Takich partii przeszło jeszcze kilka. Nie wypełniłyby one co prawda siedemnastu pociągów, ale to ostatecznie lepiej. Mniej chwały — ale i mniej męczenników dwóch genialnych bohaterów przyszłej *revuetki*<sup>326</sup>: cesarza Wilhelma i generała Hindenburga<sup>327</sup>.

Miałem ogromną ochotę wmieszać się w tłum za przykładem owych kilku gimnazystów, którzy w lot odszukali wśród jeńców — braci z Wielkopolski, i opowiedzieli im coś nie coś o cywilnych jeńcach, wywiezionych do Orenburga. Byłoby może ich pocieszyło, że dziś właśnie nadeszła stamtąd rozpaczliwa skarga i błagania o ochronę przed głodem i nieco większym, bo uralskim mrozem. Może by się nawet uczyli wybrańcami losu na wiadomość, że tam szczęka zębami z zimna i literalnie głodem przymiera 10 tysięcy Polaków, których jedyną zbrodnią było to, że się urodzili poddanymi niemieckimi i austriackimi, i których jedyną bronią było pióro w jakimś kantorze, jedyną baterią — słoiki w składzie aptecznym, jedynym podkopem piwnica w sklepie kolonialnym, a całym ryszunkiem — letnie paletko i żółte buciki.

Aczkolwiek, z drugiej strony rzecz biorąc, tamci mają nad wami pewną przewagę szansy życiowej. Wy jesteście tylko jeńcami — oni zaś i jeńcami i zesłańcami na Sybir w jednej osobie.

25 listopada, środa

„Bitwa pod Łodzią trwa w dalszym ciągu”. „W bitwie Częstochowa — Kraków, przewaga jest wyraźnie po naszej stronie”. Krótko, węzłowato, ale rażno i mężnie brzmią słowa sztabu głównego, dzisiejszą opatrzone datą.

Ale są i inne wiadomości z tego samego źródła. Armia rosyjska wytoczyła się na równinę węgierską szeroką lawiną i ogarnęła miasto Humanowę. W srogiej bitwie za Karpatami wpadł do niewoli jeden generał, 40 oficerów i trzy i pół tysiąca żołnierzy, tabory, pociągi, karabiny maszynowe.

Więc idziemy nie na żarty na Peszt i może na Wiedeń.

Nieco powolniej posuwa się natarcie ku linii jezior Mazurskich w Prusach Wschodnich. Sprawdziły się przewidywania, że tam, na swoim już gruncie, Niemcy obwarują się całą potęgą swej niezrównanej techniki i inżynierii. A że prze ich od strony rosyjskiej nie mniejsza potęga ambicji wyjścia na szerokie rozłogi ziem pruskich, przeto łatwo wyobrazić sobie można i kolor tej ziemi i kolor tych wód jeziornych, już przedtem tylokrotnie zafarbowanych krwią ludzką. Podobno Niemcy wiozą z sobą krematoria do palenia ciał — słusznie. Czy by nie należało naśladować ich w tym względzie?

Czytałem niegdyś piękny okrzyk felietonisty — filozofa: „Przekleństwo kłosom, co wyrosły na krwi! A kłos urąga słońcu swoją złotą kisią”. Nie prędko takie choćby kłosa wyrosną na glebie mazurskiej...

O tysiąc mil więcej na południe, w pobliżu Morza, dotąd tylko nominalnie Czerwonego, także krew się leje, krew Anglików i Turków. Tej ostatniej, zdaje się, znacznie więcej. Najście Turków na półwysep Synaj odparto. Zagarnięto też port Jerozolimy — Jaffę. A jednocześnie i nad zatoką Perską, bliżej swej ziemi obiecanej, Anglicy marszem ceremonialnym wkroczyli na ulice Basory. Snadź Albion nie został zaskoczony i lwią łapą gruchoce kosteczki choremu człowiekowi.

## VI

26 listopada, czwartek

Minął, zdaje się, najgorszy okres wojny, ten, w którym szale trzymały się uporczywie na jednej równi. Patrząc na tę równowagę, lub też co prawie na jedno wychodzi, na to,

<sup>325</sup> *Fortuna variabilis, deus...* (łac.) — fortuna zmienną jest, a bóg... [przypis edytorski]

<sup>326</sup> *revue* (fr.) — rewia; rodzaj przedstawienia teatralnego o charakterze rozrywkowym, złożony z krótkich scenek i numerów estradowych. [przypis edytorski]

<sup>327</sup> *Hindenburg, Paul von* (1847–1934) — niemiecki dowódca, feldmarszałek i polityk, od 22 sierpnia 1914 r. dowódca 8. Armii. [przypis edytorski]

jak po chwilowym wyjściu z niej, zaraz do niej wracały — miałem całkiem namacalne wrażenie pętlicy na szyi. Uczucie utraty tchu i powietrza, uczucie, że ta krwawa dżuma świata nie skończy się nigdy, bo trzyma się do nieskończoności w jednej mierze — stałym było mi towarzyszem.

Dziś zaczynam mieć wrażenie, że się obróciło na lepsze; oczywiście nie w sensie zwycięstw jakiejś idei lub ideologii, z tej bowiem już dokładnie się wyleczyli wszyscy, lecz w sensie wyjaśnienia się sytuacji.

Niemcy zaczynają staczać się po pochyłości. Nie osiągnęli nic istotnego na froncie francusko-belgijskim, a na teatrze wschodnim cofają się najwyraźniej. Dzisiejsze dodatki wieczorne stwierdzają ich odwrót w kierunku Strykowa. Więc wielka bitwa pod Łodzią wypadła dla nich fatalnie. Wprawdzie, dzięki swej maestrii w cofaniu się i osłanianiu ariergardami<sup>328</sup> głównych korpusów, uniknęli ciosu druzgoczącego, nie zostali osaczeni, ale rezultat całej tej walki zdaje się być przesądzonym. Rosjanie nie umieli wyzyskać swych przewag i nieprzyjaciela rozgromić, ale odsunęli go od Warszawy — tym razem bodaj na zawsze.

Gdyby kto miał jeszcze wątpliwości co do porażki Niemców, a nie wystarczyłyby mu komunikaty wodza naczelnego i ogólny nastrój miasta, powinien czerpać pociechę z pewnych symptomatów czysto politycznych, jak założenie „Komitetu Narodowego Polskiego”. Według jednych — jest to twór genialny, zaś „jeszcze jedna impreza” po legionach pp. Snarskiego i Górczyńskiego, oraz „przedsiębiorstwo” — według dzisiejszego „Gońca wieczornego”.

Ten komitet, podpisany ponoć przez większość byłych i aktualnych posłów do obu „Gadaln” państwowych — wyrażenie gazet rosyjskich — chce stworzyć podstawę do organizacji politycznej narodu i to czym prędzej, bo najmniejsza zwłoka grozi mu wielką szkodą. Pośpiech ten tłumaczy się jednak lepiej ustępem końcowym, w którym podpisani truchleją z obawy, ażeby Polacy w Krakowie nie dali się sprowokować Niemcom do jakiegokolwiek „wystąpienia przeciw armii rosyjskiej”. Innymi słowy, Komitet ma nadzieję dotrzeć swą odezwą do zachodniej Galicji i oddziałać na Kraków w ten sposób, ażeby Polacy poddali dobrowolnie miasto, a w każdym razie wycofali się z udziału w jego obronie.

Fakt drugi. Pan Roman Dmowski nie darmo dzieli swój czas między Londyn i Petersburg. Wie on dobrze, lepiej niż sztabowcy nawet, że sprawa Niemców jest bezpowrotnie przegrana. Okiem ostrowidza i uchem łowcy, czającego się od lat dziesięciu na zdobyciu wysokich stanowisk, przeniknął on lub wydobył sekrety i wie, że już nie ryzykuje.

Podpisani z nim na odezwie zawczasu biorą swoje fotele w przyszłym sejmie polskim, jakikolwiek on będzie. Już oni zagłosowali na siebie i nikt ich z tych miejsc nie wyparuje. Prezydenci i wiceprezydenci już są mianowani. Cokolwiek przyszłość przyniesie, jakikolwiek okręt państwowy zbuduje nam los, oni już są jego sternikiem, kapitanem, podkapitanem, załogą itd. Rzecz jest pomyślana dobrze. Kto pierwszy, ten lepszy. Gdyby zachodziła najmniejsza obawa, że okręt ten nie będzie wcale puszczony na wodę — oni by swego samozwaństwa nie ryzykowali. Oni wiedzą, że kariera Niemców na ziemiach polskich sromotnie skończona.

I za tę wiedzę, ostatecznie, należy się im hołd i wdzięczność.

Politykować, acz skromnie i trochę nieśmiało, lubi także Pięknoszyja. Nie znosi ona zdań zbyt kategoriicznych i gotowa nawet sprzeczać się z tymi, co je wygłaszają, ona, uosobienie smaku i harmonii.

— Jak pogodzicie swoje zdanie o szwajcarskim Komitecie Narodowym, z tym, co pisał kilka dni temu Stołypin w „Nowom Wremieni”? To głos ogółu rosyjskiego: sprawa urzędzenia ziem polskich to kwestia wewnętrzna Rosji i nikt nie będzie śmiało narzucać jej swoich życzeń i poglądów. Znaczy to innymi słowy, że możemy się nie spodziewać niczego, zaś Anglii Rosja pierwsza powie: *Hands off!* — *ruki doloj!*<sup>329</sup> Członkowie Komitetu o tym wiedzą doskonale, jaśli zaś pomimo to budują swój okręt, to czynią to właśnie jak gracze, na los szczęścia.

<sup>328</sup> *ariergarda* — pododdział maszerujący z tyłu za głównymi siłami związku taktycznego. Zadaniem ariergardy jest ubezpieczanie maszerującej kolumny przed uderzeniem od tyłu i zapewnienie jej swobodnego wykonywania marszu. [przypis edytorski]

<sup>329</sup> *Hands off!* — *ruki doloj!* (ang., ros.) — Ręce przy sobie! [przypis edytorski]

— Nie, droga pani! — cicho a urągliwie tłumaczył Aureliusz — Oni wiedzą, że stanie się właśnie tak, jak powiedział inny jakiś Stołypin przed tygodniem: „Cośkolwiek trzeba będzie Polakom dać — coś w rodzaju ogólnej rady gubernialnej, którą oni mogą sobie nawet nazwać Izłą lub Sejmem”. Wie pani, czym będzie ta rada gubernialna? Izłą wyższą ochrony. Rosjanie są zbyt mądrzy politycznie i zbyt potężni, żeby nie skorzystać z cudownej sposobności i nie stworzyć instytucji, która, nosząc piękne miano, da im dokładny wgląd w dusze polskie. Staniemy się sami swoimi szpiegami i żandarmami. Będziemy owym okienkiem Sieversa<sup>330</sup> nad tronem Stanisława Augusta, kierującym niewidzialnie obradami w sejmie, ażeby się Jejmość Imperatorowej nie stała ujma.

— Zły z pana człowiek i pesymista.

— Być może — odrzekł z dziwnym, głębokim spokojem człowieka, jasno widzącego swoją wizję — ale jestem, pochlebiam sobie, dobrym psychologiem.

Spojrzała nań z pewnym uczuciem lęku, ale bez nienawiści. Odbił się w niej niebezpieczny zwrot — mężczyzna jej zaimponował...

27 listopada, piątek

Zbliża się chwila prawdziwie historyczna. Pod Łodzią<sup>331</sup>, pod niemiecko-żydowską Łodzią, miastem zaludnionym przez samych — jak rozumuje opinia — szpiegów i Prusaków, armia generała Hindenburga doznała porażki. Nie ironia<sup>332</sup> to losu? Byli „jakby u siebie w domu” — i w domu tym zostawili takie góry trupów, że, jak mówią sanitariusze, mnóstwo żołnierzy poległo stojąc, bo nie mieli gdzie runąć. Cofają się do okręgu Strykowa i prawdopodobnie dążą do Kalisza; wśród Rosjan gniew i oburzenie, że osaczonym ze wszystkich stron trzem czy dwóm korpusom pozwolono się przebić — choć osaczenie było podobno zupełne. Fama zwala winę na *Rennenkampfa*<sup>333</sup>.

W tej chwili żadnych komunikatów jeszcze nie ma — choć piszę te słowa wieczorem. Znajomy, stary kolejarz, od którego tyłu już rzeczy dowiadywałem się, i dzisiaj mówi ciekawie, a w ten sposób, że niepodobna mu nie wierzyć. Powtarzam jednak z zastrzeżeniem: przebiecie się było zasługą jednej jakiejś waleczniejszej od innych dywizji niemieckiej. Zagrożony był cały sztab armii i Kronprinz. W związku z tym niezrozumiałym wprost przedarciem się Niemców przez stalowe kolisko Rosjan, rozstrzelano jakiegoś telegrafistę. Największa zgroza działa się w Brzezinach; całe podobno spłonęły, a w nich setki rannych i w tej liczbie mnóstwo oficerów. Oceniają straty obu przeciwników w zabitych i rannych na 150 tysięcy!

Jakże<sup>334</sup> wobec tego srodze zdegradowane, Diksmuide! Jakże zdegradowane są wszystkie inne bitwy wobec tej jednej, pod pięknym i wonnym miastem Łodzią!

Takich to ofiar obustronnych trzeba było, ażeby uświadomić Niemców, ażeby im otworzyć oczy na nieprzeliczone szeregi obrońców tej nieszczęsnej ziemi. Teraz już chyba wiedzą, że aeroplanami się nie zwycięża państwa, które mogło wystawić w krótkim czasie 21 armii po 250 tysięcy żołnierza, a jeśli zechce, potrafi wystawić drugie tyle. Tak jesteście przeczni, a przecież — jak zapewniają — nie tylko że rąk, ale nawet amunicji wam zabrakło wobec tych nieobliczonych zastępów. Tu wasza moc się przesiliła. Może nareszcie ziemia nasza odetchnie. Bo przecież po raz trzeci szaleństwo was nie ogarnie, i choćbyście zebrali lub urwali zachodowi jeszcze kilka korpusików i ruszyli z nimi na Warszawę — jeszcze gęstszy las bagnatów zagrozi wam drogę. Byliście narodem butnym, od wczoraj jesteście tragicznym. A wasze przymierze z Austrią to jedna z najsmutniejszych i najpotworniejszych kart historii. Austriacy bić się nie chcą i codziennie posyłają w niewolę po kilka pułków — wy bić się umiecie i chcecie, ale za to wszystkie pługi polskie orać będą po kościach waszych grenadierów.

<sup>330</sup>*Sievers, Jakob* (1731–1808) — rosyjski dyplomata, mianowany posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym Katarzyny II w Rzeczypospolitej, autor pamiętnika *Jak doprowadziłem do drugiego rozbioru Polski*. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>*bitwa pod Łodzią* (1914) — jedna z największych bitew na froncie wschodnim I wojny światowej w jej początkowej fazie, rozegrana pomiędzy armiami niemiecką i rosyjską; starcie nierozstrzygnięte, choć Niemcom udało się osiągnąć cel strategiczny: zapobiec inwazji rosyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>*ironia* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą, inaczej „ironia że”. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>*Rennenkampf, Paul von* (1854–1918) — rosyjski wojskowy, dowódca rosyjskiej I Armii. Podczas bitwy pod Łodzią w listopadzie 1914, w wyniku nieudolnych działań dowodzonej przez niego I Armii, niemieckiej grupie gen. Scheffera udało się wyjść z okrążenia. Te błędy przypisał zdjęciem ze stanowiska. [przypis edytorski]

<sup>334</sup>*jakżeś* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „jakże jesteś”. [przypis edytorski]

Od dnia dzisiejszego wyprawa na Berlin i Wiedeń przestaje być częścią groźbą i obietnicą. Myślę, że w bardzo krótkim czasie gwałt straszliwy wzbije się pod niebo niemieckie, a wtedy zachwieje się tron Wilhelma II.

A nieszczęsny Franciszek Józef? Dziś czytamy, że „gaśnie”. Nie wierzę. Albo już zmarł dawno, albo nie zemrze nigdy. Całe jego istnienie zda się być okropną mistyfikacją albo nieśmiertelnością katuszy. Wszystko co chcecie razem: król Lear<sup>335</sup>, Derwid<sup>336</sup> i Ahaswer<sup>337</sup> w jednej osobie.

Coraz częstsze dochodzą echa z Węgier. Kolos z kozacką szablą zbliża się do ich szyi, przebrnąwszy łatwo śnieżne przepaście Karpat. Dzienniki rosyjskie czują powagę chwili i radzą nie lekceważyć „najlepszej na świecie jazdy węgierskiej”. Ale jednocześnie agencje telegraficzne gwałtownie starają się nas przekonać, że Węgry już paktują z Petersburgiem — na własną rękę. Być może. A dalby Bóg! Toż i to jest jedna z dróg przerywania światowej psychozy.

Diksmuide zostało odzyskane przez armię koalicyjną, Anglicy bombardują Zeebrügge.

Do Tarnowa wkroczyli z śpiewem kozaków na czele — Rosjanie. Miastu w nagrodę lojalnego zachowania się obiecano miłosierdzie i spokój.

O mury Wawelu obijają się już echa, zwiastujące rozcięcie serca Polski na dwoje...

Piramidy prostytutek i oficerów mkną po Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu na gumowych kołach. Tak spiętrzonej architektury jeszcze w życiu nie widział.

28 listopada, sobota

Nie chciałem snuć w dalszym ciągu refleksji o następstwach klęski pod Łodzią, bo są za wielkie i zbyt liczne, żeby je spisać można było pod datą jednego dnia. Sama myśl, że w tych walkach jest jakoby zapowiedź światowego przewrotu, pierwszy realny zmierzch hegemonii pruskiej, zorza wyzwolenia świata z obroży militarystyki, i cały jeszcze łańcuch er przełomowych — przyprawić może o zawrót. Wolę powstrzymać ten gwałtowny korowód cisnących się do mózgu uogólnień i wniosków o oczyszczeniu samejże kultury niemieckiej, tak bądź co bądź potrzebnej ludziom.

Z takimi myślami szedłem dziś do Teatru Polskiego na *Trzy pokolenia*.

Premiera — więc liczyć mogłem na pewno, że się rozerwę, jeśli nie sztuką, to rozmową o błahych rzeczach, spotkaniem z znajomymi. Nic lepiej nie topi wszelkiej uporczywszej i poważniejszej idei w nicości, jak premiera warszawska.

Ale oto już przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Królewskiej nadzieja takiej nicości pierzchnęła.

Czarniawa jakaś sunie od Nowego Świata; naprzeciw niej biegną kwiki zawsze zmobilizowanych andrusów<sup>338</sup>. Domyślam się, że znowu procesja jeńców. Zajmuję punkt obserwacyjny na chodniku — na ulicy bowiem starszyzna policji zbierać się nie pozwala. Konni policjanci pilnują porządku. Ucichły świsty i dzikie okrzyki. Idą — widać błyszczące pikielhauby. Ola Boga! Jakież to uroczyste i smutne! Przodem kroczą oficerowie, jest ich wielu — kilkunastu. Posępni i wyprostowani przyglądają się domom, tym domom, w których spodziewali się, że zamieszkają jako dumni zwycięzcy. Ubrani elegancko, ale nie jak na zimę. Niektórzy z pledami, złożonymi jak do podróży. Za nimi szeregowcy niemieccy. Za ciemno, ażeby rozpoznać pułk. Sto kilkadziesiąt szeregów po czterech, pięciu, sześciu. Tu i owdzie czapa futrzana, czasem sanitariusz. Nie brak i Austriaków.

Pochód nie wygląda już tak żałośnie, jak te, które widziałem poprzednio. Może obecność oficerów dodaje otuchy, może to, że są w tak znacznej liczbie. Dlatego też pewnie i ulica zachowuje się przyzwoiciej i godniej. Któż by nie czuł, że to wielki rozdział historii

<sup>335</sup>król Lear — tytułowy bohater tragedii Szekspira, stary, szalony władca niepotrafiący przekazać władzy innym. [przypis edytorski]

<sup>336</sup>Derwid — bohater *Lilli Wenedy* Juliusza Słowackiego, król Wenedów, ojciec Lilli, trzymany w niewoli przez Gwinonę (żonę Lecha, władcę Lechitów). [przypis edytorski]

<sup>337</sup>Ahaswer — legendarna postać Żyda, który miał znieważać Chrystusa idącego z krzyżem na Golgotę, za co został ukarany wieczną tułaczką po świecie. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>andrus (daw.) — chuligan, awanturnik, ulicznik. [przypis edytorski]

przechodzi przez Warszawę, nie byle jaki okruch potężnej armii, przed którą jeszcze dwa lata temu dygotał świat, pewny, że jest niezwyknięta?

W Teatrze Polskim sztuka angielska była w pierwszym akcie śmiertelnie nudna, w trzecim znakomita, w całości zaś delikatna i dystygowana, jak kolorowe sztychy<sup>339</sup> angielskie. Była i Pięknośzyja i Kos. Siedzieli osobno, ona w jednym z dalszych rzędów, zamknięta w sobie, ale czujna na wszystko, co się dookoła działo. W antraktach nie ruszała się z miejsca i tylko dyskretnie zjadała z małej, pięknej ridiculki czekoladki. Aureliusz widział ją doskonale, ale po swojemu butny i przyzwoity, nie podchodził. Z swym łbem nieforemnym, szczecina kasztanowatą, krótko przystrzyżoną, zdrowymi rumieńcami szlagona<sup>340</sup> i pewnym utajonym w oczach zuchwalstwem wyglądał po trosze, jak przypadek w Warszawie, szczególnie tutaj, wśród smokingów prezesów, bankierów i dyrektorów kas pożyczkowych. Widoczne było, że przyszedł nie tyle dla premiery, ile, żeby pokpić sobie w duchu z „warszawskich mord” jak się wyrażał swym głosem nieokrzesanym, ale dźwięcznym i zniewalająco szczerym.

Przy mnie siedział jeden z redaktorów, który promieniał jeszcze świeżo zjedzoną dobrą kolacją i z miejsca uderzył na Prusaków. Uczynił jednak subtelną uwagę: wspomnienie partii jeńców, których tak samo jak ja widział, przeszkadza mu słyszeć, co się dzieje i mówi na scenie — zawadza mu. Istotnie i ja byłem pod silnym wrażeniem, i może dlatego *Trzy pokolenia* wydały mi się już nazbyt wyblakłymi w barwach.

W międzyczasie Aureliusz do mnie półgłosem:

— Czytałeś dzisiejszy komunikat o Krakowie? Przygotowują nas już do tego, że będą bombardowali Wawel, kościół Mariacki itd. Łżą jak Niemcy po zburzeniu katedry w Reims, że na wieżach ustawione są kartacznice i telegrafy bez drutu. Ja ci ręczę, że już bombardują...

Istotnie już kilku mnie o tym zapewniało. Słyszałem taką pocztę: część Krakowa w płomieniach. Zadrzałem prawdziwym dreszczem — o swoich. Po chwili przestałem wierzyć. Ale gorsza, że zaczynam wierzyć w intuicję Aureliusza i jego filipkowatość zaczyna mi się z innej strony ukazywać.

Żeby mu nie dać triumfować, spytałem:

— A czyś widział tych oficerów niemieckich i bezlik żołnierzy, prowadzonych dziś po ósmej? Ładny połów!

— Mój drogi, na mnie takie rzeczy nie robią wrażenia. Siostra moja, która jak wiesz, mieszka w Grodzisku, widziała nie tak dawno temu dziesiątki takich partii jeńców, ale jeńców rosyjskich, słyszysz? Więc gdzie? We własnym państwie, na terytorium Rosji, pod Warszawą! Wam się wszystkim zdaje, że tylko Niemców biorą do niewoli. W foyer znowu opowiadano sobie o Łodzi. Gęsto padają tam szrapnele i granaty, walą się domy, zasypując gruzami biedaków; znajdują ludzi z urwanymi nogami, poszarpanych; przedmieścia zamieniają się w rumowiska, Bałuty, Aleksandrów, Konstantynów mają spektakl znacznie lepszy niż swego czasu Warszawa.

Z każdym dniem przybywa zniszczonych miast i spalonych wsi. Stopniowo cała Gubernia Warszawska, Kaliska i część Piotrkowskiej stają się podobnymi do Lubelskiej. Wielkim klinem, opartym o Toruń i Kalisz, wdzierają się w Królestwo, ku Kuluszkom i Skierniewicom, Niemcy. Nowy segment skazali na spustoszenie. Od setek bitew i przemarszów, rekwizycji i rabunków, swojskich i cudzych, od złośliwych podpaleń, to znów od pożarów wzniesionych pociskami armatnimi, powoli cała najkulturalniejsza część kraju stała się podobna do Belgii. Ale wszystko to zakryte jest dla naszych oczów olbrzymią kurtyną od nieba do ziemi. Żyjemy spokojnie, jemy ostatecznie nie najgorzej, ceny znowu pospadały; nie myślimy o tych zapóźnionych wędrowcach, których przychwyciwszy gdzieś na drodze do Łodzi, Kozacy zarabali, o tych kupcach, których co dzień regularnie wieszają, o tych rodzinach, wyrzynanych przez bandytów.

Jeden z kolegów moich, który często zmuszony jest jeździć do swego majątku, opowiadał mi o strasznej przechwalce dwóch Kozaków, że zasiekali na śmierć sześciu Żydów, którzy jechali automobilem do Łodzi, do swych żon i dzieci. „Jakże — przecież to

Wojna, Okrucieństwo

<sup>339</sup>sztych — rodzaj ryciny wykonanej w metalowej płycie. [przypis edytorski]

<sup>340</sup>szlagon (daw.) — niewykształcony szlachcic, mieszkający na prowincji. [przypis edytorski]



szpiegi"! Zabrali im osiemnaście tysięcy rubli i podzielili się nimi. I teraz każdy z dumą pokazuje swoje dziewięć tysięcy.

Nie ma dnia i nie ma godziny, ażeby idąca na tyłach wojny bestia ludzka nie zdepotała lub nie powiesiła kilkunastu bezbronnych. Nie mogąc zorganizować rzezi formalnej, rozłożono ją na raty.

30 listopada, poniedziałek

Wczoraj pisać nie mogłem, miałem za wiele do roboty z własnym usposobieniem, albo może raczej z usposobieniem Warszawy.

Miała atak — szpetności. Cztery bomby rzucone z aeroplanów, na szczęście, nie zabiły i nie zraniły nikogo. Było to jakby zwyczajne powitanie niedzieli. To ośmieliło ludność do szczególniejszej tłumnego wysypania się na ulicę. Nigdy jeszcze tak nie popychano, nigdy nie było takiej masy czarnych, wielkich, jak straszyla, papach, zakrywających runem swym całą twarz; nigdy nie pluto tak przebrzydłe na chodniki i nigdy lud warszawski nie był tak świąteczny, tak biedny i tak zadowolony: nigdy tak nie wierzył we wszystkie brednie telegramów. Uczulem dziwną, potworną tęsknotę, za czystymi chodnikami, za swobodnym przejściem, za ludźmi, co nie potrącają ordynarnymi łokciami. Całe zapuszczenie i bezbronność nędzy wystąpiły teraz tłumnie, jakby na koronację swojej straszliwej sromoty. Zrozumiałem całą okropną, trawestującą słowa Heraklita<sup>341</sup>, prawdę Arne Garborga<sup>342</sup>: „Wszystko śmierdzi”.

Prawie zadowolony byłem, że ze sztabu głównego nadeszły słowa trzeźwe, ostrzegające przed zbytym optymizmem. Jakież to pomnikowo charakterystyczne! Lud tak cieszy się niesłychanymi zwycięstwami nad Prusakami, tak łatwo w nie wierzy, że aż rząd widzi się zmuszonym zlać nieco zimnej wody na rozentuzjazmowane głowy. Innymi słowy, do ostatecznego zwycięstwa jeszcze daleko. Nie chcę tłumaczyć sobie tej przestrogi tak, jak ją interpretują inni, że to delikatne przygotowanie opinii na wypadek, a może nawet na porażkę. W porażkę już, a więc w triumf Niemców, absolutnie wierzyć przestałem. To w życiu armii po prostu chwila zmarszczenia brwi. Widząc krwawą służbę żołnierzy, niezliczone ofiary, wściekłą zażartość Niemców, nie jest zgola usposobiona do traktowania swej pracy jako rekordu sportowego, jak sobie wyobrażają różne WAT-y.

W tej przestrodze słyszę jak gdyby zawtórzeń wersji, od kilku dni stale przywożonej z Petersburga, że „sztab nie ma zamiaru poświęcać armii dla Warszawy”. Istotnie, ta Warszawa kosztowała już tyle ludzi, że w końcu „skóra nie starczy za wyprawą”. Giną korpusy całe i całe dywizje dostają się do niewoli. Czyby nie skierować lepiej tej niesłychanej energii i nieocenionych skarbów materiału ludzkiego, tego niezrównanie uległego i karnego żołnierza rosyjskiego, na zdobycie Mezopotamii i Azji Mniejszej, co wroży korzyści znacznie większe?...

A może i dla dobra samej Warszawy byłoby lepiej, żeby jej nie za wszelką cenę bronić?

Notuję tę wersję, nie wierząc w nią. Nie sądzę bowiem, żeby bez zabezpieczenia „kraju zawiślańskiego”, jak się teraz mówi, czyli ziem po lewej stronie Wisły, można było myśleć na serio o natarciu na Prusy. Chyba — górą, przez Prusy Wschodnie, w których akcja również mało rokuje wyniku, jak ofensywa Niemców na Nieuport, Dikismuide, Ypres. A bez tej wielkiej ofensywy na Poznań i Berlin, spaliby na panewce wielki epilog dramatu, otrąbiony już tyle razy i oczekiwany przez Anglię, przez wszystkich świetnych widzów, co z łóż Zachodu lornetują rosyjski teatr wojny.

Niedziela wczorajsza była pełna sprzeczności. Według jednych depeesz, Niemcy stanowczo zaniechali dalszej ofensywy nad Yserą i przesuwają wojska na wschód. Według innych, cesarz Wilhelm rozkazał za wszelką cenę sforsować linię przebić się do Calais, ku czemu przybyło 150 tysięcy posiłków. Bądź tu mądrym.

Druga sprzeczność. Margrabia Wielkopolski wezwał rodaków, ażeby w pismach swych starali się oddziaływać na opinię Krakowa i skłonić ją do zaniechania obrony miasta oraz do dobrowolnego oddania go Rosjanom. W wykonaniu tego polecenia ogłoszono już obronę Krakowa za szatański wymysł Niemców, którzy wprost dążą do tego, ażeby Kraków zniszczyć.

<sup>341</sup>Heraklit — joński filozof przyrody, znany z koncepcji zmiany jako centralnego elementu świata wyrażonej w sformułowaniu *ta panta rhei*: wszystko płynie. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>Garborg, Arne (1851–1924) — norweski poeta, dziennikarz i tłumacz. [przypis edytorski]

Wieczorem zaś, o godzinie jedenastej, padła bomba i uderzyła w zad lwa przed obeliskiem na Zielonym Placu. Sensacja pierwszorzędna. Przestrach nie byle jaki. Ulice od razu, na długo przed północą, opustoszały. Obcięto niedzieli cały ogon. Również ogon przycięto lwu przed obeliskiem. Większej szkody wybuch nie wyrządził. Ale co on oznaczał? Z europlanu? Byłby to nazbyt dziwny i cudowny zbieg okoliczności: dzień, miejsce, godzina, 29 listopada! A może to po prostu przypomnienie rocznicy listopadowej? Na to wygląda: dowcip, zręczność, brawura „fraków”.

Czy przypomnieli? Pewnie. Ale co o tym pomyślał margrabia Wielopolski? Pewnie nie żałował, że nie jest owym zielonym lwem.

Wszystko to razem składa się na operetkę, w której jednak śpiewają sami tenorzy. Znam jednego takiego prawdziwego tenora operetki, który każdą wieść o wzięciu do niewoli jednego Prusaka i każdą o powieszeniu jednego lwowianina przyjmuje z frenetyczną<sup>343</sup> wprost radością.

Chodzę do Teatru Nowości jak do właściwego domu narodowego, gdzie między sceną i widownią panuje idealna harmonia i nikt nie chowa w zanadrze jakiejś reszty, w rodzaju niezadowolenia, czegoś niezaspokojonego, szemrzącego lub krytycznego.

Dziś dawano *Króla skrzypków* Kálmána<sup>344</sup>. Oddałem duszę falom walca i profilowi Pięknoszyjej, która siedziała po mojej prawej stronie. Teraz dopiero zauważyłem, że ma ona i śliczne policzki; w ogóle kobiet mających policzki jest dość mało; miewają twarze, nawet puciołowate albo tłuste, ale nie zawsze policzki. Sprawdźcie to na skróceniu perspektywicznym, gdy kobieta siedzi zwrócona do was niecałym profilem; gdy nos z leciutką podnosząc koniuszek, tyle tylko, ażeby nie być orlim, wychyla się spoza pełnej, pięknej linii policzka pod okiem, zebranej w lekkie różowe obrzęknięcie; w tym wzgórkę jest jakby daleki ślad płaczu albo odcisnięcie przez długie a samotne tulenie się do poduszki. Gdy twarz jest tak zbudowana, to i oko jest duże i żywe, i osadzone w głębi, a nie na powierzchni, jak u natur płytkich.

To wszystko musiałem podziwiać u Pięknoszyjej. A potem bogate — przypuszczalnie własne — włosy ciemnoblonde, zebrane wysoko w węzeł grecki, i nad karkiem wysoko też podtrzymywane szerokim grzebieniem, jakby pieszczotliwą dłonią — szyję, wyrastającą z czarnej sukni i ozdobioną jedynie cienkim sznurem pereł, i to wszystko, co wzrok niekontrolowany w ściemnionej i zasłuchanej sali dostrzec i wchłonąć może...

Na otoczeniu, na sąsiadach, na znajomych Pięknoszyja nie czyni wrażenia piękności niezwyklej. Widocznie jest to uroda więcej na operę niż operetkę, a więc wzrok warszawianina jej nie rozumie i nie widzi. Tym głębszą mam sympatię dla niej. Jest dla oczu poważnych i dla uczuć, lubiących napawać się stopniowo i powoli, głęboką harmonią rysów.

Kiedym ją odprowadzał do domu, dostrzegłem w pewnej chwili, gdy światło silniejsze na twarz jej padło, że lzy, mieniąc się blantowo, staczały się po jej policzkach, których widokiem tak niedawno się rozkoszowałem. Po dłuższej indagacji<sup>345</sup> przyznała mi się, że miała list od męża; to oczywiście rozżarzyło jej tęsknotę.

A ja, rzecz szczególną, choć tak dobrze i tak głęboko znam i kocham męża Pięknoszyjej, zupełnie nie mogę uprzytomnić sobie jego rysów. Przywołuję do wyobraźni jego brodę, owal twarzy, czoło, nos, i choć wszystko widzę z osobna, całości w żaden sposób złożyć nie mogę.

Tak dalece jej obraz gruntownie zapanował w mojej świadomości.

1 grudnia, wtorek

Wszystkie moje myśli obracają się teraz dookoła Krakowa. Pośrednio otrzymałem wiadomość od moich najdroższych, że przed dwoma tygodniami byli tam jeszcze i użytkali prawo pozostania w mieście. Dziś miałem ponowną wieść, daty jeszcze świeższej, bo z 19 listopada. Żona moja podobno dostała nawet skądś nieco grosza. Jestem spokojniejszy i prawie zrezygnowany. A że grudzień się zaczął, więc już o styczniu myśleć mogę, miesiącu, kiedy dni się powiększają, a melancholia zmniejsza.

<sup>343</sup>frenetyczny (daw.) — entuzjastyczny, gwałtowny, burzliwy. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>Kálmán, Imre (1882–1953) — węgierski kompozytor operetkowy, przedstawiciel II operetki wiedeńskiej. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>indagacja — dopytywanie się o coś. [przypis edytorski]

I zarazem z listów tych, pisanych nie do mnie, lecz z pamięcią o mnie, wyraźnie wnioskować mogę, że w Krakowie nie ma ani popłochu, ani paniki i życie płynie spokojnie. I z Wiednia pozdrowienie mi przysłano; ktoś poważny i umiejący orientować się, co stamtąd wrócił, stwierdza, że nastrój w stolicy nad Dunajem jest pełen otuchy, życie toczy się normalnie. Znaczyłyby to, że w naszych obawach o losy Austrii jest wiele przesady. I że trwoga o Kraków jest może przedwczesna.

Winą tej nerwowości jest umiejętnie podniecana nienawiść nasza do Niemców. Nie mogę bowiem powiedzieć, że tu działa naprawdę trwoga o Wawel i Kościół Mariacki. Tak niedawno jeszcze drwiliśmy z Krakowa, tak dzisiaj jeszcze ciągle każemy mu usunąć się w cień wobec np. Moskwy, że w tych duserach<sup>346</sup> macosznych niepodobna widzieć miłości macierzyńskiej. Staliśmy się nagle wielkimi estetykami i archeologami. Warszawa ze swymi drapaczami nieba, którym wyszłoby na dobre odbombardowanie kilku pięter, nigdy nie dorosła do zrozumienia piękna wszystkich Krakowa kościołów, kamienic, ulic, zaułków, bram, sklepień, witrażów, całej jagiellońsko-włoskiej ballady, kaplicy Zygmuntońskiej, Akropolu i Wyspiańskiego. Jedno jedyne nabożeństwo nieszporne, w niewysłownie pięknym i dumnym kościele dominikańskim, w chwili gdy ojcowie schodzą po wspaniałych stopniach z klasztoru do kościoła, ażeby odprawić modlitwę za umarłych braci zakonnych, przewyższa swym nastrojem istotnej wiary religijnej wszystkie kakaofoniczne procesje Warszawy.

Dzisiejszy telegram arcybiskupa Kakowskiego do Rzymu z błaganem o interwencję Ojca Świętego, dzisiejszy protest Towarzystwa Miłośników Starożytności przeciw wandalizmowi Niemców, są przede wszystkim skierowane w próżnię, a następnie są nieszczerze, gdyż wszystkie te czcigodne osoby i instytucje z rezygnacją przyjąłby ustawienie na kościele Panny Marii jak i na Wawelu cebulastych kopuł rosyjskich.

Czuję, że się tak oddaliłem od wszystkich najserdeczniejszych z różnymi orientacjami, że mogę spokojnie mówić nawet z najbardziej ciasnymi, fanatycznymi i prowokującymi osobnikami.

Wszystkim tak zwanym przyjaciółom i znajomym zapowiedziałem raz na zawsze: Mam wszystkie trzy orientacje: rosyjską, austriacką i niemiecką. Jako Polak, muszę koniecznie czuć „za miliony”, będące pod wszystkimi trzema berłami. Łączę się więc w uczuciu wiernopoddańczym i z warszawiakiem, i z krakowianinem i z poznańczykiem; każdy z nich pojednał się z swym cesarzem i rządem ogłuchł na słowa szyderstwa i nieczułym się stał na prześladowania. Nauczył się ciągnąć zyski lichwiarskie z jarzma.

Zresztą — drodzy moi — orientacja nic nie kosztuje, mogę sobie na wszystkie trzy pozwolić. Trójka jest symbolem Polski. Triady były ulubionym schematem naszych filozofów-poetów, jak Zygmunt Krasiński; między tą szczerością przyznania się do trójorientacji — i kiwajmyż w dalszym ciągu trzema palcami w bucie.

Nie chcę bynajmniej twierdzić przez to, że jestem lepszym Polakiem od innych, Boże mnie broń! Za dużo jest dziś „lepszych” i „najlepszych Polaków”, żeby ten pomiot jeszcze zwiększać. Wojna dzisiejsza będzie naprawdę wyzwoleniem ludów, ale nie z niewoli, bo ich coraz więcej idzie w kajdany — tylko z pęt narodowości. Dogmat patriotyzmu został skarykaturowany, zbezczeszczone, użyty za hasło, pod którym *wymordowano milion ludzi* ciągu 120 dni, a drugi milion uczyniono kalekami.

Jeśliby świat tę chociaż korzyść wyniósł z wojny, że ludzie przestaną przysięgać na narodowość, to może okupiłoby to w drobnej chociaż części nieobjętą dla umysłu zgrozę tej wojny.

Mam wrażenie, że wobec tych fałszywych monet wszelakich patriotyzmów — zwyżczajna solidarność *interesugodna* jest anielskiej glorii. Nie miał racji Mickiewicz, chępiąc się w imieniu swego narodu, że nie ma on wyrazu dla oznaczenia „interesu”<sup>347</sup>. Nie było się czym chępić.

Pieniądz może nie oczyści sumienia, które narody unurzają w błocie, ale je weźmie na smycz...

<sup>346</sup>duser (daw.) — pochwała, komplement. [przypis edytorski]

<sup>347</sup>nie ma on wyrazu dla oznaczenia „interesu” — nawiązanie do *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Mickiewicza: „Iymczasem kłaniały się Interesowi wszystkie Narody. [...] Ale jeden naród Polski nie kłaniał się nowemu bałwanowi, i nie miał w mowie swojej wyrazu na ochrzczenie go po polsku, równie jak ochrzczenie czcicieli jego, którzy nazywają się z francuzkiego egoistami”. [przypis edytorski]

Warszawa, Miasto

Polak

Polak, Naród

Pozwalam wam odrzec mi, że nie jestem Polakiem i że nie jestem Rosjaninem. Duch mój cierpliwie czekać będzie, jeśli to prawda, że duch trwa po śmierci ciała, aż ludzkość porzuci wielki kłam patriotyzmu dla małej, ale niezawodnej i nieobludnej prawdy — interesu...

Tak głęboki ład we mnie zapanował, że mogłem wczoraj śpiewać. Śpiewałem po raz pierwszy od czterech miesięcy. Akompaniował mi, jak zwykle, Staś Zmigryder<sup>348</sup>, podniecał swym przedziwnym tonem i przypominał te noce letnie nad czarnymi wodami Pilycy, któreśmy ongi spędzali na śpiewie, muzyce i w gronie pięknych kobiet. Popelniliśmy herezję, wykonywując Schuberta, Brahmsa. *Dwóch Grenadierów*<sup>349</sup> Schumana-Heinego odśpiewałem z furją *Marsylianki* — szczerze się podobała.

Wnet potem przypomniałem sobie, że przecie spolszczył w wigilię wybuchu wojny, dla przyjaciółki — śpiewaczki *Noc księżycową* Schumana i *Zdradę* Brahmsa. Znajome i ukochane tony i rytmy największych pieśniarzy wzruszyły mnie, jak dusze zmartwychwstałe, jak skrzydłaci druhowie, co nagle od piekła i czyścica armat przyleciały do mnie niby gołębice pokoju — i mimowolnie wyszeptalem te słowa przeraźliwie tęsknego zdziwienia Juliusza, gdy nagle pod niebem dalekiego wschodu ujrzał swoje żurawie znad Ikwy:

„Gdzież się to dzisiaj zobaczyłem z Wami!”<sup>350</sup>

z grudnia, środa

Łódź stała się osią świata, „centrem Europy”.

Miałem rację, nazywając toczące się pod nią bitwy Grunwaldem dzisiejszej walki — słowiańszczyzny z germanizmem, no, i prawdę mówiąc, ze słowiańszczyzną.

Przecież Polacy, Rusini, Czesi, Kroaci, Słowacy, Słowenicy itd., z którymi walczy Rosja, mają chyba prawo do nazwy Słowian.

Ale Grunwald to jeszcze nieskończony. Kto zwycięża, a kto ulega, nie wiadomo. Podają sobie z ust do ust wymianę depesz między dwoma generałami rosyjskimi. Jeden telegrafuje: „Przyślijcie posiłki, jesteśmy osaczeni”. Drugi odpowiada: „Bałwan! To właśnie my oskrzydliliśmy”. To symbolizuje położenie.

Komunikaty urzędowe składają się z dwóch stałych motywów: w Karpatach i w kierunku Krakowa Rosjanie idą bez przerwy dalej, biorą jeńców, artylerię, tabor, koleje; w okręgu Łódź-Łowicz losy się wazą. Cały świat już nazywa ten bój tytanicznym, rozstrzygającym. Francja i Anglia, czyli „Times” i „Times”, wraz z resztą prasy nie wątpią, że skończy się on rychło klęską Niemców. I dziwiają się wielce, że Niemcy jeszcze bombardują Diksmuide i Ypres — które zdaje się sforsowali — skoro nieprzyjaciel od wschodu przebiegają do ich własnych bram. W ogólności koalicja wyobraża sobie olbrzymie zadanie Rosjan jako znacznie prostsze i łatwiejsze, niż np. my sobie wystawiamy.

W Warszawie powoli utrwała się pogląd, że Niemcy ulegną na ziemiach polskich, ale swojej ziemi ani piędy nie oddadzą. Sprzymierzeńcy zaś, widocznie bardzo potrzebujący pomocy i potężnej dłoni, liczą, że za dwa tygodnie będzie początek końca. Warto widzieć piękną kompozycję rysunkowa pt. *Odwrot Niemców z Polki* zamieszczoną w „Ilustracji” paryskiej z połowy listopada, żeby mieć pojęcie, jaka sieć złudzeń i błędów co do wschodniego teatru wojny omotała całą zachodnią Europę. Stosunkowo najmniej, zdaje się, ofiarą mistyfikacji jesteśmy my.

Fanfaronada agencji i redakcji dmie w puzon — ale sztab śpiewa czysto, a nieraz nawet i cienko, tendencyjnie cienko, ażeby nie sprawić rozczarowania.

Wyobrażam sobie, że na Rosję koalicja zwała takie brzemie, od wodza naczelnego tak wiele oczekuje, marsz na Berlin tak wyraźnie już gra w jej duszy, że położenie wodzów rosyjskich staje się kłopotliwym. Dlatego to przeciągają przez Warszawę coraz nowe i nowe zastępy, wprost nieskończone karawany z żywnością i amunicją. Zapewniają, że stosunek sił pod Łodzią doprowadzono już do 1:3, czyli że gdy Niemcy mają tam pięć korpusów, Rosjanie zdołali skoncentrować piętnaście. Nie ustaje energia, sprawność, wzrasta

<sup>348</sup>Zmigryder, Stanisław (1877–1931) — pianista, pedagog, publicysta muzyczny pochodzenia żydowskiego. [przypis edytorski]

<sup>349</sup>*Dwóch Grenadierów* — piosenka ze słowami autorstwa Henricha Heinego z muzyką Roberta Schumanna. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>*Gdzież się to dzisiaj zobaczyłem z Wami!* — cytat z *Grobu Agamemnona* Juliusza Słowackiego. [przypis edytorski]

karność wśród oficerów. Wszyscy się wspaniale tężą, żeby udźwignąć straszną i olbrzymią odpowiedzialność wobec świata.

A jednak miasto nasze staje się naprawdę jednym wielkim lazaretem. Wszystkie dotychczasowe partie rannych, to były garsteczki w porównaniu z dziesiątkami tysięcy, które napływają codziennie. Zajęto szatnię Filharmonii, a wczoraj cały niemal sąd okręgowy i kilka innych wielkich budynków.

Poszedłem do sądu. Dziwne i smutne widowisko. Prócz kancelarii i gabinetów prezesów, wszystkie sale zamienione na przytułki. Trudno to nazwać lazaretem, gdyż nie ma tu łóżek i ludzie leżą na słomie i sianie. Są to zresztą przeważnie lekko ranni. Na schodach, w sionkach, kurytarzach leży, siedzi i snuje się mizerota z obandażowanymi lewymi, a często i prawymi rękami. Powietrze jak w stajni, duszno, gorąco, tytuniowo<sup>351</sup>, wcale nie laurowo, i ciemno. Tylko w salach sesyjnych słońce popołudniowe wesela dodaje. Tu i usposobienie lepsze. Jedni śpią, inni kurzą papierosy, tamci słuchają czytającego na głos gazetę rosyjską; ów coś tam majduje koło opatrunku, inny znów, klękawszy, pisze na ławie list ołówkiem. Twarze dobronudne, poczciwe, spokojne. Wszyscy prawie, których zapytywałem, mają już szczęśliwie po jednym lub po dwa palce obcięte, operowane w Łodzi. Mówią o tem tak bez żalu i goryczy, jak gdyby mówili: już jesteśmy w łaźni byli.

W tym jednym gmachu naliczyć można do tysiąca kalek, młodych, skądinąd zdrowych i sympatycznych.

Długo wśród nich krążyłem. Trudno mi było uwierzyć, że w tych salach jeszcze tak niedawno wprowadzano sprawy, że na stole sędziów naprawdę leżą teraz stosy łapci żołnierskich.

Ale przyznam, że ten gromadny odpoczynek, to melancholijne wylegiwanie się w skośnych promieniach słońca, ma w sobie coś z wspaniałego realistycznego obrazu, godnego wielkich batalistów francuskich.

Wyszedłem z sądu, a miałem wrażenie, że w dalszym ciągu błędę po jego niezliczonych kurytarzach. Bowiem na ulicach nie mniej żołnierzy z obandażowanymi rękami. Pogoda piękna, więc oczywiście wolą spacerować, niż leżeć nieczynnie. Spotyka się też często — gęsto, oficerów z rękami na szerokich temblakach, albo też i o kuli, bardzo bladych i cierpiących. Dziś już nie ma powodu mieszkaniom dalszych ulic, lub przykuty na piętnaście godzin do warsztatu, skarżyć się, że nie widuje rannych — snują się co krok, gromadami stają po rogach, z przechodniami rozmawiają lub o datkę proszą.

Wczoraj późnym wieczorem szedł przez Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście wielki oddział, coś jak gdyby specjalne wojsko z białymi bandażami — było ich kilkuset wlokących się pieszo. Marsz rannych, a dopiero te tramwaje i wozy wszelkiego rodzaju z ciężej rannymi! Te wielkie tłumoki z szyneli i koców, spod których wyzierają twarze żółtozielone, bez ruchu, a zmalałe do wielkości główki dziecięcej!

A za tymi, ewakuowanymi do Rosji, idą coraz świeże, coraz nowe transporty. A za nimi zostały, kto wie, jak wielkie partie takich, którym bandaż i samochód już niepotrzebny...

Okazało się, że mróz, który przed tygodniem tak gwałtownie i nagle ścisnął ziemię, więcej zaszkodził przywykłemu do zimna chłopu rosyjskiemu niż niemieckiemu pantoflarzowi. Niemiec skrył się w przygotowanych zawczasu okopach, a Rosjanin nie mógł łopata przebłągać zlodowaciałej ziemi i pozostał na wierzchu — jako zwykły żer dla kul ołowianych. Za to pozostali przy życiu tym energiczniej muszą kopać doły dla tysięcy swoich braci, skoszonych na polu.

Nie wielką zaś jest pociechą, że oto znowu prowadzono dziś ogromny zastęp jeńców: Niemców, Austriaków, Węgrów. Gdy czoło pochodu dotykało mostu Kierbedzia, tyły miały dopiero Zamek.

Od tła nieszczęśliwych, już przez los na cierpienie upatrzonych, odbijają ci, co są dopiero kandydatami na nieszczęśliwych: rosyjscy oficerowie. Tymi czasy zebrano się ich szczególnie dużo, rosyjskich, pięknych chłopów na schwał. Wszyscy w futrach, kozuchach, bekieszach, kubrakach. Nie ma przepisanego kroju futer, ani czapek futrzanych, każdy włożył, co było bliższe; jedni — swity obcisłe i szykowne, inni — tułupy, które od pasa gęsto fałdziste, spadają potem przeraźliwie bufiastą i szeroką spódnicą; ci wyglądają, jak

<sup>351</sup>tytuniowy (daw.) — dziś: tytoniowy. [przypis edytorski]

spieszni kuczerzy moskiewscy. Trzeba wprost podziwiać, jak ci ludzie są zahartowani... na ciepło. Przy pięciu stopniach wyżej zera, i pięknym słońcu, które jak gdyby chciało wynagrodzić słoty października, opatuleni są jak Eskimosi. Przypuszczam, że tu już idzie więcej o ochronę przed kulami, lub pikami niż przed mrozem, bo ten musiałby chyba dochodzić ziębu mórz północnych, żeby takie zaopatrzenie usprawiedliwiać.

W każdym razie znać zamożność, co się zowie. Widać, że święta Ruś ma pod dostatkiem niedźwiedzi, lisów, borsuków, bobrów, a jeśli tych brak — to baranów. Tu w potrzebie każdy jest myśliwym i każdy kuśnierzem. Na widok tych nieprzebranych zapasów zimowych — robi się człowiekowi bardzo zimno i — bardzo obco...

W hotelu, gdzie mieszkam, mam ten widok szczególnie blisko, a nieraz i sposobność podziwiania tężyzny rasy. Obok mnie ulokowała się młoda para; kapitan z Syberii z żoną, która go odprowadza aż na próg frontu. Oboje nawet niezbyt młodzi — ale ten wigor, czynny dniem i nocą!

Przyprowadziłem raz na chwilę późną nocą Aureliusza, w nadziei, że trafimy na właściwy seans. Stajemy w moim pokoju, a ja nad słuchuję. Przez drzwi, choć podwójne, dochodzą stłumione westchnienia, ni to jęki kobiece, ale zgoła niezawierające w sobie skargi. Jednocześnie zaś ktoś rytmicznie uderza we drzwi, dzielące nasze pokoje. Nie dowierzam uszom własnym i proszę Aureliusza, żeby słuchał pilnie. Istotnie, widocznie sąsiad mój do muzyki przyszłości akompaniuje sobie — snadź bezwiednie — uderzaniem we drzwi butem.

Zaczynam mówić głośno, ażeby dać do zrozumienia, że jesteśmy. Nic nie pomaga. Usilna praca w winnicy pańskiej trwa dalej. Oto prawdziwy człowiek — cietrzew!

Przyjaciół mój, że nie lubi rzeczy zbyt drastycznych, tylko półgębkiem się śmiał i machnął ręką, jak gdyby mówił: „Eh, co tam...”

A ja mu na to:

— Mój drogi, nie wywijaj ręką pogardliwie. W tym bowiem leży wielka nauka. Tacy ludzie nie mogą nie zwyciężać Niemców.

Właściwie stosunek liczby publiczności cywilnej do wojskowej całkiem się odwrócił. Żołnierzy i oficerów spaceruje znacznie więcej niż nieuzbrojonych przechodniów. Oficerowie obładowani paczkami i żonami. Szeregowcy przeważnie muszą się kontentować pochłanianiem wystaw. Wielkie okna sklepowe na Nowym Świecie i Marszałkowskiej przyciągają tych nieboraków znad morza Białego lub Czarnego, jak światło lamp elektrycznych — cmy wszelkiego rodzaju. Widoczne, że nic podobnego nie widzieli.

Zwłaszcza długo i ciekawie medytują przed wystawami konfekcji damskiej, gdzie pięknie błyszczą w promieniach osram — lamp woskowe manekiny, z pysznymi dekolantami i obnażonymi rękami. Przed jedną z wystaw gorsetów stale zbiera się gromadka żołnierzyków. Myślą, że to jest część kinematografu. Jedna dama siedzi, jedna się przechadza, jedna pięknie lornetuje kogoś, a wszystkie w pięknych gorsetach i całkiem bez brzuchów. Najwidoczniej grają jakąś sztukę. Żołnierzkom oczy na wierzch wylażą — tyle nagości i za darmo! Trochę tylko niepokoi ich cienkość damskich postaci. Przyzwyczajeni do przysadzistych *baryn*<sup>352</sup> i kupczych — jakoś nie mogą się bez zastrzeżeń godzić na takie kształty.

— *Isz, kakaja tonkaja*.<sup>353</sup>

— Bo to one wszystkie takie, te Polki.

— Taką jak zaprosisz na wódkę, to tylko ciągle oglądać się musisz, czy aby jest, czy czasem nie wyparowała.

— To też nasz pułkownik, mądra sztuka, bierze sobie od razu trzy takie do łóżka...

— *Bob trojcu lubit...*<sup>354</sup>

4 grudnia, piątek

Istna riwiera! Niebo przeczyste, w słońcu osiem stopni ciepła. Więc — rzecz prosta — europlany i bomby. Właściwie nie próżnowały ani jednego dnia, ale ze szczególnym aplombem<sup>355</sup> wystąpiły dzisiaj w południe. „Wybuchy”, jak pismom nazywać każe cenzu-

<sup>352</sup>*barynia* (ros.) — dama. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>*Isz, kakaja tonkaja!* (ros.) — To taka chuda! [przypis edytorski]

<sup>354</sup>*Bob trojcu lubit...* (ros.) — Bóg lubi trójkę. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>*aplomb* (daw.) — pewność siebie, śmiałość, tupet. [przypis edytorski]

ra wojenna te napowietrzne odwiedziny, widoczne i słyszalne dla całego miasta, wybuchy więc bezimienne zdarzyły się w trzech miejscach, zawsze w bliskości telegrafu, telefonów i dworca Kolei Wiedeńskiej, na szczęście nie raniąc nikogo. Może dzięki temu, że aeroplany nie były ostrzeliwane...

A poza tym nic godnego uwagi, ani wczoraj, ani dziś. Nie zasługuje chyba na wyróżnienie pociąg, który dziś rano przywiózł tysiąc kilkuset rannych, w tej liczbie ciężko rannych i takich, co w drodze wyzionęli ducha. Wiem od prowadzącego ten żalony transport z Sochaczewa i Łowicza, że żołnierze sześć dni byli bez pomocy i opatrunku. Gangrena zmiata ich nie gorzej od granatów i szrapneli. Pewien oficer, któremu kula karabinowa przebiła szyję, umarł nie z powodu ciężkości rany, która mogła być wyleczoną, lecz — z głodu. Opowiadano mi rzeczy straszne o nieludzkich cierpieniach, o jękach i przekleństwach, o krzykach groźby i buntu, zapelniających wagony sanitarne. Najhartowniejsi sanitariusze wytrzymać nie mogli moralnego wstrząśnienia na widok straszliwych ofiar, a więcej jeszcze, lichoty organizacji i ohydy politykowania i kastowości, która plugawy pyłk swój nawet i w tak strasznych godzinach stutysięcznej śmierci — rozdziawia.

W obliczu jednej z największych hekatomb świata, gdy tysiące umierają w mękach, a inne tysiące, oszalałe od huku pękających nad głowami pocisków, o śmierć błagają, gdy młodzież z poświęceniem i narażeniem życia dźwiga rannych i konających i ze znużenia pada, gdy płacząca wściekłość żalu rozbija się jak o głaz, o brak środków lekarskich i urządzeń ratowniczych, gdy dusza ludzka sto razy się łamie wysiłkiem miłosierdzia i litości, ażeby zastąpić kulejącą opiekę państwa — zjawiają się księżne — megieri<sup>356</sup> i prezesi — psy, co szarpiają męczenników do reszty paszczą swego fanatyzmu czy religijnego obłąd.

Jest to chwila, kiedy zaczynam doskonale rozumieć i wczuwać się w stare, zdawałoby się, przebrzmiałe zjawisko raży jakobińskiej. Jest to ten nastrój, kiedy człowiek, niepomny wylanych potoków krwi, pragnie, niestety daremnie, żeby spłynęła do nich i posoka wyrodków. Jest to ten tłumiony w piersi jęk sprawiedliwości, który Anatol France<sup>357</sup> określił słowami: *Les dieux ont soif* — „Bogowie łakną krwi”...

Na Placu Teatralnym, tuż obok skweru, zwróconego ku ulicy Nowosenatorskiej, zaimprovizowano żalony punkt przeładunkowy. Sznurem ciągną się tramwaje konne z ciężko rannymi i tam się zatrzymują. Z daleko większą ostrożnością niż umiejętnością, młodzi i starzy sanitariusze wynoszą rannych żołnierzy na noszach i podążają z nimi ku szkole junkrów. Niektórzy chorzy — całkiem zakryci płaszczami — może już wyzdrowieli z tego świata. Inni z kamiennym spokojem patrzą na czynione dookoła nich zabiegi, na tłum obok zebrany, na blade twarze i lzy w oczach kobiet.

W zczerniałych rysach rannych szukałem jakiegoś określonego wyrazu. Chciałem w nim coś wyczytać. Przechodziłem wzrokiem od twarzy do twarzy, usiłując z ich drętwoty coś odcyfrować.

Jakoż udało mi się to w końcu. W półmartwych oczach widniało pytanie:

— Dlaczego? Dlaczego?..

Pięknoszyja, która mi towarzyszyła, rwała się ku noszom, żeby być pomocną przy ich wyjmowaniu spośród słupków bocznych tramwaju.

— Hola, łaskawa pani — wstrzymałem ją — stać panią na coś lepszego, na realniejszą pomoc.

Tu ludzi nie brak, i tu, pod otwartym, pięknym niebem, nie wielka sztuka dotknąć się rannego lub dogorywającego. Postaram się o piękniejszą rolę dla jejmości. To jej nawet dobrze zrobi. Będzie mniej tęskniła.

Spojrzała na mnie łzawym, ale rozradowanym okiem i ramię moje przycisnęła na znak wdzięczności.

Wiem, że jej pomocą nie pogardzą. Mam wrażenie, że nadejdą nowe i nowe transporty. Wczoraj zabrano podobno Szkołę Sztuk Pięknych nad Wisłą. Lada dzień zajmą teatry i szkoły i niejedno mieszkanie prywatne.

Niemców wprawdzie od Łodzi odparto, i jak zapewniają pisma rosyjskie klęska ich jest stanowcza i olbrzymia, ale ja ciągle się obawiam, że generał Hindenburg, od kilku

<sup>356</sup> *megiera* (daw.) — okrutna, mściwa kobieta. [przypis edytorski]

<sup>357</sup> *France, Anatol* (1844–1924) — francuski poeta, powieściopisarz oraz krytyk, autor powieści *Bogowie łakną krwi*, której tytuł nawiązywał do artykułu Camille’a Desmoulinsa w „Le Vieux Cordelier” atakującego terror rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

dni feldmarszałek, nie wyrzekł się ostatecznie planu dalszej ofensywy. W każdym razie, ręczę, nie zarzucił planu przezimowania w ogromnym westybulu, który sobie stworzył i piekielnie obwarował w zachodniej części Królestwa...

6 grudnia, niedziela

Z wyjaśnień wczorajszych „Gońca armii” okazuje się, że była chwila, kiedy nadzieje Niemców mogły być bliskie zupełnego ziszczenia; kiedy dotarli do linii Łęczycy-Orłów i przełamali front rosyjski między Zgierzem a Strykowem i znaleźli się na tyłach armii rosyjskiej w kierunku Brzeziny-Tuszyn-Rzgów, czyli na wschód i na południe od Łodzi. Akcję tę miało poprzeć natarcie skrzydła Częstochowa-Kraków, ale nie powiodło się, bowiem wojska dwuprzemierza poniosły klęskę pod Włodowicami, w bliskości właśnie Częstochowy.

Nie powiódł się i atak Niemców i Austriaków od strony Bielaw i Soboty na Łowicz. Z okrążających stali się okrążonymi i czekał ich pod Łodzią Sedan. Że wyszli ręką obronną, trudno powiedzieć: cało, gdyż salwując się przedarciem przez pierścień rosyjski, zasłali pole rzeczywistymi górami trupów — zasługa to i wina gen. Rennenkampfa, który też w nagrodę za to został zdegradowany — jak twierdzi świat jednogodnie — na zwyczajnego dowódcę korpusu. Taki sam los spotkał podobno i gen. Scheidemana<sup>358</sup>.

Dziś tedy powtórzyć mogę, że ze względu na zażartość i ogrom strat, bitwa łódzka jest najokropniejszą i największą w dzisiejszej wojnie.

Łodzianie, wyrzawszy teraz z piwnic, gdzie tydzień ukrywali się o głodzie i chłódzie, z dumą patrzą na Warszawę, która została cała, nietknięta, i tyle jeno zaznała z obłężenia, żeby zachować na przyszłość piękne wspomnienie.

Od tej pory *Lodzermensch*<sup>359</sup> oznaczać będzie nie tylko bar czystego spekulanta i fabrykanta bez skrupułów, ale i mieszkańca miasta, które naprawdę bombardowano z flanków i z góry, gdzie domy waliły się w gruzy i zasypywały ludzi, gdzie odbywały się balkony, rysowały się kominy fabryczne i wybuchały pożary, gdzie półmilionowa ludność chowała się po lochach — a bochenek chleba kosztował pół rubla. A może to wszystko także kłamstwo i spekulacja?

Przerażona Łódź ucieka dorożkami po 200 rubli za podróż do Warszawy; przerażeni mieszkańcy z okolicznych wsi i osad uciekają do Łodzi. W zbite masy zbiegów gromadzących się na dworcu kolei padały szrapnele. To, przed czym część Warszawy ongi drżała, było krwawą rzeczywistością dla Łodzi. Setki rannych, kilkadziesiąt — trzydzieści osób zabitych granatami w sypialniach, jadalniach etc., etc.

Dziś to minęło, więc i smutnych utopców, co tak pragnęli, żeby Łódź była Niemcom oddana, na co się przez pewien czas bardzo zanosilo, spotkał gorzki zawód. Konstruktorów przyszłości opartej na objęciu rządów przez Niemcy — spotkał cios, prawie zabójczy. Chodzili oswiali, cisi, beznadziejni. Jednego z nich, wielką duszę muzyczną, która patrzy na świat przez pryzmat symfonii Brahmsa — muszę po prostu pocieszać i uspokajać i z życiem godzić. Na wszystkie perswazje odpowiada:

— Dwa-trzy korpusy więcej, a świat byłby zbawiony!

Aureli, nie mniej od tamtego śmieszny, chodzi na Mokotów, jeździ do Piaseczna, do Skolimowa, to znów do Pruszkowa, w nadziei, że usłyszy tę, jak powiedział, słodką i kołyszącą melodię haubic, co grały przez dwa dni pod Warszawą i zwiastowały im, naiwnym marzycielom — nowe jutro Polski i świata...

W rozdwojonej duszy Warszawy nie brak tego rodzaju halucynacji. Znam wielu, co jeszcze zrywają się w nocy i pożądlivym uchem nasłuchują, azali nie usłyszą rzęgotu<sup>360</sup> armat. Byłe łoskot wprawia ich myśl w derwiszowy płas złudzeń. Bombę rzuconą z europlanu, biorą za hasło walki nowej pod miastem. Nie chcą i nie mogą wierzyć, że opera się skończyła. Twierdzą, że to dopiero uwertura<sup>361</sup>; zwłaszcza wypadki łódzkie podrażniły chorobliwe wyobraźnie lunatyków ze szkoły Kanta i Schillera. Kołowaczna<sup>362</sup> wyczekiwała rozpoczęcia się na nowo. W miarę jak wizja się oddala, próbują odegrać się za wszelką

<sup>358</sup> *Scheideman, Philipp* (1865–1939) — niemiecki polityk, członek partii SPD, kanclerz. [przypis edytorski]

<sup>359</sup> *Lodzermensch* (niem.) — łodzianin. [przypis edytorski]

<sup>360</sup> *rzęgot* (daw.) — hałas, łoskot. [przypis edytorski]

<sup>361</sup> *uwertura* (muz.) — instrumentalny utwór rozpoczynający operę lub koncert. [przypis edytorski]

<sup>362</sup> *kołowaczna* (pot.) — zamieszanie, zamęt. [przypis edytorski]



cenę, choćby za cenę radości, że na zachodzie Niemcy nie zostali jeszcze rozbici. Dowodzą ze swadą<sup>363</sup>, że Ypres jest wzięte, co istotnie mogłoby wypływać z trochę pytyjsko<sup>364</sup> brzmiących komunikatów, że armia Wilhelma do Calais dojdzie. Kołyszą się sofizmatami<sup>365</sup>, że cokolwiek będzie, Zachód pozostanie Zachodem, Francja odzyska Alzację, a może i Lotaryngię, Belgia jak feniks z popiołów powstanie cała i kwitnąca — więc wolno z czystym sumieniem pragnąć, żeby u nas zapanował Zachód.

Orientacja Kosa szczególnie jaskrawo odbija na tle kawiarni Udziałowej, którą ja nazywać wolę *au grand U*. Nie myślcie, że z powodu różnych przykrych wyrazów, w których dźwięk *u* stanowi dominantę. Wprost przeciwnie: *au grand U* to nazwa pewnej niewielkiej, ale doskonałej restauracji paryskiej z ulicy Richelieu, w której ongi, za dobrych czasów, jadłem obiady. Otóż miło mi upiększać sobie tę trójkę — widzicie, że znowu trójca! — warszawską: mleczarnię, kawiarnię i restaurację, w której zbiera się cała bezpretensjonalna Warszawa, przez nadanie jej pseudonimu francuskiego. Jakoś wtedy człowiek mniej się czuje zawstydzonym, że przebywa wśród takiej masy lyczków nowoczesnej Polski, kupczyków i urzędników, publiczności bez form i charakteru. Wtedy i jedzenie wydaje mi się smaczniejsze i kawa nie pali w żołądku jak połknięty ołów. Wtedy znajduje się usprawiedliwienie dla nałogu przesiadywania w tym dymie, czadzie i śwędzie.

Zresztą, właściwie *au grand U* nazywam część tej instytucji, mianowicie swoich znajomych literatów i artystów, których otacza daleko liczniejsze koło sympatyków — snobów, przyjaciół więcej oddanych niż oddających, dobrych szczerych kobiet, co od czasu wojny wysilają cały swój spryt gospodarski, żeby za swe niewielkie grosze nakarmić i napić jak najwięcej chłopca.

W tej rzeszy nie brak i takich, co się rzetelnie o Paryż otarli i którym przeto słusnie należy się nazwa klubu *au grand U*. Są oni wszyscy w absolutnym sojuszu z Rosją i w ich obecności nie wolno zganić rosyjskiego urzędnika albo dowódcy, który spóźnił się z odsieczą i spowodował klęskę. O Niemcach zwykle mówią tak, jak się śpiewa w *Warszawce i Krakusiku*, wesolej *revue*, która właściwie najlepiej umiała wyzyskać odezwę naczelnego wodza i każe żołnierzom wszystkich sprzymierzonych armii salutować przed porporcami Grunwaldu.

W tej grupie są zawołani strategicy, którzy posiadają godną uwagi pamięć mapy i doskonale orientują się w ruchach taktyków i najskrytszych zamiarach stron walczących. Są, co zdumiewają cudowną znajomością cyfr, odległości, przyrody terenów, rzek, dróg, zapasów — żyjące almanachy, które niejednemu dowódcy rzetelną mogłyby oddać przysługę. Pomimo to przepowiednie ich rzadko się sprawdzają. Gdyż żaden z nich nie bierze w rachubę duszy i woli wrogów, rzadko który wzniesie się ponad bulwarową karykaturę i koncept na ośmieszenie Prusaków. Przy tym w celu ułatwienia sobie dialektyki, rozmówcę zawsze uważają za przyjaciela kultury niemieckiej. Ich psychologia stale równa się w wykwincie — ekonomii politycznej Maryški, która chowa oszczędzone czterdziestki do pończochy.

Zdarza się w klubie *au grand U* i rzeczywisty jaki fenomen: w jednej osobie malarz, muzyk, śpiewak, matematyk, chemik, literat, polityk, technik i dziennikarz, człowiek genialnej bystrości ujmowania i nigdy niezawodzącym smaku. Ale temu davincizmowi brak samodyscypliny; renesansowa pasja uniwersalności pożera talent i zjada czas. Koncepty łatwe i częstokroć świetne, płyną, niepowstrzymanie, ale już w drugiej chwili stają się przekorą w stosunku do tego, co myślą inni, a potem kłócą się z sobą.

Zasadą jego malarską jest opierać się w dwóch trzecich na pamięci, a w jednej trzeciej, a nawet jeszcze mniej, na bezpośrednim widzeniu. Nie obowiązuje go prawdziwa liczba filarów w pałacu Dożów w Wenecji, lub na frontonie jakiej świątyni starożytnego Rzymu, który maluje jak wielki wizjoner. Ale ta zasada przeniesiona do polityki, rychło doprowadziła do tego, że zignorował zupełnie wszelkie filary, i to co w Polsce dzisiaj pada, wydaje mu się na nowo dźwigniętym. Gdy wojna usuwa z niej jedną kolumnę po drugiej,

<sup>363</sup>*swada* (daw.) — energia, zapal. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>*Pytia* (mit. gr.) — kapłanka w świątyni Apollina w Delfach, przepowiadająca przyszłość. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>*sofizmat* — rozumowanie pozornie poprawne, ale w istocie zawierające rozmyślnie utajone błędy logiczne. [przypis edytorski]

gdy za chwilę polski Akropol legnie w gruzach, on w imię swej filozofii bez filarów — cieszy się i triumfuje. Ostatecznie — *rit mieux, qui rit le dernier*<sup>366</sup>.

Jest w tym pewne usprawiedliwienie psychologiczne. On słucha hasła paryskiego: iść z bulwarem, nie różnić się od ulicy, od głosu miasta; prawdziwa sztuka jest zawsze echem i sumą wielkiego środowiska. Warszawa według niego jest drugim Paryżem; artysta powinien z jej duszy brać tablice — sympatii i antypatii, a nie przeciwstawiać się tłumowi. Kraków i Lwów — to „dziury”, których lepiej, żeby nie było.

Aureliusz nie często rozmawia z filozofem bez filarów. Jest na to za nieśmiały — zuchwałstwo chowa tylko na zebranie z dwóch, trzech osób. Ale wobec kilkunastu nie otworzy ust. To mu nie przeszkadza mieć miny głębokiej, swobody w ruchach i zachowaniu się. Uśmiecha się, odchodzi, uważa, patrzy wszystkim w twarze otwarcie i niesresowanie. W lekkim palcie, grubym szalu, bez laski, i bez rękawiczek, budzi we mnie zazdrość swoim wyglądem małowówniej beztroski.

Filozof bez filarów nie uczuł bynajmniej szczególnego pociągu ku Aureliuszowi. Ten zaś zdziwił się niepomiernie, gdy zauważył, że całe grono czyta uważnie jakiś dodatek nadzwyczajny, pełen sensacji telegraficznych, w rodzaju tej np. że Niemcy dla zjednania Arabów obiecali im przysłać do haremów Angielki i Francuzki wzięte do niewoli. Robił głupią przerażoną minę, gdy brano na serio opowiadki o rewolucjach w Berlinie, w Peszcie, Monachium, Dreźnie, o samobójstwach generałów niemieckich, o nędzy w Gdańsku i Królewcu itd.

— To panowie wierzycie wszystkim tym bredniom? — zapytał ni to uśmiechnięty ni skrzywiony, a szczecina na głowie dziwnie się przy tym poruszała.

— A co, mamy może wierzyć źródłom niemieckim? Te dranie umieją tylko uciekać, a potem łąć na funty, że zwyciężyli.

Szpadę się skrzyżowały. Kos uczuł na sobie wzrok Pięknoszyjej, którą pierwszy raz do klubu *au grand U* przyprowadziłem — wzrok, pełen oczekiwania i zachęty. Zaczął się śmiać, głośno, szeroko śmiać, tak szczerze i z głębi przekonania, tak bez szyderstwa i chęci drażnienia, jak gdyby na widok np. twarzy swojej odbitej w wypukłym albo wklęsłym zwierciadle.

Oponenti znaleźli się w istnym kłopotcie. Jeden z wielką głową i ogromną zdrową czupryną, szeroki w barach i krępy, typowy syn starego miasta, pierwszy przerwał milczenie.

— Pan, widzę, ma orientację pruską. Jest pan zwolennikiem pikielhauby?

— Pruską? Pruską! — krzyczał prawie, w dalszym ciągu śmiejąc się. — Co pan plecie, panie? Ludzka, człowiecza! Prusacy, nie Prusacy — Botokudy<sup>367</sup> niech przyjdą, byleby zrobili z wami porządek. Dadzą wam szkoły, zbudują koleje, mosty i drogi, szpitale i ochrony. Niech tu wejdzie sam czort, byleby nie śmierdziała nędza i ciemnota, żeby dwa miliony Żydów nie roznosiło szkarlatyny, odry i robactwa. Niech tu wejdzie cholera, panie, byle, byle nie było tego co jest. Ha ha!

— A tymczasem — wtrąciła jedna z niewiast — nas czeka ruina.

— A tak, śmiał się, jak Niemcy włożą w kraj parę miliardów, żeby go ukultywować i jeszcze więcej miliardów z niego wyciągnąć, to będzie ruina. Jużci<sup>368</sup> Niemcy, proszę pani, żłopią piwsko, ale nędzę i brud wylewają za granicę państwa.

— To pan, widzę, lubi typy ziemczone.

— A pani lubi politycznych szulerów warszawskich i naród głupi i ciemny?

Śmiejąc się znowu, szczerze i rozlewnie, wstał, podał wszystkim rękę i poszedł, gapiąc się znowu po twarzach gości, siedzących pod ścianami długiej kiszki kawiarnianej.

— Idiota — rzucił za nim ktoś.

7 grudnia, poniedziałek

I czyżby znowu karta się odwróciła?

Już wczoraj wieczór, w kawiarni *au grand U* ktoś przyniósł wiadomość, że Łódź zajęły wojska niemieckie. Oczywiście, zabłąkana z przed dziesięciu dni plotka, więcem jej nawet

<sup>366</sup>*rit mieux, qui rit le dernier* (fr.) — ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. [przypis edytorski]

<sup>367</sup>*Botokudzi* — plemię Indian z Ameryki Południowej znane ze względu na duże, drewniane kłaczki umieszczone w rozciągniętych uszach i dolnych wargach. [przypis edytorski]

<sup>368</sup>*jużci* (daw.) — wzmocnione „już”. [przypis edytorski]

nie podał<sup>369</sup> w swym codziennym pensum pamiętnika. Choć coś mnie tam pod progiem świadomości niepokoiło i nawet we śnie spokoju nie dawało.

Dzisiaj w południe spotkałem wielu znajomych, dawniejszych jeszcze kolegów z Łodzi. Witając się ze mną, rzucili lakonicznie: „Łódź zajęta”.

Potem natknąłem się na znajomego dziennikarza i kupcecię, który mi oświadczył, że tylko co przybył z Łodzi, że opuścił ją onegdaj, w sobotę wieczór (dziś podróż taka trwa istotnie 30–40 godzin), w chwili, gdy przednie straże niemieckie podchodziły do miasta, i że wszystkie bez wyjątku władze łódzkie znajdują się już w Warszawie.

I temu nie bardzo wierzyłem — „świadkowie” spośród zawodowej inteligencji lubią kłamać. Pewien pracownik np., również przybysz z Łodzi, twierdził, że wkroczyło do niej sto tysięcy Niemców; ktoś inny zapewnia, że wzięto do niewoli cały korpus wojska rosyjskiego. Słowem, znak został dany, i fantazja, na skrzydłach strachu i nadziei, z wielkiem zacięciem buja po nonsensach.

Ostatecznie pewnym wydaje się być to, że ewakuacja władz nastąpiła, a prawdopodobnym, że w chwili, gdy to piszę, polski Manchester będzie znowu do kości objedzony przez inwazję.

Nerwowi zaczynają znowu truchleć o Warszawę, i najodważniejsi z orientujących się po austro-niemiecku dostają gęsiej skórki na samą myśl, że ją spotkać może los Łodzi, to jest: zniszczenie, pożary, groza śmierci, głód i mieszkanie w piwnicach.

W ogóle zauważyłem, że pragnienie, ażeby los dał zwycięstwo Niemcom, słabnie w miarę jak oni się zbliżają do Warszawy. Wtedy porównywanie wad i zbrodni przeciwników stale daje w sumie apologię Rosjan, a szpetność, barbarzyństwo i despotyzm „Germanów” staje się kształtem pewnym w mgławicy domysłów, charakterystyk, przewidywań i supozycji.

Jeden z takich sympatyków najazdu lubi wdawać się w rozmowę z jeńcami, i zawsze coś ciekawego usłyszy; gdy Niemcy byli daleko, poznał się z jeńcem pruskim, który na świsty i urągania odpowiadał:

— *Den Schluss sollen sie mai sehen!*<sup>370</sup>

Gdy zaś Niemcy byli bliżej, odezwał się doń wzięty do niewoli Wielkopolanin:

— Prosta Boga, żeby nasi nie zwyciężyli!

Ale pisma milczą i — sztab milczy. Nie, źle mówię — przypomniałem sobie, że wczoraj od samego rana przeciągały niewielkie oddziały wojska, śpiewając. Od razu śpiew ten, który zresztą lubię dla pięknych, zdrowych głosów i wybornego zespolenia się, wydał mi się nieco podejrzanym i znaczącym.

Teraz — prawie nie wątpię, że śpiewać kazano w chwili, gdy zła wieść nadeszła.

Nie wiem, czy Wilhelm celuje już w Warszawę. Ale widzę wyraźnie, że odkąd rozpętały się furie wzajemnych oskrzydłań w okręgu łódzko-łowickim, z Prus Wschodnich przestały napływać wiadomości. Nie ma kwestii, że zapanowała tam zupełna stagnacja i że biedni mieszkańcy Działdowa i miast sąsiednich, cieszą się względnym spokojem. Jeśli w ogóle posuwanie się wojsk rosyjskich na tamym terenie, miało wszystkie cechy szamotania się, *ut aliquid fieri videotur*<sup>371</sup>, to w chwili terażniejszej wszelka gra ustała. Prawdopodobnie Niemcy i Rosjanie, trzymając się wzajem za bary i szamocąc się, wypadli aż na przybłę Królestwa i jedni i drudzy znaleźli się w okręgu Mławy lub też pod Włocławkiem, Kutnym, Łęczycą.

I na południu, to jest w okręgu Krakowa, cisza musiała nastać, albo też postępy Rosjan tak zwolniały, że lepiej o nich nie pisać.

Dwa punkta są pod tym względem znamienne. *Primo*, już po raz trzeci słyszy się tę samą śpiewkę o zajęciu Wieliczki i żadna nowa zwrotka nie przybywa, a *secundo*, cały gwałt o kartaczownice na wieżach Mariackich i Wawelu, okazuje się tym, za co go każdy przenikliwszy brał od razu — niemądrą i krzykliwą robotą warszawskich matadorów<sup>372</sup>. Z wyjaśnień i depesz wypływa, że Austriacy „na prośbę Polaków” zdjęli swoje maszyny z wież, a z elementarnego rozsądku, a także z dorzeczniejszych komunikatów wypływa, że

<sup>369</sup> *więcem jej nawet nie podał* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „więc jej nawet nie podał”. [przypis edytorski]

<sup>370</sup> — *Den Schluss sollen sie mai sehen!* (niem.) — Zobaczą oni, jaki będzie koniec! [przypis autorski]

<sup>371</sup> *ut aliquid fieri videotur* (łac.) — aby było widać, że coś zostało zrobione. [przypis edytorski]

<sup>372</sup> *matador* (daw., przen.) — osoba zajmująca ważne stanowisko, osobistość. [przypis edytorski]

wcale ich tam nie ustawiali, bo mają w obrębie Krakowa daleko wyższe i lepsze punkty obserwacyjne.

Oczywiście i ta wiadomość, że z Krakowa każą się wynosić ludności cywilnej pod groźbą kary śmierci — jest humbugiem<sup>373</sup>, również głupim jak płaskim. Wiele znanych mi rodzin, a według wszelkiego prawdopodobieństwa i moja, spokojnie — choć zapewne nie opływając w dostatkach — tam pozostało.

Wstępuje w wielu otucha, że Kraków jeszcze nie tak prędko okryje Polskę żałobą.

A jeśli ta zwłoka jest zasługą dywersji i operacji wojsk austro-niemieckich pod Łodzią, to zgadzają się nazywać je, wzorem sztabu głównego „zuchwałymi”, ale je, przynajmniej jedną ręką i w tajemnicy przed światem, błogosławią...

8 grudnia, wtorek

Dzień był dość niezwykły. Nie było aeroplanów, pomimo że temperatura wzniosła się do 9, 5° Reaumura i połową twarzy uśmiechało się słońce.

Może to uroczystość Niepokalanego Poczęcia wstrzymała Niemców od zwykłego debiutu bezmyślności i okrucieństwa?

Z Łodzią znowu niemożliwe historie. Jest podobno wolna. Nieprzyjaciel zajął do niej i cofnął się. Utworzyła się *tabula rasa*<sup>374</sup>, nie było przez jakiś czas ani wojsk rosyjskich ani niemieckich.

Najpoważniej zapewniają, że właściwie były jedne i drugie i — wzajem brały się do niewoli na dwóch przeciwległych rynkach miasta — Geyera i Zgierskim; możliwe — cały ten krwawy Grunwald XX wieku składa się z takich szufladek.

Widać to zresztą i z komunikatów urzędowych, które się dzisiaj ukazały w pismach i są tak obszerne i zawile, że sforsować je można tylko z drobiazgową mapą w ręku. Pomijając niepotrzebną znowu retrospektywność i powrót aż do połowy listopada — bałamuci i tumani pomieszanie obiektywizmu w szczegółach z płataniną i zawiloscią ogólnego schematu sprawozdania.

Ale w osobnym biuletynie wojennym jest coś, co stanowi proste i dobitne *ceterum censeo*<sup>375</sup>: „Sprawa obrony Łodzi straciła wszelką ostrość”. Słowem, przygotowują nas do tego, że miasto bronione nie będzie, albowiem „dałoby to zarys nienaturalny (*sic*) naszemu frontowi i utrudnia związek z tyłami”.

Czekajmy tedy. A tymczasem może wielkie sprawy rozstrzygną się na drugim końcu Europy — w Rzymie.

Już odtrąciwszy nawet połowę na karb tendencyjności, trzeba przyznać, że w parlamencie włoskim można wyczuć wulkaniczne wstrząśnienia. Tam chyba naprawdę neutralności grozi wielkie niebezpieczeństwo. De Felice, Terri, Bissolati, Barzilai jej złorzeczą, a chociaż Pettolo pochwała, to jednak „olbrzymi nastrój” wywołuje Giolitti<sup>376</sup>, odczytując niedyskretnie depeszę do San Giuliana z 27 lipca zeszłego roku, w której Austria już wówczas proponowała Włochom wspólną akcję przeciw Serbii. A więc nie trzeba było zamordowania arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, ażeby ukartować napaść na Serbię! Straszne rzeczy!

Ale ja w prostocie ducha nie bardzo wierzę w ów gwałtowny nastrój antykoalicyjny. Gabinety są przyzwyczajone do rewelacji, kompromitujących sąsiadów i nawet sojuszników. A wielkie wojny wybuchają, kiedy chcą, bez pomocy uchyleń tajemnic dyplomatycznych. Tym razem Giolitti pokazał „politykę w majtkach kąpielowych”, według wyrażenia księcia Żelaznego, gdy zazwyczaj dyplomacja jest „reżimem truflif, depesz i szampana”. Włosi na widok takiego negliżu zaczęli wymachiwać rękoma, ale wprędce przypomnieli sobie, że i sami lubią negliż, np. przy zdobywaniu Trypolisus...

Oczywiście, sesja była historyczna, wielkie kredyty wojenne uchwalono, patriotyzm bił pod samo niebo, ale sytuację bodaj najlepiej rozumie duńska „Danemark”, gdy zapytuje: „Neutralność spekulacyjna — czy spekulacyjna neutralność”.

Już to samo zresztą, lecz w innych słowach, powiedziano wyżej.

<sup>373</sup>humbug (daw.) — kłamstwo, nieprawda, bujda. [przypis edytorski]

<sup>374</sup>tabula rasa (łac.) — czysta karta. [przypis edytorski]

<sup>375</sup>ceterum censeo (łac.) — a poza tym sądzę; nawiązanie do słów rzymskiego polityka Katona: *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam* (A poza tym sądzę, że Kartaginę należy zniszczyć), wzywających do wojny z Kartaginą. [przypis edytorski]

<sup>376</sup>De Felice, Terri, Bissolati, Barzilai, Pettolo, Giolitti — włoscy politycy. [przypis edytorski]

W każdym razie wzrasta groźba powiększenia się kadrów wyzwolicieli ludów, więc spróbuję znaleźć osłode w słowach Maurycego Donnaya<sup>377</sup>, godnych zapamiętania („Figaro”):

„Bądźmy przekonani, że po wojnie nastąpi era odrodzenia, że ujrzymy Francję piękną i wzniosłą — jej sioła i miasta zaludnione, prowincje, czerpiącą życie z własnych ognisk kulturalnych i społecznych, młodzież zdrową fizycznie i moralnie, literaturę i dziennikarstwo w wielkim stylu, nie goniące za mamoną, a przede wszystkim Francję pracowitą i dobroczynną, w której dla nikogo nie zabraknie ani pracy ani chleba. Bo gdyby miało być inaczej, gdybyśmy mieli powrócić do alkoholizmu, do walki stanów, do karierowiczostwa, do tanga, do kapeluszy damskich po 50 luidorów, do przedstawień deprawujących, do prześladowania za przekonania religijne, do nietolerancji w ogóle, do skandalicznych procesów i jeszcze skandaliczniejszych werdyktów, to wówczas ci, którzy dziś bronią naszego honoru i naszej ukochanej ojczyzny, mieliby prawo w imieniu swoim i tych co polegli, zapytać: «Czy na to przelewaliśmy krew naszą?»”.

Oczywiście, podstawivszy wszędzie na miejsce „Francji” — Polskę, można by cały ten passus zastosować i do nas. Ale od tego łatwego efektu powstrzymuje elementarna logika. O takich świtach marzyć może tylko Francuz, w ogóle Europejczyk. Tylko jemu wolno wymieniać takie wyrazy, jak tolerancja religijna, chleb dla wszystkich, praca w wielkim stylu itd. U nas tracą one wszelki sens, właśnie dlatego, że opieka Polski dzisiejszej wyobraża sobie owoce wojny jako właśnie prawo do prześladowań i głodzeń i jako swobodę bezceństwa w rządach, a ciemnoty — wszędzie.

Doprawdy, żal Francji, żal Szampanii i Pikardii, zburzonych arcydzieł i stratowanych miast, skoszonych istnień i zasepionych lazurów jej nieba — ale jakże szczęśliwa jest ona, że może sobie pozwolić na takie, jak powyższe, rojenia, że tak łatwo mogą się one urzeczywistnić na tym przez Boga samego zoranym i zasianym gruncie.

Jakże zazdroścę tym młodym i starszym, co jak ja urodzeni w Polsce, ale zapewne nie zakosztowawszy z Jej rąk nawet tysiącznej części tego piolunu, który Ona ma do rozdania — przelewają krew na polach Francji — krew za jej całość, szczęście i przede wszystkim za jej *honor*.

Szczęśliwy kraj, co posiada taką *godność*. Szczęśliwi żołnierze, co mu swe życie w ofierze przynieść mogą...

## VII

9–10 grudnia, środa-czwartek.

Wszystko, co się dzieje w tej chwili i prawdopodobnie dzieć będzie w dniach najbliższych, streścić można w hasło: „Łódź jest do wzięcia!”.

Rosyjskie wojska ją opuściły — niemieckie nie weszły; albo jedni boją się drugich, albo nikomu to miasto nie jest potrzebne. W bliskości przeto hoteli i kawiarni, gdzie siedzą bezdomni milionerzy łódzcy, słychać raz po raz zapewnienie: „Łódź jest wolna, Łódź jest absolutnie wolna; rządzi w niej tylko milicja”, jeśli tak rządzi, jak i w okresie dawniejszych ewakuacji, to czołem przed nią! Czytałem w pismach dokładny opis i sprawozdanie z funkcji tej straży obywatelskiej. Jest to urządzenie, wysoce kompromitujące wszelkie władze i rządy nadane „od Boga”, albowiem działa sprawnie, dokładnie i uczciwie. Jest to prawdziwy wzór samorządu, graniczącego niemal z ustrojem jakiegoś szwajcarskiego kantonu.

Mieliśmy zresztą okazy podobnie wysokiej kultury i zmysłu obywatelskiego już podczas rewolucji, kiedy to niektóre miasta, pozostawione samym sobie, własnym przymysłem uwalniały się od bandytyzmu, złodziejstwa, łapownictwa, pijaństwa itp. dobrodziejstw rządów gubernialnych i powiatowych.

Tym razem jednak milicja łódzka musi mieć sprawę bardzo utrudnioną; w mieście głód i widmo strachu, niedawno przeżytego. Kto mógł, uciekał, płacono za automobil po 1000 rubli.

Lubię rozmawiać ze zbiegami łódzkimi. Jeśli kłamią, to tak grubo, że poznajesz od

Kłamstwo

<sup>377</sup>Donnay, Maurice — francuski autor piosenek i dramaturg związany z kabaretem *Le Chat Noir*. [przypis edytorski]

razu; sypią liczbami tak wielkimi, że ci się wprost w uszach pomieścić nie chcą: 300 domów zburzonych, tysiące ludzi zginęło; w jednym jedynym domu na Cegielnianej 42 granaty zabiły 45 osób; 150 tysięcy Łodzian (*sic!*) jest pieszo w drodze do Warszawy.

Ten, co mi te cyfry podał, sam w największym popłochu uciekał z Łodzi, zostawił na pastwę losu swoje piękne mieszkanie, bogaty zbiór obrazów i bibliotekę złożoną z 5 tysięcy tomów. Tęgo przynajmniej wojna zubożyła; przedtem był tylko popularnym adwokatem — teraz został mecenasem sztuki, bibliofilem. Na usprawiedliwienie Łodzi objaśniam, że pochodzi on z Warszawy.

Inni są mniej hojni i przeto cyfry ich o wiele skromniejsze, inni wreszcie mają nawet dumę specjalną — nie chcą uchodzić za prowincję i twierdzą, że tam właściwie nic nie zaszło. Jeśli przybyli do Warszawy, to dlatego, że się obawiali o swoje rodziny.

Wszyscy zaś z jednogłośnym zachwytem opowiadają o strzelcach polskich. Sławią ich nadzwyczajną urodę, wdzięk i młodość; tak pięknych mundurów i kasków ułańskich, przypominających czasy księcia Józefa, nie widzieli. Są widocznie pod wrażeniem tych niezwykle gości, ale stale podkreślają, że to „piękny teatr”. I zostało im wspomnienie, jak po widowisku teatralnym.

Przyznam szczerze, że im tego widowiska bardzo zazdroszczę. Teatr? Wszystko u nas zawsze odbywało się teatralnie, zwłaszcza gdy na scenie wypadków zjawiał się ułan. Ale cóż robić, sam jestem takim niedoszłym ułanem i noszę w duszy głęboką wiarę, że oni się bić umieją...

I każdy piękny sen jest czymś teatralnym.

A taki teatr, jak strzelcy, to zarazem teatr historyczny. Jakkolwiek bądź, ludzie ci, moi przyjaciele i koledzy po piórze, moi współpracownicy i towarzysze wieczorów krakowskich, przejdą do historii, jako drugie *Wesele*<sup>378</sup>, które się jednak nie skończyło zgubieniem złotego rogu. Prawda, sznur pozostał, stryczek jest dla wszystkich skręcony, wódz naczelny dziś znowu dał to do zrozumienia, ogłaszając nazwiska dowódców polskich pułków, ale ludzie z tej chaty bronowickiej nie tylko śnią, niejeden z nich zginął i chwala mu!

Ranek się już zbliża, gdy słowa te piszę. Czerwony ułan jak gdyby żywy stał przede mną. Może przybył do Łodzi i poszukiwał i dopytywał się o mnie, to tak bardzo możliwe! Tylu znajomych mam, tyle nawet wśród nich kobiet przybyło z Krakowa, że przecież łatwo się mógł znaleźć ktoś, co obiecał żonie, że mnie zobaczy — a może i przywiezie mnie...

A jednak jest w tej asyście strzelców coś smutnego, naprawdę motyw krwawego omamu z *Wesela*. Przecież ci ludzie od czterech miesięcy harują dookoła Warszawy, a dostać się nie mogą. Byli już w Lubelskim, w Kieleckim, w Piotrkowskim, w Radomskim, w Warszawskim, a pewnie w Kaliskim i Płockim, Lubelskim, w Kieleckim, w Piotrkowskim, w Radomskim, w Warszawskim, a pewnie w Kaliskim i Płockim, w stu miastach czekali na znak, żeby się uszykować w pochód triumfalny do Warszawy — daremnie. Bywali od niej o dwie mile, może z sercem zamierającym czekając wyniku walki — i nie weszli. A wszędzie, jak słyszę, mieli miny tęgie i wiarę w sprawę. Jednak to był jeszcze Chochół z *Wesela*! Grać mógł tę samą krwawo-słodką melodię, ale do innych słów, również opiewających daremność. A może grał ją na trąbie pruskiej — dla jeszcze większej ironii?..

Czy ta Warszawa, której się wydaje, że przechodzi chwile tragiczne, domyśla się chociaż, jaka tam o dziesięć-piętnaście mil, w Łowiczu lub Iłowie, rozgrywa się tragedia straszliwej żądzy — pożądania niesamolubnego przecież, lecz — dla Polski całej, dla Warszawy? Oto ziściło się marzenie tylu lat i wyszli walczyć po polsku, po dawnemu, o niepodległość, pewni, że przeciw ścianie bagnatów rosyjskich wyruszyli także z bagnetami. Ale ściana jak była, tak została niewzruszoną, owszem, zpotężniała, zgrubiała o kilka milionów karabinów, idących aż „od brzegów Oceanu Spokojnego”...

To już nie literatura, to już nie poezja, to barwna jawa, która mogła być wspaniałą, ale przez Chochół znowu przeczarowana w sen.

Rzeczywistością stało się co innego: Warszawa złorzeczy tym synom i dzieciom krakowskim, że walczą o wolność...

<sup>378</sup> *Wesele* — dramat autorstwa Stanisława Wyspiańskiego, którego akcja toczy się w trakcie wesela w bronowickiej chacie. [przypis edytorski]

Teatr, Żołnierz

Teatr

A druga rzeczywistość, w którą jednak trudno mi uwierzyć, to, że armia austro-niemiecka szarpie jak może szeregi rosyjskie, i czyni to tym razem nawet nie po dyletancku, ale cóż, kiedy na miejsce jednego pułku, wyciętego lub wziętego do niewoli — wyrasta sto innych.

Dziś zresztą inną znowu znalazłem formę dla mej filozofii wojny. Pomogła mi w tym pewna jejmość, która cudem jakimś przybyła z samego południa guberni kieleckiej. Tam właśnie, do pewnego większego majątku radzono mi niedawno jechać, i czekać sposobności przedostania się do Krakowa. Oczywiście — dziś, gdy Kraków jest oblegany, nie na wiele by mi się ten majątek przydał.

Dominium było dobrze zagospodarowane; duży dwór, piękny inwentarz, holendernia<sup>379</sup> z osiemdziesięciu krów złożona, zasobna stajnia itp. Teraz została tylko ziemia, literalnie, sama ziemia. Wszystkie trzy narody przeszły przez nią i każdy obszedł się ściśle wedle swego charakteru.

Austriacy byli przyzwoici, ludzcy, za rekwirowane zboże i konie płacili i nikogo nie skrzywdzili. Tacy ludzie nie mogą zwyciężyć — takich się lubi i bierze do niewoli. Bać się ich niepodobna. Gdy raz pokpili sprawę w Lubelskiem, na psy zesłała sława Bartka — zwycięzcy, i nawet niemiecki Michel od tego czasu poradzić na przegraną nie może.

Niemcy postępowali inaczej: zabrali wszystko, krowy, konie, sprzężaj<sup>380</sup>, meble, zapasy, wykopali kartofle, jarzyny — nie zostawili nic, nic, co miało jakąkolwiek wartość, gruntowni, bezwzględni, ale nie w wielkim stylu. Tacy też nie mogą zwyciężać — to szarańcza, która przechodzi jak tuczą — ale przechodzi, bo szarańcza musi przejść.

Rosjanie — jako że byli na ziemi swego rządu, całkiem inny mieli system: nie rabowali, tylko niszczyli, tłukli, darli, palili. Niemcy lubią „wartości” — Rosjanie — mongolski step. A czując się zawsze po stepowemu wyposzczonymi, gwałcili w pobliskim miasteczku wszystkie kobiety, nie wyłączając leżących w połogu.

Taka pogarda dla podstawowych instytucji społecznych, własności i cnoty, taka szerokość natury i brawura swobody — musi zwyciężać. Ona zawsze wzbudza ufność, szacunek i strach. Chłop polski i dziś, jak widać ze zgodnych relacji, nienawidzi „pańskiego” i lubi patrzeć, jak je obracają w wióry. A co do gwałcenia — to umie być wyrozumiałym.

Zresztą tęskny okrzyk starszej dziewczycy w byronowskim *Don Juanie*: „Kiedyż u licha zacznie się gwałcenie?”<sup>381</sup> — dzisiaj po udekorowaniu Kozaków kwiatami, może nie byłby li tylko złośliwym wymysłem.

Oczywiście nie stosuję tego podejrzenia do pewnej leciwej damy z tegoż majątku w Kieleckiem, już pono babki; owo gromadne hańbienie niewiast przez „swoich” przejmowało ją, zgrozą i strachem; gdy rodzina uspakajała ją, że przecież jest już stara i o siebie nie ma się co bać, odparła:

— Tak, ale przecież i wśród Kozaków są starzy.

Takie zaufanie do armii — musi jej dawać zwycięstwo...

11–12 grudnia, piątek-sobota.

W dalszym ciągu Łódź jest do wzięcia.

Dziś, wczoraj i onegdaj koalicja zakarbowała wielkie sukcesy.

Przed wszystkim, bliżej nas, odparto energiczne natarcia Niemców na linii Łowicz-Ilów oraz w okręgu Mławskim. Znaczyłoby to, że Niemcy paszczami swych dział daremnie wzdychają do Modlina. Na innym zaś polu, na polu hańbienia swojej ojczyzny, zasnął w Bogu szczęśliwie, zyskawszy miano wrzodu państwowego, minister oświaty Kasso; rak Rosji umarł na raka. Jest to jedno z największych uzdrowień.

Następnie — dalej od nas: flota angielska odniosła świetne zwycięstwo na morzu, w pobliżu wysp Falklandzkich. Zatopiono trzy krążowniki niemieckie, „Scharnhorst”, „Gneisenau” i „Leipzig”, a według dzisiejszych telegramów i „Nuernberg”.

Dzisiaj nadeszła nadto wiadomość o ataku eskadry podmorskiej niemieckiej na Dovre. Zakończył się zagładą trzech łodzi.

<sup>379</sup>holendernia — obora dworska. [przypis edytorski]

<sup>380</sup>sprzężaj (daw.) — zwierzęta wykorzystywane jako siła pociągowa. [przypis edytorski]

<sup>381</sup>Kiedyż u licha zacznie się gwałcenie? — cytat z VIII pieśni poematu *Don Juan* autorstwa George’a Gordona Byrona. [przypis edytorski]

Lew brytański pokazał swe królewskie pazury. Ale i Niemcy, jak widać z powyższego, atakują zuchwale na morzu.

Wreszcie wielkie zwycięstwo miała odnieść Serbia nad trzema korpusami austriackimi — tysiące jeńców, olbrzymie łupy wojenne, odzyskanie dawniejszej linii obronnej.

Jak z tym pogodzić wieści, że Austria wysłała gubernatorów do nowo zajętych prowincji serbskich? Kto tu kłamie? Prawdopodobnie obie strony.

Jednakże triumfy te, choć tak liczne, mniej cieszą szeroki ogół. Rozdwoił się on najwidoczniej. Osłabia wiarę w autorytet sztabów i agencji bezcelowość walk na zachodzie. Zajęcie domu przewoźnika, odzyskanie ogrodu lub przesunięcie się o 200 do 600 metrów naprzód nie mogą być karmią dla powszechnej żądzy jakiegoś wydatnego rezultatu. Joffrench skąpi nam grubszych sensacji.

A nadto mącą jednolitość radości nowi zaskoczeni, którzy w tych czasach przybyli z Berlina i Wiednia i przywieźli żywe i wymowne echa całkiem innych nastrojów niż te, o których nas zapewnia słowo drukowane. W stolicach niemieckich ma panować rzeźkość, otucha i pewność zwycięstwa, całe życie zewnętrzne świadczyć ma o małym zakłóceniu zwykłej pogody. Twarze ludzkie tak są ożywione patriotyzmem i poczuciem solidarności, młodzież tak rwie się egzaltowanie do służby dla ojczyzny, że znowu staje my wobec dylematu: organizacja państwowego kłamu doszła tam do najwyższego punktu i zdołała zmusić do milczenia wszystkie krytycyzm, właściwy wielkoświatowym krajom konstytucyjnym.

Mam dziś wrażenie, że w ewolucji nastrojów powszechnych przyszła teraz kolej na nastrój zniechęcenia, nudy i apatii. Pierwszych oznak szemrania w tych dniach było kilka. Manifestują przeciw wojnie, jako bezcelowej i bezmyślnej, robotnicy rosyjscy, posłów socjalno-demokratycznych uwięziono, komunikat urzędowy w sposób niebywale łagodny mówi o konspiracjach związku drukarzy. Nie muszą być te rozruchy byle jakie, skoro aż francuscy ministrowie socjaliści, Sembat i Guesde, apelują do patriotyzmu robotników rosyjskich i proszą o zaniechanie opozycji.

Równocześnie przebąkuje się o agitacji w prowincjach nadbałtyckich i nawet w Finlandii, gdzie zaczął się system deportacji. Zapewne, i tu i tam nie z bezcelowością wojny walczą, lecz z wojną samą, jako sposobnością do coraz większego ucisku i prześladowania obcych. Ale wszystko to świadczy, że pierwszy okres — zapału i wzmówionego patriotyzmu mija. Coraz częściej też opowiada się o żołnierzach i oficerach rosyjskich, przekładających nadmiernie siedzenie w Warszawie nad pobyt w okopach pod Łodzią i Łowiczem.

Wreszcie, co już jest najpewniejszym symptomem, powoli wraca do swego znaczenia — wódka. Zjawia się coraz więcej „ulg” i „wyjątków” z dotychczasowego iście drakońskiego (dla łatwowiernych oczów) zakazu sprzedaży alkoholu i mocnego wina.

Ostatecznie, nie należy przeceniać ważności reformy, a raczej istnego zamachu stanu, jakim było usunięcie alkoholu z zaopatrzenia bojowego, no, i z obiegu publicznego. Więcej w tym było śmiałości niż głębszej racji stanu i pożytku. Korzyść niewątpliwa płynęła dla robotników i biednego ludu, który przestał mieszkać w monopolach i szynkach. Ale i z tej korzyści nie wiele przypadło na robotnika polskiego, albowiem w ogóle roboty nie ma i fabryki przeważnie stanęły.

Drugim pożytkiem było to, że w czasie mobilizacji nie przychodziło do większych awantur, grabieży, napaści, niesubordynacji, i wielki proces przygotowywania ciętych baniek organizm państwowy przebył dość poprawnie.

Natomiast strat i niedogodności co nie miara! Po pierwsze, skarb państwa, zubożawszy nagle o miliard rubli, musiał pomyśleć o całej litanii innych podatków i ciężarów i każdy krok, zrobiony pieszo czy przebyty w wagonie kolei, obłożyć daniną. Po wtóre, wycofana z szeregów wódka skoncentrowała się w kadrach starszyny wojskowej i wytworzyła w nich pewnego rodzaju sybarytyzm<sup>382</sup>, którego ofiarą właśnie padają żołnierze. Sybarytyzm tym większy, że zwyczajną „czystą” zastąpiły kosztowne i wykwintne likiery i koniaki, od których — taka to już natura ludzka — jeszcze trudniej oderwać się. A biedny żołnierz, któremu czarka okowity nieraz dodałaby ducha, i zziębnięte ciało rozgrzała

<sup>382</sup>sybarytyzm — leniwy, wygodny tryb życia w luksusach i dostatku; wygodnictwo. [przypis edytorski]



bodaj na chwilę, skazany jest na abstynencję, jak nie przymierzając eleuteryk z parafii profesora Lutosławskiego<sup>383</sup>.

Co do publiczności, to ta mniej cierpi. Zauważyłem, że nigdy jeszcze nie było takiego łaknienia spirytualiów, jak właśnie teraz, gdy się stały owocem zakazanym. To też szczęśliwym sposobem, w każdym porządnym domu znajdzie się butelka niezłego koniaku i często nawet węgryna. Ja sam, choć dzieł tych nigdy w swej bibliotece nie posiadałem, dzisiaj stale, od złego przypadku... To trudno — *à la guerre comme a la guerre*<sup>384</sup>.

A co do restauracji, to te różnie sobie radzą. Jedne, zarobiwszy suto na przestąpieniu zakazu, pozwoliły się zamknąć, i tak np. Wróbel jest „na fest” zamknięty w swej klatce. Inne dają piwo w filiżankach do kawy, a wódkę w kubeczkach do jaj. Są, co znajomym klientom dają „w prezencie” większe partie napojów. Są handelki, które ustępują tylko wobec siły wyższej, to znaczy: świadectwa lekarza, ale tak odmierzają apteczną dawkę, że szczęśliwy pacjent mógłby się w niej kąpać. Pewna elegancka restauracja radzi sobie przy pomocy instrumentów muzycznych. Gdy gość znajomy wchodzi, kelner zapytuje, „czy pan nie życzy sobie koniaczku?”. Na odpowiedź twierdzącą wprowadzają go do pokoju z pianinem; tam czeka już w odpowiednim artystycznym namaszczeniu piccolo i z pianina wyjmują flaszkę Hennessy lub Martella i nalewa kieliszek tej wielkości, jakby to było opium lub inna trucizna. Taka dawka kosztuje pół rubla. Jesteś więc zmuszony powtórzyć ją kilkakrotnie. Oficerowie zaś czynią to bez żadnego zgoła przymusu, i nie tylko że często udają się do gabinetu z muzyką, ale i długo w nim przesiadują.

Ponieważ, oczywiście, ograniczenia w sprzedaży wódek znacznie uszczupliły ich zapasy zostawione Niemcom, przeto ci, w miejscowościach zajętych, radzą sobie, podobnie jak lud nasz, spirytusem skazonym. Ilekroć podchodzę do swej maszynki spirytusowej, żeby sobie ugotować wody na herbatę, przypominają mi się ci biedacy, których codziennie kilku pada ofiarą swego denaturowanego spirytualizmu. Podobny los spotyka i Niemców... Ponieważ ci podobno nie boją się nikogo prócz Boga, przeto nie wypada im bać się i śmierdzącego alkoholu, i przeto upiwszy się jak nieboskie zgoła stworzenia, giną jak muchy. Częściej zaś zapominają o oddziałach, do których należą i gromadnie zasnąwszy snem błogosławionych w stodołach, kuchniach itp., wpadają w ręce Kozaków, którzy z nimi porządek czynią. Niejeden Prusak został lancą junaka z kraju usuryjskiego *glebae adscriptus*<sup>385</sup>, do ziemi przygwożdżony...

12–13 grudnia, sobota–niedziela

Rozmawiałem z filozofem bez filarów. Zaszła w jego poglądach widoczna zmiana. Wróciła mu dawna jego wielka sympatyczność artysty, który o rzeczach obcych sztuce mówi z pobłażaniem i sceptyczną dalekością. I zaufanie do oręża rosyjskiego nieco się zachwiało. I wiara w spełnienie obietnic nie taka mocna. Wzdycha po dawnemu do Anglii, którą lubi romantyzmem teoretycznego podróżnika, ale zaczyna rozumieć, że Azja Mezopotamii, Tybetu, Chin i Japonii to nie Azja panów Tana, Werguna i Mieńszykowa. Jego sen o wielkich cywilizacjach Wschodu, nieużytych, niezbanalizowanych, szerszych niż europejska i genialniejszych, jakoś nie ziszcza się ani w Warszawie ani w Londynie. Przybliżył się jeno kraj zakaspijski, Turkiestan, ze swymi wspaniałymi dwunożnymi ogierami, z kruczo-lśniącą sierścią pod pachami, zawadiacko zsuniętymi na ucho, z minami, jak do skoku, w burkach mogących służyć za namioty polowe, ze stalowymi muskułami i nogami sprężystymi jak resory. Ale to wszystko jakże dalekie jest od cudów państwa Dalajlamy, Konfucjusza, wschodzącego słońca lub białego słońca!

Zapewne, zapewne, można by użyć tych rosyjskich centaurów do poprawienia ras europejskich. Ze swą wrodzoną inteligencją, i zdrowiem jakby ze złotego wieku, z ramionami i torsami z fryzów w Pergamon, z świetną dzikością i pierwotnością natury, przydaliby się „zgniłemu zachodowi”. Toż ci ludzie, dla których marzenie Podbipiety<sup>386</sup> o ścięciu od jednego zamachu trzech głów, nie byłoby wcale niedościgłym szczytem ambicji rycerskiej, do późnej starości nie wiedzą, co to ból zęba, wypadanie włosów, nagniotki

<sup>383</sup> Lutosławski, Wincenty (1863–1954) — polski filozof, profesor, działacz społeczny, założyciel Eleuterii — towarzystwa do walki z alkoholizmem. [przypis edytorski]

<sup>384</sup> *à la guerre comme a la guerre* (fr.) — na wojnie, jak to na wojnie. [przypis edytorski]

<sup>385</sup> *glebae adscriptus* (łac.) — przypisany do ziemi. [przypis edytorski]

<sup>386</sup> Podbipięta — bohater *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza, który marzył o ścięciu trzech głów wrogów za jednym zamachem miecza. [przypis edytorski]

itp. prerogatywy kultury europejskiej. Odświeżyliby nasze drobnomieszczaństwo szerokością instynktów, przewietrzyliby wicherą stepową — ale cóż, kiedy to są jednakże tylko wspaniałe okazy z tabunu, a nie członkowie społeczeństwa?

Więc filozof bez filarów zaczyna się poddawać apatii; i jego ogarnęła nuda wszechświatowego paraliżu i jemu przestaje się podobać rozum pękniętej rury, przez którą wy cieka śmietanka drogocennej krwi ludzkości.

Próbuję go orzeźwić zdarzeniem ważnym, także rasowym — protestem ludowców — i to nie wiele pomaga. A mnie ono — przyznam — bardzo zaciekało, nawet pomimo, że Warszawa, zbaraniawszy doszczętnie, wcale się tą odezwą nie zajmuje. Sól ziemi — chłopci — przemówiła, i po swojemu: krótko, węzłowato; odmawiają samozwańcom wszelkich danych i wszelkich moralnych praw do reprezentowania polityki narodu. Nie zachwyca mnie orientacja ludowa, ale coś po sercu pogłaskało, że tam, w tym wielkim pracownym i trzeźwym, po piastowsku jasnym i słonecznym fundamencie, ukryta jest odwaga, a ma ona język, jak wyostrzona kosa. Ze zaś Komitet w swoim manifeście użył wyrazu „piastowski”, więc na sukmanach i świtach groźnie zaciskają się pięście...

Za to Kos nie został na odezwę ludowców obojętny. Chodzi i śmieje się głośno, prawie do siebie. Podejrzewam, że w tym historycznym dokumencie była i jego rączka. Przypominam sobie, że przecież pochodzi ze szlachty zagonowej, a więc tak jakby z chłopów.

14 grudnia, poniedziałek

Dużo mgły, wiele słów, a mało wiadomości. Gdyby się poddać wrażeniu dzisiejszych telegramów, można by sądzić, że życzenie śmieszne, dualistyczne Kosa, zaczyna się spełniać. Na zachodzie Niemcy tracą, na wschodzie — my dzięki wojnie już jesteśmy wschodem — zyskują. Tam odebrano la Bassée — tu nie odebrano, zdaje się, ani Łowicza ani Łodzi. To znaczy, że Łódź nareszcie znalazła aspiranta do swej ręki i przestała być wolną. Całe ministerium poczty pantoflowej, zasiadające w kawiarniach w Bristolu, Polonii — u Lourse'a i Semadeniego, domyśla się i czuje, że Łódź zajęli Niemcy, głową za to nie ręką.

Nie o wiele wyraźniej przedstawia się sytuacja w Galicji i na linii Częstochowa- Kraków. Przemyśl „podobno” jest bombardowany i pierwsze forty już padły. Natomiast bliżej Krakowa musi być natarcie bardzo utrudnionym, gdyż sztab główny w dzisiejszym motywowanym komunikacie prawie że rezygnuje z walki pozycyjnej, a zamierza poprzestawać na manewrowaniu. Przyznaje on dwa fakty wielkiej wagi: że ofensywa czołowa naraża na wielkie straty, i że Austro-Niemcy rozporządzają licznym landszturmem i landwerą<sup>387</sup>, które do obrony fortyfikacji jeszcze się, i to doskonale, nadawać mogą.

„Ukośnym potwierdzeniem moich domysłów służyć może” (zwrot, jeden z tysiąca, dzisiaj szczególnie miły naszej prasie) i pewien splot wydarzeń w życiu wewnętrznym Królestwa. Kurs rządowy ma pozory pewnego złagodzenia. Cofnięto rozporządzenie, które usuwało napisy polskie na Kolei Wiedeńskiej; przekreślono też ostatnie dzieło Kasa — dotyczące wykładów historii i geografii w szkołach prywatnych polskich. I ministerium finansów chce być uprzejmym, obiecuje wyznaczyć kredyt 50 milionowy dla banków prywatnych, a drugie tyle na pomoc dla zniszczonego robotnika.

Wszelkie tego rodzaju ustępstwa lub obietnice są zwykłymi towarzyszami zachmurzenia się widnokrzęgu, w sposób, przypominający starożytne: *Hannibal ante portas*<sup>388</sup>.

Z prawdziwą przyjemnością czytam wyjątki z memoriału, który złożyli władzom centralnym w „Piotrogradzie”, członkowie CKO<sup>389</sup> w przedmiocie klęski materialnej, jaka dotknęła wszystkie gałęzie życia w Polsce. Dokument to historycznego niemal znaczenia — mówi wiele, szczerze i męźnie, a przy tym maluje położenie treściwie i dokładnie.

15 grudnia, wtorek

W dalszym ciągu trwa sytuacja, ściśle według wzoru: złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

<sup>387</sup> *landwera* — wojsko terytorialne w Niemczech i Austro-Węgrzech w XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>388</sup> *Hannibal ante portas* (łac.) — Hannibal u bram. [przypis edytorski]

<sup>389</sup> *CKO* — Centralny Komitet Obywatelski; organizacja społeczno-gospodarcza działająca w latach 1914–1915 w Królestwie Polskim. [przypis edytorski]

Stosuje się to nie tylko do okręgu Łowicz-Ilów i w ogóle walk między Wisłą a Wartą, lecz i do wyprawy na Węgry. Istnieją delikatne natraceria, „że Austriacy przedostają się na północne stoki Karpat”. A więc wypierają Rosjan z powrotem do Galicji?

Gdyby nie te z konieczności nasuwające się wnioski, młotem, rozbijającym wszelkie konstrukcje austro-polskie, byłaby sensacyjna wiadomość o odebraniu przez Serbów Białogrodu. W pierwszej chwili zasępiła mnie ona, jako groźba perspektywy, że oto znowu zacznie się codzienne bombardowanie Białogrodu w porze *five o'clocku*<sup>390</sup>, jak to bywało przez pierwsze trzy miesiące wojny. Ale gdy jednocześnie powtórzono wieść o przechodzeniu Austriaków na północ Karpat — stało się niewątpliwym, że im idzie więcej o Galicję niż o Serbię i że prawdopodobnie przerzucili wojska znad Driny nad Dunajec.

W ten sposób piorunujące swe zwycięstwo Serbowie zawdzięczałyby nie tyle słabości nieprzyjaciela, ile jego dobrowolnemu ustąpieniu. Bajeczne zaś liczby wziętych do niewoli, tak wielkie, że samo ich wykarmienie mogłoby przyprawić o bankructwo monarchię króla Piotra, będzie prawdopodobnie tylko zwykłą krzykliwą dekoracją.

Ostatecznie, chociaż szczególnego sentymentu dla Serbów nie posiadam, cieszę się, że odzyskali swą stolicę. Wielka czyjakolwiek radość z odzyskania ojczyzny, jest zawsze i moją wielką radością, całkiem niezależnie od tego, kto miał być ciemiężcą, mój wróg czy przyjaciel.

Przyzwyczaiłem się zaś brać fakta oddzielnie z ich własnym ciężarem gatunkowym złego lub dobrego, a bez łączności z resztą zasupłanych sprzeczności, z których się składa wojna. Gdybym chciał łączyć, konsekwencja nakazywałaby mi ubolewać nad triumfem Serbii — on bowiem osłabia bądź co bądź szanse Austrii i obnaża całe niebezpieczeństwo, grożące Krakowowi i Węgrom.

I w ten sposób uwydatnia się całkowicie dominująca cecha wojny europejskiej: konieczność przerzucania mas wojsk z jednego frontu na drugi, z jednej granicy państwa na drugie, częstokroć przeciwnie. Innymi słowy, z każdym dniem zwiększa się nakład pracy i energii i ilość posunięć gwałtownych, a zmniejszają widoki jakiegokolwiek rezultatu.

Losy Isery i Ypres są w dalszym ciągu albo nierozstrzygnięte albo dla świata czytającego niewyjaśnione. Koalicja przypisuje zwycięstwo sobie, jednocześnie zaznaczając, że atak czwartkowy należał do najkrwawszych z całej kampanii i że Niemcy walczyli jak lwy.

W ogólności coraz częściej Europa oddaje hołd waleczności Niemców; bowiem rozumiała, że choć przerost ich idei państwowości dochodzi do karykatury, po prostu do nowotworów i tłuszczaków na ciele zbiorowym, to jednak w znakomitej części okupuje ją wielki patriotyzm i bezgraniczne poświęcenie.

Oczywiście nie zrozumie tego nigdy Warszawa, chora — a i ja nie jestem bez winy — na „rusyfilis”, jak ktoś trafnie określił.

To też Warszawa znowu zaczyna się martwić. Zagadano w pismach o „straży honorowej” i wymieniono naczelników rewirów. Strategicy w spódnicach, zadowoleni, że znowu mają pretekst do robienia zapasów, zapytują, czy aby Niemcy nie zakłócą świąt Bożego Narodzenia. Toż wilia<sup>391</sup> za dziewięć dni, a Wilhelm się podobno wygrażał, że na wilię stanie w Warszawie.

Ale miasto jest tak ożywione, ruch tak wielki, w teatrach tyle premier, że rozsądniejsi nie czują w powietrzu burzy i nie myślą o niej.

Zastanowiło mnie niesłychane podobieństwo w tonie i układzie dwóch artykułów: *Słowa Polskiego* o Palestynie, przytoczonego niedawno przez „Kurier Warszawski” i pana Werguna o Lwowie. Ciekawym polecam zestawienie obydwu — *pagina fracta*<sup>392</sup>. Działacz rosyjski, przyjaciel pana Tana i Mienszykowa, mówiąc o „rdzennie rosyjskiej stolicy” wschodniej Galicji, twierdzi, że sama jej ludność prosi o skasowanie resztek polskiego języka... A ja tam miałem tyle odczytów po polsku! Kto wie, czy nie będę musiał odpokutować za to. Rewidują i aresztują nawet takich, co jeździli przed wojną do... Częstochowy i Sosnowca...

<sup>390</sup>*five o'clock* (ang.) — brytyjski zwyczaj podawania podwieczorku o 17.00. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>*wilia* (daw.) — wigilia. [przypis edytorski]

<sup>392</sup>*pagina fracta* (łac.) — strona złamana. [przypis edytorski]

## VIII

16 grudnia, środa

Już nie ma dzisiaj wątpliwości, że Austria sama się wycofała z Serbii — a jeńców bierze na wyżywienie Anglia. Agencja WAT kombinuje i znajduje posłuch u szerokiego ogółu, że dobrowolny odwrót to zapowiedź pokoju, że za cenę tego „upokorzenia” resztki Austrii będą ocalone — tak uchwały państwa neutralne, do których ona się o ratunek zwróciła.

Słowem, Austria to już tylko biedny bezdomny, którego losem musi się zająć Komitet Obywatelski Europy...

Agencje wymyśliły nowe źródło dochodu — dziennikarzom zresztą od dawna znane — prostowanie fałszywych wiadomości. A więc Kronprinz niemiecki bynajmniej nie umarł. Ale i ataku łodzi podwodnych na Dover — nie było. Kto wie, ilu jeszcze sensacji trza się wyrzec będzie?

Słowa te piszę po koncercie symfonicznym Zdzisława Brinbauma. Pod wrażeniem jestem *Eroiki* Beethovena i mało mnie zaciekawiają dodatki nadzwyczajne. Ale stopniowo wracam na ciernistą drogę, która wiedzie do mojej czatowni, i rozglądam się dookoła. Wiadomości są ważne: i wódz naczelny przyznaje, że armia rosyjska musiała cofnąć się od Sochaczewa z powodu niedogodności terenu. Ach te tereny!...

Wielu ludziom nagle przysłyszaly się odgłosy kanonady.

Ale jest i druga nowina: w kierunku Mławy Niemców odrzucono aż do granicy. Myślę, że ten fakt całkiem równoważy znaczenie tamtego, a nawet go przeważa. Powodzenie Niemców pod Sochaczewem nie ma istotnego znaczenia — inaczej na pewno sztab by go w takiej chwili nie ogłaszał.

Pięknoszyjej na koncercie nie było, choć obiecała być. Domyślam się, dlaczego nie przyszła. W dalszych rzędach siedzieć nie lubi, a w pierwszych mierzi ją sąsiedztwo plutokracji. Jest nieco antysemitką, ale w sympatycznym dla mnie sensie. Dla biedaków ma litość, ale po prostu zije nienawiścią do bogatych i snobów. Woła, że to ludzie bez rasy, tchórzliwe małpy we frakach i smokingach i sukniach koronkowych. Kiedyś dowodziła mi, że jeden zrujnowany hrabia więcej ma *szczeroci* niż wszyscy z bogaceni cukrownicy, bawelniarze i bankierzy. Gdy chodzi o poparcie rzeczy wielkiej, arystokrata polski, choćby z nią nie sympatyzował, przez samą elegancję uczyni gest; a parweniusz do każdego ofiarowanego rubla pozwoli sobie dodać sto głupich pytań i uwag krytycznych.

Pięknoszyja, która w każdym uczuciu, w każdym ruchu, w swej tęsknocie i w swym pragnieniu estetycznego towarzystwa posiada rasę, jest stanowczym wrogiem semityzmu z bibliotekami i kolekcjami obrazów. Woli ideologów, co nie z własnej woli przejechali się przez Syberię, i nauczyli się skromności, powściągliwości w obejściu, i skupionej siły. Lecz w muzyce jest po stronie przesady i baroku.

Przepada za *Patetyczną* Czajkowskiego. Poddaje się jej spazmowi, wybuchom, jej żalowi od bieguna do bieguna i pomrukowi buntu — całkiem bezkrytycznie, z jakimś sybarytyzmem zupełnej uczuciowej bezwoli, i roztopia się w słodkim płaczu.

Brak mi jej było na koncercie, szukałem jej podczas antraktów, rozglądałem się — na pewno jej nie było.

Aureli nie jest szczególnym miłośnikiem muzyki, ale także obiecał być, a że oboje nie przyszli więc pewnie są gdzieś razem...

A teraz oda z powodu Pięknoszyjej.

Polki nie są tak wspaniałe, jak te kobiety egzotyczne, które się spotyka w Paryżu albo na wielkich plażach i w wielkich domach gry, jak Hiszpanki, Brazylijki, Kreolki i nawet Amerykanki z Nowego Jorku. Nie mają ani tych wielkich oczów, ani szczodrych biustów, włosów bujnych Elektry, na których widok mężczyźni truchleli, dziwnych odcieni cery i niesłychanych zharmonizowań koloru naskórka. Nie, nie, Polka nie może w ogólności błyszczeć tą aureolą siły narodów szczęśliwych, i krain na pewno zdrowych, gdzie nad wielkimi morzami bodą niebios wielkie góry. Jest o wiele skromniejsza i niklejsza, a w ostatnich czasach coraz więcej tchnie prowincją. Nie rozumie, jak należy zachowywać się w wielkim świecie i nosi na twarzy wyraz zachwyczonej sobą heroiny z *Rodziny Pola-*

Mieszczanin

Sztuka, Muzyka

Kobieta

*nieckich*<sup>393</sup>, jako przystroj zakopiański lub w innym sensie parafiański, sentymentalność, rozmarzoność lub niebieskawą idylliczność.

Ale choćby nie wiem jak śmieszna miała duszę na pięknej zresztą fizjonomii, tył ma zawsze piękny. Mówię oczywiście o królewiankach. Krakowianki są, jak Czeszki, bez urody i smaku. Co do swej sylwety, to przypominają one nieraz chodzące poduszki, przewiązane w połowie. Już o wiele powabniejsze są lwowianki; ale dziewice z Warszawy śmiało mogłyby rywalizować z Wenus Kalipyge, którą Kazimierz Tetmajer, tak sugestywnie malujący piękno ciała kobiecego, nazwał po polsku Wenus Pięknotylą<sup>394</sup>.

Taki piękny tył to coś więcej niż tylko piękny tył. To i pięknie wymodelowane biodra i pięknie utoczone ramiona i szyja. Jestem głęboko przekonany, że kallipygizm jest źródłem wszelkiego piękna kobiecego. On jest centrum układu plastycznego i wpływa na ukształtowanie form i ruchów wszystkich części ciała. Piękny tył to podstawa Polki. Jeżeli na kimś, to na Polce z Warszawy ostatnia moda spełnia zbrodnię, bo ohydnie rozszerzając suknię w okolicach ud, krzywdzi biodra. Z dobrze naszkicowanego przez siebie tyłu — natura znakomicie wyprowadziła piękną figurę, tak jakby to uczynił rzeźbiarz. Tył ani za wielki ani za mały — to zwierciadło Erosa i Psyche, w jedną zaklętych osobę. Jest on kluczem do zrozumienia przede wszystkim pięknego chodu i słynnych drobnych nóżek, które taką zgrozę zawiści i nienawiści wywołują w Niemczech.

Tył warszawianki to fundament naszej przyszłości. On czyni naszą kobietę niebezpiecznie ponętą i ukrycie — gdyż tył zawsze właściwie jest ukryty — historyczną. Kallipygizm naszych kobiet nawet z nad Warty rzucał na kolana Henryka Heinego, a Bismarcka napelniał trwogą o całość Niemiec.

Przeto spokojny jestem o los Polski. Jeśli pomimo wszystkich rozbiorów Polski, pomimo stulecia przewrotnego podkopywania się pod nią, zarówno gnębieli jak i własnych jej tak zwanych synów, istnieje ona i płonie jakimś ukrytym ogniem, którego Mickiewiczowskie „sto lat nie wyziębi” jest wiernym symbolem — to zasługa tego niezachwianie rażnego stąpania jest dziełem kallipygizmu Polek. Oto moja mistyka i metafizyka narodowego animuszu i fantazji. Dawne mundury szwoleżerów, kaski ułańskie, polonezy i dzisiejsze kurtki sokołów przepiękne i malowane ozdoby strzelców — to wszystko jest uśmiechniętą odpowiedzią na piękny kształt Polki, a więc wytworem kallipygizmu, który zatem nie tylko niewiastę, ale i rycerza polskiego formuje.

Daleko piękniej i zgodniej z ziemią byłoby, gdyby nasi poeci i artyści wyobrażali sobie Polonię nie jako boleściwą i dręczoną, nie jak to czyni Wyspiański np. lub Styka<sup>395</sup>, lecz jako pannę Marię, z inteligentnego domu, kuzynkę Marianny<sup>396</sup> francuskiej; ta ma na głowie frygijską czapkę<sup>397</sup>, tamta posiada piękny tył, niewielki, a przecież tak jędrny, że na nim daleko więcej niż na obietnicach wodzów można budować zjednoczenie. Taka panna Maria Kallipyge daleko pewniej i dźwięczniej zawtóruje burzącym krew w żyłach pobudkom *Marsylianki*:

*Formez vos bataillons!...* <sup>398</sup>

18 grudnia, piątek

Chodzę omotany melodiami beethovenowskiego wieczoru i zgoła niedostępny wrażeńiom z zewnątrz. Jakoż wszystko to, co dzisiaj gwar miasta przyniósł, rozprzędło się w cienkie nici i oplątując mnie, nie przeniknęło do wnętrza. Jakby jakieś majaczenie, biorę wiadomość o nowym dowodzie furii teutońskiej<sup>399</sup>. Eskadra admirała Tirpitz sko-

<sup>393</sup>*Rodzina Połanieckich* — powieść obyczajowa autorstwa Henryka Sienkiewicza przedstawiająca losy małżeństwa kupca Stanisława Połanieckiego z zubożałą szlachcianką Marynią. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>*Wenus Pięknotylą* — nawiązanie do wiersza *Kallipigos* autorstwa Kazimierza Przerwy-Tetmajera. [przypis edytorski]

<sup>395</sup>*Styka, Jan* (1858–1925) — polski malarz znany z obrazów o tematyce religijnej, historycznej i patriotycznej. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>*Marianna* — nieoficjalny symbol narodowy Francji, kobieta przedstawiana jako wojowniczką w symbolizującej wolność czapkę frygijskiej na głowie, na niektórych obrazach prowadząca do walki naród francuski. [przypis edytorski]

<sup>397</sup>*czapka frygijska* — czapka wolności, symbol Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>398</sup>*Formez vos bataillons!..* (fr.) — Zewrzyjcie szyki wraz!; cytat z *Marsylianki*, tu w tłumaczeniu Edwarda Porębowicza. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>*furia teutońska* — okrucieństwo, szal bitewny, zwrot używany na określenie agresywnych działań ludów germańskich. [przypis edytorski]

Ciało, Piękno

Matka, Kobieta

rzystawszy rzekomo z mgły, przedarła się przez kordon floty brytyjskiej i napadła na Yorkshire, zasypując granatami porty Hartlepool, Whitby i Scarborough.

Tę brawurę w wielkim stylu, germanofobia stara się ośmieszyć i przedstawić, jako coś błazeńskiego. Lekcje skromności i bezstronności, które co dzień niemal daje Europie Joffrench, są po prostu dla nas znad Wisły zbyt niezrozumiałe, ażeby mogły skutkować.

I również mało mnie wzruszają wieści o Sochaczewie — to także jakiś półsenny oprząd. Miga tylko coś krwawego. Olbrzymie straty Rosjan — z dwóch korpusów nie zostało i kilkunastu ludzi. Sochaczew, spalony i zniszczony — w ręku Niemców.

Za chwilę: Rosjanie przyparli Niemców do ujścia Bzury, niezliczone masy wycięli w pień, potopili. Reszta cofnęła się aż poza Łowicz. Generał Turbin promieniał radością, gdy o tym opowiadał jednemu z dziennikarzy. A zaś na południu, podjazdy rosyjskie dotarły do — Katowic!... Co ma być zasługą zręcznych manewrowań generała Ewersa i Leczyckiego.

W tym punkcie zupełnie odszedł ode mnie czar muzyki. Słucham i kombinuję uważnie, i aczkolwiek nic skombinować nie mogę — doznałem silnego wrażenia.

Czytam i odczytuję glossy do napaści floty niemieckiej; podoba mi się ta odwaga, prawie Normandów, ze strony napastników, a więcej jeszcze wspaniała gotowość bojowa floty angielskiej, która w niespełna godzinę po ucieczce eskadry niemieckiej już była na miejscu zagrożonym. Uczułem tu wyraźnie, że brzeg Anglii, choć go na chwilę obryzgano krwią niewinnych ofiar, podobno aż kilkudziesięciu — jest dobrze broniony. Może się nie obawiać o całość Albionu człowiek, co w czasie trzęsienia ziemi, jak dzisiejsze, żyje jedynie otuchą, iż tam kędyś istnieją dwie wielkie wyspy, którym się nic złego nie stanie, i które zawsze są absolutnie pewnym azylem wielkiej cywilizacji.

Znowu mnie chwytą w swe gorące szpony zła pasja w obliczu krwawych zapasów. Może to tajemne przeczucie, że znowu coś wyrocznego zbliża się do Warszawy. Może tak działa na mnie powrót niektórych „zaskoczonych”, których nieobecność czyniła powietrze w naszym mieście zdrowszym. Liczyło się, że tam już wsiąkną, a oni znowu tutaj, aniołowie — stróże konspiracji przeciwko wszystkiemu, co woli kwitnienie niż gnicie. Może i osobiste moje zainteresowanie było w tym, ażeby pozostali tam, gdzie byli dotąd. Może wreszcie jątrzy mię rosnąca czelność samozwańców. Widzę zresztą, że jest coraz więcej ludzi i nawet pism, którymi również jak i mną miota żądza wypadków oczyszczających. Powoli zgęszcza się atmosfera i unosi się w powietrzu zapach dżdżu siarczystego... Jeden z moich przyjaciół twierdzi, że ma rozkoszne sny — bo mu się śni gilotyna. Odpowiadam mu, że gilotyna strącała jeno głowy wzniosłych doktrynerów lub tytanicznych ideologów...

Aureliusz leży chory z nadmiaru wzruszeń. On tak wierzył na nowo w bliskość zbawienia, w geniusz Hindenburga i Ludendorfa, tak gore niecierpliwością i trapi się każdą wieścią o przewadze Rosjan, że w końcu gorączka ta wyczerpała jego organizm i zapadł na jakąś dość ciężką influencję<sup>400</sup>.

Słowa te piszę u niego; śpi i nieco bredzi przez sen. Była także i Pięknoszyja, ale poszła, ulegając moim gorącym prośbom i perswazjom. Niecom się obawiał<sup>401</sup> takiej pielęgniarce dla niej i dla Kosa. Dla mnie siedzenie w nocy przy łóżu chorego nie jest żadną ofiarą. Prawie że rad jestem, gdy mogę nie ubiegać się o sen, zresztą umiem doglądać chorych i zdarzało mi się to nieraz, i byłbym wcale niezgorszym sanitariuszem; przytomność moja i czujność nieraz marzą o takim dla siebie zastosowaniu. Mam ambicję wykazania ludziom, że umiem leczyć intuicyjnie i nie przeszedłszy bynajmniej kursu ratownictwa. Zaimponowałem nawet Pięknoszyjej, której się zdawało, że mężczyzna nie potrafi zdobyć się na delikatność i miękkość ruchów. Niedarmo bliscy moi mawiali nieraz, że byłbym znakomitym... akuszerem.

Pięknoszyja ciągle się z nami kłóci. Utrzymuje, że jak ludzie pospolici, zanadto się poddajemy namiętności wyczekiwania. Że nie powinno się ani na chwilę tracić z oczów owych setek tysięcy męczenników — żołnierzy, a nie myśleć bezustannie o zwycięstwie tego lub owego systemu politycznego. I twierdzi też, że ta nasza pasja to także tylko

<sup>400</sup>influenza (daw.) — grypa. [przypis edytorski]

<sup>401</sup>niecom się obawiał (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „nieco się obawiałem”. [przypis edytorski]

egoizm. Aureliuszowi czyniła wyrzuty, że dla triumfu swej idei stracił serce i nie widzi zgoła, jakich ten triumf straszliwych wymaga okupów.

— Czy pan nie czuje, że każdy kilometr o który przybliżają się Niemcy, zaściela się pokosem ludzi?

A on odpowiadał na to:

— Ma pani słuszość, nic na to poradzić nie mogę; mogę tylko dołączyć do krwi potoku i własną mą krew, byle przestała u nas rządzić *infamia*<sup>402</sup>. U nas? — źle mówię, ona rządzi dziś światem całym.

Widzę z ogromnym zadowoleniem, jak powoli nastaje w sercu Pięknoszyjej jakieś odretwienie na własną tęsknotę. Zwiedza przytułki dla bezdomnych i zaczyna się uczyć sztuki sanitarnej... Bywa w lazaretach i posępnymi oczyma odprowadza te wozy, na których stoją dwie-trzy czarne, proste, trumny. Dziś wieczór poszliśmy pod dworzec Kolei Wiedeńskiej, i na widok setek ewakuowanych, z Skierniewic podobno, idących nocą w czelusć obcego miasta, z dziećmi i biednymi manatkami, tak głęboko milczała, że się bał spojrzeć w jej wspaniałe oczy...

19 grudnia, sobota

I te słowa piszę u Aureliusza. Jest już prawie całkiem zdrowy, zdrowa natura rychło zmogła gorączkę. Całą swą powagą „lekarską” zmusiłem go do pozostania w łóżku i nie pozwolę i jutro podnieść się. Mógłbym właściwie zostawić go samego tj. powierzyć pieczy służącego, który usługuje kilku mieszkańcom z tego samego piętra, ale sprawia mi to wielką przyjemność, że nie jestem u siebie. Bądź co bądź, gdy się własną swą izbę wypełni duchami tęsknic i rojeń — chwilami, zwłaszcza w dni grudniowe, wydaje się ona prawie kaźnią.

Dzień był na ogół przyjemny. Około dziesiątej rano przyszła wspaniała donica mocno różowych cyklamenów. Oczywiście dar Pięknoszyjej dla chorego — Kos wtedy jeszcze smacznie chrapał. Kiedy się obudził, a czekałem, naładowany pustymi żartami, tego przebudzenia, przeciągnął się, spojrzął na mnie jednym okiem, bo drugie jeszcze się namyślało, czy się ma rozewrzeć, a potem spostrzegł na stoliku nocnym kwiaty. Zrobił najpierw wielkie głupie oczy, potem jeszcze idiotyczniej się skrzywił, co miało oznaczać uśmiech ogromnego zadowolenia, i mruknął:

— Dzień dobry, od kogo to?

— Od królowej belgijskiej...

— Żeby ona, bestia, lepiej te pieniądze oddała na bezdomnych, ta twoja królowa...

— Przepraszam, ani moja ani twoja; wiesz: nie dla psa kielbasa...

Zauważyłem, że Aureliusz, dość małowówny, za bardzo się ożywił w towarzystwie Pięknoszyjej, a i teraz, choć była reprezentowana tylko przez cyklameny, miał ochotę wiele gadać. Zmierzyłem mu temperaturę, a chociaż opadła już zupełnie, zabroniłem nadmiernej wymowy.

W południe przyszła Pięknoszyja. Wzięła się do przyrządzania posiłku dla Aureliusza i miałem wielką ochotę przyglądać się jej delikatnym pięknym palcom, gdy nastawiała maszynkę — jej wdzięcznemu fartuszkowi, który z sobą przyniósłszy, założyła, i w ogóle całej jej zgrabnej robocie. Ale ciągnęła mnie ulica i potrzeba orzeźwienia się po nocy — więc wyszedłem.

Wykąpawszy się gorąco u admirała zniszczonych na Wiśle *dreadnoughtów*<sup>403</sup>, wstąpiłem do Lourse’a. Kilku „sztabowców” miało już dość pewne wiadomości, że radosne poufne biuletyny generała Turbina wcale się nie sprawdziły. Owszem, uparcie wracał refren o zmarnowaniu dwóch korpusów rosyjskich, o spaleniu Sochaczewa, o ewakuacji nie tylko Skierniewic, ale i Błonia. Kogoś, co chciał jechać do Grodziska, przyjęto na dworcu śmiechem — pociągi nie odchodzą.

Komunikaty wodza naczelnego zawierają pewne ważne, prawie że umyślne niedomówienia, które niejako potwierdzają to, o czym mówią w mieście, a nadto przyznają się do konieczności zmian w dyslokacji wojsk. A co gorsza, mówią o powstrzymaniu ofensywy

<sup>402</sup>*infamia* (łac.) — niesława, hańba. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>*dreadnought* (ang.) — drednot, określenie generacji pancerników budowanych w latach 1906–1922. [przypis edytorski]

austriackiej w okręgu Sanoka i Liska; a więc Austriacy ponowili akcję zaczepną w Galicji zachodniej i wypierają Rosjan od Krakowa ku wschodowi.

Optymista z obozu Kosa miałby prawo podłożyć bogatą treść pod te natracenia.

Oczywiście, iż wróciwszy do niego, o rezultacie mojego polowania na kaczki nic nie powiedziałem; mogłaby wrócić gorączka. Na wszystkie zapytania odpowiedziałem stylem Joffre'a i Mikołaja Mikołajewicza: „istotnych zmian nie ma”.

Ale Aureliusz wziął na gadanie i podjadłszy sobie niezgorzej, zaczął nawracać Pięknoszyją.

— Pani myśli, że ja nienawidzę Moskali? Nic podobnego; w ogóle człowiek nowoczesny nie powinien nikogo nienawidzieć. Rozum, rozum, uznający albo nieuznający powinien zastępować uczucie. Nienawiść to artykuł handlu, stworzony przez klerykalną Warszawę. Moskali lubię... Musi pani wiedzieć, że ja pierwszy tłumaczyłem na polski Szczedrina. Sztubakiem<sup>404</sup> jeszcze, umiałem na pamięć wszystkie śliczne liryki Puszkina i Lermontowa — i niektóre tłumaczyłem, np. *Burzę*, *W minutu żyzni trudnuju*, *Kogda rosoj obryzgannyj duszystoj* itd.

— No, a dlaczego dzisiaj pan im złego życzy?

— Nie im, ale ich małpom i przedrzeźniaczom, tj. rusofilom. Rosja u siebie jest wielka i bywa nawet miłosierna — ale u nas jest reprezentowana przez rosyjską szubienicę i polskich trabantów. Rosja szubienicę już prawie skasowała, a my zbirów ciągle jeszcze hodujemy i oni to domagają się, żeby im dano robotę. Mariaż dwu wielkich narodów okazał się strasznym mezaliansem: deprawuje Moskwę, a Polskę odcina od pnia historycznej i romantycznej chwały. Niech pani pomyśli, jak tu żyć? Jest w Polsce kilka tysięcy ludzi zdolnych, gorących, energicznych. Otóż ani jeden z nich nie spełnił swego przeznaczenia, nie wybił się, nie stanął w oddziale czołowym. Po lat trzydzieści i czterdzieści trzebią lasy z energią pionierów, która mogłaby, zdaje się, wstrzymać wodospad Niagary, a potem okazuje się, że to nie były drzewa, ale lby hydry, wciąż odrastające. Praca cyklopów idzie na marne. Każdy z nich byłby we Francji, Anglii, Niemczech chlubą narodu i swoim własnym szczęściem — u nas ginie i może sobie powtórzyć słowa Johna Keatsa: *I am, whom the name is written over the water*<sup>405</sup>. To zrobiła nasza nienawiść wyższości. I na odwrót, ci, co teraz są sławni, szczęśliwi, bogaci, przeważnie wyrosli z durniów, nicponiów lub matolek, ale przez milczącą organizację popierania nędzot i miernot — wygramolili się na szczyt, skąd mogą oddziaływać na szeroki ogół. Mówią, że Polacy nie umieją się organizować — to nieprawda, dla celów duchowego nihilizmu umieją mistrzowsko...I jak tu wobec tego żyć? Dobrze, że ja nie mam ambicji szczególnych i pewnie jestem do niczego. Ale jakże można żyć, patrząc na taką gospodarkę? Społeczeństwo powinno opierać się na wzroście lepszych żywiołów, u nas opiera się na wzroście gorszych. Jak tu kształcić i wychowywać? Co zrobić z tym pierwszym materiałem do budowy, który się nazywa „zdolność” albo „wyższość” albo „lepszość”, kiedy ona nie zdaje się na nic i wyrokiem rządu narodowego z góry skazana jest na śmierć powolną z niedojadania, na zaduszenie kneblem lub pętlącą? Widzi pani, wszelki antynaród, antyspołeczeństwo, antykultura, antyideał, jeśli nie ma na śmierć sparszywieć, musi iść do innej szkoły, do Europy, która wzniosła się do swej potęgi jedynie przez poszanowanie pracy, energii, zdolności i dobrej woli...

(Itđ. Rzecz prosta, iż Kosa wywody przenosząc na papier, wygładziłem i lepiej związałem.)

Pięknoszyja siedziała przykuta do swego krzesła.

Po dłuższej chwili odezwała się.

— Gdyby pan nie był bawił się w rewolucję, byłby pan zajechał wysoko. Własny radykalizm panu zaszkodził w opinii, a teraz zwala pan winę na społeczeństwo.

— Ho, ho! — śmiać się zaczął. — Przecież burzuje z mojej rewolucji korzyść ciągną. Na tym właśnie polega ich szwindel, że z rąk rewolucji wszystko wzięli. Dumę, wolną prasę, polskie szkoły, swobodny teatr, możliwość stowarzyszania się — a wszystkich rewolucjonistów gdyby mogli, powiesiliby, tych zaś, co zginęli, powiesiliby po raz drugi.

<sup>404</sup>sztubak (daw.) — uczeń gimnazjum lub szkoły średniej. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>*I am, whom the name is written over the water* (ang.) — „Jestem tym, którego imię zapisane jest na wodzie”; prawdopodobnie ostatnie słowa Johna Keatsa, sentencja wyryta na jego grobie. [przypis edytorski]



O moich zbrodniach, o cytadeli dawno już zapomniał rząd, prasa rosyjska o mnie z pochwałami pisze — a swoi, gdzie mogą — utracają mnie. Nawet nazwisko moje nie jest w stanie ich przebłagać. Jellenta mówi, że ma absolutną pewność, iż jego przodkowie nie walczyli pod Grunwaldem, ja tej pewności nie mam, owszem, nawet podjąłbym się dowieść, że właśnie walczyli, ale u burżujskich szakali to nie jest żadną ekspiacją.

— Trzeba było uporządkować swoje życie — już mniej pewno bąknęła Pięknoszyja — ożenić się, dom zbudować.

— Aha, właśnie! Żeby w razie mojej śmierci, została głodna żona i głodniejsze dzieci. Jak widzę, to pani dobrze zna Kraj Przywiślański. A do spowiedzi pani chodzi?

Przy tym pytaniu spojrział na mnie, zaciekawiony i z widocznym zadowoleniem.

— Nie chodzi pani? Wiedziałem! Więc pani z burżujami nie chce mieć przez pół godziny do czynienia, a żąda pani ode mnie, ażebym ja się z nimi przyjaźnił, ażebym wszystko, czego mię świat i cywilizacja nauczyły, tj. strategię przebijania się przez ludzi, umiał zamienić na strategię przepychania się przez burżujów. Musiałbym chyba nauczyć się tego jeszcze w kolebce. To zupełnie tak samo, jak gdyby mi pani kazała przez całe życie chodzić na czworakach.

— A z Niemcami będzie lepiej? — zapytała, trochę zniecierpliwiona. — Im się pan przecie zupełnie na nic nie przyda, ani pan, ani panu podobni, nie jesteście przecie Niemcami.

— To być może — ja będę niczym, ale i arystokracja Polski przestanie być czymś, bo jest za głupia i za ciemna na to.

— Już wzięłeś na swego konia, wpadłem, zejdź z niego, proszę, bo znowu gorączki dostaniesz. Leż spokojnie i wachaj lepiej cyklameny.

Uczynił, jak kazałem.

## IX

20 grudnia, niedziela

Niedziela — boska pogoda, wspaniałe europlany; wszystko według programu. Wobec tego, już komunikaty sztabu głównego — zbędne i wcale ich nie było. Europlany doskonale je zastępują i z głośnym furczeniem głoszą: „My, Niemcy, jesteśmy niedaleko”.

W pierwszej chwili, usłyszawszy, jak grzeją kartaczownice i szrapnele malują na niebie okrągłe obłoczki, wołano: „to nasz!” Warszawa bowiem przyzwyczała się do tego, że tylko do europlanów rosyjskich się strzela; ale tym razem koncept się nie sprawdził; latał naprawdę szwab i rzucił sześć bomb; giną głównie dzieci wszelakiej biedoty.

Przyszło mi na myśl, że Wilhelm II bawi się w Jowisza<sup>406</sup> i naśladuje grzmoty; bom właśnie czytał przed chwilą genialny felieton Caillaveta<sup>407</sup> o poufaleniu się cesarza z Bogiem, Jehową, Zeusem itd. Podobnie dowcipnej w wielkim stylu karykatury, dawno nie czytałem. Znakomity kolega i wspólnik Flersa, specjalista w wyśmiewaniu „królów” — przejrzał na wylot megalomanię Wilusia i wywiódł z niej jego epistoły, kazania, i wszystkie teologiczne błazeństwa.

Gdy tak mało wieści z pola bitwy, jak dziś, odczytuję głosy pisarzy francuskich — co mówi Paweł Bourget, Romain Rolland, Groschalud<sup>408</sup>. Każde słowo — brylant, każdy artykuł — kompozycja skończona, światło i czucie. Zajmowali się dużo imieninami króla Alberta, którego nazwano „królem honoru”. Któryś z pisarzy czyni subtelne i wielkie spostrzeżenie: „Widywałem króla wielokrotnie przed wojną i uważałem go za człowieka miękkiego charakteru. Wojna przeobraziła króla. Dzisiaj cała jego postać tchnie energią, oczy ciskają błyskawice, głos stał się silniejszy i coraz częściej odzywają się w nim dźwięki metaliczne”...

Tak bywa w istocie — jakiś pisarz rosyjski — zapamiętałem to z czasów gimnazjalnych — mówi: „człowiek genialny wygłasza się w chwili krytycznej”.

Berliński „Tageblatt”, który w stylu, jasności i zwięzłości, chce koniecznie naśladować pisma francuskie, pisze, że wojna wydała jednego tylko geniusza w obozie koalicji

<sup>406</sup> Jowisz (mit. rzym.) — rzymski odpowiednik Zeusa, bóg nieba, burzy i deszczu. [przypis edytorski]

<sup>407</sup> Caillavet, Gaston Arman de (1869–1915) — francuski dramatopisarz, współautor (wraz z Robertem de Flers) wielu komedii satyryczno-obyczajowych. [przypis edytorski]

<sup>408</sup> Bourget, Rolland, Groschalud — francuscy pisarze. [przypis edytorski]

zachodnio-wschodniej: generała Joffre'a. Pomijając nieścisłość tego uproszczenia rachunku, podkreślam trafną charakterystykę: „jego armia wciąż rośnie”.

Istotnie, trzeba spojrzeć teraz, po czterech i pół miesiącach wojny, na taktykę francuskiego wodza, ażeby zrozumieć, jak Joffre od razu i z bystrą przenikliwością charakter brawurowy, szastający, ofensywy niemieckiej poznał i do niej się zastosował. Gdyby na każdą furię odpowiadał furią, już by armii francuskiej nie było — a tak to uroniła stonkowo niewiele i wydaje się, jakoby „rosła”.

Co się zaś — konkretnie biorąc — dzieje na zachodzie, trudno wiedzieć. Posuwa się ciężko, powoli, ale posuwa się. Wątpię, ażeby było prawdą, że Francuzi już lada dzień przejdą do ofensywy, ale bądź co bądź wypierają Niemców i z Belgii, i w okręgu Aisny, i po prawej stronie Mozy; Anglicy walą z morza do nadbrzeżnych obwarowań niemieckich. Słowem: Calais jeszcze nie jest i — miejmy nadzieję — nie będzie w rękach Niemców.

...Może zapytacie, dlaczego nie wspominam o prasie rosyjskiej? Mam po temu przyczyny. Z początku podobała mi się, ile że w ogóle posiada ton więcej wielkoświatowy, szeroki, filozoficzny. Ale niestety, coraz wyraźniej choruje na *Nozdrewszczyznę*<sup>409</sup> — *vide*<sup>410</sup> Gogol — czyli na to, czego się zupełnie wyzbyła prasa francuska. Korespondenci wojenni przesadzają i przechwalają: *czudo* — *bohater*<sup>411</sup> już jest zbyt nieodstępną cechą żołnierza rosyjskiego. Naturalnie, w miarę mnożenia się trudności na drodze do zwycięstwa nad wszechświatem, fanfaronada rośnie. Ale już wprost niesmaczna jest rubryka epizodów z pola walk. Oto np. list Kozaka do domu, pełen rzewnej tęsknoty, ale głównie tęsknoty za... szkołą. Któż by przypuszczał, że Kozacy są takimi amantami szkoły! Oto żołnierz — bohater, widząc, że jego kapitan nic ciepłego od kilku dni w ustach nie miał, w czasie najżałostniejszej bitwy sprokurował mu kuraka, ugotował rosół; przyniósł w miseczce, siarczyście *galopując!* („Birżewyja wiadomości” z końca października).

Niesłychanie wiele ciekawych i niezwykłych epizodów podaje prasa paryska. Ale jaka tam głęboka prawda, jaka bezstronność i przyznawanie się do strat, jaka czystość tonu, jaka nuta minorowa<sup>412</sup>, jakie proste, żołnierskie, skromne patrzenie śmierci w oczy! Tam każdy chce być tylko walecznym, tylko spełniać swój obowiązek, tylko zapisać się w sercu Francji. A tu, w Rosji, każdy musi być zaraz świętym Jerzym<sup>413</sup>, jakimś cudotwórcą z Kremla, archimandrytą<sup>414</sup> poświęcenia, ultrawłodzimierzem, złotą kopułą cnoty rycerskiej, Ilią Muromcem<sup>415</sup> w braniu samowtór<sup>416</sup> lub samotrzc<sup>417</sup> do niewoli całych tysięcy.

Oto dlaczego przestałem czerpać mądrość z pism rosyjskich, nie jest ona zgoła od naszej rodzimej większą — jest tylko wymowniejszą i daje na dziesięciny to, co nasze bulwarowce dają na łokcie kwadratowe.

Myślę, że tak jest w rzeczywistości, jak w anegdocie: ujrawszy paru Kozaków, znaczny oddział piechurów niemieckich wywiesza białą płachtę, jako że chce się poddać. Na razie przestraszony, a potem zdziwiony Czeczeniec, czy Kabardyniec (a może Osetyniec lub Ingusz<sup>418</sup> itp.) w końcu przystaje na propozycję, ale pod warunkiem: rubla od głowy.

21 grudnia, poniedziałek

Warszawa widocznie odzwyczaiła się od aeroplanów i bomb, wczorajsze bowiem uczyniły wielkie wrażenie. Wieciorem w kawiarni *au grand U* tylko o tym gadano — zapiominając, że premiera była już przed dwoma miesiącami.

Ale powoli w kołach krytycznej na rzeczy patrzących utrwała się zrozumienie, że na razie Warszawa nie leży w planach Niemców. Zbyt silnie jest broniona i obwarowana,

<sup>409</sup>*nozdrawszczyzna* — pyszałkowatość; nawiązanie do postaci Nozdrowa, jednego z bohaterów *Martwych dusz* Gogola. [przypis edytorski]

<sup>410</sup>*vide* (łac.) — zobacz. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>*czudo* — *bohater* (ros.) — cudowny bohater. [przypis edytorski]

<sup>412</sup>*minorowy* (muz.) — w tonacji molowej, smutny. [przypis edytorski]

<sup>413</sup>*św. Jerzy* — święty Kościoła katolickiego, jako Jerzy Zwycięzca uznany wielkim męczennikiem przez Kościół prawosławny. [przypis edytorski]

<sup>414</sup>*archimandryta* — przełożony klasztoru w Kościołach wschodnich. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>*Muromiec, Ilija* — jeden z legendarnych ruskich bohaterów, znany z wielu ruskich bylin (ludowych poematów). [przypis edytorski]

<sup>416</sup>*samowtór* (daw.) — w dwie osoby. [przypis edytorski]

<sup>417</sup>*samotrzc* (daw.) — w trzy osoby. [przypis edytorski]

<sup>418</sup>*Czeczeniec, Kabardyniec, Osetyniec, Ingusz* — przedstawiciele ludów kaukaskich. [przypis edytorski]

prawy zaś brzeg Wisły zanadto przygotowany do odparcia najazdu, żeby Hindenburg miał tu marnować siły, potrzebne do flankowego uderzenia, od strony radomskiej i kieleckiej na Galicję. Jakoż powoli wojska jego zajmują południowy zachód Królestwa. Zapewne ruch ten jest skombinowany z akcją od południa, od strony Karpat, i niewątpliwie krwawe muszą się tam toczyć walki. O ile by się udało odrzucić Rosjan z powrotem ku Przemyślowi, a nawet dalej, na wschód, front niemiecki sam przez się przysunąłby się do Warszawy.

Podobno w dzielnicach zwykle najlepiej poinformowanych, tj. na Nalewkach i Franciszkańskiej, których daru widzenia na odległość nie należy nie doceniać, dzisiaj padło znamienne słowo: ewakuacja Lwowa...

Będziemy mieli święta spokojne. Ci, co jak ja — od trzech miesięcy listu od swoich nie mieli, będą mieli święta, tylko odurzające się trunkami. One muszą być — taki postawiłem warunek tym, co mnie proszą na wilię. Zresztą, prawdę mówiąc, ze wszystkich, rozdzielonych do niedawna z swym najdroższymi, ja jeden już tylko pozostałem samotnym. I wstyd pomyśleć o tym, co stoi na przeszkodzie, że pojechać do swej rodziny nie mogę. Nie wojna, nie odległość, nie miny podmorskie na lądzie, boć przecież ogłasza się nawet Nizza, że komunikacja z nią została przywrócona, ale...

Coraz dłużej przesiaduję u siebie. Mój pokój, no i teatr — to moja wolność i moja niepodległość. Z nikim prawie nie rozmawiam, ale widzę wiele. Ostatnio zajęły mnie bliżej kobiety rosyjskie, których ogromna ciżba napłynęła do kraju. Spotykam je ciągle na korytarzach „Europejskiego”<sup>419</sup>, słyszę bezustannie ich mowę na ulicy, w teatrze siedzę wśród nich. Dalipan<sup>420</sup>, nie mogę się nimi zachwycić. Przede wszystkim, nie są pięknotyle jak warszawianki. Po wtóre, mają chód oficerski. Po trzecie, wiele spośród starszych ma wyraz twarzy zły i bardzo rosyjski. Znam takie, których oczy mogę tylko nazwać białymi — taka w nich złość i okrucieństwo się maluje. Niemki były zawsze nieponętne i tylko w ostatnich czasach snobizm estetyczny i dobrobyt uczyniły je wykwintniejszymi. Zdarzają się Rosjanki powabne i pociągające, ale w nich połączenie zakonniczy, sanitariuszki i kokiety jest szorstko obce i niemile. A już zupełnie nie pojmuję gustu dla dragonic<sup>421</sup>, które Rosjanie nazywają: *belle femme-istaja*<sup>422</sup>. Wiem, że i Polki sanitariuszki potrafią być zalotnymi; w pewnym eleganckim lazarecie fundatorzy nawet kazali (*sic*) im być takimi; ale to stałe rosyjskie połączenie pielęgniarzki z kochanką — jeszcze nie uutorowało sobie drogi do mojej miłości. Jeszcze mam pewne przesady. Polka jest niemniej zmysłowa, romantyczna i nawet erotyczna, ale nie umie jeszcze włączać miłosnej ekspansji w opiekę nad chorymi.

W najbliższym moim sąsiedztwie ta synteza rosyjska rozgrywa się bardzo często; nie chciałem w nią z początku wierzyć, ale za dużo faktów o niej świadczy. Słuszność każe dodać, że w samej pracy sanitarnej Rosjanki są jednak bardzo dzielne i poświęcone.

W tramwaju wciągnęli mnie raz Rosjanie do rozmowy. Zapewne zdziałała to gazeta rosyjska, którą czytałem. Było już koło północy i w wagonie, snadź ostatnim, ludzi było bardzo mało. Kobiety odezwały się tonem absolutnej pewności, że właściwie na święta powinien być zawarty pokój, wobec tego, iż cała Galicja i Prusy wschodnie są już w „naszych rękach”. Odparłem nieśmiało, że inicjatywę powinna dać Rosja. „Nie, Niemcy powinny upokorzyć się i przeprosić”.

Patriotyzm rosyjski jest, przypuszczam, wielki, ale coraz częściej pojawiają się znaki, że żołnierza żadna zrozumiała i uchwytna myśl nie zagrzewa. Bijemy się „za tych przeklętych Polaków”, mówią zdrowi, i dopiero ranni nie mają słów wdzięczności dla „Polaczków”, za miłosierne i troskliwe obchodzenie się z nimi. Podobno wielu marzy tylko o tym, ażeby otrzymać ranę w rękę i iść do szpitala. Opowiadają, że chętnie wysuwają ręce nad okopy, ażeby przyciągnąć kulkę niemiecką. Muszą być i tacy, co sobie sami palce obcinają, skoro wydano prawo grożące za takie okaleczenie się śmiercią.

I pomyśleć: po co i na co straciła Rosja milion żołnierzy w zabitych i rannych? Gdy wszystkie państwa walczące bronią swego bytu przed hegemonią pruską lub inne —

<sup>419</sup>*Hotel Europejski* — hotel w Warszawie, budowany w latach 1855–1877 według projektu Henryka i Leandra Marconich. Uznawany za najbardziej luksusowy w mieście. [przypis edytorski]

<sup>420</sup>*dalipan* (daw.) — wykrzyknienie, dziś: doprawdy, słowo daje. [przypis edytorski]

<sup>421</sup>*dragonica* (ros.) — smoczyca. [przypis edytorski]

<sup>422</sup>*belle femme-istaja* (fr., ros.) — piękna kobieta, prawda? [przypis edytorski]

swego stanowiska mocarstwowego, jedyna Rosja, wielka, w tułowi swym niezagrożona, niemal nieprzystępna i zgoła niepożądana, dla jakiejś tam „misji historycznej” brodzi we krwi po sam pępek. Tyle ziemi, tyle chleba, tyle ryb, tyle lasu, tyle bogactw w naturze i ludziach i zwierzętach, że choćby tylko dziesiąta część tego była należycie gospodarowana, już by państwo — kolos było syte i szczęśliwe. Nie! Muszą iść stanąć przed światem w papasze na bakier z hasłem: „Ja im pokażę! Ura! Ura! Ura!”

Oto racja stanu rosyjska. Nikomu nie pomoże, Berlina nie powącha, Poznania nie dosięgnie nawet najdłuższą piką kozacką. Lwów posiada i już zalała dziegciem, popami i policjantami. Ongi Bohdan Chmielnicki<sup>423</sup>, oblegając gród lwi, żądał jako okupu, pewnej ilości kobiet do namiotów i Żydów dla szubienic — Rosja już to wszystko ma; po co więc walczyć dłużej, bez sensu i życiowej lub politycznej konieczności?

Ostatecznie, wojna dzisiejsza Rosji niczym zgoła nie różni się od tej, którą toczyli z Japonią — tylko jeszcze więcej strat i jeszcze mniej idei.

I ludziom się wydaje, że Rosja wiele się nauczyła i kroczy naprzód. Ale w jakim kierunku? W tym samym kierunku okłamywania Europy pychą sparodiowanego bizantyizmu, podawaną za wielki imperializm słowiański.

22 grudnia, wtorek

Poranne wiadomości urzędowe z terenu mławskiego, znad Bzury, Sanu i z okręgu przełęcz Dukla brzmią bardzo pomyślnie. Dysonans tkwi jeno w odezwie sztabu głównego, który piętnuje kłamstwa zagraniczne o złym stanie armii rosyjskiej i zapewnia, że „skrócenie frontu” zarządzono dobrowolnie wobec przeważających sił nieprzyjaciela.

Do południa ludzie łamali sobie głowy nad tym, jak pogodzić tę dobrowolność z przeważającymi siłami. To co miało uspokoić trwożliwych, dopiero na serio ich zaniepokoiło. Do wieczora zaś przybyło wiele opowieści o ewakuacji miast z linii Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Późnym wieczorem ktoś w tajemnicy zapewniał mnie, że Łódź została nareszcie zajęta przez Niemców i że komendantem został ten sam von Liebert<sup>424</sup>, który za okupacji poprzedniej, na prośbę fabrykantów o sprowadzenie dla nich węgla z Dąbrowy, odrzekł z uśmiechem:

— *Meine Herren, wir sind noch nicht verheiratet, wir sind erst verlobt.*<sup>425</sup>

Wreszcie na finisz jeden z zapaleńców lekarzów przyniósł nowinę, iż Rosjanie ponieśli wielką klęskę pod Kielcami. W to prędzej wierzę niż w zbliżanie się Niemców do Warszawy.

Nie brakowało też poczty, opiewającej o znacznych sukcesach Rosjan. Ale ja zaczynam coraz silniej wierzyć, że „skrócony front” nic szczególnie dobrego ani nam ani im nie wróży.

Myślę, że Niemcy wykonywują teraz pierwotny swój plan. Umocniwszy się na froncie zachodnim, biorą się do Rosji ściągniętymi stamtąd siłami. Jeśli się w tym punkcie nie mylę, to jeszcze mniej poblądził wódz naczelny, odmawiając przyjęcia złotej szabli od obywatelstwa warszawskiego. Byłoby to nieco przedwczesne i ryzykowne. Słusznie, że ją przyjął generał Ruzski, ten bowiem nie obiecywał zjednoczyć Polski i nie zapowiadał, że zje śniadanie w Poznaniu, a strawi je itd. w Berlinie. Ten dowódca dokonał bądź co bądź trudnej i wielkiej rzeczy: zwyciężył Austriaków w Lubelskiem i na długo dwuprzemieru stąpił miecz.

Ciekawość ogarnia coraz większa — ledwo że spać można.

Pod dniem wczorajszym winienem był uczcić rozstanie się królów skandynawskich w Malmö po krótkim zjeździe. Było to jedno z tych cichych skromnych spotkań, których szacowną ozdobą jest wartość kulturalna. — Trzej królowie milczą o celu swego porozumienia. Ale my chyba czujemy, że oni nie grożą, nie konspirują, nie deklamują; ot podali sobie serdecznie ręce w obliczu sadystki Europy i pewnie ślubowali wzajemną pomoc i solidarność w bronienu cieśnin swych od bezwzględności flot wojujących. A może po cichu skrytykowali i Niemcy, i Anglię i Rosję? A może i postanowili wystąpić w chwili

<sup>423</sup>Chmielnicki, Bohdan (1596–1657) — hetman zaporoski, przywódca powstania kozackiego przeciwko Rzeczypospolitej w latach 1648–1657, bohater narodowy Ukrainy. [przypis edytorski]

<sup>424</sup>Liebert, Eduard von (1850–1934) — generał Armii Cesarstwa Niemieckiego, gubernator Niemieckiej Afryki Wschodniej. [przypis edytorski]

<sup>425</sup>*Meine Herren, wir sind noch nicht verheiratet, wir sind erst verlobt* (niem.) — Drodzy panowie, nie jesteśmy jeszcze małżeństwem, jesteśmy tylko zaręczeni. [przypis edytorski]

odpowiedniej z wielką inicjatywą pokoju? Kto wie, tej kultury, tej wysokiej i uczciwej kultury narody mogłyby mieć zasłużoną ambicję dokonania dzieła wielkiej historycznej wagi.

Byliby to naprawdę trzej królowie, idący za Gwiazdą Betlejemską...

23 grudnia, środa

„Nie trać nadziei, jakkolwiek się dzieje”<sup>426</sup>. W chwilach największego niepokoju i niepewności o los rodziny, najniespodzianie przybywa dobry zwiastun. Przyjaciele moi otrzymali wiadomość, że żona moja z młodszym synem, którego Austriacy nie uwięzili jeszcze, powędrowali do Morawskiej Ostrawy, oczywiście ewakuowani z Krakowa, i że miała nieco pieniędzy. A więc znaleźli się dobrzy ludzie, którzy jej nie opuścili. Poślam w dal moje błogosławieństwo i wzruszone dzięki, o ile ich nie zagłuszy huk armat.

Myślę sobie: gdyby tak żona moja zechciała zapisywać swoje przeżycia i przygody, na pewno ciekawy byłby to pamiętnik, zwłaszcza w zestawieniu z moim. W jaki sposób myśl tę jej przesłać? W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego inni otrzymują z Austrii listy, a ja nie.

A propos, z tego samego listu, który mnie pocieszył, wypływa, że wydaleniu krakowiacy wkrótce już wrócą pod Wawel. A więc dni groźby minęły, a więc nie będzie już bombardowania wież kościelnych gwoli urojonych w Warszawie kartaczownic. Jeszcze nigdy śnieg z deszczem nie wydawał mi się taką manną z nieba!..

Notuję świeżą koncepcję: w kołach ugodowych zaczyna się krystalizować nastrój wdzięczności dla Niemców, że ocalili Kraków.

Mam prywatne wiadomości i to z wprost przeciwnych stron „Petrogradu”. Wszystkie są zgodne, a ich kwintesencja: że sfery urzędnicze i wojskowe w stolicy rosyjskiej coraz więcej bagatelizują znaczenie strategiczne Warszawy i są całkiem przygotowani na jej utratę...

Tak utrzymuje arystokracja. Pomimo całej logiczności takiej wersji, trudno mi w nią uwierzyć. Nie spotkałem jeszcze człeka z błękitną krwią, którego by obchodził Kraków. Jeśli zaś wdzięczność taka dojrzewa, to jako program, jako stanowisko na pewną chwilę, a chwilą tą może być jedynie spodziewane wkroczenie Niemców. Taka zmiana frontu będzie wymagała i drugiej jeszcze złotej szabli — dla generała Hindenburga.

Przeoczyłem, jak się okazuje, odezwę władz przeciwko donosom, które w ostatnich czasach rozgrasowały się gorzej chorób zakaźnych. Odezwę przyniósł mi Kos i, śmiejąc się opętanie, dodał:

— Wiesz, co dało bezpośredni powód do tej deklaracji? Oto ja sam podałem donos na siebie. Ciągłe włóczę się za mną jakieś bydlaki, a przy tym na zebraniu zwymyślałem cichaczem kilku poznaniaków, którzy za bardzo podlizują się „naszym”, przeto na wszelki wypadek, uprzedzając ich szlachetne intencje, uprzedziłem generał-gubernatora wojennego, że pewnie będę zadenuncjowany<sup>427</sup>... Był u mnie urzędnik z żądaniem wyjaśnień, niby to rewizja niby śledztwo, a właściwie guzik. Powiedziałem, że otwarcie wysmiewam się z różnych agencji<sup>428</sup>, i z depesz warszawskich, że 150 tysięcy jeńców, wykrzykiwanych na ulicach, że nazywam judaszami tych, co się cieszą ze zdobycia Lwowa, i że wierzę komunikatom naczelnego wodza. Jednocześnie takie samo podanie wniósł i Antoni P. Oto masz genezę odezwy.

Nie wiem, czy Aureliusz pomógł sprawie swym dowcipem. Ponieważ trzeba koniecznie kogoś więzić, więc rzucono się ponownie na Austriaków i Wielkopolan... Aresztowano powtórnie dyrektora Teatru Polskiego i wielu innych Galicjan. Zasekwestrowano<sup>429</sup> gazownię — i od wczoraj rządzi nią magistrat. Widać to zaraz — bo gaz na ulicach i w lokalach jest już tylko widmem siebie samego. To są już tylko błędne ogniki, niczym nie przypominające świetnych fejerwerków z odezwy naczelnego wodza. Słysząc, że wzmą się i do artystów scen rządowych — poddanych austriackich. Gratuluję wspaniałego

<sup>426</sup> *Nie trać nadziei, jakkolwiek się dzieje* — parafraza cytatu z Pieśni IX *Ksiąg Wtórych* Jana Kochanowskiego. [przypis edytorski]

<sup>427</sup> *zadenuncjować* — złożyć władzom poufne doniesienie o działaniu niezgodnym z prawem. [przypis edytorski]

<sup>428</sup> *agencja* (daw.) — agencja. [przypis edytorski]

<sup>429</sup> *zasekwestrować* (daw.) — nałożyć sekwestr (przekazać majątek osobie pod zarząd lub na przechowanie do czasu rozstrzygnięcia sporu przez sąd). [przypis edytorski]

zwycięstwa! Tylko czy nie jest ono odwetem — odwetem na bezbronnych Polakach, za *dubium eventum*<sup>430</sup> walk galicyjskich? *Chi lo sa*<sup>431</sup> ?

24 grudnia, czwartek

Bóg się rodzi, moc truchleje!

To właśnie całe szczęście Boga, że się nie rodzi, bo gdyby, na świat przyszedłszy, ujrzał tę wędrówkę rannych narodów, wnet skonałby z boskiego wstydu i świętej zgrozy.

Jeśli w świadomości mojej Boże Narodzenie kojarzy się od lat dziecięcych z obrazem choinki i płonących na niej gwiazd, łakoci i upominków, to dzieci, które dzisiaj chodzą po świecie, zapamiętają największe ze świąt w innym kształcie — jako tysiące niezpełnionych jeszcze umrzyków, rozwożonych po mieście w coraz to gorszych, coraz rozpaczliwszych wehikulach. W przyszłości na choince wisieć będą konne tramwaiki i automobile, zapelnione kalekami o trupich twarzach i zgaszonych świecach *ócz*<sup>432</sup>.

W każdym razie scenariusz taki utrwali się w pamięci tych kilku tysięcy ofiarnych kobiet, tych Polek nie tylko z imienia, ale i z duszy, które biednym chorym w lazaretach i jeszcze biedniejszym jeńcom, osładzają ten wieczór światełkami choinek i drobnymi podarkami. Przed chwilą jeden z lekarzy opowiadał mi, jak ranni Rosjanie prawosławni z takim samym wzruszeniem patrzyli w piękne drzewko Chrystusowe, jak i katolicy, i błagali, żeby im pozwolono leżeć w jego bliskości. Jeden z nich, ciężko postrzelony w obie nogi, ledwo mogąc się w łóżku poruszać, dotykał ręką świerkowych gałązek, gładził je pieścotliwie, i płacząc, szeptał: „Teraz mi lepiej, o teraz mi o wiele lepiej...”

A więc jednak Bóg się rodzi...

Nie będę Mu bluźnił w ten straszny dzisiejszy wieczór wszechkęsknoty i wszechżałoby. Bo gdybyśmy nie mieli głęboko ukrytej iskry nadziei Bożej, i gdybyśmy nie piastowali w duszy wspomnienia lat minionych, lat przeszłych — gdyby spoza nas i sprzed nas nie szły ku nam promienie jakiejś wiary, wigilia dzisiejsza byłaby tylko powszechną stypą pogrzebową na cmentarzu wielkim, jak trzy części świata.

Na bluźnierstwo nie pozwoliłoby mi kilka ważnych przyczyn. Warszawa uczyniła wszystko, co w jej mocy było, aby niedoli ulżyć wszystkim ofiarom wojny, kalekom i bezdomnym, sierotom, udręczonym, oderwanym od gniazd i od rodzin, biednym wojakom, cierpiącym katusze za niesłyszana podłość i głupotę tronów i gabinetów...

Po wtóre, niebo zesłało powietrze ciche, łagodne i kojące. Przyjemnie mi było chodzić o północy i rzeźwić się tchnieniem lekkim, w którym było coś jakby z zaprzestania, wypoczynku, jakieś — zawieszenie walki żywiołów.

Wreszcie — czyż to nie zbieg okoliczności, cudownej jak choinka: list od mego syna z Drosendorfu, pełny pogody, miłości i otuchy. List pisany trzeciego grudnia, przez Kopenhagę i Helsinki — przyszedł w sam dzień Bożego Narodzenia, a że zawierał wiadomości i o żonie mojej i młodszym synie, więc trzymałem go na stole zamiast kwiatów, których nie ma mi kto przysłać...

Zresztą nie skarzę się. Dużo dobroci i serdeczności okazali mi przyjaciele i krewni, szczęśliwi ode mnie, bo nieposzarpani tak ja przez wojnę. Oddałem się całym sercem balsamom łaskowości ludzkiej, i po kilku godzinach przebywania wśród uczuć zacnych i dobrych, aż mi wstyd, że tyle uwagi w dniach ostatnich poświęcałem zgadywaniu jutra i obliczaniu szans walczących. Nie warto, doprawdy niewarto! Jeśli kto z nas nie ma w sobie Boga, niech go stworzy, niech go w sobie raczej odnajdzie. Odnajdzie na pewno, w uczuciu wyższości ponad światowe zbrodnie, w uczuciu niezawisłości od sił diabelskich, które ta lub owa strona na nas zastawia, w uczuciu wzdargy dla tych wszystkich, co wężą za wiatrem mocy, więcej obiecującej i bardziej oszukańczej.

Oplatek łammy tylko z najbliższymi i nieszczęśliwymi. Bóg nasz niech nie będzie Bogiem „robaków co pełza”, nie pokornym niechaj będzie, ale *czystym*.

Jeśli moc przed Bogiem nie truchleje, to my przynajmniej, plwajmy na nią, a potem odwróćmy się w stronę złocistego Boga...

Wiara

Bóg, Wiara

<sup>430</sup>*dubium eventum* (łac.) — wątpliwe zdarzenie. [przypis edytorski]

<sup>431</sup>*Chi lo sa?* (wł.) — Kto wie? [przypis edytorski]

<sup>432</sup>*ócz* (daw.) — dawna forma D. l.mn., dziś: oczu. [przypis edytorski]

## X

25 grudnia, piątek

Pomimo uroczystego święta wyszły dziś dwa dodatki nadzwyczajne. Dobrze i to. Wielkie miasto ma swoje prawa — nie lubię dodatków, kiedy się pojawiają, ale jeszcze więcej ich nie lubię, gdy się nie pojawiają...

Łatwom się domyślił<sup>433</sup>, że na gwiazdkę wódz naczelny zgotuje nam kilka miłych niespodzianek. Same zwycięstwa Rosjan i olbrzymie straty Niemców. Nad Bzurą, Pilicą, Nidą i Dunajcem, wojska nieprzyjacielskie pobite na głowę; tysiące poszły w niewolę — no i odpowiednio do tego ilości łupów.

Jednak wyliczyć nie trudno, że jeśli Niemcom naprawdę idzie o Warszawę, to owe piorunujące liczby ich strat wydać się muszą całkiem nieznacznymi i nie może to być jeszcze owa bitwa jeneralna, którą zapowiadają organa armii rosyjskiej.

Jeszcze się nic decydującego nie stało — jeszcze radość Warszawy przedwczesna. Nie musi być idealnie, skoro sztuczna fabrykacja depesz tak się raptownie wzmogła: „Wilhelm spuścił z tonu”. „Opinia niemiecka otrzeźwia się” „Austria przyznała się do hańby porażki w Serbii”. „Generała Potiorka chciano w Wiedniu zlinczować” itd. Dzienniki jurgieltowe<sup>434</sup> czuć po prostu z daleka.

Na froncie zachodnim trwa powolna, ale bezustanna ofensywa sprzymierzeńców. Ruszyli się na całej linii, od brzegu morskiego aż po granice Szwajcarii, ostrożnie, rozważnie, piędź za piędzią. Powracają do biuletynów nazwiska miast i rzek, które poszły w zapomnienie wobec walk Waligórow i Wyrwidębów<sup>435</sup> na ostatnim krwawym strzępie Belgii, na zachód od Izery.

Jest mi coraz trudniej harmonizować dwie rzeczy sprzeczne, radość z powodzenia Francuzów, Belgów i Anglików, z radosną nadzieją, że może Lwów będzie odebrany. To co się dzieje nad Pełtwią, burzy wszelki ład myśli, wszelką konsekwencję uczuć. Prawie, że osobista żądza odwetu i zemsty przesłania mi wszystkie sprawy wielkiego Zachodu. Powiadam więc sobie dla załagodzenia wewnętrznej rozterki: Zachód, cokolwiek się stanie zachowa swą odwieczną świetność i stanowisko przodujące na ziemi; można więc pozwolić wschodowi Europy, ażeby mu obcięto zbroczone polską krwią pazury...

Chodzę spać nad ranem usypiany przez kołysankę: słyszę wśród ciszy nocnej dalekie poryki armat. Zapewniają, że to „grzeją” haubice pod Sochaczewem.

Kos, który znów zaczął jeździć za miasto, na spotkanie ech gromowych, odzyskał całkowicie swą zwykłą różową cerę...

26 grudnia, sobota

Warszawa zaczyna bawić się w „niepodległość”. Niektóre pisma o „orientacji” przeciw rosyjskiej, wesoło paradyżują białymi okienkami, które potworzyła cenzura wojenna w artykułach, wyrzucając co drażliwsze miejsca. Nawet i tutaj manifestacja jest pełna humoru, boć przecie dziennikarz wytrawny, gdyby chciał, mógłby w sposób najbardziej cenzuralny wypowiedzieć wszystko, co ma na myśli, jeśli tylko chodzi mu naprawdę o rzecz, a nie zabawienie się Moskalikami. Inne znowu, dzieląc się w wigilijnym numerze z czytelnikami opłatkami, częstują go mnóstwem pikantnych domyślników politycznych. Szkoda tylko, że na drugiej zaraz stronicy — normalne upusty szlachetnych sentymentów rasowych, ażebyś przypadkiem nie zapomniał, że gdy mówi niewolnik, to choćby tańczył jak *sclavus saltans*<sup>436</sup>, zawsze będzie to tylko rab, zatruty do szpiku kości rdzą kajdan.

„Rzecz w tym” (dialekt dzisiejszy), że wszystkie te niepodległości stempla warszawskiego są właściwie tylko *Russiae natae, Varsaviae educatae*<sup>437</sup>, z czego nie wypływa oczywiście, że mają smak tokaju, nie najczystsze dzięgiu<sup>438</sup>. Chęłpił się nawet ktoś przede

<sup>433</sup>Łatwom się domyślił (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „łatwo się domyśliłem”. [przypis edytorski]

<sup>434</sup>jurgieltowy (daw.) — najemny, oplacany. [przypis edytorski]

<sup>435</sup>Waligóra i Wyrwidęb — bohaterowie legend, bliźniacy o nadludzkiej sile, symbol zgody braterskiej. [przypis edytorski]

<sup>436</sup>sclavus saltans (łac.) — niewolnik tańczący. [przypis edytorski]

<sup>437</sup>Russiae natae, Varsaviae educatae (łac.) — urodzona w Rosji, wykształcona w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>438</sup>dzięgieć — ciemnobrązowy płyn o właściwościach bakterioobójczych, wyrabiany przez suchą destylację z kory drzewnej (brzoźowej), posiadający charakterystyczny, przykry zapach oraz lepłą konsystencję, trudno-

mną wczoraj, że istnieje cały blok stronnictw niepodległościowych. Kiedym zapytał o szczegóły, okazało się, że są to cztery grupy, z których dwie liczą po trzech członków, wliczając już w to prezesa i wiceprezesa, jedna z dzieciaków i kobiet, a tylko czwarta, odpadła od pnia ugody, posiada pewną substancję i rysy wyrazistsze. Gdy jednak chodziło o zaprotestowanie przeciw manifestom Komitetu Narodowego, blok długo stękał, ale nic nie urodził.

Na życiu naszym politycznym znać szczepionkę państwowości rosyjskiej; wygląda ono, jak owe karłowate sosenki nad kopalniami węgla, które widzieć można między Sosnowcem a Modrzejowem. Tylko że dla Rosjan mikroby te nie są bynajmniej trucizną. Oni od despotyzmu tyją i krzepną. Dla nich jest to powietrze najzdrowsze. Zaczynają się czuć źle dopiero wtedy, gdy usłyszą wyraz „konstytucja” lub „autonomia”. Najpoważniejsi ludzie zapewniają mnie, że Rosja tak samo zrozumieć nie może wolności obywatelskiej, jak my np. nie rozumiemy ludożerców. Wynaleźli oni surogat wolności, daleko tańszy i lepszy od niej: szeroką naturę. Posiadają ją wszyscy w dowolnie pożądanym stopniu, wszyscy tj. armia, biurokracja, i kupiectwo, i ziemcy. Państwo daje im wszystko, czego dusza rosyjska zapagnie: samowolę i swawolę, łapówki i kobiety, protekcje i zbytki — a przede wszystkim słuszną zupełnie świadomość nietykalności Rosji. Z reszty zaś, tj. 85 milionów chłopów, każdy da się posiekać za samodzierżcę, a takiego, co mówi do chłopu „wy” zamiast „ty” lub chce go uczyć abecadła, odczuwa jako antychrysta.

Większa część społeczeństwa naszego również patrzy na autonomię jak krowa na konstytucję — zadziera ogona i zmyka na pierwszy podmuch swobody jak przed burzą z piorunami.

Był jakiś czas, i były jeszcze w przeszłym tygodniu koła, w których przyświecała rozumna myśl, że Polska bądź co bądź pewną rolę odgrywa i że o jej przyjaźń strony wojujące dbać muszą. Zrozumiano też, że państwo, które w tej wojnie ulegnie, będzie się domagało wzmocnienia Polski gwoli osłabienia dzierżącego ją przeciwnika. W ten sposób zwyciężone Niemcy będą żądały — o paradoksie najzabawniejszy pod słońcem! — dla Polski niepodległości. Być może, że i w odwrotnym wypadku żądać tego będzie — o przewrotności dziejowa! — Rosja. A ponieważ jedna ze stron przegrać musi, przeto czeka nas niewątpliwie poprawa losu. Myśl racjonalna i przenikliwa.

Ale dzisiaj już ta koncepcja straciła kredyt. Dzisiaj, to znaczy w obliczu triumfalnych komunikatów wodza naczelnego i nowym nimbem jaśniejącej niezwyciężoności „Matki Rosji”. Tak jest — do świadomości powszechnej, przedziera się z każdą chwilą mocniejsza wiara, że Bóg prawosławny, Bóg błota i pluchy, czynny od kilku dni i zapewne na długo, potopi zarówno armaty jak i wszystkie plany Niemców.

Nie ma co mówić. Rosja jest niezwyciężona. Wolno jej być źle zorganizowaną, źle administrowaną, wolno podczas wojny tolerować bezgraniczne złodziejstwa i nadużycia intendencji<sup>439</sup> — wolno wszystko.

Oslonią ją — bezdroża i bagniste topiele. Ta upragniona niedawno jeszcze przez świat cała chwila, kiedy by Rosji ktoś wyrwał kawał mięsa — nie nadejdzie nigdy. Bóg prawosławny zesłał jej też Wilhelma II, wodza bez talentu, butnego improwizatora bez wielkich linii, który chciał naśladować Napoleona Wielkiego, a w istocie przedrzeźnia tylko jego nierozumienie mokrej tajemnicy — *bezdrożypolsko-rosyjskich*.

Pod taką opieką ramiona odcięte niepodległości — *nie* odrastają.

I dlatego w całym *Misterium polskim*, które dziś widziałem w Teatrze Wielkim — udał się tylko — balet...

27 grudnia, niedziela

I nie tylko bezdroża i grzęzawy nie do przebycia nie zaszkodzą Rosji, ale nie zaszkodzi jej i wewnętrzna anarchia. Toż nie ma dnia, żeby który z generałów, dowodzących całymi armiami lub korpusami, nie dostał dymisji. A dziś oto pewnym już jest, że i generałowie rządzący Warszawą zostali senatorami, pp. Turbin, Essen i Ufhof — to znaczy: „poszli w duraki”. Królestwo zostaje właściwie bez władzy cywilnej, gdyż świeżo mianowany książę Tumanów sprawuje tylko władzę wojskową. Do tego snadź stopnia *L'ordre regne*

zmywalny, używany do celów leczniczych oraz impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, klejenia. [przypis edytorski]

<sup>439</sup>intendentura — dział gospodarczy jakiejś jednostki administracyjnej. [przypis edytorski]



à Varsovie<sup>440</sup>, że można ją pozostawić bez opieki tumana — satrapy<sup>441</sup> i nie obawiać się najlżejszych wykroczeń.

Inaczej dzieje się w Galicji. Tu widać, co znaczy należeć do mocarstwa, nie tylko krótkowzrocznego, ale i nie bogatego, albo złego finansisty, jakim jest Austria. Już dziś mam pewność, że Galicja istnieć przestała, a wskrzesiła „Golicja i Głodomoria”. O tym do reszty mnie przekonał list, który z Zurychu otrzymałem — spokojny, rozważny i rozumny. Potwierdza się, że ewakuacja Krakowa odbywała się w sposób nikczemny i brutalny i że społeczeństwo galicyjskie, to, które posiada środki, absolutnie nie kłopoce się o los kroci nędzarzy, którzy opuścili miasta i sioła, ażeby iść na żebry. Wiedeń się bawi i robi dobre interesy na zamożniejszych przybyszach — a Galicja dogorywa w głodzie, opuszczeniu i chorobach. Zlepek piętnastu narodowości nie mógł mieć ducha na wojnie, a jego stolica nie ma duszy wobec nieszczęść. Oficerowie z frędzelkami z tyłu chętnie się poddają i to tysiącami, a burżuje wiedeńscy ponoś z lekkim sercem przegrywają resztę dobrobytu i godności ojczyzny. Ale gdzie jest ta ojczyzna? Rzecz jasna, iż kto ma ojczyznę piętnaście, ten nie ma żadnej. I ten nie jest pod żadnym rządem, pod żadną opinią, pod żadnym nakazem solidarności, nie rozumie miłosierdzia, nie czuje w sobie imperatywu obowiązku.

I oto bogata Rosja, koniec końców, jest znacznie mniejszym złem niż ograniczona i fiskalna monarchia Habsburgów.

I cały zapal irredenty<sup>442</sup> galicyjskiej zgasł. Coraz częściej przychodzą listy od młodzieży, w których gorzko rozbrzmiewa nuta zupełnego rozczarowania.

Mieliśmy w drobnym, ale dobranym kole przyjaciół spędzić wieczór sylwestrowy — na muzyce i śpiewie. Lecz wieści hiobowe z Galicji, zarówno wschodniej jak i zachodniej, zarówno o walkach w polu jak i walkach ulicznych o guldenowe<sup>443</sup> zapomogi z magistratu, wstrzymały nas na drodze ku zabawie, nawet tak skromnej i duchowej. Inicjatorowie przeprosili i odwołali. Pięknoszyją bardzo to zasmuciło.

Każdy grosz przyda się dla mojej rodziny i dla tych innych rodzin, ewakuowanych z Krakowa. Rząd austriacki podobno wypłaca im po 40 halerzy<sup>444</sup> dziennie.

O, panowie oficerowie z złotymi frędzelkami nad cesarsko-królewskim pośladkiem! Wam w Kijowie i Smoleńsku, w „moskiewskim jasyrze” daleko lepiej i na pewno syciej niż na czarno-żółtym łonie waszej macierzy i niż drogim moim w Morawskim Brnie. Brrr!

Brniemy, brniemy coraz głębiej w trzęsawisku polskich rozczarowań. Filipika<sup>445</sup> przeciw Austrii? Ach, mój Boże, nie piszę na konkurs z logiki! Zapewne niejedną już popełniłem niekonsekwencję. Nie jestem przecie pułkowym sztandarem, tylko chorągiewką na dachu, w którą coraz to inny dmie wiatr. Spisuję wrażenia i przeżycia, nie oglądając się wstecz, poza siebie. Nawet zapisków swoich pod ręką nie mam, bo ich w domu nie trzymam i sprawdzić nie mogę, czy nie przeczą w czym notatkom wczorajszym.

Powiem za Nietzschem, którego w tych dniach różne służki burżujskie starały się wynicować na obżartego Prusaka — nie żądajcie ode mnie, ażebym wечно zaczynał z tej samej beczki. Zresztą w zgodzie z sobą można być tylko przez kilka lat lub miesięcy — ale nie przez kilka stuleci, które przeżyłem wraz z Warszawą od ostatnich dni lipca roku 1914.

Przy tej sposobności wprawiam się w pisanie „1915”. Jakaś ładna cyfra! Może będzie szczęśliwszą dla nas i dla pani de Thèbes, która na roku trochę się załamała. Przypuszczam, że dama ta wnet ogłosi przepowiednię, że nadchodzący rok będzie jubileuszowym dla daty Świętego Przymierza — i tym razem na pewno się nie pomyli.

Ja zaś wróżę, że ponadto zbierze się w nim kongres, likwidujący wojnę europejską. Wprawdzie lord Kitchener grozi, że potrwa ona trzy lata, ale walor czasu jest teraz całkiem

<sup>440</sup>*L'ordre regne à Varsovie* (fr.) — Porządek króluje w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>441</sup>*satrapa* — namiestnik prowincji (satrapii) w starożytnej Persji, który posiadał uprawnienia administracyjne, sądowe i wojskowe; synonim tyra. [przypis edytorski]

<sup>442</sup>*irredenta* — ruch dążący do wyzwolenia narodowego. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>*guldenowy* — przym. od gulden (monety bitej w krajach germańskich). [przypis edytorski]

<sup>444</sup>*halerz* — jednostka monetarna obowiązująca na Austro-Węgrzech. [przypis edytorski]

<sup>445</sup>*filipika* — gwałtowna, ostra mowa wymierzona przeciwko komuś, ostre wystąpienie oskarżycielskie. [przypis edytorski]

inny. Żyjemy w epoce „czasu realnego” Bergsona, który, oczywiście czas nie Bergson, zabrał już lorda Robertsa, a zabrać może i lorda Kitchenera. Przy całym mym uwielbieniu dla Anglii i jej wzniosłego orędownictwa na korzyść sprawiedliwości, wołam: *Pereat iustitia — fiat pax*.<sup>446</sup>

29 grudnia, wtorek

Flotyła angielskich aeroplanów bombardowała okręty niemieckie w Cuxhaven! Znowu niespodzianka i grząca sensacja. Wobec niej zrodziło się przypuszczenie, że Anglicy zbudowali specjalne okręty z pokładami tak długimi, aby mogły służyć za odbieźnie dla samolotów. Słowem, wojna jest mimo wszystko potężnym motorem postępu i inwencji i czyni coraz to wspanialsze wynalazki.

Również medycyna na siłach się wzmoże. Na tle nowych rodzajów ran powstać musi tyleż nowych koncepcji i zabiegów chirurgicznych! Bogaty plon!

Dzień wczorajszy opuściłem. Po pierwsze dla tego, że wieczorem poszedłem na pieśni włoskie i *Stabat mater*<sup>447</sup> Rossiniego; dawano je w Teatrze Wielkim. A po każdym takim koncercie, w którym słodko grają przedhistoryczne czasy pokoju, a geniusze dokonywują cudów przy pomocy kwintetu smyczkowego i jednego głosu ludzkiego — powrót do absolutnie bezmyślnej rzeczywistości, rozłożonej na kilka set tysięcy jęczących i rżących w agonii głosów, jest ponad siły nerwowego człowieka...

A po wtóre — nic tak ważnego nie zaszło. Pogrom Niemców w sieci rzek wpadających do Wisły, od zachodu, i Austriaków nad Dunajcem i pod Duklą — chyba już nie jest zmyśleniem.

Na ulicach woda po kostki; po obficie spadłym śniegu trzy stopnie wyżej zera. Przez miasto ciągną znowu nieprzeliczone pułki, dniem i nocą. Mkną automobile z swym harmonijnym kwikiem zarzynanych wieprzów; wloką się tysiące wozów z prowiantem i furazem; biedni, senni żołnierze — woźnice na worach mąki, na bochnach razowca, nieokrytych przed deszczem, mokną, potem schną z zimna, i w końcu drzemią.

Mokną też i drzemią małe tłuste koniki sybirskie, wytrwale na wilgoć i błoto, jakby stworzone do walki z pięknymi końmi artylerii niemieckiej, które, o ile nie zginą od deszczu i pracy nad swe końskie siły, wpadają po brzuchy w bagna, myśląc pewnie tak samo jak ich jeźdźcy: „Jaki to wielki talent psucia dróg mają Rosjanie”. Nie wiedzą jednak nieboraki, boć nie są rachującymi końmi Kraka, że zbudowanie tych gościńców, które się wydają zepsutymi umyślnie, kosztowało skarb miliony, stanowi dumę rządu rosyjskiego i budzi zazdrość w naszych pobratymcach z Woroneża, Ufy itd.

Spotkałem poczciwego dawnego przyjaciela, z którym widywałem się często w Krakowie. Wrócił z Zakopanego przez Rumunię — i już żałuje, że wrócił. Zastanowiła mnie na chwilę jego pewność, że synka mojego, który jest cywilnym jeńcem u Austrii, widział wśród strzelców. Ale już w następnej chwili zrozumiałem, że to omyłka. Był snadź czas tak powszechnego zapału wśród młodzieży, że wszystkich widziało się w bluzach strzeleckich, nawet tych, których wcale widzieć nie było można, bo siedzieli w ciupie<sup>448</sup>.

Swoją drogą, nie mogę zrozumieć, dlaczego starszego syna mojego przez dwa miesiące więzili jak zbrodniarza, gdy tylu innych puścili wolno? Czyżby i Austriacy uważali, że bezprzymorny i beznadziejny idealizm równa się zbrodni?

Przyjaciele moi, którzy do niedawna jeszcze ślęczeli nad mapami, teraz grają co noc w pokiera. Kos sposepniał i zamknął się w sobie. Usiłowania moje, ażeby mu wybić z głowy orientację austriacką wobec olbrzymich zasobów pieniężnych Rosji — odniosły ten jedynie skutek, że zaczyna uważać mnie za materialistę.

Mój Boże! Gdybym nim był! Nie byłoby wojny mojej trzydziestoletniej z tępotą królewską Królestwa Polskiego, pisywałbym erotyczne powieści, do czego zresztą mam pociąg niemały, siedziałbym sobie spokojnie we Florencji lub Neapolu i pieścił na papierze za pomocą maszyny do pisania — piękne kobiety...

<sup>446</sup> *Pereat iustitia — fiat pax* (łac.) — Niech zginie sprawiedliwość, niech stanie się pokój; przekształcenie łacińskiej sentencji: *Fiat iustitia pereat mundus* (Niech stanie się sprawiedliwość, choćby miał zginąć świat). [przypis edytorski]

<sup>447</sup> *Stabat mater* — dzieło pasyjne Rossiniego na chór, solistów i orkiestrę, skomponowane w latach 1833–1842. [przypis edytorski]

<sup>448</sup> *ciupa* (pot.) — więzienie. [przypis edytorski]

Zostałem krytykiem muzycznym i — *risum teneatis*<sup>449</sup> — recenzje moje podobają się. Staram się w ten sposób reagować na operę, jak gdyby specjalnie dla mnie została na nowo do życia powołaną. Spytacie, co to ma wspólnego z wojną?

Owszem, bo rzecz szczególna, jaki urok oficerski ma dla duchowego plebsu recenzent muzyczny poczytnego dziennika. Ludzie, zwłaszcza młode kobiety, całkiem inaczej na mnie patrzą. Mam wrażenie, że odmłodziłam i wypiękniłam, że mi zarosła łysina i pociemniały włosy, że noszę mundur z dwugłowymi orłami na guzikach.

Piętnaście tomów pism ogłosiłam, drugie tyle złożyłoby się z rzeczy drobniejszych, to znaczy piętnaście wielkich ciężkich bitew, z których niejedna trwała lata, stoczyłam z epidemią głupoty, z żandarmerią cenzury, z piechotą schamiałej publiczności, ze strzelającymi zza płota reporterami, z ciężką jazdą uczonej krytyki krakowskiej, z batiarami<sup>450</sup> kozactwa lwowskiego, ze stadami małych syjonistycznych, niezdolnych do własnej miny, z rublowymi markietankami konserwatyzmu — i żadne z moich krwawych zwycięstw i żadna z moich niezabliźnionych ran i żaden order, przyznany mi przez nielicznych i tym droższych memu sercu druhów i sprzymierzeńców — nie uczyniły tego wrażenia i nie dały mi tej siły — co kilka głupich recenzji muzycznych, umieszczonych w gazecie...

30 grudnia, środa

Zapewne ostatnia to w tym roku zwrotka. Wątpię, czy pisać będę jutro przed północą tj. przed narodzinami roku nowego.

Zakończę więc dzisiaj rozdział, w imię kalendarza. Zresztą nic się na widowni świata nie stało i oczywiście przez dzień jutrzejszy nie stanie, co by za taką stacją przemawiało logicznie. Przeciwnie, wszystko wlecze się i trwa, wszystko jest w swym krwawo-leniwym biegu; rzekłbyś mózg sączący się z rozłupanego czerepu ludzkości. Nic się nie skończyło i nic się nie zacznie, prócz chyba setnej lub tysięcznej ofensywy Niemców i setnego lub tysięcznego jej powstrzymania.

A może by za wielkie wydarzenie poczytywać, że Anglia ogłosiła protektoriat nad Egiptem? Inna tylko forma tej samej ssąco — tłoczącej opieki, do której sfinksowa kraina faraonów od dawna przywykła!

Więc gdy nie ma podstawy do sporządzenia bilansu, uczynię krótki rachunek sumienia. Wypada on dla mnie bardzo korzystnie — odniosłem trzy zwycięstwa:

Pierwsze. Nie dałem się oszukać pogmatwanej sieci kłamstw agencyjnych i nauczyłem się — o tyle o ile — czytać je wcale wprawnie. Niegorzej też umiem orientować się co do stopnia szczerości i prawdomówności różnych urzędowych komunikatów, niemieckich, a nawet francuskich i angielskich, to znaczy: nie wierzę żadnym, a to z tej prostej przyczyny, że one przychodzą do nas odpowiednio spreparowane w laboratorium sztabu rosyjskiego.

I to znaczy też — że niewiele wiem na pewno. Ale przynajmniej o tej niewiedzy wiem.

Drugie zwycięstwo. Nie uległem pokusie żadnej orientacji. Poskromiłem całą gwałtowną i bezustanną żądzę posiadania jej. Orientacje mam przeważnie tylko na użytek bliźnich moich, z którymi obcuje i rozmawiam. W głębi duszy jednak czuję, że na cudzych mistyfikacjach budować poglądów nie potrafię. Narody walczące dopiero teraz się obnażyły, z tym, co jest w nich złego i z tym, co jest dobrego. Ale cóż, kiedy my tego nie widzimy, nie wpuszczani ani do kuchni dyplomatycznej ani na pole bitwy. A jeśli chodzi o moje sympatie, mam ich tyle, ile jest objawień wielkości i heroizmu i ile perspektyw niezawodnych z bogacenia świata wielkością i heroicznym na życie poglądem. Ludy szare, brzydkie i bezpłodne, a przy tym ze skłonnościami węzów dusicieli, mogą sobie nie istnieć. Genialnym i pracowym i wolnym — przebaczam wszystkie zbrodnie i błędy.

Trzecie zwycięstwo. Pozostałem pogodny. Czy wierzę w przyszłość? — Nie wiem. Ale wierzę w słońce swojej własnej duszy. Przemogłem w tej wojnie dużo bólów własnych i przeżyłem i — oplakałem wiele katuszy cudzych. Nieraz zalewała mnie gorycz, ale nigdy na dłużej.

Państwo mojego entuzjazmu nie ucierpiało, owszem rozszerzyło wspaniale swe granice...

<sup>449</sup>*risum teneatis* (łac.) — moglibyście powstrzymać się od śmiechu; Horacy, *Ars Poetica* (*Sztuka poetycka*) I 5. [przypis edytorski]

<sup>450</sup>*batiar* (gw.) — określenie ulicznika, łobuza w gwarze lwowskiej. [przypis edytorski]

Gdyby się wielu ludzi tym samym poszczycić mogło — może by w przyszłości wojna taka, jak dzisiejsza, stała się niemożliwością, a za to możliwym by się stało wrócić do tych odległych, zamierzchłych czasów, kiedy się bez obawy komizmu i anachronizmu wymawiało wyraz „człowieczeństwo”...

## XI

2 stycznia, sobota, r. 1915

Dwa dni i dwie noce upajałem się winem, koniakiem, miłym towarzystwem, dokuczaniem kobietom. Robaka tęsknoty zalać można daleko skuteczniej dobrymi gatunkami trunków, dzięki zaś absolutnemu zakazowi sprzedaży spirytualiów złych prawie nie ma.

I oto ostatecznie Warszawa jest płochym i miłym salonem, w którym ludzie się bawią świątecznie, pysznie jedzą, flirtują, są weseli i jak zwykle nadziemsko szczęśliwi, że mogą nie myśleć. Warszawa jest kompletną lecznicą dla ludzi, przeciążonych myślami lub posuwających troskę intelektualną do nałogu. Podobnie jak sonda wypłukuje żołądek, tak Warszawa wypłukuje mózgi. Robi się w nich miła, serdeczna pustka, prawie że taka sama jak w kieszeni.

Wszystko się na to złożyło, żeby rok nowy zaczął się pogodnie i radośnie. Pamiętał o tym i wódz naczelny, który na dzień ten świąteczny postarał się o same zwycięstwa: nad Bzurą, Pilicą, Nidą i Dunajcem. Trudził się jednak właściwie niepotrzebnie, gdyż nawet tak pięknie brzmiących komunikatów nie czytano. Wojna przestała być aktualną, toczy się kędyś tam za górami za lasami, ale już przycichła i bezgromowa, jak ostatnie płachty chmur po burzy. Wiedzą wszyscy, że żołnierze siedzą sobie wygodnie w okopach, że Warszawa jest obstawiona milionami bagnetów, czegoż się więc kłopotać? Wojna funkcjonuje doskonale i bez nas; chodzi jak dobrze nasmarowana maszyna, więc nie ma co trapić się tym, że codziennie tam z którejś strony padnie parę tysięcy walecznych, albo kilka pułków pójdzie w niewolę. Wojna jest już samodzielna, usamowolniona i opieki naszej nie potrzebuje.

Wszystkie rodzaje są dobre prócz nudnego — tak opiewa zasada literacka francuska. Wojna europejska jest przeto niedobra i może to ją w końcu zdepopularyzuje i zakończy. Zamiast wielkich płomiennych bitew w stylu greckim, rycerskim lub romantycznym — zabawa armii w ciuciubabkę. Wyskoczyć z rowów strzeleckich w stosownej chwili, żeby zbliżyć się do nieprzyjaciela o 50 metrów i wykopać nową linię tranzei, przechodzić z nory w norę, strącać palce u lewych rąk, urywać granatami głowy w czapkach z gwiazdkami, ażeby sobie latały nad polem — a potem znowu czekać tygodniami na nową sposobność przeskoczenia w świeże nory — oto wojna dzisiejsza. Z początku były twierdze, groźne mury, strzelnice, teraz tylko doły i rzeki. Napoleon utrzymywał — jak mówi major de Gruyther w swych *Zasadach taktyki*<sup>451</sup> — że sposób prowadzenia bitwy powinien się zmieniać co lat dziesięć. Można przeto mieć nadzieję, że wojna, która wybuchnie w roku 1925, będzie już tylko jednym wielkim *spleenem*.

Może dlatego Austriacy całymi korpusami poddają się? Wiedeń nie lubi się nudzić, a w rowach strzeleckich porządnej operetki nie ma. Co najwyżej — ale to też we Francji, nie w Rosji — można wydawać w okopach gazetkę, urządzać kąpiel, wreszcie porządną WC. A tu — Boże zmiłuj się!

Z tych samych względów i Warszawa wołała wywiesić na spotkanie Rosji swoją nie bardzo białą flagę i poddać się. Inaczej bowiem, zmarniałaby z nudów.

Niewola ta jest zupełnie przyjemna i odbije się na przyszłych losach duszy polskiej. W tym względzie niejednego mnie nauczyły wieczory świąteczne. Oficerowie rosyjscy obchodzili sylwestra na równi z ludnością katolicką i najgorliwszą w świętowaniu uroczystości kościoła rzymskiego — żydowską. Restauracje były zajęte prawie wyłącznie przez Rosjan. Wczoraj, tj. w Nowy Rok, w przepelnionej do niemożliwości operze i operetce, naliczyłem wojowników razem do czterystu — w tej liczbie większość już udekorowana za zwycięstwa nad Bzurą, Pilicą itd. Stało się zwyczajem, że pierwsze pięć — sześć rzędów krzeseł zajmują bracia — obrońcy. Nawet na farsie w Teatrze Letnim, oni stanowią

<sup>451</sup>*Zasady taktyki* — książka o tematyce militarnej autorstwa Cuthberta Montague'a de Gruythera przetłumaczona na polski w 1911 r. [przypis edytorski]

Warszawa

Wojna

publiczność czołową. W łóżach starszyzna z paniami i sanitariuszkami ze sfer arystokratycznych. Na dziwną to składa się atmosferę w teatrze — szare mundury i bluzy, gdzie dawniej smokingi i tużurki. Powietrze obozowe lub koszarowe pomieszane z zapachem perfum.

Publiczność miejscowa z wielką ufnością, sympatią i wdzięcznością wodzi oczami po szeregach. Widzi i czuje bogactwo i swe junactwo oficer, choćby był tylko w randze chorążego lub porucznika, nie przynosi swej damie pudełka cukierków, lecz od razu trzy, cztery, pięć. W pierwszym międzyakcie już zabrakło w bufetach słodczy.

A jeśli dodać do tego wrażenia analogiczne z ulicy i sklepów, gdzie stosi ciast i skrzynie podarków wszelkich, wnoszonych przez ordynansów, przypominają barwne reklamy fabryk czekolady albo plantacji kakao — to coś dziwnego, że Warszawie serce rośnie na widok bogatego pana? Toż dla nas zwieziono z Rosji i kresów dużo smacznych rzeczy: wędlin wszelakich, marmolad, serów, kawiorów, ryb wędzonych, masła, konfitur, soków, pierników, owoców piramidy zacne itd. Wszystko to z Rosji. Pomyśleć jeno — z Niemiec nigdy by nic podobnego nie przyjechało. Czujemy dziś wyraźniej niż kiedykolwiek, że Rosja nas karmi i syci, że to spichlerz nieprzebrany, że tam za Wisłą zasoby bajeczne i urodzaje fantastyczne, że aż „znad brzegów Oceanu Spokojnego” przybyły smakołyki i różne gospodarskie zapasy.

Warszawa zdaje sobie z tego sprawę, politycy ugodowi jeszcze lepiej — tak czuła już nawet Galicja, i nieraz w cichości ducha wzdychała do rosyjskiej opulencji...

To, panie, nie żarty! To urabia i ustala orientację. Nie masz człowieka, który by był nieczułym na takie bogate utrzymanie, chyba że ma katar żołądka, albo kamienie w nerkach. Ja sam przyznaję, że z lubością patrzę oczyma duszy, więcej jeszcze niż apetytu, na te nieskończone ziemie i posiadłości, których okruch jeden marny mógłby nakarmić i — rozweselić całą Polskę; na te dale niezmierzone łąnow zbożowych, lasów i sadów Ukrainy, na tę biblijną plenność czarnoziemu, wobec której takie np. Niemcy wydają się jakąś skromną kasą pożyczkowo — wkładową.

Naszą orientacją musi być i będzie zawsze: zgodzić się na ten zyskowny romans. Drogę wskazał nam już pewien monarcha, a potem błękitna krew. W chwili zaś obecnej Rosja nie bez dumy mówi do nas: „Polacy, widzicie, że u mnie dobry i obfity wikt. On ma być waszym programem narodowym, a jest naszą niezwykłością. Mogą was od ciała Rosji odciąć Niemcy jak cycek, jak brodawkę — wtedy wy z głodu umrzecie, a my — będziemy jeszcze bogatsi.

A któż z was będzie tak potwornie głupim, żeby się wahać w wyborze?”

Tak tedy asymilacja polsko-rosyjska uczyniła w ostatnich czasach olbrzymie postępy, i odbywa się pokojowo, według ulubionego wyrażenia panów Wergunów. A już do zupełnego i gorącego „kochajmy się” dogrzewa się ona w obliczu niebezpieczeństwa demokracji niemieckiej.

W tym punkcie Warszawa jest wspaniale uświadomiona. Ona rozumie, że system kultury niemieckiej byłby wyrokiem śmierci dla tych w Polsce, co nie sieją i nie orzą a jednak zbierają. Ta straszna perspektywa, że wzrosliby w znaczenie i dostatek ludzie pracowici i zdolni — przejmując wszystkich strachem. Groźba załamania się fortun, zbudowanych na lichwie pieniężnej czy moralnej — jest owym powszechnym milczącym porozumieniem, które wyczuć można nawet wśród młodzieży. Chłopcy i dziewczęta, wychowani w epoce reakcji porewolucyjnej — to pokolenie rażne i zadowolone z siebie, biegunowo przeciwległe dyletantom i opętańcom i męczennikom rewolucji, a co najważniejsza, bez impetu, woli i zdolności do pracy, a polujące na łatwą karierę. Ono czuje instynktownie, że zaczęłoby się panowanie samodzielnego budownictwa i celu w życiu, zaś ustałaby „gratka”. Oto dlaczego w domach rodziców z wolą i programem w życiu i jaką taką tradycją dogmatu czy ideologii, spotyka się płytkie i agresywne politykowanie dzieci, którego rdzeniem — jest przedwczesne służalstwo, wstręt do wyższej kultury ducha. Doszło do tego, że nawet chłopcy, którzy nie są w stanie opłacić szkoły polskiej, stworzonej niby to w imię narodu, ale dostępnej jedynie dla szczęśliwców — bryzgają śliną na te inne szkoły, w których mogliby się uczyć darmo i wyjść na ludzi w znaczeniu zachodnim.

Rosja nawet się nie domyśla, jak głęboko i psychicznie jesteśmy już z nią zrośnięci i od świata łacińskiego oderwani.

Polska, Rosja

A na terenie cygańskich kapel w restauracjach — będziemy zespoleni jeszcze głębiej. Możemy spać spokojnie, „Matuszka” *czuwa nad nami, choć jest pijana*.

A Niemcy, którzy znowu dokonali czynu brawurowego i zatopili pancernik angielski „Formidable” — *pijani są błędem tragicznym — choć czuwają*.

Ja zaś piszę to na trzeźwo — nie jestem pijany...

3 stycznia, niedziela

Wypadków niewiele, ale przeżyć sporo. Gdyby można było myślenie i widzenie rzutować wprost na papier, bez pośrednictwa złożonej koordynacji ruchów, którą jest pisanie, płodziłbym co dzień tomy...

Wśród mętnego i wzburzonego morza wojny wystaje jak gałąź, dobroć ludzka. Należałoby właściwie powiedzieć: dobroć kobieca. Fakt niby stary, a wspaniały w swej bezustannej odnowie, przeto wiecznie prawdziwy i poetyczny, jak każda wielka prawda.

Skończył się typ kobiet działaczek, kobiet filantropiek, nastąpiło pokolenie kobiet — doktorów medycyny i filozofii oraz równorzędnie snobic, które nic nie kończyły i nie wiele umieją — a jednak wszystkie, przywołane do ołtarza miłosierdzia, służą z pierwszorzędnym poświęceniem i sumiennością. To znaczy, że moda, strój indywidualny czy społeczny, styl dawny czy nowy psychiki, jest rzeczywiście tylko strojem, zewnętrzną powłoką, pod którą istota kobieca zostaje po dawnemu czymś wielkim, i jak gdyby hodowanym przez naturę dla zrównoważenia politycznych zwyrodnień człowieka. Patrząc na te objawienia dobroci i duszy bardzo często w szpitalach. Spotykam obok najbrzydszych najpiękniejsze, obok najuczestniejszych najprostsze, obok surowych zalotne — wszystkie stały się równymi w obliczu swego zadania. Oto np. ta, wdowa po wybitnym działaczu społecznym, kwiecie i chlubie partii; bezprzykładnie wyzbyta z wszelkich pretensji światowych, z stałym uśmiechem jowialnym na wynędzniałej twarzy, pokazuje mi trzynaście ran szrapnelowych na biednym nagusie — żołnierzu, któremu zmieniają opatrunki na stole operacyjnym. Myślałbyś, że ją tylko bawi to dotykanie miejsc na ciele, w których zostały odłamki żelaza już na dożywotnie pomieszkaniu (bo chirurgia dzisiejsza często uważa je za mniej szkodliwe od wydobywania z ciała). Mówi z pacjentem jak z obiektem eksperymentu, opowiada o tym, jak go przywieźli w ruchomym ubraniu, w chodzącej koszuli, jak od napływu tych „chodzących łachmanów” i mundurów, cały lazaret „chodzi”, a coś pod nogami trzaska bezustannie. Ale ranny się nie obraża, tylko patrzy na swą dobrodziejkę oczyma niewysłowionej wdzięczności, jak gdyby mówił: „Kpij ty sobie z naszego brudu, a przecież, psiakrew, takiego drugiego anioła, jak ty na świecie nie ma, przez ciebie będę zdrow i dobrze mi tu u was jak u rodzonej matki”.

Jest i drugi anioł: ta wytworna niewielka kobietka, do której należą zdjęcia rentgenowskie; z jaką lubością pokazuje na odbitkach fantastyczne połamania kości, których już żaden mistrz nie zestawi, uwięzłe między kośćmi ostre kule karabinowe i odrzuci ich w kształcie kropel, to znowu białych plam, rozsianych dookoła. Ona potrafi nauczyć, objaśnić, mówi skromnie, nieśmiało, ale za to pracuje od świtu do późnej nocy i budzi zachwyty w lekarzach.

Albo znowu ta trzecia; ładuje w wielką dziurę od szrapnela, nad bicepsem, i drugą taką samą, pod bicepsem, całe stopy bandaży, waty itp. odwija, nawija, rzuca w kubek pełen krwawych gałganów, zręcznie, mężnie, wprawnie a delikatnie. I biedny żołnierz, któremu ubyło z ręki kilka funtów mięsa i zostały dwie strasznie krwawe kawerny, ma minę tęgą, z cicha czasem syknie, ale potem miłośnie spojrzy na sanitariuszkę, jak gdyby mówił: „E nie boli, to mi się tylko zdawało, co mię ma boleć?” I patrzy znowu na swą dobrodziejkę.

Co prawda, jest na co patrzeć. Sanitariuszka, jak cudowny obraz. Chusteczka na głowie zawiązana w kształcie czepeczka, nie dość szczelnie odsłania wspaniałe lśniące blond włosy, biała bluzka z kołnierzem marynarskim w proste ciemno-niebieskie paski, spięta piękną broszką ametystową, ręce toczono, postawa, której sam widok może przywrócić do życia i pragnienia, rysunek bioder i ud, może dla pacjenta niezrozumiały, ale dla lekarzy — oszałamiający. No, krótko mówiąc — Pięknoszyja, moja przyjaciółka, droga rezerwistka. Ona to właśnie już jest przy pracy; niezmordowana, milcząco-radosna, jakby odrodzona, opatruje żołnierzyków, już tak oswojona z widokiem męskiej nagości — nawiasem mówiąc, niefidiaszowego zgoła typu są ci łagodni i wytrzymali cierpiętnicy — i strasznych poszarpań od szrapneli, jak gdyby się urodziła chirurgiem.

Kobieta

Mój Boże, jakże śmieszna jest ta mistyfikacja miłosierdzia ludzkiego! Tu im tak dobrze, tak bezpiecznie, tak po domowemu, że prawie człowiek bezdomny zazdrości mu. Zdrowsi czytają sobie, inni od rana do nocy piją wonną herbatę z ogromnego kociołka, który stale stoi na gazie; w pokojach nie brak niczego. Tu maleje okropność najokropniejszych ran. Lekarze opowiadają mi o oficerze, któremu prawie że oderwało szczękę dolną, która jednakże potem przyrosła, o tym nieszczęśniku, który z przeraźliwego ognia już z całym oddziałem miał iść do niewoli, gdy nagle skutkiem jakiegoś „nieporozumienia” otrzymał kęs żelaza w oko — i dziś mu je po sześciu tygodniach daremnych prób ocalenia — wyjęto galkę. Okazuje się, że i ci straszni wybrańcy losu znosili tutaj męki w pokorze i rezygnacji. Wszystko w tym szpitalu składa się na to, żeby bólowi wyrwać żądła, jedno po drugim.

Pięknoszyja jest, zdaje się, uratowana, ale czy który z panów lekarzy nie będzie zgubiony — nie mam pewności.

6 stycznia, środa

Od wczoraj grzmą fanfary w całej prasie. Rosjanie zadali klęskę Turkom pod Sarykamysem: rozbili na głowę i wzięli do niewoli całe dwa korpusy, pomimo, że nieprzyjaciel miał przewagę sił. W ten sposób Turcy zostają wyparci z okręgu zakaukaskiego. Komunikaty opisują to niesłychane zwycięstwo, jako „jedno z największych w historii wojen”.

Nie trudno wysnuć ciąg dalszy: rewolucja w Turcji, powrót następcy tronu, przeciwnika awanturniczej wojny, do łask, różne zamachy skuteczne i udaremnione itd.

Nikt temu zaprzeczać nie będzie, bo nikogo to nie obchodzi, a mało kto w te odległe laury — uwierzy i nikt ich nie sprawdzi.

Daleko więcej zasługują na wiarę biuletyny z zachodu, o zajęciu przez wojska koalicji Steinbachu i o powszechnym wypieraniu Niemców. Zresztą, jeśli by nawet Joffrench przesadzał, to co najwyżej o kilka lub kilkadziesiąt metrów, albowiem cały zdobyty czy odzyskany teren nie przenosi kilkuset metrów — natomiast sztab rosyjski kłamie na setki mil.

Podziw świata dla Niemiec rośnie. „Times” angielski przyznaje coraz wyraźniej, że Francja niedostatecznie była przysposobiona i zarazem oblicza, że Niemcy wystawią na wiosnę nową, może czteromilionową armię. Aż pisma rosyjskie muszą miarkować zapędy przezorności i bezstronności angielskiej...

Ponieważ lubię dopatrywać się gałązek oliwnych pokoju w każdym porozumieniu, jakie zachodzi w pewnym punkcie między walczącymi, w każdym akcie wyższej bezstronności, więc i ta postawa poważna Johna Bulla<sup>452</sup> wydaje mi się jakby zwiastunem czegoś. Przy tym wymienia on jeńców, niezdolnych do boju, z Niemcami — to także zbliża ku sobie narody. Ośmielony, już waży się na zakłady z ludźmi, że wojna na wiosnę się skończy. I naprawdę, w tym łagodnym powietrzu baraszkującej zimy, pachnie jak gdyby wiosną — i wiosną ludów.

Oglądam ilustracje francuskie i nowe pismo „La grande guerre”. Oto ludzie, którzy nawet wojnę monotonną potrafią odmalować z furją gestu, temperamentu, niespożytej duszy... Ich rysunki na temat Marsylianki działają jak marsz, który pędzi w bój. Płomienne oczy, rozwiane suknie, naatchnione postacie, prosty, namiętny rysunek czynią z *pioupiou*<sup>453</sup> bohatera romansów Victora Hugo. Jak gdy nagle wymazał ktoś z historii rok 1870 i wszystkie mielizny dekadentyzmu i połączył chwilę dzisiejszą z tą dawniejszą, kiedy miecz francuski ciskał pioruny na świat cały.

Doprawdy, Francji dobrze zrobi ta wojna. Niejedną lichotę w sztuce, niejedną zdechlinę przerafinowania, niejedną literacką jałowość — zmiecie ten wicher zapału i patriotyzmu, ta niszcząca pochodnia prawdy, którą jest rzeczywiste męstwo. Kule, co świszczą nad Szampanią, niosą śmierć nie tylko ludziom, ale i chorobom ich ducha — to są świsty, spędzające z desek teatru miernoty, komediantów i kabotynów nowoczesnego Paryża.

A Anglia? To wielki, wielki czempion świata. Można by myśleć, że to Guliwer<sup>454</sup>,

Polityka

<sup>452</sup>*Bull, John* — postać stereotypowego porywczego i grubiańskiego Anglika. stworzona przez szkockiego pisarza Johna Arbuthnota 1712 r. [przypis edytorski]

<sup>453</sup>*pioupiou* (fr.) — piechur. [przypis edytorski]

co trzyma na nitkach liliputów francuskich, niemieckich, rosyjskich, tureckich. Kazała im tańczyć z sobą i tańczą, a przy tej sposobności wypruwają sobie kiszki. Ona zaś, jako prawdziwy metr tańca, także okręci się kilka razy, zaprosiwszy w tan jedną z najpiękniejszych kobiet. Kiedy wszyscy popadają i omdleją z upływu krwi, ona położy kilka plasterków angielskich na swoich zadraśnięciach, rozsiądzie się w fotelu lordowskim i napawać się będzie widokiem powszechnej anemii, połączonej z częściowym paralizem — sama jeszcze zdrowsza, silniejsza i bardziej rumiana.

Nie darmo to jeden z jej proroków, Wells<sup>455</sup>, przepowiada, że w krótkim czasie wszystkie narodowości skondensują się w kilka grup magistralnych, które zapanują nad światem. Czas ten się zbliża. Wierzę, iż panami Europy będą dwa państwa: Anglia i Francja, jedyne dwa mające potężną wolę istnienia i mocy. Niemcy jako geniusz karności będą pupilem z prawami samodzielnego towarzysza. Rosja, pozbawiona woli raz na zawsze, przeżarta do szpiku kości bakcylem wieszającego prawosławia i porośla wszami, nigdy nie będzie niebezpieczną, a z czasem uczynią ją i nieszkodliwą. Nikt jej zwyciężyć nie zechce, i wszyscy poprzestaną na pożyczaniu jej miliardów na bardzo wysoki procent. Będą ją utrzymywali w stanie chronicznej potrzeby pieniędzy. Do Europy jej nie puszcza, a na Dalekim Wschodzie pilnować jej będzie Japonia z Anglią. Wszystkie inne państwa istnieć będą jako zdezonizowani królowie, z wielkim dworem, apanażami<sup>456</sup>, psiarnią myśliwską, ale istnieć o tyle, o ile będą pożyteczne mocarstwom głównym. Będzie to epoka różnych odcieni neutralności, niepodległości, autonomii, jak są tytuły dworskie szambelanów, podczaszych, wielkich koniuszych itp.

Ta niepodległość, o którą nam Polakom idzie, będzie także pewnego rodzaju *lucus a non lucendo*<sup>457</sup> — sztucznym tworem wyrachowań angielsko-nieangielskich.

Ale na takiej ewolucji ludzkość nie straci. Owszem, osłabnie politykomania i wzmocni się praca dla kultury, nauki i sztuki. Koncentracja państwowości i militarystyki wyzwoła wiele umysłowej energii, doprowadzi do wzrostu duchowości i osłabienia pych, but, ambicji i złudzeń.

Bodajby to nastąpiło czym prędzej! Myślę, że wojna europejska pod jednym względem znakomicie uświadomi ludzkość: że istnieją zasadnicze różnice między narodami, posiadającymi własną potężną wolę i — nieposiadającymi jej.

Spośród pretendentów do tronu Europy nie zwyciężą, jak w przemądrym dramacie Ibsena<sup>458</sup>, Haakonowie, zaś ulegną Skule'owie, nie zwyciężą twórcy narodów, budowniczości człowieka, lecz na odwrót: mistrze w sklejanu państw — monstrów.

8 stycznia, piątek

Postanowiłem zmienić zasadniczo swój pamiętnik: pisać będę nie co dzień, lecz co tydzień. Wystarczy to najzupełniej, przynajmniej na okres bieżący, w którym znowu zaczynam wierzyć groźbom Anglii, że prowadzić będzie wojnę choćby przez trzy lata. W wypadku bowiem utrzymania się tego stanu przewlekłego, na cóż by się mnie lub innym przydać mógł mój dość szczegółowy raptularz<sup>459</sup> przeżyć? Jakże na takiej olbrzymiej przestrzeni czasu nikłymi są one wydadzą? Jakże często byłyby między nimi podobieństwa, dochodzące do identyczności! Znudzilibym siebie sam i znudzilibym innych.

Do przywrócenia całkiem normalnego biegu życia wiele się przyczynia wznowienie imprezy operowej. Średnia, pod względem repertuaru i sił, opera to jeden z ośrodków mózgu Warszawy. Gdy on funkcjonuje, czynną jest i reszta. Powraca przedsiębiorczość w urządzaniu koncertów i widowisk. Wojna staje się nam coraz dalszą — choć Niemcy bynajmniej teraz nie są dalej niż przedtem. Instytucje dobroczynne, sanitarne, przytuł-

<sup>454</sup>*Guliwer* — główny bohater satyrycznej powieści Jonathana Swifta *Podróże Guliwera*, podróżujący po różnych miejscach takich jak m.in. Kraina Liliputów, ludzików o małym wzroście. [przypis edytorski]

<sup>455</sup>Wells, *George Herbert* (1866–1946) — brytyjski pisarz i biolog, pionier powieści z rodzaju *science fiction*. [przypis edytorski]

<sup>456</sup>*apanaż* — pensja wyznaczona przez państwo na utrzymanie członków rodziny królewskiej. [przypis edytorski]

<sup>457</sup>*lucus a non lucendo* (łac., przen.) — dosł. gaj nieświecący, wyrażenie oparte na grze słów *lucus*: gaj, *luceo*: świecić; przen. coś sprzecznego, absurdalnego. [przypis edytorski]

<sup>458</sup>*nie zwyciężą, jak w przemądrym dramacie Ibsena, Haakonowie, zaś ulegną Skule'owie* — chodzi o dramat z wczesnego okresu twórczości Henryka Ibsena (1828–1906) pt. *Pretendenci do tronu* (oryg. *Kongs-Emnerne*, 1863). [przypis edytorski]

<sup>459</sup>*raptularz* (daw.) — notatnik. [przypis edytorski]



ki i kuchnie, herbaciarnie dla inteligencji i schroniska dla — koni i bydła stały się już zwykłymi zajęciami i urządzeniami w mieście. Przyzwyczajono się do przyływu i odpływu bezdomnych, do cholery i tężca, do tyfusu i ospy, grasujących na przedmieściach i w bliskości frontu rosyjskiego.

Ale w tych licznych a drobnych funkcjach dostrzec można zarodek czegoś nowego i ważnego dla kraju. Warszawa się nieco przeistoczyła. Zbiegów jest tak wielu, że musieli na jej fizjonomii wypieczętować pewne nowe rysy. Napłynęło z ziem, ogarniętych przez Niemców, sporo inteligencji, nauczycieli, światlejszych mieszczan. Tym już wracać się nie chce, nawet wtedy, gdy mogą. Miasto ich przytułilo i mlekiem swoim nakarmiło — więc są wdzięczni. Widziałem te przytulki na ulicy Moniuszki, na ulicy Kopernika. Ależ to nie schroniska, to raczej gęsto zaludnione hotele w czasie jakiegoś kongresu! Ludzie mieszkają nieco ciasno, ale czysto, wygodnie, jedzenia pod dostatkiem, pism i książek do woli. Opieka staranna, życzliwa, dbała o ciało i o ducha...

Ci na pewno już zostaną w Warszawie. Choć wojna się skończy — oni, zasmakowawszy w rozległej kulturze stolicy, rozstać się z nią nie będą chcieli, wsiąkną w nią, wniosą nowe pierwiastki, może i powiększą rozmiary stolicy.

Warszawa jednak żąda za swą dobroć pewnej zapłaty; nie tej śmiesznie drobnej, którą uścić jest w stanie każdy przygarbięty — ale tej, która jest daniną dla obowiązkowości miasta. W Warszawie trwa po przez wszystkie czasy i wstrząśnienia jedna stała, niezniszczalna, górna mania — kształcenia i organizowania ludzi dla celów kultury. Kto ten nałóg wyobraża, kto go wciela? Kto jest jego naczyniem? Kilkanaście kobiet i kilku asystentów — jak zawsze. Oni są tą nicią, która łączy się pewnie z nicią pracy wolnościowej z przed lat dziesięciu; oni stanowią tę zawiłą a nieuchwytną i niepozorną tradycję skromnego oświatowego sprzysiężenia, które nie przygasa nigdy, a zjawia się butnie i żywotnie, ilekroć czujność policji i ochrony usypia.

Tak się stało i teraz. Skorzystano z tego, że nawała bezdomnych jest wielka i nagle, że potrzeba dania przytułku i stwarzania gospód nie znosi zwłoki, że do klęski tej przyczynia się i władza wojskowa przez swe gwałtowne i ciągłe ewakuacje, że ratować trzeba szybko i bez formalności, że wezbrana fala filantropii i samopomocy mogła być uważana za jedno z sympatią dla armii — i zorganizowano nauczanie. Jest to koronacja naszego miłosierdzia.

10 stycznia

Można się w szpitalach dowiedzieć wielu rzeczy niepotrzebnych. I to niekoniecznie gawędząc z rannymi, bo ci najczęściej nic nie wiedzą, i rzadko który widział to wojsko wraże, od którego otrzymał postrzał.

Wiedzą lekarze, czują coś sanitariusze, przywożący nowy „material” z lotnych oddziałów i pociągów sanitarnych. Otóż moja teoria „łódzkiego Grunwaldu” szczerze ich bawi i rozśmiesza. Oni bowiem słyszeli tylko o jakimś „Grunwaldzie na wywrót”, którego rezultatem miało być wzięcie do niewoli 70 tysięcy Rosjan. Trzytygodniowa walka pod Łodzią dlatego właśnie przyniosła generałowi Hindenburgowi wysokie odznaki, generałom rosyjskim kilka dymisji, a Mienszykowowi nasunęła pod pióro pocieszającą refleksję, że Łódź to przecie tylko żydowsko-niemieckie, w gruncie rzeczy „obce” miasto.

Same rozczarowania! A do nich przybyły smętne sprostowania wiadomości z okresu świątecznego. A więc Franciszek Józef żyje, Wilhelm II nie umarł. Zwycięstwa nad Bzurą, Pilicą itd. też zostawiają wiele pola do domysłów. Władze gubernialne płockie — zamieszkały w Warszawie, co pozwala wnioskować, że klęska Niemców pod Mławą nie była znowu na bardzo długo. Przebąkują też o zuchwałej ofensywie Turków na Kaukazie. Jeden cały korpus górali wraca tam, albowiem wojsko z równin nie umie się bić w górach, itd.

Słowem — z „szarańczą” niemiecką sprawa jeszcze nieskończona, na domiar złego przywlokła ona swoje ciężkie działa nad Bzurę.

Gdyby kto chciał rozumować *a la* Sherlock Holmes<sup>460</sup>, mógłby wiele wywnioskować z wywodów „Ruskiego Inwalida”, pana Michajłowskiego itp. Zapewniają oni, że

<sup>460</sup>Holmes, Sherlock — detektyw, bohater powieści i opowiadań kryminalnych sir Arthura Conana Doyle’a. [przypis edytorski]

Niemcom ubyło już pod różnymi postaciami z górą trzy miliony wojska, że wszakże najdotkliwszą dla Germanów jest niemożność zapewnienia szczerb w środkach technicznych, jako to: armatach, amunicji, urządzeniach telegraficznych i telefonicznych, itp. albowiem przez swą forsowną mobilizację zburzyli przemysł! Natomiast my, Rosjanie, z łatwością wszystkie luki zapewniamy.

Pisma zaś dodają od siebie, że w Niemczech odkręca się klamki od drzwi — taki tam brak miedzi...

Otóż Sherlock Holmes mógłby na tym zbudować niewesołe dla Rosji horoskopy. I mógłby też właśnie zapytać o środki lecznicze i opatrunkowe. Dość przytoczyć jedno. Każdemu rannemu powinna być zastrzyknięta surowica przeciwężcowa. A tymczasem u nas nie ma jej wcale! Lekarze załamują ręce — każdy bowiem wypadek tej zarazy kończy się śmiercią. Z Niemiec surowicy nie sprowadzą, a Francja wywozić ją zabroniła.

Na tyle więc nowych zbyt nowych braków może sobie pozwalać niezwykłość Rosji. Jej nie zmoże *tetanus*<sup>461</sup>, nie zmoże cholera, która grasuje już szeroko w Błoniu, Sochaczewie, a po trosze wszędzie, nie zmoże jej nawet to, że dowóz żywności do Królestwa od trzech tygodni ustal *zupełnie*, dzięki panującej w komitetach rozdzielczych bezwzględnej zasadzie wstrzymywania „nienasmarowanych osi”. I nic na to poradzić nie mogą wołania nawet pism rosyjskich, którym jękiem obawy przed zagłodzeniem zawtórzyły wszystkie nasze dzienniki.

Warszawa jednak, w swej rozrzewniającej naiwności, wierzy, że teraz właśnie Rosja wybiera się do niej w wielkimi darami świątecznymi, oczywiście, mając na myśli święta starego stylu. Rozbiła się bania z pięknymi zapowiedziami. Przywieść miał dary z Petersburga książę Czetwertyński<sup>462</sup>. Każdy, kogo spotykam, „słyszał od księcia Czetwertyńskiego” o tej radoszej nowinie. Wypada, że pół Warszawy — rozmawiało z tym szanownym arystokratą.

Cóż tedy zawiera ta kolęda z Petersburga? Oto najjaśniejszy Pan ma zamiar darować Polsce polskie szkoły i polskie sądy, a nawet wysokie urzędy aż do gubernatorów włącznie. I tylko żąda jednego, ażeby ogół polski pokwitował z odbioru tego, co obiecał wódz naczelny. Byłaby to zatem pewnego rodzaju regulacja na 30–40%. Tymczasem zaś rząd bada nastrój społeczeństwa naszego za pośrednictwem Komitetu Obywatelskiego, i o ile ten wykaże gotowość do zawarcia układu, Monarcha przybędzie do Warszawy sam i koronować się będzie na króla polskiego.

Komitet Obywatelski odpowiedział jednak sondującym grunt, że się na regulację taką nie zgadza.

Osobiście mam przede wszystkim wątpliwości, czy nasz pan przybyłby do miejsca, odległego zaledwo o jakie dziesięć mil od krwawych walk, nie tylko z upominkiem, ale nawet wtedy, gdyby jemu miano dar jaki wręczyć.

Po wtóre, nie rozumiem, dlaczego by chwila szczególnie groźnej ofensywy Niemców miała się nadawać do obsypywania Polski łaskami cesarskimi. Toć gdyby wróg choć na krótko zajął lewe porzeczce Wisły, już powaga tych łask byłaby narażoną na srogie niebezpieczeństwo komizmu. A ponadto nie daje się ulg tak znacznych darmo, a cóż Rosja mogłaby teraz otrzymać od Polski, która już ofiarowała wszystko, co miała, i nawet więcej, niż miała?

Wreszcie — decydujące w opinii rosyjskiej koła są znacznie lepiej zmobilizowane niż nawet armia — w kierunku niedopuszczenia do jakiegokolwiek istotnej reformy.

Prawdopodobnym jest co innego: nowo upieczony samozwaniec warszawski, któremu na imię „Komitet Narodowy” widząc się zdemaskowanym przez uczciwą część prasy i w obliczu całkiem szpetnych zarzutów — próbuje ratować swój kredyt kwaśnymi choćby owocami ugody, wiszącymi zresztą jeszcze wysoko na drzewie.

We wszystkich tego rodzaju baśniach, osobistość wielkiego księcia Mikołaja<sup>463</sup> występuje, jako pełna ducha rycerskiego i hojności. Zawsze on żąda dla Polski więcej niż

<sup>461</sup> *tetanos* (gr.) — tężec. [przypis edytorski]

<sup>462</sup> *Czetwertyński, Seweryn Franciszek* (1873–1945) — polski arystokrata, poseł rosyjskiej Dumy, pełnomocnik CKO w Rosji, ziemianin, działacz gospodarczy i społeczny, właściciel m.in. Hotelu Europejskiego w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>463</sup> *Romanow, Mikołaj Mikołajewicz* (1856–1929) — wielki książę rosyjski, do sierpnia 1915 r. głównodowodzący armii rosyjskiej podczas I wojny światowej. [przypis edytorski]

inni. Zadawałoby to kłam anegdocie, według której wielki księżę zdobyte na Niemcach wagony jaj kazał podarować Żydom, albowiem Polakom daruje rzecz, znacznie ważniejszą w anatomii ciała ludzkiego, ale w brutalnej rosyjskiej symbolice żołnierskiej oznaczającą coś podobnego do wielkiej wpodłuż prasowanej figi...

## XII

20 września 1924 r.

W chwili, gdy kończę rewizję tego pamiętnika mija z górą lat dziesięć od wybuchu kataklizmu dziejowego. Należy on dziś, ze swymi wynikami i następstwami do historii, nauki, literatury, poezji. One mu poświęcą i poświęcać jeszcze będą nie tylko dzieła i arcydzieła, lecz biblioteki całe.

Człowiek wykazał w tym okresie dziesięcioletnim, że jest potęgą i cudem stworzenia. Potrafił się przystosować do nowego układu świata. Do nowej etyki, psychiki i polityki. Giętkość i zdolność przetwórcza jego natury jest największym dziwem spośród dziwów. Potrafił wzbic się do zawrotnych ćwierćtonowych subtelności rozumowania — i jednocześnie wyświdrował w sobie szyb, wiodący aż na samo dno niskich instynktów.

A wszystko to razem czyni wrażenie, jak gdyby było dopiero pisklęcym świegotem porannym, zapowiadającym długi dzień jeszcze większych i rozleglejszych kataklizmów.

Jednostka w tej perspektywie straciła prawo do uwagi ludzkiej. Mogiła nieznanego żołnierza niedługo wytrzyma napór fali zapomnienia.

...Pięknoszycja jest dziś szczęśliwa z odzyskanym swym mężem i — jeśli to możliwe — jeszcze bardziej urocza i ponętna — absolutną nieprzystępnością. Jest to szczęście ciche w zakątku.

...Cicho zeszedł ze sceny Aureliusz. Tylko w moim sercu zostanie na zawsze pamięć o nim. Padł walecznie na polach, zalanych przez nawałę bolszewicką.

Może w lepszych regionach połączy się z swym przyjacielem, moim synem starszym, który niesyty tułaczki i poniewierki w niewoli austriackiej, poszedł jeden z pierwszych, i najochotniejszych, ażeby gdzieś na białoruskich rozłogach, przez czarniawę znad Wołgi zatopionych, być pochowanym we wspólnym dole.

I ja tedy mam swą mogiłę nieznanego żołnierza...

On tak był podobny w swej prostej, skromnej, dowcipkującej wielkości do Kosa i tak rozumiał, że są dwie rzeczy niemające granic: świat i poświęcenie.

Może obydwóm świecić będzie swym słodkim, matczynym uśmiechem pogodnej męczennicy — Żona moja, ta co ongi, w chwili pierwszego świtu zmartwychwstania, niemieckimi literami — bo inaczej nie było jej wolno — przysłała mi na karcie pocztowej polskie radosne powitanie:

„Niech żyje Polska Niepodległa!”

I ja jedna z fal tej wojny, fala zgryzoty i udręki — zabrała...

Ich świętej i drogiej dla mnie pamięci kartki te poświęcam...

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/jellenta-wielki-zmierch/>

Tekst opracowany na podstawie: Cezary Jellenta, Wielki zmierzch. Pamiętnik, Tow. "Rapsod", Warszawa 1924.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Angelika Kuch, Ilona Kalamon, Maria Świetlik, Paulina Choromańska, Zuzanna Pyzikiewicz.

ISBN 978-83-288-6446-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).